TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 3 0 1978
LIBRARY

10

PAŹDZIERNIK

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 10

WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1952 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 3702 z dn. 2.9.52 r. Nakład 5.980. Druk ukończono 4.10.52 r. 3-B-26601

Program Wyborczy Frontu Narodowego

DO OBYWATELI POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ!

DO ROBOTNIKÓW I ROBOTNIC! DO CHŁOPÓW I CHŁOPEK! DO INTELIGENCJI!

DO RZEMIEŚLNIKÓW! DO ŻOŁNIERZY I OFICERÓW WOJSKA POLSKIEGO!

DO KOBIET! DO MŁODZIEŻY!

Aby zespolić jeszcze bardziej naród polski w pracy i w walce
o umocnienie niepodległości zjednoczonej ojczyzny,
o utrzymanie i utrwalenie pokoju,
o wzrost dobrobytu i coraz lepszą przyszłość ludzi pracy,
o rozkwit i siłę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,

my — przedstawiciele Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego, związków zawodowych, spółdzielczych i Samopomocy Chłopskiej, Związku Młodzieży Polskiej, Ligi Kobiet,

my — partyjni i bezpartyjni robotnicy, chłopi, przodownicy pracy, przedstawiciele inteligencji technicznej, nauczyciele, naukowcy, pisarze, artyści, działacze społeczni różnych organizacji i środowisk, niezależnie od poglądów czy wyznania,

zespoleni i jednomyślni w rozumieniu naczelnych potrzeb ojczyzny — przedstawiamy narodowi wspólny program wyborczy Frontu Narodowego.

CZYM JEST FRONT NARODOWY?

Jest jednością działania wszystkich Polaków, którzy chcą gospodarczego i kulturalnego rozkwitu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, szybkiego wzrostu jej siły oraz dobrobytu wszystkich ludzi pracy.

Jest jednością działania wszystkich, którzy chcą utrwalenia pokoju i niepodległości Ojczyzny.

Jest jednością w walce o szczęśliwą przyszłość narodu, w walce z tymi, którzy chcieliby naród nasz rozbić i osłabić wewnętrznie, w walce z najmitami imperializmu.

Front Narodowy jest jednością działania tych wszystkich, którzy chcą, aby znikł wszelki wyzysk pracy, aby każdy służył narodowi według zdolności i otrzymywał zapłatę według pracy.

Front Narodowy jest jednością działania wszystkich Polaków, którzy chcą, aby Polska — „wolna wśród wolnych, równa wśród równych i wspierających się wzajemnie narodów" — otoczona była gorącą przyjaźnią i szacunkiem całej postępowej ludzkości, wnosząc swój wkład do walki o pokój, postęp i sprawiedliwość społeczną.

Front Narodowy jest jednością wszystkich, którzy gotowi są oddać swe myśli, zapał i siły walce o zwycięskie wykonanie historycznych planów narodowych — planów uprzemysłowienia i wszechstronnego rozwoju Polski.

Front Narodowy

skupia się wokół klasy robotniczej, która przewodziła narodowi w walce o wyzwolenie, a dziś przewodzi w budowaniu nowego życia,

opiera się na sojuszu robotniczo-chłopskim,

wzmacnia coraz ściślejszą więź inteligencji pracującej z klasą robotniczą.

Front Narodowy jest braterską jednością działania partyjnych i bezpartyjnych, związanych wzajemnym zaufaniem, wspólną pracą i walką o lepsze jutro.

Kto staje w szeregach Frontu Narodowego, kto wzmacnia jego jedność i przyczynia się do osiągnięcia jego wielkich i sprawiedliwych celów — jest patriotą.

Kto jedność narodu świadomie rozbija — jest wrogiem.

Wielkie, historyczne zdobycze narodu polskiego, osiągnięte w ciągu ośmiu lat niepodległości opierają się na tym,

że dzięki wyzwoleniu naszego kraju przez Armię Radziecką i walczące u jej boku Wojsko Polskie — klasa robotnicza pod przewodem Polskiej Partii Robotniczej, w sojuszu z masami chłopów pracujących, wzięła władzę w ręce i przezwyciężając wiekowe zacofanie kraju, podjęła wielkie dzieło budowy socjalizmu w Polsce,

że wokół władzy ludowej, w walce przeciwko wyzyskiwaczom, przeciwko wrogim Polsce siłom imperializmu i ich agenturom rozwijała się i wzmacniała jedność działania patriotycznych i postępowych sił narodu,

że uwalniając naród polski z obciążeń szlachecko-burżuazyjnych, klasa robotnicza jako spadkobierczyni patriotycznej i postępowej historii Polski wyzwoliła potężne siły twórcze narodu,

że w dziejach narodu polskiego dokonał się historyczny zwrot: naród polski związał się przyjaźnią, sojuszem i braterstwem z narodami Związku Radzieckiego,

że w walce o pokój, o zabezpieczenie niepodległości i granicy na Odrze i Nysie zacieśniała się więź narodu polskiego z wszystkimi siłami broniącymi pokoju, niezawisłości narodów i postępu.

Dzięki temu mamy Polską Rzeczpospolitę Ludową — Ojczyznę zjednoczoną na prastarych ziemiach polskich, w narodowych granicach. Polskę silną, jak nigdy w historii, Polskę związaną przyjaźnią i wzajemną pomocą ze wszystkimi sąsiadami i wszystkimi krajami demokracji ludowej.

Państwo ludowe odebrało kapitalistom fabryki, kopalnie, huty, banki — uczyniło je własnością narodu. Państwo ludowe wywłaszczyło obszarników i podzieliło ziemię obszarniczą między chłopów pracujących. Naród wyzwolił się spod panowania kapitalistów i obszarników, którzy niepodległość traktowali jak towar na sprzedaż, stał się panem własnych losów.

Przypomnijmy sobie Polskę sprzed ośmiu lat, dziedzictwo panowania szlachty i burżuazji, dziedzictwo wojny i hitlerowskiej okupacji. Przypomnijmy sobie tę ziemię ruin, gdzie nie było rodziny, która by z rąk faszystowskiego okupanta nie straciła kogoś z najbliższych. Spójrzmy na ogrom pracy, jakiej dokonał nasz naród.

Dźwignęliśmy kraj z ruin i zniszczeń wojennych. Bohaterska Warszawa jest dziś znów tętniącą życiem, coraz piękniejszą stolicą kraju. Pełną parą

pracują nasze fabryki i kopalnie, odbudowało się nasze rolnictwo. Na Ziemiach Odzyskanych mieszka i pracuje siedem milionów Polaków.

Naród nasz wkroczył zdecydowanie na drogę wielkiego budownictwa i szybkiego postępu we wszystkich dziedzinach życia.

Nasza produkcja przemysłowa wzrosła trzykrotnie w stosunku do przedwojennej. Zbudowaliśmy i budujemy setki nowych wielkich fabryk, które pomnażają siłę gospodarczą kraju i służą zaspokajaniu rosnących potrzeb ludności. Stworzyliśmy wiele gałęzi przemysłu, których nie miała Polska za czasów kapitalistów i obszarników. Z zacofanego kraju rolniczego staliśmy się krajem przemysłowo-rolniczym.

Skończyliśmy raz na zawsze z klęską analfabetyzmu. W Polsce każde dziecko w wieku szkolnym uczy się. Mamy dziś dwa razy więcej wyższych uczelni i trzy razy więcej studentów na tych uczelniach, niż przed wojną. Nie ma dziś w Polsce wsi, z której by ktoś nie uczył się na wyższej uczelni lub nie zdobył wyższej kwalifikacji w przemyśle czy w rolnictwie, w szkolnictwie czy w wojsku.

Trafiły „pod strzechy" — do robotniczych dzielnic i najdalszych wiosek — nieśmiertelne dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Prusa, Konopnickiej, dzieła nauczycieli milionów ludzi pracy — Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Rozbudowaliśmy szeroko w miastach i wsiach sieć bibliotek, świetlic, placówek kulturalnych wszelkiego typu. Radio i kino, książka i prasa docierają coraz szerzej do najdalszych zakątków kraju.

Nasi pisarze i artyści tworzą dzieła, które wzbogacają kulturę narodu polskiego. Nasi uczeni pomagają masom ludowym w szybkim realizowaniu budownictwa socjalistycznego.

Zasadnicze zmiany dokonały się w położeniu mas pracujących.

Klasa robotnicza nie zna już nędzy i niepewności jutra. Bezrobocie jest już tylko ponurym wspomnieniem kapitalistycznej przeszłości. Robotnik pracuje nie na kapitalistę — pracuje dla swego narodu, dla siebie i swej rodziny.

Tytuł przodownika pracy i racjonalizatora stał się jednym z najzaszczytniejszych wyróżnień obywatela. Rozbudowaliśmy ubezpieczenia społeczne i służbę zdrowia. Milion dzieci wyjeżdża co roku na kolonie letnie, w góry i nad morze. Setki tysięcy robotników korzystają z wczasów wypoczynkowych, wiele tysięcy — z uzdrowisk i sanatoriów. Dziesiątki tysięcy robotników uczą się, podnoszą swe kwalifikacje, obejmują kierownicze stanowiska w fabrykach i w administracji państwowej.

Chłop bezrolny i małorolny — przed wojną skazany na poniewierkę i poniżenia — otrzymał ziemię, możność pracy w przemyśle.

Dzięki otrzymanej od państwa ludowego ziemi i pomocy poważna część małorolnych i bezrolnych stała się gospodarzami średniorolnymi. Polityka państwa ludowego i rozwój przemysłu umocniły gospodarstwa chłopów średniorolnych, stanowiących dziś najliczniejszą warstwę ludności wiejskiej w Polsce. Państwo ludowe otacza chłopów pracujących wszechstronną opieką, udostępnia im tani kredyt, dostarcza im nawozów sztucznych, za pośrednictwem ośrodków maszynowych udostępnia im nowoczesny sprzęt rolniczy, rozwija korzystny dla chłopa system kontraktacji roślin przemysłowych, udziela wszechstronnej pomocy w podniesieniu hodowli. Rokrocznie w set-

kach nowych gromad zapala się światło elektryczne. Przed młodzieżą chłopską stoją otworem wszystkie uczelnie, zawody i warsztaty pracy. Chłop pracujący jest dziś rzeczywistym współgospodarzem kraju.

Państwo ludowe zwalcza i ogranicza wyzysk kułacki, broni przed nim chłopów pracujących.

Inteligencja, wyzwolona z poniżającej zależności od burżuazji, znalazła dzięki władzy ludowej szerokie możliwości rozwoju i zastosowania swych zdolności twórczych, stała się niezbędną i cieszącą się szacunkiem częścią składową wielkiej armii budowniczych nowej Polski.

Rzemiosło rujnowane w warunkach konkurencji i kryzysów kapitalistycznych, uzyskuje w Polsce Ludowej, w ramach narodowych planów gospodarczych, coraz szersze możliwości rozwojowe.

Przed młodzieżą polską, która w latach przedwojennych była pokoleniem pozbawionym przyszłości, dostępu do pracy, do nauki, do zawodu — szeroko otwarły się wrota szkół i fabryk. Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dała młodzieży pełnię praw obywatelskich, powołując ją do czynnego współudziału w rządzeniu państwem. Naród ufa swej młodzieży i widzi w niej przyszłość Polski.

Kobiecie, która w ustroju kapitalistycznym była szczególnie upośledzona, władza ludowa zapewniła równe z mężczyzną prawa, urzeczywistniając te prawa systematycznie i coraz szerzej.

Kobiety pracują we wszystkich dziedzinach i na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach. Szeroko rozwinęliśmy opiekę nad matką i dzieckiem. Chronimy i umacniamy rodzinę, otaczamy szczególną troską rodziny wielodzietne, zapewniamy jasną przyszłość dzieciom.

Przed wojną spadała w Polsce liczba urodzeń, rosła liczba zgonów. Dziś jest odwrotnie. Dzięki przemianom gospodarczym i społecznym, dzięki wzrostowi stopy życiowej i trosce o ochronę zdrowia ludności spada liczba zgonów, rośnie liczba urodzeń.

Dzisiaj staliśmy się narodem o szybko rosnącej liczebności — w ciągu pierwszych ośmiu lat niepodległości wzrośliśmy o trzy miliony, a za niewiele lat będziemy narodem trzydziestomilionowym.

Z dnia na dzień rośnie i rozwija się nasza ludowa Ojczyzna.

„Polska przestała być krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym... Minął i nie wróci nigdy wrzesień 1939 r., minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców".

Te słowa Bolesława Bieruta wyrażają historyczną przemianę w losach narodu polskiego.

Uczuciem dumy i radości napełnia serce każdego patrioty Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — wyrażająca w każdym słowie dorobek i zdobycze pracy i walki wielu pokoleń naszego narodu.

Słuszna jest nasza duma z wielkich zdobyczy narodu. Ale — jak powiedział Bolesław Bierut — „mamy jeszcze wiele poważnych niedomagań, braków, trudności, nie różami, oczywiście, usłane jest nasze życie, nielekka jest nasza codzienna praca, nie szczędzi nam jeszcze życie wielu trosk, wielkie i trudne stoją przed nami zadania".

Pokolenie nasze znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne lecz niezbędne: odrobienia w ciągu niewielu lat ogromnego zacofania, które jest

jednym z głównych źródeł przeżywanych przez nas trudności. Aby usunąć całkowicie zaniedbania wieków, nie wystarczy ośmiu lat. Dla przezwyciężenia wiekowego zacofania trzeba dłuższego, wytężonego i planowego wysiłku całego narodu.

Walka o wykonanie wielkich planów narodowych, o rozwój przemysłu, jako dźwigni wszystkich dziedzin gospodarki narodowej — jest dziś najważniejszym zadaniem.

D l a t e g o:

Wzmagajmy wytrwały, ofiarny wysiłek dla urzeczywistnienia wielkich zadań Planu Sześcioletniego.

Podnośmy stale wydajność pracy.

Rozwijajmy ruch współzawodnictwa pracy, mnóżmy szeregi racjonalizatorów i przodowników pracy.

Produkujmy więcej, taniej i lepiej.

Oto program Frontu Narodowego.

Mimo postępu w produkcji rolniczej nasza gospodarka rolna jest jeszcze zacofana. Pozostaje ona w tyle w stosunku do potrzeb rosnącego przemysłu i ludności miejskiej. Powoduje to trudności, na których żeruje kapitalista wiejski i spekulant.

Polityka władzy ludowej — umacnianie spójni między miastem a wsią — odpowiada wspólnym interesom klasy robotniczej i chłopów pracujących.

Zmierza ona do stałej poprawy zaopatrzenia kraju, do okiełznania spekulacji, niesie pomoc chłopom indywidualnym w podnoszeniu produkcji, popiera rozwijający się na zasadach pełnej dobrowolności ruch spółdzielczości produkcyjnej i wzmacnia państwowe gospodarstwa rolne.

D l a t e g o:

Umacniamy spójnię między miastem a wsią.

Nie szczędzimy wysiłków, aby było więcej maszyn rolniczych, więcej nawozów sztucznych, aby lepsze było zaopatrzenie wsi w artykuły przemysłowe.

Strzeżemy wypełniania obowiązków wsi względem państwa. Prowadzimy nieprzejednaną walkę ze spekulacją.

Zmierzamy wytrwale do tego, aby więcej było artykułów rolnych, aby lepsze było zaopatrzenie miast w żywność.

Oto program Frontu Narodowego.

Nasze budownictwo rozwija się w obliczu nieustającego zagrożenia pokoju przez imperialistów amerykańskich oraz ich wasali zachodnio-niemieckich i innych. Zbrojenia zachodnio-niemieckich odwetowców i całego obozu imperialistycznego zwracają się swym ostrzem przeciwko całości naszych ziem, przeciwko niepodległości Polski, przeciwko wszystkim miłującym wolność narodom.

Jedynie skutecznym środkiem przeciwstawienia się tej groźbie jest:

Wzmacnianie przyjaźni i wspólnej walki o pokój ze wszystkimi narodami broniącymi swej niepodległości.

Wzmacnianie obronności państwa w służbie pokoju.

Wzmacnianie siły gospodarczej kraju i jedności wewnętrznej narodu.

Są to zadania, które wymagają sił i środków. Dzięki władzy ludowej możemy sprostać tym zadaniom. Dzięki naszemu ustrojowi społecznemu łą-

czymy szybki rozwój naszego pokojowego budownictwa ze wzmacnianiem sił obronnych kraju i stopniowym wzrostem dobrobytu mas ludowych.

Dlatego:

Zwierajmy szeregi w walce o pokój, o wykonanie Planu Sześcioletniego.

Otaczajmy opieką i miłością Ludowe Wojsko Polskie — straż pokoju i niepodległości Ojczyzny.

Zacieśniajmy i pogłębiajmy przyjaźń narodu polskiego ze Związkiem Radzieckim, umacniajmy jedność światowego obozu obrońców pokoju i niezawisłości narodów.

Oto program Frontu Narodowego.

Pozbawieni fabryk i folwarków wyzyskiwacze chcieliby odebrać ziemię chłopom, fabryki — narodowi.

Niedobitki reakcji, zdrajcy i szpiedzy w kraju i na emigracji, nie zaprzestają knowań przeciwko Polsce ludu pracującego.

Dlatego:

Wzmacniajmy na każdym kroku władzę ludową.

Bądźmy czujni, strzeżmy mienia narodowego i tajemnicy państwowej, tępmy sabotażystów i szpiegów.

Walczmy przeciw oszustwom, plotkom i oszczerstwom reakcyjnej imperialistycznej propagandy, pogłębiając świadomość polityczną najszerszych mas.

Oto program Frontu Narodowego.

Walce z trudnościami przeszkadza biurokratyzm i kumoterstwo gnieżdżące się jeszcze w niejednym z naszych urzędów i instytucji — tu i ówdzie pokutują jeszcze stare nawyki: brak troski o człowieka pracy, wielkopański stosunek do jego potrzeb.

Każdy przejaw niedbalstwa i niesumienności, naruszania socjalistycznej dyscypliny pracy i nieposzanowania mienia społecznego, niewywiązywania się z obowiązków wobec państwa przeszkadza naszemu rozwojowi, naszym wysiłkom.

Dlatego:

Rozszerzajmy udział mas ludowych w rządzeniu państwem, ulepszajmy pracę Rad Narodowych.

Walczmy o to, by każdy urząd przestrzegał praworządności i wskazań władzy ludowej, aby dobrze służył ludziom pracy, troszczył się o nich.

Walczmy o przestrzeganie socjalistycznej dyscypliny pracy, o wypełnianie obowiązków wobec państwa przez każdego obywatela.

Rozwijajmy poczucie obywatelskiej odpowiedzialności.

Przez śmiałą i szeroką krytykę i samokrytykę obnażajmy i usuwajmy bezlitośnie biurokratyzm, kumoterstwo, bezduszny stosunek do człowieka.

Obywatele!

Urzeczywistnienie programu Frontu Narodowego, przyśpieszenie wykonania Planu Sześcioletniego oznacza:

wzrost realnych zarobków robotnika i inteligenta, poprawę zaopatrzenia emerytów, inwalidów i rencistów,

wzrost poziomu życiowego chłopa pracującego,

umocnienie i stałe rozszerzanie zdobyczy ludu pracującego, zagwarantowanych przez Konstytucję.

Od nas samych, od naszej świadomości, ofiarności i aktywności zależą postępy naszego budownictwa.

Wykonanie z nadwyżką zadań pierwszych lat pozwoli nam przedterminowo wykonać Plan Sześcioletni.

*

Przed Sejmem, który wybierzemy, stanie obowiązek wytyczenia dalszych zadań, uchwalenia nowego Planu 5-letniego, którego wykonanie zabezpieczy naszemu narodowi wielkość, siłę i dobrobyt.

Plan ten zapewni dalszy wszechstronny rozwój gospodarki narodowej, przemysłu i rolnictwa, szybki wzrost dobrobytu mas pracujących i rozkwit kultury narodu.

Potężna rozbudowa przemysłu da w roku 1960 z górą 10-krotny wzrost produkcji w porównaniu z produkcją przedwojenną. Mechanizacja robót ciężkich i pracochłonnych wpłynie na wydajność pracy i ulży poważnie trudowi człowieka.

Rozbudujemy nasze bazy surowcowe: zwiększymy wydobycie węgla kamiennego i brunatnego, rud żelaza, metali nieżelaznych, ropy naftowej i soli potasowej, rozwiniemy produkcję kauczuku i paliw syntetycznych, włókien sztucznych i podstawowych produktów chemicznych.

Rozbudujemy znacznie górnictwo i przemysł w całej Polsce nie wyłączając zacofanych, nie posiadających przemysłu okręgów rolniczych.

Rozwiniemy szeroko przemysł nawozów sztucznych i nowoczesnych maszyn rolniczych wszelkiego typu, aby wesprzeć pracę chłopa najnowocześniejszą techniką, ulżyć pracy jego rąk, zwiększyć plony.

Podjęte zostaną wielkie budowy, które zmienią zasadniczo warunki rozwoju całych obszarów naszego kraju. Rozpoczniemy budowę wielkich zapór wodnych i kanałów żeglownych, wielkich elektrowni na Wiśle i Bugu, które umożliwią zelektryfikowanie zacofanych połaci kraju. Wykorzystanie naszych zasobów wodnych do melioracji łąk i pastwisk oraz nawodnienia gruntów ornych pozwoli na znaczny wzrost urodzajów i rozwój hodowli.

Wielkie budowle socjalizmu staną się podstawą techniczną szybkiego rozwoju i przebudowy rolnictwa.

Wzrosną ogromnie możliwości rozwoju materialnego i kulturalnego wsi polskiej.

Zwycięskie wykonywanie planów gospodarczych stwarzać będzie warunki dla systematycznego zwiększania zaopatrzenia ludności w artykuły żywnościowe i wyroby przemysłowe wszelkiego rodzaju, dla zamożnego życia ludzi pracy w mieście i na wsi.

Rozwijać będziemy na szeroką skalę budownictwo mieszkaniowe.

W okresie bieżącego dziesięciolecia zakończymy odbudowę Warszawy, budowę dwóch pierwszych wielkich tras warszawskiego metra, odbudujemy Wrocław, Gdańsk i Szczecin.

Zbudujemy miasta socjalistyczne: Nową Hutę i Nowe Tychy oraz szereg wielkich osiedli robotniczych.

Zwrócimy szczególną uwagę na miasta i osiedla zaniedbane przez rządy kapitalistyczne, jak Łódź, ośrodki przemysłowe Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego i Wałbrzyskiego, zaopatrzymy je w wodę i urządzenia kanalizacyjne.

Zapewnimy każdemu dziecku w mieście i na wsi wykształcenie co najmniej w zakresie pełnej szkoły 7-klasowej.

Zapewnimy średnie wykształcenie wszystkim dzieciom w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych jak również coraz liczniejszym rzeszom dzieci wiejskich.

Rozwiniemy szeroko budownictwo teatrów, kin, muzeów, domów kultury, świetlic i innych ośrodków życia kulturalnego w mieście i na wsi.

Rozbudujemy na wielką skalę urządzenia zdrowotne, szpitale i sanatoria, kliniki i ambulatoria, ośrodki zdrowia i izby porodowe.

Wybudujemy nowe stadiony i boiska, zapewnimy milionom chłopców i dziewcząt sprzęt sportowy, polepszymy opiekę nad sportem i kulturą fizyczną.

Wykonanie wielkich planów narodowych bieżącego 10-lecia uczyni Polskę krajem potężnego nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z przodujących krajów Europy.

Oto program Frontu Narodowego.

Obywatele!

Naród nasz, pochłonięty ogromną pracą twórczą, gorąco pragnie zachowania i utrwalenia pokoju.

Na straży pokoju stoi potężny Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, stoją kraje demokracji ludowej, stoi niezwyciężony obóz wolności i postępu od Niemieckiej Republiki Demokratycznej aż do Chińskiej Republiki Ludowej, stoją setki milionów prostych ludzi na całym świecie. Wrogiem naszego narodu, wrogiem całej ludzkości jest obóz wojny i ujarzmienia narodów, któremu przewodzi imperializm amerykański i pod którego skrzydłami — na terenie Niemiec zachodnich — odradza się bestia hitlerowska, snująca plany nowego pochodu na Polskę.

Jedność i rosnąca przewaga obozu pokoju trzyma na uwięzi imperialistycznego napastnika, który w swej grabieżczej, awanturniczej lecz skazanej na klęskę napaści na Koreę pokazał, do czego są zdolni imperialiści amerykańscy, sprawcy wojny i mordu bezbronnych, siewcy zarazy, ludobójcy.

Obowiązkiem naszym wobec Polski i wobec ludzkości jest wzmacnianie siły naszego kraju. Obowiązkiem naszym jest wzmacnianie sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Sojusz ten to nasza siła, to puklerz naszych granic, to rękojmia naszej niepodległości, spokojnej i szczęśliwej przyszłości naszych dzieci. Pod wspólnym sztandarem pokoju i demokracji, pod przewodem wielkiego chorążego pokoju, Józefa Stalina, łączymy się z milionami prostych ludzi na całym świecie w walce o poszanowanie praw każdego narodu, o zaprzestanie napastniczej wojny na Korei, o zakaz broni atomowej i bakteriologicznej, ograniczenie zbrojeń, uniemożliwienie odbudowy niemieckiego imperializmu, zjednoczenie narodu niemieckiego w jedno państwo demokratyczne i pokojowe.

Pogłębia się rozkład systemu kapitalistycznego. W obozie podżegaczy wojennych mnożą się konflikty, zaostrza się rywalizacja, wzmaga się wyzysk i ucisk narodów, podporządkowanych przemocy miliarderów amerykańskich, rośnie opór mas pracujących i narodów uciskanych.

U nas, w obozie pokoju, demokracji i socjalizmu umacnia się solidarność, zacieśnia się współpraca, rozwija się gospodarka i kultura narodów.

Polacy!

Jedność naszego narodu wokół klasy robotniczej i władzy ludowej stała się potężną siłą rozwoju naszej ojczyzny, zabezpieczenia jej niepodległości, obrony pokoju.

Do Frontu Narodowego przyłączają się przez wzrastający wysiłek swej pracy i pogłębianie swej świadomości politycznej ci wszyscy, którzy nie od razu zdołali przezwyciężyć wątpliwości, wahania czy błędy.

Strzegąc zasad wolności sumienia i wyznania, zagwarantowanych przez Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przeciwstawiajmy się wszelkim próbom ze strony reakcji nadużywania uczuć religijnych dla szerzenia waśni wśród Polaków.

Udaremniajmy wszelkie próby rozbijania jedności narodu, walczącego o pokój i przyszłość Ojczyzny.

Wzmacniajmy i rozszerzajmy jedność narodu, skupiajmy pod sztandarami Frontu Narodowego wszystkich ludzi pracy, partyjnych i bezpartyjnych, wszystkich patriotów!

Niech wyrazem jedności narodu będą wspólne listy Frontu Narodowego, na których znajdą się najlepsi: ci, którzy od lat walczyli o wyzwolenie narodowe i społeczne, i ci, którzy wyrośli w pracy dla Polski Ludowej: przodownicy pracy i przodujący chłopi, żołnierze, przedstawiciele inteligencji, kobiet, młodzieży.

Oddając swoje głosy na listy Frontu Narodowego głosujecie:
za rozkwitem Ojczyzny, niepodległością, pokojem,
za zwycięską realizacją wielkich planów narodowych,
za jednością narodu w obliczu jego historycznych zadań.

Obywatele!

Ogólnopolski Komitet Wyborczy Frontu Narodowego wzywa do powszechnego udziału w wyborach, do głosowania w dniu 26 października na kandydatów Frontu Narodowego.

Niech dzień 26 października zadokumentuje zjednoczenie wszystkich ludzi pracy, wszystkich patriotów we Froncie Narodowym, któremu przewodzi wielki budowniczy Polski Ludowej — Bolesław Bierut.

Niech żyje Front Narodowy!

Niech żyje Polska Rzeczpospolita Ludowa!

OGÓLNOPOLSKI KOMITET WYBORCZY FRONTU NARODOWEGO:

Przewodniczący:

Bolesław BIERUT.

Zastępcy Przewodniczącego:

Wiktor KŁOSIEWICZ — Przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych

Władysław KOWALSKI — Prezes Nacz. Komitetu Wykonawczego ZSL

Jan DEMBOWSKI — Prezes Polskiej Akademii Nauk

Członkowie Prezydium:

Jerzy ALBRECHT — Przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy

Józef CYRANKIEWICZ — Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR
Leon CHAJN — Sekretarz Centralnego Komitetu SD
Dominik HORODYŃSKI — Członek Prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, działacz katolicki
Stefan IGNAR — Wiceprezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZSL
Marian JAWORSKI — Sekretarz Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej
Aleksander JUSZKIEWICZ — Sekretarz Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZSL
Henryk KOŁODZIEJSKI — Przewodniczący Naczelnej Rady Spółdzielczej
Leon KRUCZKOWSKI — Prezes Związku Literatów Polskich
Władysław MATWIN — Przewodniczący Zarządu Głównego ZMP
Jan MROCHEN — Wiceprzewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu
Alicja MUSIAŁOWA — Przewodnicząca Zarządu Głównego Ligi Kobiet
Józef NIEĆKO — Przewodniczący Rady Naczelnej ZSL
Edward OCHAB — Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR
Konstanty ROKOSSOWSKI — Marszałek Polski.

C z ł o n k o w i e:

Franciszek APRYAS — górnik, Budowniczy Polski Ludowej
Wincenty BARANOWSKI — wiceprezes NKW ZSL
Sylwester BENDZIECKI — dyr. Państwowego Ośrodka Maszynowego, Choszczno
Czesław CEGIEŁKA — inżynier, główny mechanik ZISPO, Poznań
Józef CHAŁASIŃSKI — rektor Uniwersytetu Łódzkiego, członek Prezydium Polskiej Akademii Nauk
Hilary CHEŁCHOWSKI — zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR
Bronisław CHMIELEWSKI — Prezes Izby Rzemieślniczej w Warszawie, Wiceprezes Rady Naczelnej Stronnictwa Demokratycznego
Józef CHOJNACKI — dyr. Zespołu Państwowych Gospodarstw Rolnych Miastko, woj. Koszalin
Marian CZERWIŃSKI — sekretarz CRZZ
Ks. Jan CZUJ — Prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Przewodniczący Komisji Intelektualistów i działaczy katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju
Maria DĄBROWSKA — literatka
Maria DOTA — członek Zarządu Spółdzielni Produkcyjnej Zdziechowice, pow. Środa
Jan DUMANOWSKI — członek NKW ZSL
Alojzy FARNIK — inżynier, dyr. huty „Baildon"
Jan FRANKOWSKI — działacz katolicki
Bronisława JACH — prządka ZPB im. Róży Luksemburg, Łódź
Wanda JAKUBOWSKA — reżyser filmowy
Franciszek JÓŹWIAK - WITOLD — członek Biura Politycznego KC PZPR
Dorota KŁUSZYŃSKA — przewodnicząca TPD
Henryk KOROTYŃSKI — publicysta, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
Stanisław KOWALCZYK — rolnik ze wsi Domaniewice, pow. Łowicz
Jan KRECZMAR — artysta, dyr. Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej
Stanisław KULCZYŃSKI — profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, Wiceprezes Rady Naczelnej Stronnictwa Demokratycznego
Michał KULIŃSKI — I wytapiacz z huty im. Dzierżyńskiego
Eustachy KUROCZKO — nauczyciel, przewodniczący ZZNP

ks. infułat Kazimierz LAGOSZ — ordynariusz diecezji wrocławskiej

ks. Antoni LEMPARTY — Prezes Zrzeszenia „Caritas"

Konstanty ŁUBIEŃSKI — działacz katolicki

Julian MALEWSKI — przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie

Wiktor MARKIEWKA — górnik z kopalni „Polska", Świętochłowice

Janina MAZUR — chłopka z gminy Bronisławów, pow. Łuków, sołtys

Stanisław MAZUR — profesor, sekretarz Polskiej Akademii Nauk

Marian MIĘSOWICZ — profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie

Gustaw MORCINEK — literat

Edmund MUCHA — starszy agronom POM w Brzegu

Paweł NACHAJOWSKI — prezes Izby Rzemieślniczej, Bydgoszcz

Zofia NAŁKOWSKA — literatka

Marian NASZKOWSKI — generał brygady

Stanisław NOWOCIEŃ — sekretarz ZG ZMP

ks. Stanisław OWCZAREK — proboszcz parafii Konary, pow. Grójec

Bohdan PNIEWSKI — prof. architekt

Edmund PSZCZÓŁKOWSKI — działacz spółdzielczy

Jerzy PUTRAMENT — Sekretarz Generalny Związku Literatów Polskich

Adam RAPACKI — członek Biura Politycznego KC PZPR

Aleksander RYLKE — profesor Politechniki Gdańskiej

Wacław SCHAYER — członek NKW ZSL

Jan SENDEK — przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Wilczkowie, pow. Środa Śląska

Jan SIKORSKI — przewodniczący Rady Zakładowej Parowozowni warsztatów naprawczych w Bydgoszczy

Zdzisław SKÓRZYŃSKI — betoniarz BOR, Warszawa

Grzegorz SMOLAR — prezes Tow. Społ. Kult. Żydów w Polsce.

Artur STAREWICZ — członek Prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju

Ludomir STASIAK — sekretarz NKW ZSL

Wiktoria STASIAK — chłopka ze wsi Umina, pow. Jarosław, prezes Zarządu Powiatowego ZSCh

Marian WNUK — rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Czesław WYCECH — wiceprezes NKW ZSL

Aleksander ZAWADZKI — sekretarz Komitetu Centralnego PZPR

Jadwiga ZUBRYCKA — przewodnicząca Prezydium MRN w Białymstoku

Piotr ŻMUDA — rolnik, przewodniczący Prezydium GRN w Sadlinie, pow. Ząbkowice.

CZEMU?

— Czemu piszesz te wiersze?
Życie od wierszy piękniejsze.
Jesień idzie. Tak mało
życia już ci zostało.

Czemu nad biurkiem ślęczysz,
dniem i nocą się dręczysz?
Za progiem — świat piękniejszy
od najpiękniejszych wierszy.

Wstań! stań w oknie i patrz się:
za oknem jak w teatrze
grają się wielkie rzeczy
— patos sprawy człowieczej.

Świat się stawia od nowa!
Rośnie wielka budowa:
nowy zrąb, mury nowe
pod chmury — stupiętrowe!

Patrz: o zmierzchu po pracy
junaczki i junacy
już witają uśmiechem
w gwiazdach murarską wiechę.

Na ławkach pod drzewami
siedzą jak zasłuchani
w serc metaliczne bicie,
w spienione, bujne życie.

W piersiach radością dzwoni!
— Możesz żyć jak i oni.
Wstań! stań w oknie...
— I owszem
stoję i widzę dobrze:

Murarze z murarkami
schyleni nad kartkami
czytają moje wiersze.
Żeby życie było piękniejsze.

12.IV.1952

Rozpaczliwe natchnienie, bolesna godzina,
które podyktowały mroczne, straszne słowa:
„Ręce za lud walczące sam lud poobcina.
Imion miłych ludowi lud pozapomina..."

Żrąca to i paląca jak haust trucizny,
rozpaczliwym natchnieniem obłąkana mowa:
schylonego w boleści nad trupem ojczyzny
rozdzierający trzewia jęk — przeklęte słowa!

Nasz dumny czas zaprzecza ruinie i śmierci,
nowym językiem mówi nam epoka nowa:
„Ręce za lud walczące lud tuli do piersi.
Imię drogie ludowi lud dziś sławi w pieśni..."

PLAC KONSTYTUCJI

W szkle i w kamieniu, w murze i stali
pisana Karta.
Mocnymi dłońmi ją zapisali
Naród i Partia.

W ścianę betonu tu wmurowane
serce narodu —
złotym uśmiechem rozjaśnia ścianę
szczęście i młodość.

Księgo wolności! Pod jarzącymi
kandelabrami
w lipcowym zmierzchu murem stoimy
w ciebie wczytani.

DALEJ CO BĘDZIE?

„Dalej co będzie? — Srebrne w głowie nici..."
Jan Kochanowski

Dalej co będzie?... Wiek pochyli plecy.
Dojrzewa owoc życia i ma się ku ziemi.
Ot! — i co: ognik w oku jak ogarek świecy
zatli się i przygaśnie, świat się nagle ściemni
— i już będzie tu po nas.
Lecz póki tchu w piersi,
póki serce uderza, nim się krew spopieli,
niech pieśń hardo urąga ruinie i śmierci,
i sławi młodość świata, i serce weseli
i niechaj śmiało gada, że człowiek umiera,
lecz przecież pozostaje po nim siła dzielna,
co dla potomnych bramy przyszłości otwiera
i dalej w sercach żywych żyje — nieśmiertelna!

PROŚBA

Najpiękniejsza, najśpiewniejsza alejo świata
— nadwiślańskich topól przydrożnych i wierzb,
jeszcze, proszę, przez długie lata
zielonością napełniaj oczy i ciesz.

Raduj uszy wrzawą ptactwa i liści
w pogodny dzień
i niech szumi, szumi coraz to srebrzyściej
nad znużonym twój chłodny cień.

Najpiękniejsza, najcudniejsza z alej,
ściano rodzinnych drzew,
przed chmurami strzeż złymi i daj mi dalej
nieść na ustach swobodny śpiew!

Stanisław Ryszard Dobrowolski

POŁUDNIE

Senne południe, parne powietrze
i woda chłodna.
Jak biała chmurka leży na wietrze
cisza pogodna.

Bielą swych ramion oślepiająca
brzoza w obłokach.
O, czasie żniwny z kłosów i słońca
w światła potokach!

Piosnka na ustach, uśmiech na twarzy,
złoty kłos w dłoni.
Młode nad polem głosy żniwiarzy
w tętencie koni.

Lesie zielony, drogo i wodo,
strzecho omszała.
Rozkwitająca wiejską urodą:
praco dojrzała.

Jeśli nie uczczę cię słowem pieśni
zrodzonym w męce,
niechaj przestanie bić w mojej piersi
nieludzkie serce!

Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk

BAŚŃ KARKONOSKA *

Jest w tobie, baśni karkonoska,
Gra wyobraźni niecodzienna
Ludu, co żył w odległych wioskach,
Gdzie gonty porastała wełna
Chmur. Wyobraźnię w nim rozpalił
Krajobraz ostry, barwny, dziki,
Pełen przeciwieństw. Flety hali,
Lustra ponsowych ziół — strumyki
Zmienią się raptem w wodogrzmoty
I rzeźbią nieomylnym dłutem
Jakiś runiczny, groźny motyw
Na płytach skał. Przed chwilą wsnute —
Nie poznasz — w chmury czy opary —
Świerki nad lśniącym dnem wiszące
Snycerskim złotem, brązem starym
Pokryje w oka mgnieniu słońce...
W tych stronach zwykły okrzyk drwali
Powraca echem pięciokrotnym
I długo krąży grzmot, gdy zwali
Pęd wody skałę w Śnieżne Kotły.
Prawda, że w takie krajobrazy
Baśń wkracza na dzień po sto razy.

Jest w tobie, baśni karkonoska,
Nie tylko gra fantazji czysta;
Do opowieści twoich przyschła,
Jak krople krwi sczerniałej, troska
I jęk, gdy chłopski grzbiet rozcinał
Za dniówkę źle przepracowaną
Batog w gotyckim zamku Kynast
I krzyk, gdy w wietrzną noc strącano
Do studni skalnych na głodową
Mękę za śmiałe prawdy słowo...
Rozpoznam w was zapisy nędzy
Zielarzy, powroźników, tkaczy,
Co kupcom złote sukna przędli,
A sobie nadal los żebraczy.
Niemało wątków ci dostarcza
Dola górników i szlifierzy

* Baśnie karkonoskie opowiadają o tajemniczym duchu gór, Liczyrzepie, który miał bronić biednych drwali i tkaczy sudeckich i mścić się za krzywdy ludu na wyzyskiwaczach. Baśnie te, mimo całej swej fantastyczności, zadziwiają realizmem i stanowią niejako kronikę gór w okresie feodalnym i wczesnokapitalistycznym.

Szkła, gdy osadzał graf na karczach
Hutę opodal dworskich wieżyc,
Rozżartych majstrów jak jastrzębie
Na wyrobników swoich rzucał
I w Śląskiej Szczytnej i w Porębie
Huty żarzyły szkło i płuca.

Fantazją nie odbiegasz w światy
Ułudy, aleś ziemi bliska
Jak pniak kosówki rosochaty,
Powtarzający kształt urwiska.
Twe gnomy o zeschniętych twarzach —
Jak twarze starych miedziorytów —
Smażą w podziemnych korytarzach
Dla panów w tęczy aksamitów
Złoto. A bogacz, który broni
Ludu (jest mądrość wyniesiona
Z lekcji pokoleń w twej ironii),
To duch, to mgła... Jak nić czerwona
Snułaś się baśni pod tragaczem
Świerkowych chat przez lat koleje,
Nim wolny lud nie wkroczył w dzieje
Jak w dobrze znaną puszczę — tracze.
Baśni, nie mówisz ty o waśniach
Sąsiedzkich, ale nam rozjaśniasz
Jak lśniące w głębi gór ognisko
Dzieje mas polskich i niemieckich,
Wspólnotę krzywd, ucisku bliskość,
Który jak skalny blok w urwisko
Zepchnął wodogrzmot wojsk radzieckich...
Strącone precz w zamorskie lasy:
Swawola pańska, zysk kupiecki,
Od raubritterów sroższy faszyzm —
Znów grożą, lecz złamane skały
Wstecz nie potoczą się do łożysk,
Więc dalszych wątków już nie stworzysz,
Tutejsza baśni krzywd przebrzmiałych,
A pejzaż, który dał ci życie,
Nieodwracalnych uczy zwycięstw.

Tadeusz Chróścielewski

SONETY O WICIE STWOSZU

ZWIERCIADŁO RZECZYWISTOŚCI

Maria, która z ołtarza wykwita jak kwiatek
Wątły, ma twarz krakowskiej mieszczki zatroskaną,
Twarz jednej z najzwyklejszych dobrych polskich matek,
Przez snycerza na rynku lub w izbie ujrzaną.

Szaty figur, w kolory i fałdy bogate,
To odzież, którą do nas z Flandrii sprowadzano,
Ten siepacz, to zbir miejski, te twarze brodate
Mistrz ujrzał, gdy przed kramem golibrody stanął.

A wół, co tak łagodnie legł obok Dzieciątka,
Jak gdyby zapatrzony w zieleń traw na łąkach,
To wół, którego kupcy tędzy i fachowi,

Potężniejsi niż hufce pancerne i twierdze,
Wywozili, sprzedając bydło Norymberdze,
Lub niekiedy Północnym Węgrom i Śląskowi.

ZWIASTOWANIE

Anioł, zwiastując Marii narodziny Syna,
Przychodzi do niej cichy z podniesioną ręką...
Stwosz, który w świeżym drzewie scenę tę wycinał,
Przed chwilą właśnie skończył pracę swoją piękną.

Do rzeźby pozowała mistrzowi dziewczyna,
Bardzo podobna innym krakowskim panienkom
I pozował młodzieniec. On skrzydła odpina,
Ona poprawia włosy i swą szatę miękką.

I pożegnawszy mistrza, wychodzą na miasto,
Nad którym już wieczorne senne zorze gasną,
A mistrz patrzy przez okno na tę młodą parę.

Oto znikli w zaułku, jak jego natchnienie,
Co już się nie powtórzy — i wielkie znużenie
Pada jak cień na serce Wita Stwosza stare.

ŚWIATŁO HUMANIZMU

„Biskupstwa i urzędy kościelne powierzać
Należy i plebejom". — Tak w łacińskiej mowie
Kallimach, który uszedł przed gniewem papieża,
Do Stwosza podczas wspólnej ich wieczerzy powie.

Puchar uderza w puchar na znak ich przymierza.
Za oknem noc i wicher leci po Krakowie.
Miód do głowy, a z miodem światła myśl uderza,
Myśl sercem wypełniona, która jest jak zdrowie.

Płynie z ust Kallimacha mowa Wergiliusza,
Od której w oczach Stwosza rozjaśnia się dusza.
Tak włoski humanista ze snycerzem gwarzy,

A z kąta na nich patrzą wyrzeźbione kwiaty
I niedopracowany, jeszcze nie skrzydlaty
Anioł z drzewa o zwykłej polskiej chłopskiej twarzy.

Włodzimierz Słobodnik

CHŁOPSKIE DRZEWO

Jest takie miejsce w moim kraju,
gdzie rośnie drzewo zapomniane,
gdziekolwiek jesteś, idąc zwykłą drogą
natrafisz na nie.

Z żelaza kute, niezdarzone
litery jakieś wbite w stwardniałą, gorzką korę
i wianek zasuszonych ziół,
pasyjka w dziupli poczerniała
a na niej koralików sznur.

Drzewo cierpienia,
które szumiało lamentami chłopskich klęsk,
które słuchało hymnów rozpaczy,
nawałnic groźnych —
które zna każdy jęk
bijący wśród powietrza, głodu i wojny.

Koroną pełną ptasich świstów
sięga wysoko,
powoli zatacza krąg promieniem cienia
posłuszne wiatrom i obłokom.

Jest w moim kraju drzewo zapomniane
wśród pustki pól,
żeby nie zapomniana nigdy była krzywda,
żeby nie zapomniany był ból.

NAD ŁEBĄ

Gwizd pociągu szybował powietrzem
i lekka, wiosenna noc
parowała gwiazdami bladymi,
a wilgotne, fioletowe przestrzenie
przez podarty przewalały się dym.

Trzepotały w skrzynkach koguty
i wysoki unosił się krzyk.
Na peronie stacyjki gdzieś z dala
za liściami wilgotnych lip
ciężki szum się powoli przewalał.

Ponad strugą pochmurnej zieleni
bladych świateł migotał most —
za lasami to grzmot — to milczenie
krajobraz o którejś nad ranem
i na płaszczu kropelki ros.

Nagle wyszły na peron dziewczyny
z koszami błękitnych ryb
przysypanych drobniutką trawą
i północne morze zagrało
szklistą łuską spomiędzy wikliny.

Falujące i ciemne głębie
to ich włosy splątane od snu,
falujące, ciężkie, dalekie
błyska morze w kropelkach źrenic,
a na wargach spękanych i rzęsach
szklisty piasek i sól.

Przeszły. Tylko jakieś spojrzenie,
może uśmiech — nieśmiały ruch ręki.

I już toczą się znowu wagony
poprzez lekki, wiosenny chłód —
ale obraz pozostał dwóch dziewczyn
jakby znak powitalny tej ziemi,
która tutaj przylądkiem ostatnim
nisko przyległa do wód.

Bogdan Ostromęcki

PRZYPŁYW

Stałem onegdaj nad morzem głębokim.
Piasek spragniony stopy me chłodził.
Mknęły samotnie bystre obłoki
Cieniem bezskrzydłym krocząc po wodzie.
Stałem onegdaj nad morzem głębokim.

Na wydmach nawisłych złocił się modrzew.
Dom mój dźwigały wygasłe okręty.
Muszle mą młodość syciły szczodrze.
Narastał w falach szum obojętny.
Na wydmach nawisłych złocił się modrzew.

Zza horyzontu dłużyły się cienie
I profil ojca odsłonił się nagle.
O chwilo radości! O lustro wspomnienia!
Ptaki rzeźbiły cię zwiewne i smagłe.
Zza horyzontu dłużyły się cienie.

Stałem onegdaj nad morzem głębokim.
Piasek spragniony stopy me chłodził.
Nisko spadały wiatry wysokie
Cieniem bezskrzydłym krocząc po wodzie.
Stałem onegdaj nad morzem głębokim.

Jan Śpiewak

JAN MARIA GISGES

LATO W KARKONOSZACH

DROGA DO SZKLARSKIEJ PORĘBY

Opowiadasz o Zlocie — różany deszcz pada.
Idziemy czarną wstęgą, krętym brzegiem rzeki,
czasem gałązka trzaśnie, czasem szum daleki
napłynie — nie wiesz — wody, czy buków, czy radia.

Mrok niby dziad kościelny gasi drzew świeczniki
i oto twoje oczy wraz z gwiazdami wschodzą,
w dźwięki świat się zamienia, głosy w lesie brodzą,
wiatr tańczy po wierzchołkach i księżyc jak z miki.

Tu przystańmy. Na zboczach polkę grają świerszcze,
ledwo słychać miasteczka grania i pomruki,
wieczór stąpa po szczytach, włożył złote kierpce

i ostatnie napina z chmur różowe łuki.
I powiedz miła! Czy to szumią świerki, buki,
spienione wody Szklarki, czy też twoje serce —

NAD ZBÓJNICKIMI SKAŁAMI

Cień tutaj był przez wieki. O tym mówi ludu
pieśń dawna jak legenda barwna i odświętna.
Ludzie dziś zapomnieli, pieśń tylko pamięta
i głazy i las — czasy niewoli i trudu.

W górze lasy i szczyty, nad które wiatr wznosi
czasem wełniste czapy, aby przykryć żleby,
w krzaku wilga już kwili, jak kwiliła wtedy,
gdy zbójnik przeciw junkrom ciupagę podnosił.

W dole łąki, uliczka niknąca i kręta,
„Dom Hauptmanna" w noc światłem patrzący natręta,
bo pieśń pisał poeta, którą słyszał we śnie.

W taki lekki poranek niby mgła w ulicy
słońce strzeli promieniem w serce okiennicy
i obudzi melodię narodzonej pieśni.

POSĄŻEK HUTNIKA

Nie widać stąd dalekiej Śnieżki, ni Szrenicy.
Gdy wyjdziesz z zielonego cienia w blask gorący —
to jakbyś rozwarł pieca żar oślepiający
i w płynną grzęźniesz lawę powietrza w ulicy.

Tu nagle na rozstaju dwóch dróg okolicy
ujrzysz dziwną figurę — ani to grający
na flecie, ani święty nad drogą stojący —
Pewnie ją wypieścili z huty robotnicy.

Palce mistrza jak dłuta wystrugały w drzewie
postać, co gra na rurze pod wiatrów opieką
i z tej muzyki niemej jak twórcze zarzewie

kryształ powstał i huta przy drodze nad rzeką.
Mistrz nieznany nie umarł. Mistrz żyje w swym śpiewie —
w rzeźbie czułej i lekkiej jak łza pod powieką.

DWIE PIEŚNI

Pod świerkami o cieniu głębszym niż dno studni
kwitną czerwone chusty, żywe kwiaty lasu,
a płoche lekkie echo od czasu do czasu
dziewczętom krok powtórzy, co po lesie dudni.

Migają szybkie nogi. Na Wysoki Kamień
pną się jak liście chmielu niemieccy pionierzy.
Hymn jak chusta niebieski z twoim się sprzymierzy,
harcerko. Więc z pionierem pieśń jak pierścień zamień.

Wysoki Kamień śpiewa i drzewa śpiewają,
na łąkach pastuch z dzieckiem na grzebieniach grają,
wolny śpiew jak ptak leci ku domom, ruczajom —

Wasza i nasza pieśni — nie znasz żadnych granic!
Nasza i wasza pieśni — orłem wzleć nad granie!
Pierścień jako przysięga na ziemi zostanie.

Jan Maria Gisges

AUTOSTRADA

Berlin — kamienne gniazdo trzmieli.
Parowce zadumane w Szprewie...
To przeszło. Droga mknie jak strzelił.
Pędzimy. Dokąd — jeszcze nie wiem.

Jak gdyby wstęgi dwie rozsnute,
jak most wiszący poprzez wzgórza
mknie autostrada rodząc smutek
i pamięć w przeszły cień zanurza.

Wrześniową nocą (w serce sięgnij),
nim zadudniły mą ulicą,
gdzieś tutaj betonowe wstęgi
już odgrzmiewały gąsienicom.

To jeszcze we mnie trwa... A przyszłość
zdmuchuje popiół. Gdzież był przełom?
Ach, wszystko, zanim do nas przyszło,
już tutaj, wcześniej się zaczęło.

Czas, przestrzeń — rzeczy oczywiste.
Ta szosa aż do horyzontu...
Ja wiem, że matki mej siwiznę
stąd zakrwawiły ognie frontu.

Garbate dzwony czołgów, działa,
hełmy na autach, szczęk i chrobot...
Tak dobrze pamięć ich poznała —
na motocyklu człowiek-robot.

Spasione brzuchy, ciężkie oczy,
z lufą na piersi ktoś bez twarzy...
Wprost autostradą znów się toczy
„mit Panzerdivisionen" — faszyzm.

Gdzie krzyż był — gwiazda „US Army",
choć ginie wszystko w kłębach spalin...
Jawa to, czy też sen koszmarny?
Nie! — Był Stalingrad i jest Stalin.

Widzę — przeciwnym szosy pasmem
w kwiatach i barwach stu narodów
suną cyklistów twarze jasne —
jak lot gołębi wśród ogrodu.

O, tamta przeszłość już nie wróci
i żaden obraz jej nie zwabi.
Bolesne skurcze serca ucisz. —
FDJ-owcze, bierz karabin!

Dopóki tu Amerykanie,
nie wolno mieć bezbronnej dłoni.
Przez mej i twej młodości pamięć,
za trud Republiki — do broni!

Andrzej Braun

DO NAZIMA HIKMETA

Gdy wielki cień znad Atlantyku
Pada na Turcję umęczoną,
Gdy z bezsenności oczy płoną
Tym, którzy widzą w Październiku
Gwiazdę przewodnią wyzwolenia —
Twoja się wtedy pieśń przekrada
Przez warty i przez mur więzienia
I tym co walczą, tym co giną
Niezłomną prawdę opowiada
O pracy ludzi — wielkoludów,
Którzy są bliską ich rodziną,
O tym, jak nowe morza płyną,
O tym, jak piętrzą się budowy,
Które zwycięska wznosi era,
Czasy człowieka-bohatera.

Pieśni twe — ptaki na wyraju —
Wrócą do rodzinnego kraju,
Wrócą nie drukiem nielegalnym,
Który przez kordon chłop przemyca,
Lecz w marszu wrócą tryumfalnym
Wyzwolonego półksiężyca.

Kiedy na stepie się rozjarzą
Piece waszego Komsomolska,
Kiedy rozkwitnie anatolska
Pustać jak Polska dziś rozkwita —
Z pobladłą ze wzruszenia twarzą
Wsłuchasz się w dźwięczny głos pioniera —
Twą własną pieśnią cię przywita.

Leopold Lewin

STANISŁAW ZIELIŃSKI

RODACY*)

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na krótko przed północą sędzia Masłowiec obudził się, podszedł do okna.

— Słyszysz, Madziu?

— Dajże święty spokój... — westchnęła żona. — Już pół godziny trwa strzelanina. Boże, ty mój Boże, czy nie dość Warszawy?

— No, tak. Ładna historia — mruknął posępnie sędzia.

Drzewa przy szosie zasłaniały widok. W stronie Kalinek trzeszczały karabiny maszynowe szyjąc noc smugami świecących pocisków. Rakiety wytryskiwały w górę oświetlając pola mlecznym, trupim blaskiem, chwiały się chwilę na spadochronikach i dogasały za szpalerem modrzewi.

Zaskrzypiało okno sąsiedniej izdebki. Mieszkali w niej Znamięccy.

— Co powiecie, mecenasie? — odezwał się półgłosem Masłowiec. — Potyczka, o ile mnie słuch nie myli, przesuwa się ku północy?

— Mąż leży, to ja.

— A, pani Isia, przepraszam. Mecenas pokaszliwał przy kolacji, niechże pani nie otwiera okna. Podstępny, wilgotny chłód. Trzeba kłaść się spać. Niestety, to tylko lokalna historia.

— Dobranoc — odpowiedziała Isia i zamknęła okno.

Strzelanina nie ustawała. Sędzia narzucił płaszcz i osłaniając dłonią ogieniek papierosa nie odrywał oczu od błysków za drogą. Walka toczyła się jeszcze dobrą godzinę, a potem zaległa cisza. Wydawało się, że „lokalna historia" dobiegła końca, lecz naraz głośny wybuch potrząsnął szybami dworu. Na szosie paliła się ciężarówka. W świetle płonącego wozu widać było inne, jeszcze nie ogarnięte ogniem. Ruszały już z miejsca, uciekając od pełzających płomieni benzyny. Hitlerowcy wynurzali się z mroku, kryli się za pniami i bili z automatów wzdłuż drogi. Gdy ucichła bezładna strzelanina, przed dwór zajechał nieduży samochód. Zaczęło się dobijanie do drzwi.

Masłowiec zastukał w ścianę.

— Mecenasie..! Pani Isiu! Są na dole!

---

*) Patrz Twórczość Nr poprzedni.

Potem wyjrzał na korytarz. — Żandarmi — orzekł posłuchawszy gardłowych pokrzykiwań i przymilnych odpowiedzi.

— *Na, ja. Dienst ist Dienst, aber Schnaps ist Schnaps!* — Zagrzmiał bas i wybuchnął śmiechem.

Na górę przybiegła Monika Wypęska, siostra Szopiskiej i rzeczywista pani domu. Sędzia cofnął się do środka i przymknął drzwi.

— Gdzież jest ta Znamięcka? — zawołała Monika. — A, jest pani... Myślałam już, że pani ogłuchła. Ranni czekają na dole!

— Jacy ranni? — spytała Isia. — Zresztą nie mam środków opatrunkowych. Powinni jechać do szpitala.

— Ładna z pani lekarka! Jacy ranni! No, no! Boże uchowaj od takiej opieki. Niechże pani idzie.

— Przecież sama pani zabroniła przechodzenia przez wasze pokoje. Nie ośmieliłabym się wejść do salonu bez zezwolenia gospodyni.

— A cóż w tym dziwnego? Pół Warszawy zwaliło się nam na kark! Dach nad głową, jedzenie, opał i jeszcze wam mało? Salonu państwu brak! Cha, cha! Nie przypuszczałam, że z pani taka komunistka.

Kobiety zeszły na dół. W hallu, oparty plecami o ścianę leżał tęgi mężczyzna w polskiej bluzie i cywilnych spodniach wpuszczonych w chłopskie, pomarszczone buty. Ciemne plamy rosły na suknie. Uchodziła krew, lecz żołnierz jeszcze żył.

Isia pochyliła się. Stojący obok żandarm roześmiał się.

— Ranni są tam! — wskazał drzwi pokoju. — To bandyta. Pani powinna nosić okulary, *Frau Doktor*...

— Bardzo słuszna uwaga! — wtrąciła się Wypęska. — Niechże pan siądzie — podsunęła żandarmowi krzesełko i szepnęła Znamięckiej. — Czy pani oszalała? Jemu już nic nie pomoże, a nam wszystko może zaszkodzić! Proszę! — Wypęska otworzyła drzwi i popchnęła Isię. — Panie pułkowniku, jest nasza lekarka.

— Bardzo dobrze. Niech leczy, ale porządnie — odpowiedział esesman i uśmiechem podziękował Szopiskiemu. Dziedzic napełniał właśnie kieliszki.

Żandarm ćmił papierosa i wyciągnąwszy swobodnie nogi, patrzył w zadumie na leżącego jeńca. Nie wart zachodu — osądził wprawnym okiem.

— Nie dojedzie. Szkoda marzyć o uczciwym przesłuchaniu. Nawet oczu nie otwiera i krew nie leci. Chyba gotów.

Gdy odprowadzono rannych do samochodu, pułkownik pożegnał go-

spodarzy. W hallu zatrzymał się i dłuższą chwilę wpatrywał się w nieruchomą twarz żołnierza. Potem rzekł:

— Nie będzie transportowany.

— Panie pułkowniku! Ja bardzo proszę...! — odezwała się Wypęska.

— Ależ bardzo chętnie — zgodził się uprzejmie i dał polecenie żandarmom. — Gdzieś dalej...

Chwycili i powlekli do parku. Tam rzucili jeńca pod dębem, a sami sięgnęli po papierosy, gdyż obydwaj czuli zmęczenie po nocy pełnej trudów. Na wschodzie pojawiła się jasna smuga zwiastująca bliski już świt. Daleko stuknęły pojedyncze strzały. Żandarmi rozmawiali półgłosem starannie wypalając połówki papierosów wetknięte do cygarniczek.

— Minęły dobre lata. Dawniej, *Ah Gott*, noc w noc służba i wracało się rześkim po pracy do koszar. A teraz... Eh, wojna zjadła nerwy. Stąd słabość, nieprawdaż?

— Jedzenie też gorsze — zauważył ostrożnie drugi. — Jadało się lepiej.

— Ba! Cóż z jedzenia! Ja lubię najbardziej smażone mięso, a jeść nie mogę. Ledwie przełknę kawałek wieprzowiny, już puchnie wątroba i skręcam się z bólu.

— Trzeba pić białko przed każdym posiłkiem.

— Ubite na pianę?

— Nie, surowe. Rozłupiesz jajko, oddzielisz żółtko i łykniesz białko.

— Obrzydliwe!

— Ale zdrowe.

— No, tak. Znów strzelają. Może wyłapali resztę partyzantów?

— Obawiam się, że nie. Uciekli samochodem. Gdzie ich teraz szukać? Ohydny kraj, źli ludzie. — Żandarm zaczął wydmuchiwać niedopałek.

Szymonik leżał na wznak. Czuł, słyszał i widział. „Uciekli — pomyślał — to dobrze, jak dobrze..." Tuż nad sobą widział lufę pistoletu trzymanego niedbale przez żandarma chorego na wątrobę. Dźwignął rękę. Panował nad mięśniami i trafnie oceniał odległość. Wyszarpnął pistolet i dłoń zacisnął na rękojeści. Ostatkiem sił nacisnął spust.

Mgły uciekały w górę. Znów dzień upalny i niebo w obłokach... Sędzia stał pod dębem wpatrując się w pień połupany kulami.

— Stare drzewo... — mruczał Masłowiec — wzrastało za Kazimierza Wielkiego. Ileż widziało, ile jeszcze zobaczy! Gdybyż umiało gadać! Stary park. Pół morgi sześćsetletnich dębów. A tamten w polu za wsią podobno jeszcze starszy. Trzeba będzie się wybrać i zobaczyć.

Posłyszał kroki i odwrócił głowę.

— A, to pani. Dzień dobry, pani Isiu. Mąż niezdrów? Nic dziwnego. Taka noc! Dzieci? Chwała Bogu. Mówiłem właśnie sam do siebie, że w innych czasach albo w innym kraju otoczonoby dąb marmurem i przybrano brązem. A u nas, czyny najbardziej nie do wiary uznajemy za polski chleb powszedni. Fakty górują nad wyobraźnią. Nic nas nie dziwi. Wszystko było, lub już jest.

— Co się stało z tym człowiekiem? Na piasku nie ma śladów.

— Nie wiem. Lud cicho grzebie swoich bohaterów. Podobno, zanim się rozwidniło, zabrali ciało. — Sędzia wzruszył ramionami. — Taki czas. Nieufności?

— Chodźmy, panie sędzio... — Isia oparła rękę na ramieniu Masłowca — tu zaraz zwalą się ciekawscy. Doprawdy, nie umiem słuchać Wypęskiej. Nie żyłam ich środowiskiem.

Poszli alejką w kierunku stawów. Sędzia milczał i wywijał kijkiem, kreśląc w powietrzu esy-floresy. Nagle zatrzymał się.

— Ręczę, że nawet za lat kilkanaście okoliczni chłopi będą wspominali tego żołnierza. Opowiedzą, że powrócił na krótko z tamtego świata, by dokończyć walki. Wola przemogła słabość umierającego ciała. Tak mi się to widzi.

— Wojna zna wiele podobnych wypadków. Ludzie ze strzaskanymi nogami biegną do ataku i dopiero po kilkunastu metrach padają. Panie sędzio, pan mówił, że niecodzienne czyny powszednieją? I proszę! Czyż postępujemy inaczej? W tej chwili sama nie wiem, czy pod dębem był człowiek, czy tylko bohater zmyślonej opowieści. Nie żegnamy go łzami i szczerze mówiąc — bez wzruszenia. Po prostu kiwamy głową: o, jeszcze jeden.

— Warszawa, łaskawa pani, Warszawa... A właściwie, cała Polska. Straszliwy dosyt wrażeń, dla których nie znajduję przymiotnika. Ale — biegniemy jeszcze... Przepraszam, stanąłem, jakbym nie umiał gadać w marszu. Słońce jak przed burzą... Jesień... Najwierniejsza pora roku. I najbogatsza w barwy.

Spacerowali wzdłuż ogrodzenia otaczającego park. Płot dotykał drogi, za którą był sad. Szczekały tam psy pilnujące dworskich owoców.

— Któż to taki? — Sędzia osłonił oczy. Jakieś wozy ukazały się od Bradczyc i mimo sadu jechały na Kusacz. Pył nie wzbijał się wysoko, więc oboje poznali mundury.

— „Narodowcy"... Tak ich nazywają na wsi. Czy pani widzi?! — wykrzyknął sędzia. — Pani Isiu!

Samolot wyskoczył zza lasu. Dopędził kolumnę i zatoczył koło. Lotnik przyjrzał się z niska drabiniastym wozom i poszybował dalej, często kładąc się na skrzydła.

— Poznał i odleciał..!

Odpłynął szum silnika, ucichł turkot i opadł kurz na drogę.

— Cóż, są innej orientacji politycznej — powiedziała pani Isia i zacisnęła usta.

— Pani Isiu, jakżeż tak można! Pani nazywa to orientacją? Przecież to samolot hitlerowski! Bodajże „Storch"? Zatem?

— Panie sędzio, dość długo żyłam kultem marszałka, więc nie mam nawet zamiaru bronić „narodowców". Stwierdzam, że trzymają się obranego swobodnie kierunku. Zresztą, nie lubię ich.

— O, teraz rozumiem, że jesteśmy starzy. Proszę wybaczyć, ja nie liczę lat, choć, pani wie, mam dorosłego syna w obozie.

— Tak jest. Jesteśmy starzy. — Na ładnej twarzy Isi pojawiło się zniecierpliwienie.

— Czekamy, jakby to rzec? Na wyrok, w którym osądzą nas wszystkich sędziowie innych warstw społecznych. Bowiem stary porządek runie i powstanie nowy. Rewolucja leży w okopach za Wisłą! Pani Isiu, to bardzo blisko. A my tymczasem — Masłowiec roześmiał się ironicznie — chronimy się pod stare chorągwie. Pani jest za Piłsudskim, ktoś za Dmowskim, Witosem, Paderewskim... Tak, to starość. Tym przykrzejsza, że... śmieszna.

— Cóż można poradzić? — Znamięcka wzruszyła ramionami. — Można dostosować się do otoczenia i jednocześnie przebywać poza nim. Czyż nie bywa tak w życiu? Nawet w małżeństwie...

Sędzia spojrzał spod oka, a potem przeniósł wzrok na dwór. Za drzewami czerwieniał mansardowy dach. Wypęska wrzeszczała na kucharkę. — „Gdzież jest ta durna Julka?!"

— A więc, przestaję się dziwić Szopiskim, że głodzą psy strzegące sadu. Gotowi zabić chłopskie dziecko za kilo lichych jabłek. „To zwierzęta! Żrą zielone śliwki! Byle kraść!" — Pamięta pani? Cytuję Wypęską!

— Brak witamin. Objaw typowy dla wsi.

— Otóż to właśnie... Szopiscy karmią nas robaczywym grochem, a mięso jemy, gdy padnie krowa lub zdechnie świnia. Oni, łaskawa pani, też nie rozumieją, że świat wali z kopyta naprzód! Nie przeczuwają siły nadciągającej wichury. Brak im wyobraźni, by dojrzeć w przyszłości pootwierane na oścież drzwi. Kucharka, która nieślubnych

synów wykierowała na ludzi, jest dla Szopiskich „głupią Julką". Gdy mówimy do niej „pani Moczydłowska", Szopiski stuka palcem w czoło i mruczy: „cham, wariat". Oceniają ludzi po jakości herbu i dlatego nie siadamy z państwem do stołu. Natomiast dziwka, która dwa razy była pod pijanym księciem, rej wodzi w salonie. Gdyby ofiarowała nocnik dziedzicowi, zrobiłby z niego abażur. Przepraszam, poniosło mnie w niestosowne rejony.

— Proszę się nie krępować — odezwała się Znamięcka cierpko — Jestem lekarką.

— Lecz ja nie jestem pacjentem pani — sędzia skłonił się z uśmiechem.

— Przyznaję panu rację. Powinni nas prosić do stołu przed innymi — dodała Isia chcąc złagodzić oschłość tonu. — Nie zabiegam o względy gospodarzy, ale...

— Ambicyjka buntuje się? Pani Isiu, czy jest o co? A może — sędzia przymrużył oko — cierpimy na lekką minderwertigkeit?

— Coś w tym rodzaju, lecz to nie ma nic do rzeczy. Wystarczająco daleko odbiegliśmy od tematu. Wracamy?

— Jak pani każe — sędzia nie wznawiał rozmowy. Znamięcka gryzła wargi. Gadatliwy prawnik miał wiele racji. Co najmniej połowę uczynków spowodowała ambicja. Cierpiała na kompleks niższości, lecz kryła się z tym starannie. Człowiek z boku zobaczy zawsze więcej, niż najbliższe otoczenie, z którym się żyje nos w nos.

Masłowiec przypomniał sobie o towarzyszce i rzekł z uśmiechem:

— Ponieważ jesteśmy niemodni i starzy, więc dochowajmy wiary konwenansom. Odrzućmy wszystko, co nas dzieli i w zgodzie dokończmy spaceru.

— Lecz pożegnamy się ukłonem — roześmiała się Isia — Wypęska mogłaby podpatrzeć z okna i awantura już gotowa. Ona przestrzega bardzo surowo narzuconego nam regulaminu. Tylko goście pierwszej kategorii mają prawo podawać sobie ręce. Higiena na pierwszym planie, lecz ciepłej wody nie wolno brać z kuchni.

— Oszczędność opału. Przefujarzyli przed wojną dwa majątki, więc teraz chuchają na zimne. Ciekawym, na mocy jakiej umowy Szulawka odstąpił Pysowy dawnym właścicielom. Podobno wyjechał z rodziną do Niemiec. Wydaje się, że okazał więcej rozsądku niż nasi jaśniepaństwo.

Sędzia skręcił w inną alejkę, by ominąć dąb ze śladami kul. Powracali więc blisko płotu i nie mówili o wypadkach nocy. Lecz od rzeczywistości uciec niesposób.

— Dzień dobry, pani doktor!

Chłop w rudej kurtce, skrojonej ze starej sukmany, kłaniał się czapką zza płotu.

— Ręka nie daje spokoju? — spytała Znamięcka. — Dzień dobry, panie Jaskółka. Przepraszam, panie sędzio.

— A bo to, proszę pani doktor, najgorzej z cudzymi kłopotami. Sąsiadowi córka upadła na bronę i podziobała się zębami. Patrzeć nie można — Jaskółka westchnął i dodał. — Dobrze, że nie chłopak. Byłby ksiądz gotowy. Dziewczyna aż puchnie z gorączki, ale sąsiad do szpitala wieźć się boi. Stamtąd prosta droga do księżej obory. Mówię, idźże do dworu, bo tam jest sławna doktorka, też nie ma śmiałości. Ot, strachliwy, wiejski człowiek. Przeklnie los, pogoni psa i już mu lżej się robi. Tyle w nim rozumu, co słów. Gada zaś mało. Więc obiecałem, że panią doktor uproszę i przywiozę. Koń czeka za parkiem. Droga niedaleka. Do obiadu obrócimy z powrotem.

— Dobrze. Zaraz będę gotowa.

W kwadrans później lekarka wsiadła na wóz i machnąwszy ręką sędziemu, odjechała z Jaskółką. Masłowiec pokiwał głową:

— Córka? Brona? Hm. Jedno w tym pewne, że dopytywać się nie należy. Zresztą może prawda.

Sędzia podumał chwilę nad zawiłościami życia i poszedł do dworu. W hallu przystanął przed kartką przypiętą do ściany.

Zarządzenie:

1. Do salonu, jadalnego oraz pozostałych pokojów na parterze, jak również kuchni, uchodźcom wchodzić nie wolno!
2. Przy powitaniu nie podawać rąk! Dotyczy to w pierwszym rzędzie spotkań z Właścicielami Dworu, lecz także obowiązuje uchodźców w stosunkach między sobą!
3. Na kwadrans przed każdym posiłkiem uchodźcy zbierają się w hallu i oczekują w ciszy wezwania do stołu. Nie dotyczy to osób jadających razem z Właścicielami Dworu.
4. Korzystanie z parku wymaga uprzedniego zezwolenia Właścicieli, przy czym nie może przebywać tam więcej niż troje uchodźców na raz.
5. Dzieci do parku wprowadzać nie wolno!
6. Rozmowy z ogrodnikiem surowo zabronione!
7. Uchodźcy mogą być używani do pracy wskazanej przez Właścicieli.

(—) *Monika Wypęska*

Uwaga! Uchodźców spożywających posiłki w grupie II, poucza się, że...

Tu Monika Wypęska wyliczała, co jada się łyżką, co widelcem i jak uchodźca powinien posługiwać się nożem przy stole.

— I któż to jest, ta Wypęska? — uśmiechał się sędzia. — Ni ładna, ni brzydka, po prostu nijaka. Podobno romansowała przed wojną z jakimś Mayerem, a teraz wyświadcza takież przysługi oficerowi hitlerowskiej armii. Jednocześnie zaś, nie skąpi erotycznej zapomogi naszemu dziedzicowi. To wiadome wszystkim. Ciekawe, na jakich zasadach prawnych opierał się babsztyl pisząc „zarządzenie"? To ważne! Zatem, przepiszę sobie tekst.

Masłowiec wydobył notes i ołówek. Zanim zdążył skreślić parę słów, spłoszyły go kroki na schodach. Mecenas Znamięcki wolno schodził z góry.

— Jakże zdrowie, drogi kolego?

— Nieszczególnie — Znamięcki pokręcił głową. Wojna pozbawiła go stanowiska i wygnała z miasta, gdzie pracował i dobrze zarabiał. Środowisko, owe rozgałęzione stosunki, stwarzające podwaliny dobrobytu, rozproszyło się nagle i znikło z powierzchni. W Warszawie Znamięcki nie przylgnął do burzliwego nurtu okupacyjnego. Nie podejmował się tak zwanych interwencji w Gestapo i nie dotykał zawiłych spraw pożydowskiego mienia. Na niesamowitą codzienność reagował zdziwieniem, które pod wpływem ciężaru wypadków zmieniło się w przerażenie. Dom utrzymywała żona. „Tobie łatwiej. Medycyna, ho, ho! Masz dobry fach w ręku". Sam zaś chorował. Uciekał w chorobę od trosk, kłopotów i niebezpieczeństw ulicy. Z czasem uwierzył, że brak mu sił. Powstanie i następstwa — dopełniły miary. Znamięcki dziwił się sam sobie: z takim zdrowiem jeszcze żyję? Powtórzył, dotykając pulsu — Nieszczególnie.

— Domyśliłem się tego. Nie pokazał się pan w parku, a pogoda cudna.

— Hitlerowcy? Spalą wieś. Boję się, że i my odczujemy konsekwencje minionej nocy.

— W żandarmskiej duszy trudno się rozeznać. Pułkownik miał powiedzieć: „Durnie. Sami sobie winni". Dopatrzył się zapewne złej wróżby, bo odjechali w pośpiechu. Tak... Umierający zabija niedoszłych morderców i — kona. Bowiem ci, którzy nadbiegli na pomoc, strzelali już do trupa. Zadziwiający wypadek. Na razie cisza.

— Więc na ogół spokojnie? Żona pojechała... Matka nie daje rady dzieciom. Co to będzie?

— Mecenasie, proszę pójść do kuchni i przynieść wanienkę z lodem do mego pokoju. Jeśli ciężko, sędzia chętnie dopomoże. Czekam. — Wypęska odeszła równie cicho, jak się zjawiła. Na po domu miała miękkie pantofle.

Znamięcki westchnął i potrząsnął zaciśniętą dłonią.

— Jak ona śmie! Doprawdy już nie mam sił do tego wszystkiego! No, cóż, chodźmy, panie sędzio. Po co lód pani Monice?

— Pan jeszcze nie wie? Codziennie, przez dwie godziny trzyma głowę w lodzie. W ten sposób chroni się od zmarszczek! Gdzie pan idzie u licha?!

— Do kuchni. — Znamięcki przystanął. — Przecież...

— Czy pan oszalał? — sędzia chwycił adwokata pod ramię i pociągnął do wyjścia. — Wszystko ma swoje granice! Wypęska wydaje się nie pamiętać o tym, ale my nie dajmy się wodzić jak smarkacze!

Ominęli klomb i weszli w topolową aleję wiodącą do szosy.

— Chwileczkę — Znamięcki zatrzymał się. — Serce... Zaraz będę mógł iść dalej.

— Doprawdy, nie rozumiem, czego o n i chcą od nas — mówił sędzia zwolniwszy kroku. Znamięcki zmierzył puls i mruknął:

— Przyśpieszony...

— Przecież nie kto inny, lecz właśnie sam Szopiski wybrał nas spośród setek uchodźców skierowanych na teren powiatu. Mówił otwarcie, że woli inteligencję od hołoty z suteren. Dlaczego więc zatruwają nam życie? Czy za mało mamy poza sobą? Wybrali, przywieźli, wykonali nakaz władzy. Przecież nie współczucie kazało im wysłać wozy do baraków przy stacji. Proszę! — sędzia pokazał zielony Bescheinigung. — Czyja pieczęć?

— RGO...

— Tak, tak! Myślę o tej? Kreishauptmanna! Nie wzięliby Szopiscy nas, dostaliby tyle samo innych warszawiaków. Panie kolego, ja nie mam pretensji, że brak pościeli i koców. Nie wydziwiam nad podłym jedzeniem i brudnym workiem, na którym sypiam. Ale dziwi mnie, tak do licha! Dziwi mnie wrogi stosunek gospodarzy. Nawykli pogardzać człowiekiem biednym. To ich zgubi. Wykopali sobie grób.

— Raz odezwała się litość w Szopiskim — zauważył Znamięcki zaniepokojony podnieceniem sędziego. — Powiedział: „Dam panu portki.

Wstyd świecić gatkami" ale nie dał. Wypęska zabrała mu z rąk spodnie i kazała nosić na po domu.

— Pamiętam. Nie cieszył się nimi długo. Którejś nocy ściągnęli mu bryczesy nieproszeni goście. Cierpka pociecha... Doprawdy, fornale okazują nam więcej serca. „Po twarzach widać, że to ludzie spaleni do cna". No, tak. Ponarzekaliśmy przyjemnie. Goście jadą...

Czarna bryka wjechała w aleję. Panowie cofnęli się za drzewa, by uniknąć kurzu. Chudy człowieczek ukłonił się grzecznie z ławeczki.

— Uniejto, właściciel Kusacza — rzekł Masłowiec odpowiadając na ukłon. — Dziwak, powiadają o nim. Dwór ma pełen warszawskiej biedoty, a karmi, jakby płacili mu złotem. Przeczuwa, że nie będzie zbierał plonów w przyszłym roku. A zresztą, może przyzwoitszy? Przyjechał pewnie posłuchać utworów Szopiskiej. Też dziwaczka! Ciekawym, co pisze? Jeśli zaproszą, pójdę bardzo chętnie.

— Isi nie widać... — Znamięcki zerknął na zegarek. — Obiad blisko! Chyba wezmę dla niej na górę? Pomożecie mi, kolego?

— Z przyjemnością.

Zawrócili i wkrótce potem spotkali się wśród kilkunastu osób czekających pod drzwiami jadalni. Zgodnie z zarządzeniem nie rozmawiano. Obiad, to nie żarty.

Bose dziewczyny nalewały zupę do talerzy. Za krzesłami przechadzała się Wypęska paląc papierosa. Na oknie grzał się kot. Obok Masłowca siedział staruszek z obandażowaną głową. Mówił cicho:

— Otóż, udawali obronę w jarze, lecz tymczasem przemknęli się cichcem do szosy. Rozumie pan, panie sędzio? — zaczął rysować widelcem na stole. — Ci trzej ściągnęli na siebie całą furię ataku.

— Profesorze, proszę przysunąć krzesło bliżej stołu! — odezwała się pani Monika. — Manier za grosz!

— Co o n a mówi?

— Eh, nic. Zdaje się, że rozmawia z kotem. Słucham, panie profesorze.

— Więc, odwrót na wieś odcięli im eneszetowcy, z tej zaś strony mieli bagna i rzekę, ergo znaleźli się w potrzasku. Przykre, co? — profesor pochylił się nad talerzem. — Narodowcy, co? Miłe, hę?

— A tamci? — sędzia drgnął. — Przebili się jednak?

— Właśnie. Jak relacjonuje ogrodnik, dopadli do szosy i zawładnęli autem, które zmierzało w stronę lotniska. Porwali jakiegoś cywila i zbiegli ostrzeliwując się niezwykle gęsto. Nadto rzucili granat na ciężarówkę. Jej pożar obserwowaliśmy w nocy.

— Podobno to był podoficer sowiecki? — spytał siedzący naprzeciw dyrektor ogrodu zoologicznego. — Mówię o żołnierzu spod dębu.

— Nie wiem. Mówią, że dowodził obroną jaru. Bolszewik? Hm. Wypada żałować, panie dyrektorze, że t a m c i uważają się za Polaków. No, tak.

— Panie sędzio... — ozwała się znów Wypęska — co pan wyprawia z łokciami? Przy stole jak na koniu: łokcie przy sobie! — Ah, zapomniałam, z kim mam do czynienia! Panu ten sport na pewno jest obcy?

— Istotnie. Łaskawa pani raczyła pomylić mnie z z dżokejem. — Masłowiec spojrzał przez ramię i powrócił do rozmowy z sąsiadem. — Jeśli wydostali się z matni, to pewnie już są za Wisłą. Nie słyszał pan nic, przyczółki trzymają się mocno?

— Ani drgną!

— Mógłby ktoś z państwa zająć się kotem! Miauczy od paru minut. Panie mecenasie, proszę wysadzić kota!

Znamięcki poruszył się i już odsuwał krzesło, lecz napotkał wzrok sędziego i skulił się nad talerzem. Wypęska mruknęła brzydko pod nosem i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Kot wymknął się razem z panią. Uchodźcy odetchnęli i rozmowy potoczyły się swobodniej. Dopiero wejście dziedzica uciszyło głosy.

— Żona prosi do salonu... — przeczytał z kartki nazwiska.

Sędzia zatarł ręce.

— Mecenasie, idziemy. Madziu — zwrócił się do żony — ty wracasz na górę? Wiecie, kolego, mam już pogląd. Mieszkamy w domu wariatów umieszczonym na wysokim drzewie. Drzewo już chyli się pod naporem burzy, a my — nie mamy spadochronów. Kiepsko!

Masłowiec odprowadził żonę i razem ze Znamięckim wszedł do salonu.

Nie było tam starych portretów, z których dawna świetność błyskałaby szablami spod Wiednia. Były tandetne reprodukcje w pozłacanych ramach i stał fortepian z przeszłością godną prostytutki.

Szopiska siedziała w fotelu, a na kanapce między oknami słynna Poryjska, znana z arystokratycznych stosunków. Bawił ją Wiwla, człowiek niemłody, obyty z literaturą i chętnie imający się polityki. Od niego pochodzi zwięzłe uzasadnienie Powstania Warszawskiego: młodzież m u s i a ł a się wyżyć. W kącie drzemał Uniejto. Właściciel Kusacza rad był z wizyty w Pysowach, bowiem Szopiski rozwiał jego wątpliwości: kwity z pieczątką Narodowych Sił Zbrojnych są honorowane przy odstawianiu kontyngentów rolnych. Oddział Eneszetu po wy-

jeździe z Kalinek rozgościł się w lasach kusackich i przysparzał Uniejcie niemało trosk. Trudno wyżywić Hitlera i Zęba. Tak nazywał się major dowodzący watahą.

Sędzia oparł się wygodnie i rzekł dość głośno:

— Dobra rzecz, wygodny fotel. A gdzież nasz dziedzic i pani Monika?

Poryjska przerwała rozmowę z Wiwlą i wzrokiem zganiła sędziego. Szopiska uśmiechem poprzedziła słowa i zaczęła:

— ...bo chciałabym zebrać opinie ludzi różnych sfer i rozmaitych zawodów. Sztuka jest bowiem dla wszystkich, którzy, rzecz jasna, są w stanie ją zrozumieć. Nie odżegnuję się od demokracji, jak państwo widzicie — westchnęła. — Dalekie to czasy, gdy w naszym warszawskim mieszkaniu gromadzili się ludzie nauki, sztuki i prawdziwej wiedzy. Przeminęło wszystko. Zostało... — zamknęła zdanie nieokreślonym ruchem dłoni.

Masłowiec spojrzał na buty — podarte. Przeniósł wzrok na połatane spodnie mecenasa i dostrzegł dopiero teraz, że profesor nosi kurtkę ze starego szlafroka. Opuścił więc głowę i zagryzł wargi. Przeminęło... A cóż zostało? Czyżby tylko nędza?

Szopiska czytała przy świetle zachodzącego słońca, które barwiło na różowo wytworne kartki rękopisu. Świece nie były jeszcze potrzebne. Dość długa nowela dawała się opowiedzieć krócej. Mówiła o artyście i jego dwóch miłościach. Był rzeźbiarzem i nazywał się Jekęty Ortypel. Poznał we Włoszech dziewczynę, Gigę, i poślubiwszy przywiózł do rodzinnego miasta, gdzie piękna Włoszka urodziła syna — Sykomierza. Czas pewien żyli szczęśliwie, a Sykomierz chował się zdrowo, jeśli pominąć dolegliwości po gruszkach, którymi objadł się mając lat pięć. W tymże roku Jekęty wyprowadził się z domu i zamieszkał u studentki weterynarii, Aliny Łękotek. Ponieważ Ortypel nie zdradzał chęci do powrotu, Giga udała się do przyjaciół męża i wyznała całą swą rozpacz. Nadmieniła, że zapomniała już sypiać samotnie, nie umie nadal słowa po polsku i czuje się przerażona życiem w obcym mieście.

Wzburzeni przyjaciele złożyli radę i wezwali Ortypla. Stawił się skruszony i wielce zmieszany. Słuchał, zaś przyjaciele gromili, ostrzegali, odwoływali się do uczuć ojcowskich i grozili zemstą losu. Napomykali nawet o sumieniu. Gdy umilkli, Jekęty otarł łzy i poprosił o głos. Mówił z trudem, wzruszony do głębi.

— To wszystko prawda. Nie przeczę, ma Łękotek piegi i trochę utyka. Prawda, że bliższe jej świnie od rzeźb tego świata. Wszystko prawda, ale — tu Ortypel urwał i zaniósł się szlochem. Przyjaciele

zastygli w oczekiwaniu — ale ona ma taki pot, za którym przepadam. Nie mogę żyć bez niego! — krzyknął Jekęty i wypadł z pokoju.

Patrzyli za nim z balkonu: biegł do mieszkania studentki Łękotek.

Pani Szopiska złożyła rękopis i spojrzała wokół uprzejmym gestem zachęcając do szczerej dyskusji. Sędzia potarł czoło i spytał, czy dym nie zaszkodzi paniom? Zapalił. Wiwla, jak spodziewali się wszyscy, zabrał głos pierwszy.

— Ja dzielę literaturę na dobrą i złą. Są wprawdzie utwory, które z początku wydają się tworzyć gatunek pośredni, lecz z biegiem czasu zostają wywyższone lub zepchnięte do skrzyni z napisem „lichota". Przy ocenie szukamy problemu. Czy jest i czy ważki? Trzeba powiedzieć, że w noweli pani problem jest i to postawiony mocno.

— Ten pot? — zdziwiła się Poryjska. — Moja kochana, czy to zdarzenie prawdziwe? Bo u was z wodą też nie najlepiej. Pan zwrócił uwagę na problem, a mnie urzekła forma. Jakie piękne imię: Jekęty! Czemuż ani jeden Jekęty nie zamieszkał z nami?

— Literatura, to dziedzina sztuki odległa od mego zawodu — zaczął po namyśle sędzia — choć któryś z prawdziwych pisarzy czytywał kodeks dla zwięzłości stylu. Powiem tyle: bywają dzieła, porównanie tu wtrącę drastyczne, podobne do odgłosów z tak zwanego W. C. Póty huczą, dopóki spływa woda. A potem cisza. I znów miejsce wolne dla nowego twórcy. Czy studentka Łękotek miała łazienkę? — Masłowiec zasłonił się ręką. — O, to bardzo ważne. Miała? Aha, dziękuję. To wszystko, łaskawa pani.

Wreszcie zwrócili się wszyscy ku Uniejcie. Ziemianin gładził łysinę przykrytą „pożyczką" i marszczył brwi z rozpaczą przeszukując pamięć. Zdrzemnął się w połowie, a początek zagubił się we śnie.

— Daje dość dużo do myślenia nowela pani dobrodziejki. Zawsze to mówię: tego się człowiek nie nauczy, żeby nie wiedzieć gdzie studiował. Z talentem trzeba się urodzić. Bo kto by pomyślał, że z potu wyjdzie takie cacko. Wypisz — wymaluj — ojciec.

— Co? Co takiego? — jęknęła autorka i sięgnęła po kroplę.

— No. Sykomierz... — bąknął Uniejto mokry od potu. — Syn tego Łękotka...

— Ależ, panie Janie! — wybuchnęła śmiechem Poryjska — Sykomierz to syn Gigi!

— Racja, święta racja... Co tu jeszcze rzec wypada..?

— ...że zupełnie głupie... — poddał cicho sędzia, a Uniejto uchwycił się szeptu jak brzytwy i krzyknął z zapałem:

— To jest wcale głupie! A, żeby cię nagła kolka! A, tom lapnął, wszyscy święci! Przebacz, pani dobrodziejko! Przez te kwity! Przez to życie! Syn mi uciekł za Wisłę! — i śmieszny człowiek rozbeczał się głośno.

Tego już było za wiele. Dziedziczka wstała i rzekła do Poryjskiej:

— Złotko, mam migrenę. Zrób coś z nimi. U nich gnój na butach.

Wyszła wyprostowana dumnie. Za nią chyłkiem wymknęli się goście. Poryjska zatrzymała Wiwlę i francuskim szeptem dawała wyraz zgorszeniu oraz innym uczuciom.

Fioletowy zmierzch padał na park. Siniały korony modrzewi i paliły się pnie białodrzewów. Bryka Uniejty wyrwała galopem sprzed ganku i wariacko pognała aleją, jakby od wstydu uciec można końmi...

— A Isi jeszcze nie ma. Co to, panie, będzie?

— Może wypadek poważniejszy, niż się wydawało?

— Myśli pan, że poród?

Sędzia obrócił się nagle i chwycił Znamięckiego za klapy. Trząsł adwokatem i ledwie znajdował słowa.

— Czy pan doprawdy nie rozumie nic? Zupełnie nic?! Panie!!

Mecenas drżał. Wystraszył się na dobre. Może rozumiał, może nie. Z pewnością bał się szczerze. Sędzia opuścił ręce.

— Ah, zresztą wszystko jedno. Żyjemy tu na niby. Znów dudni wóz. Być może, żona pańska wraca.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zamiast do Kalinek, skręcili na lewo. Chłop poganiał konika, wóz trząsł się nieludzko, wiatr podwiewał kurzem, aż wierciło w nosie.

— Dokąd jedziemy?

— A do chorego, proszę pani doktor. Most widać, a za wodą znów zwrócimy się w lewo, jakbyśmy w gości jechali do pana Uniejty. Ale krótko, bo zaraz przez pola odchodzi droga pod las. Ładna droga, warto nią pojechać.

— Panie Jakółka, tylko mi bez żartów! Dziewczyna czy chory? Wysiądę i leczcie się sami!

— To być nie może — rzekł Jaskółka sucho. — Był u nas do niedawna doktor, lecz źle mu się wiodło, choć pracy nie szukał i nie musiał chodzić piechotą. Wyniósł się w inne strony. Bo młody a już z żoną. Ona ładna kobieta, ale nikt z niej pociechy nie miał. Niedobrze! Doktor

zaś pił mało i zamiast u proboszcza grać w karty z burmistrzem i aptekarzem, gonił po drogach jak komiwojażer. Co z takiego doktora? Leczyć — leczył, ale jak? Aptekarz miny za nim stroił. Przyjdzie chłop do apteki, przeżegna się przed obrazkiem, a magister patrzy w receptę, kręci głową i mruczy: — Oj, biedny ten naród... Jak ich teraz leczą! Młody, to jeszcze nie wie, co z czym połączyć wypada, żeby macicy nie wzburzyć i wzdęcia nie sprawić. Ano, przyrządzę, niech się dzieje wola Boska. Ja głupi, on mądry... — No, to gospodarz w lament i uprasza magistra, żeby po swojemu lek wymieszał. Aptekarz — dobrodziej. Przystawał, choć wzbraniał się długo. Brał pieniędzy kapinkę więcej, ale lał w butlę wielką, po spirytusie. I tak wygryzł doktora. Przeto musimy jechać. W szpitalu nic po nas i po naszym chorym. Przy moście staniemy, dam wody, bo stworzenie już głowę zadziera.

— Ostatni raz pytam! Co to wszystko znaczy? — Znamięcka zacisnęła ze złością dłonie. — Dość głupich żartów! Panie Jaskółka! Dokąd mnie wieziecie!

— Żarty? A komu one w głowie? Mówiłem: dziewczyna. Wio, wiśta! Napoję, nie strachaj się, mały. On taki młodziutki, czarniutki, że poznać nie można czy chłopak, czy panna? Ja stary. Ja tam nie wiem... Pytałem, rzekł: panna. Niech mu będzie. Nie bardzo się na tym wyznaję od jakiegoś roku.

— Co mu jest? Bo z bronią też na pewno kłamstwo!

— Czy ja lekarz? Sami zobaczycie.

Zjechali z drogi do wody. Znamięcka milczała. Koń gasił pragnienie. Jaskółka skręcał papierosa, zerkał na lekarkę i uśmiechał się pogodnie.

— Niemiec postawił nam most. Taki z nich naród, co cudzych pamiątek nie uszanuje. — Jaskółka gadał, aby rozmowa szła i czas się nie dłużył... — W dawnym moście była dziura i raz wyskoczył z niej upiór. Taki straszny, że powóz z panem Szulawką poleciał na łeb — do rzeki. Potrzaskana bariera nikogo nie kłuła w oczy. Nad dziurą też nikt nie płakał. Dopiero Hitler kazał budować od nowa. A ten Szulawka, to umiał ściskać ziemię... Od nas ludzi nie najmował. Gniewał się z Kalinkami. Tych zaś, co przychodzili z dalszych stron, nagradzał hojnie. Bywało w czas żniw albo przy kartoflach, bo nie prowadzą się tu buraki i nie ma w okolicy ani jednej cukrowni, wychodził pan do robotników. Kto pierwszy w robocie, dostawał kożuch, buty, a dziewczyna chustę albo co innego. Zaś potem kazał wszystkim pracować tak dużo. I znowu pierwszych obdarował, a słabych pognał. Jeszcze teraz usłyszeć można na wiosce: o, ten to ma siłę, jak bandos Szulawki. Bo, proszę pani

doktor, taką chytrością dobrał sobie dziedzic najtęższe dziewki i najzdrowszych chłopów. Dobrze gospodarzył, ale już pojedziemy i niech go cholera weźmie.

Znamięcka z trudem tłumiła wściekłość. Chłop zabawiał rozmową, bajdurzył, to grzecznie, to nieomal drwiąco. Obrazić się głupio i słuchać niemiło. Więc milczała. Tak dojechali do polnej drogi, która od kusackiej szosy wiodła aż pod las.

— A pani doktor z miasta czyli może ze wsi? Nie pogniewajcie się proszę, ale gębusię macie ładniutką, więc ciekawość bierze, z jakich stron jesteście?

— Ani z miasta, ani ze wsi. — „Jeszcze tego brakowało! Doprawdy bezczelność!" — pomyślała wściekła.

— Aha, już wiem. Spod małego miasta? Ot, gajówka. Przedbórz ją nazywają.

— Ten chłopiec... Z nocy?

— Z nocy — uciął rozmowę Jaskółka i popędził konia. Brodem przebyli rzeczułkę i stanęli na miejscu. — Tu zaczekajcie.

Jaskółka zeskoczył, rzucił wiązkę siana koniowi i wszedł do chaty. Isia rozglądała się ciekawie. Pusto. Cicho. Na łące przy wodzie świętokrzyskie krowy i czarny pies. Budynki zagospodarowane, ale ludzi nie widać.

— Ot i gotowe — Jaskółka chwycił Znamięcką i lekko postawił na ziemi. Prosimy panią doktor do środka.

Okna, zastawione wybujałymi pelargoniami i wielkim asparagusem, mało przepuszczały światła. Mroczne wnętrze pochłaniało kształty sprzętów i rysunek obrazów połyskujących szkłem. Odurzający zapach schnącego kopru, rumianku, mięty, majeranku wypełniał izbę. Wiele innych ziół suszyło się na „murku". Isia zatrzymała się.

— Panie Jaskółka, tu nie ma nikogo?

Wskazał wąskie drzwi. Znów izba ciemnawa z pościelą spiętrzoną wysoko.

— Trzeba przez szafę... — mruknął chłop.

Za ścianą było pomieszczenie ciasne, rozjaśnione światłem przeciskającym się gdzieś spod powały. Na posłaniu leżał ranny. Czarne, wijące się włosy kontrastowały z bielą poduszki. Znużenie i ból ściągnęło twarz i nawet opalenizna nie kryła niedobrej bladości. Jaskółka zwilżył szmatkę w wywarze z mięty i otarł spieczone wargi. Chłopiec otworzył oczy.

— Doprawdy bardzo młody i ładny — pomyślała z goryczą Znamięcka. Rozpakowała zawiniątko z narzędziami. Leków nie miała wiele.

— Dziadek, chcecie mnie babą wyleczyć? Czy ja to Chwiostek?

— A to nygus! Dziadek i dziadek! Dobrał sobie rodzinę na miejscu. Wypchał sobie głowę jakimś Chwiostkiem, nie mogę dać rady. Nie gadaj, bo krew puści się z gęby. Tu — Jaskółka zwrócił się do lekarki — nie pomoże żadne perlępępę. Musi doktor i zastrzyki. Ciężką podziobali go broną.

„Co, jeszcze w sprawach mego zawodu będzie mnie pouczał?" — Isia pochyliła się nad rannym. — Przygotujcie wody, to musi się wygotować.

— Ogień zapalony. — Jaskółka zniknął w przejściu.

Pracowała szybko i zręcznie, nie przeciągając bólu ponad istotną potrzebę. Tym zjednywała chorych w szpitalu i rannych podczas powstania. Gdy chłopiec szarpnął się i jęknął, spytała spokojnie:

— Jak masz na imię?

— Andrzej. A ty?

Drgnęła zaskoczona. Powiedziała tylko:

— Uważaj, to zaboli, ale na krótko. Wszystko będzie dobrze. Byle cierpliwie.

— Do wiosny?

— Na pewno wcześniej.

— Jest, co miało być. — Jaskółka wynurzył się z szafy. — Co, ofuknęła cię pani doktorka, żeś tak głupio podstawił się draniom? A no, widzisz! Nie, nie, ja go tak dla zdrowia donderuję czasem. Poznaję teraz, że to jednak chłop, choć broda się jeszcze nie sypie. Ani drgnie. — Chłop zaśmiał się i wtulił w kąt, by nie przeszkadzać lekarce. Bacznie przyglądał się i mruczał z zadowoleniem. Był sanitariuszem w czasie pierwszej wojny.

W izbie czekał stół zastawiony, bielejący obrusem czyściutkim jak śnieg. Gospodyni podniosła się z zydla.

— Nie zdążycie, pani, na obiad do dworu, więc nie odmawiajcie. A, o — mój mąż, gajowy Tulik.

— Czy tu bezpiecznie? — spytała Znamięcka. Cisza i niezręczny brak słów drażniły jej nerwy. Jaskółka coś szeptał z Andrzejem.

— Spokojnie. — Tulik podał ogień lekarce. — Jak ludzie nie rozpaplają, bo długi język, to kupiona bieda. Chyba podźwignie się rychło? Młody.

Skinęła głową.

— O, tak. Postawimy go na nogi.

— Tylko nie gadać — rzekł Tulik jakby do siebie. Znamięcka pochwyciła błysk oczu i pomyślała: ten żartować nie będzie.

— Hej, to mruk dopiero! — Jaskółka wszedł do izby. — Myślałem, że państwo już po jednym, a tu szkło jak było suche, tak zostało. Tyle, że kurzu trochę na dnie...

— O, widzicie! — żachnęła się gospodyni. — Jeszcze pani doktor uwierzy, że prawda! — Zanim kto słowo powiedział, przetarła szklaneczki.

Znamięcka nie wymawiała się długo. Jaskółka zachęcał, bo jak mówił, im więcej się pije za zdrowie, tym prędzej chory podnosi się z łoża.

— Czy to komunista? — spytała Isia i od razu pojęła niewłaściwość słowa. Dodała szybko — z Aelu? Wiem tyle, że raniony w nocy.

— Ja pytać za dużo nie lubię, nawet jak wypiję. Komunista? Ha, czarny, to jest... Czy rogaty? Nie wiem. Nie taki znów straszny, jak komunistów malują we dworze. Ano, wypić można. Bo, nazwa nie stanowi. Trzeba pani doktor wiedzieć, że byli i księża, co się komunistami zwali albo Bartoszkami. Teraz o nich cicho. Ku temu to mówię, że choć Burków wiele, każdy inaczej wywija ogonem. Co nazwę przywieszać do szyi? Pokaż coś zrobił, okaże się jakiś ty człowiek! Wtedy powiem: brat albo wróg.

— Tak jest. To najważniejsze — przyznała Znamięcka. Zawsze energiczna i rzutka, teraz siedziała osowiała nad nietkniętym jadłem. — Niech pan naleje, panie Tulik — powiedziała nagle.

Jaskółka pokiwał głową.

— Ot, serce boli i jadło nie idzie, choć bardzo smacznie nas gospodyni przyjęła. Cudza zdrada piecze. Bo czy to jest inaczej? Broda proroka, a uczynki zbója! Całował, ściskał i wydał jak zdrajca najgorszy. Stąd te rany... To nie była brona... Drugi pod dębem, a trzeci zatopił się w bagnie. Myślę, że o niego tak pyta nasz Andrzej. Ja mu nie powiem. Po co? Zła wiadomość zawsze zdąży.

— Tak, tak! Nie mówcie! Nie trzeba.

— Diabelski przypłodek i Judasza krewny! Zdać człowieka hitlerowcom!

— Pani doktor ciekawa kto? — Jaskółka uniósł szklaneczkę. — Nie wiemy. Dowódca nazywa się Ząb. Opowiadają, że to on pod Borowem mordował siekierami. Tu skrycie uderzył i hitlerowskimi łapami pozastawiał wnyki. Trzech pochwycił, ale reszta porwała sidła — i poszła. Kto zdrajca? Oficer Zęba. Uszedł z imieniem, ale łajdactwa nie obmyje z gęby.

— Czas się odmienił. Pod Borowem dziś stoi wojsko. Tylko patrzeć... — Tulik nie dokończył zdania, lecz Jaskółka rzekł śmiało:

— ...ich tutaj! Przed wiosną będzie koniec.

— No, tak. Czy państwo macie dzieci? — spytała Isia. Tulikowie spojrzeli po sobie.

— Mamy.

— W domu?

— Najmłodszy tylko. Starszy — Tulikowa zawahała się — na robotach.

— I córka też — dorzucił z niezrozumiałą dumą gajowy.

Znamięcka nie rozpytywała więcej. Podziękowała serdecznie gospodyni i podniosła się od stołu.

— Zajrzę do Andrzeja. Czas wracać, panie Jaskółka.

Ranny spał. Dotknęła więc tylko tętna i odgarnęła z czoła zlepione włosy.

— Co złego, to nie my! — pożegnał Jaskółka tradycyjnym powiedzeniem.

— A przecież, że bynajmniej! — odrzekła Tulikowa i podała koszyk.

— O, przepraszam! — żachnęła się Znamięcka. — Co to, to nie!

— Toż jabłuszka dla dzieci! Bierzcie, bo nie cierpkie jak z pysowskich sadów. Prosto z drzewa i z serca.

Ledwie wóz odjechał, trzej chłopi podnieśli się z zarośli i poszli do gajówki. Gdy przyszedł czwarty, Tulik nałożył okulary i rozprostował na stole pomięty arkusz papieru. Druk był drobny, więc czytał wolno, często robiąc przerwy:

— Reforma rolna w Polsce jest koniecznością państwową i gospodarczą i będzie zrealizowana przy udziale czynnika społecznego zgodnie z zasadami Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Ustrój rolny w Polsce będzie oparty na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy. Wobec tego, że znaczna część Polski pozostaje jeszcze pod okupacją, w chwili obecnej nastąpić może jedynie częściowy nadział ziemi w rozmiarach zapasu ziemi na terytoriach już wyzwolonych... Na cele reformy rolnej przeznaczone będą nieruchomości ziemskie o charakterze rolniczym... Teraz słuchajcie pilnie — Tulik poprawił szkła. — Bo to o Pysowach! ...stanowiące własność albo współwłasność osób fizycznych lub prawnych, jeżeli ich rozmiar łączny przekracza bądź 100 ha powierzchni ogólnej, bądź 50 ha użytków rolnych...

— No, to Szopiskich, jakby nie liczył, rozparcelują. Pysowy mają ciut więcej jak czterysta hektarów.

— A kto będzie ziemię dzielił?

— Czekajcie, to powie już inny artykuł. Przecież nie fryzjerzy, tylko chłopi. No, tak! Będą komisje z wyboru. Zaraz wam przeczytam. — Tulik nadstawił ucha. — Jęczy... Pójdę dać mu mięty. Doktorka pozwoliła...

Wypoczęty konik żwawo kłusował do stajni... Na polach dymiły kupy perzu i naci i swąd spalenizny zmierzch zmieniał we wspomnienie. Znamięcka sięgnęła po papierosy. Jaskółka dojrzał drżenie rąk, odgadł przyczynę i rzekł życzliwie:

— Dymy przypominają pożary? Rozumiem, choć nie widziałem, jak pali się miasto tak duże.

— Nawet na ognisko nie mogę patrzeć spokojnie. Jedźmy, jedźmy prędzej!

W topolowej alei, gdy widać już było dwór, Jaskółka odezwał się jakby rzecz została ustalona z góry.

— Jutro zawiezie panią doktor Jędraszek. Lepiej nie drażnić ludzi, co mają złe oko. Pewnie inną obierze drogę, więc nie dziwcie się temu. Jędraszek chłop rzetelny, możecie mu ufać. A na ostatek poproszę was o jedno: nie mówcie nikomu. Po co zmuszać do zabicia kogo?

Zaciął konia i odjechał kłusem. Znamięcka ujęła koszyk i wolno poszła ku wejściu. „A jednak nie dowierza... Dlaczego? Przecież, to boli i sprawia przykrość...“ — zdążyła pomyśleć, zanim dostrzegła sędziego i męża idących na spotkanie.

— Isieńko, jakże tak można męża denerwować! Co ty wyprawiasz, słoneczko! My tu z panem sędzią od zmysłów prawie odchodzimy, a ty do nocy tułasz się wśród obcych!

— Daj mi spokój — wyrwała mu się — doprawdy, jestem bardzo zmęczona.

— Taki fach, dziecinko...

— Żyje? — cicho spytał sędzia. Znamięcka wyprostowała się.

— Tak jest i żyć będzie!

— Chłopiec czy dziewczynka? Bo my z panem sędzią...

— Bliźniaki! — krzyknęła Isia.

— O, do licha! Toś miała robotę!

Twarz męża wydała się jej obca, prawie nienawistna. Przez grymas, a raczej pomyje po męskim uśmiechu, przebijała się bezsilność, bezradność, bezradność bez granic.

Isia odsunęła speszonego męża i poszła na górę swym szybkim krokiem, jakby krępowanym obcisłą spódnicę. Znamięcki pożegnał się śpiesznie.

— Na śmierć zapomniałem o kolacji dla niej... Widziałem jednak jabłka. Niech pan wstąpi jutro, owoce dobrze panu zrobią. Dobrej nocy, panie sędzio.

— Dobranoc.

Znamięcki podreptał za żoną. Sędzia przechadzał się wokół klombu do gęstego zmroku. Widocznie niewiele rozwikłał problemów, bo naraz przystanął i wykrzyknął w złości:

— A niechże to wreszcie porwą wszyscy diabli!

Poszedł do izdebki na piętrze. Żona na wpół spała.

— Madziu?

— Tak?

— Jak serce?

— Normalnie.

— Hm. Może otworzyć okno?

— Uchyl.

Sędzia patrzył w zadumie na drzewa ciemniejsze od nieba. Żaby koncertowały w stawach, psy odzywały się z dala. Noc jak wiele poprzednich, tyle że bliższa zimy. Nagle Masłowiec drgnął: brakło w tych odgłosach conocnego dźwięku. Czekał kwadrans, pół godziny i dłużej, lecz z pobliskiego lotniska nie wystartował samolot i nie poleciał nad parkiem ku Wiśle.

Sędzia zamknął okno i nieco zdziwiony wyciągnął się na posłaniu okrywając się czarnym paltotem z aksamitnym kołnierzem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tu dramatowi temu koniec.
Lecz myśl, ten chybki, lotny goniec,
poza ten dramat polatuje
i oto, co mi podszeptuje:
Gdy szary świt uchyli bram,
gdy pękną bron zapory, kraty,
gdy Eos różano-włosa
na niebios wystąpi skłon
i pierwszy zanucą ptaki ton

świergotów rannych —
w kościele zaczną się roraty
znajdzie się ktoś, co przyjdzie tam
z kluczami,
(może wyrobnik, dziewka bosa),
i pierwszy uchyli wrót —
wtedy to w ten błękitny ranek
Konrad-Erynnis z Eryniami,
zaprzysiężony bóstwom brat,
niewolnik razem i kochanek,
wybieży w świat
na LOT,
na szary świt, w błękitny świt,
miecz w ręku mając,
wzrok wydarty,
otoczon chórem, w wieńcu żmij,
jako ten wasz czterdziesty czwarty,
w naród wołając:
WIĘZY RWIJ!!!

Drzwi się otwarły na roścież. Wionęło chłodem, perfumami. Weszli Szopiscy i Wypęska. Z korytarza wynurzył się lokaj niosąc zapaloną świecę. Gospodarz śmiał się do rozpuku.

— Aptekarza! Zaprosił aptekarza! No, nie wytrzymam! I powiem wam, to nie ze strachu i nie z demokracji, lecz tylko przez snobizm. Chciał nam pokazać: wy sobie jak uważacie, a ja proszę nawet aptekarza! A pan co?

— Ja? Nic.

Szopiska przeszła przez hall do swego pokoju. Lokaj oświetlił drogę i wrócił. Sędzia poruszał palcami jak uczeń, co nie umiejąc zadania, kruszy palcami kredę i potnieje pod niezapisaną tablicą.

— Ładne nic... Co to jest takiego? Czym pan mi tapetuje ściany? Rymowane hasełka? — Szopiski chmurnie przyglądał się kartce przypiętej na znanym „Zarządzeniu" Wypęskiej. Monika szepnęła:

— Napisał, żeby mi dokuczyć.

Sędzia chrząknął. Lokaj uśmiechał się drwiąco. Dziedzic uniósł laskę i stuknął w arkusik przypięty pluskiewką.

— To pański utwór? Sędzia rewolucjonista? Ho, ho..!

— Ah, nie. To przecież Wyspiański.

— Ten, co z chłopką? — Szopiski ożywił się. — A to ja go skądsiś

znam. On, podobno, nie wszędzie był zdrów? Po Paryżu? I jak to nazwał?

— „Wyzwolenie".

— Pan też zaprasza aptekarza poniewczasie! — powiedziała wzgardliwie Wypęska.

Wybuchnęli śmiechem, pokiwali nad sędzią głowami i poszli za lokajem. Hall pogrążył się w ciemności. Masłowiec zerwał kartkę, zmiął i schował do kieszeni.

— Właściwie, Monika ma rację.

Otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Dudnienie poprzedniej nocy ledwie uchwytne dla ucha rozpierało się już łokciami za horyzontem. Łomot cichł chwilami. Oddalał się, odpływał jak fala i znów uderzał, huczniejszy, szumniejszy i o milowy krok bliższy. Na niebie nie było jeszcze ogni. Łuny nie przerastały lasów. Front szedł z łoskotem, od którego zaczynało falować powietrze. Zdawało się, że tysiące niestrudzonych drwali kładą pokotem okoliczne bory.

Wiatr dawno powymiatał sczezłe liście z parku i ogołocił topole i dęby z ostatków przebarwnej jesieni. Na stwardniałych polach leżał śnieg, lecz niegłęboki, bowiem styczeń 1945 roku przemijał nad wyraz łagodnie. W południe woda skapywała z dachu i drzewa otrząsały się z bieli. Wiosennie świergotały wróble.

Tak było w dzień, a z zapadnięciem zmierzchu odległe bitwy otaczały okolicę coraz wyraźniejszym półkolem. Zanosiło się na k o c i o ł.

— No, tak. To byłaby ładna historia — pomyślał z niechęcią sędzia. Już miał zawrócić do dworu, gdy usłyszał nowe dźwięki. Z lasów zaczęły wymykać się wozy i chyłkiem jechały na zachód. Konny tabor uciekał spomiędzy drzew z pośpiechem zwierzyny wypłoszonej ogniem. Chrobocząc i brzęcząc, kolumna tętniła na szosie i gdzieś za Bradczycami wsiąkała w liczne polne drogi.

Od stajni rozległy się kroki. Sędzia zawołał cicho:

— Panie Chyła!

Stangret wyłożywszy konie szedł do czworaków za drogą. Poznał Masłowca i skręcił pod ganek.

— Pan sędzia słucha? Biją, biją coraz bliżej...

— Odjeżdżają! Panie Chyła, to Niemcy?

— E, nie. Dopiero szczury.

— A wojska?

— Podobno chcą odpór dawać, ale gdzież im do tego? Trochę się jeszcze gmerają ciućmoki, ale widać, że już trupieją ze strachu.

— A okopy?

— Jeszcze muszę kopać.

Dziesięć tysięcy ludzi spędzonych do obozów w Grodku, Krasocinie, Olesznie, Szczekocinach i Łęgoboszu, ryło ziemię i budowało bunkry...

— Jeszcze muszą kopać... — powtórzył w zadumie sędzia.

Po nocy spędzonej na nadsłuchiwaniu zwykłe hałasy dnia przytłumiły szum frontu. Na obiad podano kotlety i tą niespodzianką osłabiono wrażenie wywołane wyjazdem pani Moniki. Mówiono, że przeniosła się do miasteczka, a z Bradczyc, jak tylko uciszy się nieco, ma jechać dalej, do Krakowa. Domysły na temat Wypęskiej, liczne i nieżyczliwe, nie trafiały jednak w sedno. Mało kto wiedział, że losem jej kierowały przeżycia erotyczne sprzed wielu lat. Wspomnienia okazały się mocniejsze ponad wszystko inne. One dyktowały sympatie polityczne, urabiały poglądy i decydowały w wyborze przyjaciół, wrogów i kochanków. Wbrew rozsądkowi, Wypęska pojechała za hitlerowcem, o którym, choć krążyły plotki, nikt nic pewnego nie umiał powiedzieć. Zresztą, może wierzyła naprawdę, że powrócą znowu, wsparci o bogate i wspaniałe zaplecze zachodnich s o j u s z n i k ó w. Bowiem tak rzecz przedstawiał Beckmann nakłaniając kochankę do udziału w mocno ryzykownej imprezie.

Huczało już i we dnie. Wczorajsze dudnienie rozpadało się na głosy armat i lotniczych bomb. Sędzia przesiadywał w karczmie, gdzie pojawiali się ludzie z różnych stron, przynosząc wiadomości splątane i sprzeczne. Opowiadali, że na własne oczy widzieli paniczną ucieczkę taborów i artylerii. Lecz jednocześnie opisywali masy hitlerowskich czołgów, które zjawiły się w nocy i popędziły co tchu ku Wiśle ratować strzaskaną obronę.

Szopiski sposępniał, zdziadział. Stał w oknie wpatrzony w łuny dygocące na niebie i mruczał do Znamięckiego:

— Znów trochę bliżej... Więc jednak przyjdą tutaj... Chodź pan, dam panu wódki... Serce? Usraj się pan na nie.

Tak się złączyła bezradność z bezsilną, rozpaczliwą złością. Szopiska nosiła się z nową opowieścią. Poryjska i Wiwla dotrzymywali towarzystwa dziedziczce. Podśmiewając się cichcem, słuchali o utalentowanym artyście, który nagle stracił wrok, lecz został przywrócony sztuce. Znalazł się bowiem uzdolniony chirurg, który dokonał śmiałej operacji. Wstawił malarzowi c u d z e oczy. Lecz cóż mógł namalować artysta, gdy opuścił szpital? Tego autorka nie rozstrzygała, więc było nad czym debatować przy drżeniu murów i dzwonieniu okien... Kierunki wielkich

uderzeń zawędrowały już do mapników dowódców batalionów i kompanii. Na południowy wschód od Bradczyc pokazała się radziecka piechota. Wiadomość przywiozła Isia.

— ...i w Jędrzejowie są też. Hitlerowcy ostrzeliwują ich z armat, lecz piechota nawet płytkich okopów nie kopie. Mówią, że wypalą papierosa i zaraz idą dalej.

Sędzia cmoknął z podziwem.

— Ho, ho! Znaczy to, proszę łaskawej pani, że rozstrzygnęło się poza nami. Główne siły nie pójdą tędy. A, jakże chłopiec?

— W porządku — odpowiedziała oschle. Andrzej znikł z gajówki, a Tulikowie zbywali pytania ruszaniem ramion i wznoszeniem oczu. „Był, poszedł, jak to młody...“ Dziwili się, czego doktorka taka zła.

Front huczał, dudnił i nagle jakoś niespostrzeżenie przemknął się na zachód. Ludzie odetchnęli. Chaty palą się łatwo, ale rosną wolno. Pożar ciągnie się za chłopem ogonem paroletniej biedy i przypomina się długo, choć dawno po wojnie. Co śmielsi jeździli pod szosę oglądać dwa rozbite czołgi. Od strony Nagłowic stał radziecki kolos z przestrzeloną lufą, a bliżej Ślęcina czerniał wrak „tygrysa“.

— Zbierzmy się i uchwalmy, co w tej sytuacji należy uczynić — rzekł Masłowiec przytrzymując Isię za rękę. — Niechże pani poprosi męża. Co, drzemie? Hm. No, to w takim razie zejdziemy się po kolacji.

Wieczorem zjechał do dworu sztab jakiegoś oddziału radzieckiego. Pułkownik, oficerowie, dziewczyny w wojskowych ubraniach i garstka żołnierzy. Zakwaterowali się na dole. Sędzia wyruszył na zwiady. Dojrzał Moczydłowską i przywołał szeptem.

— No i jak tam?

— A, bo ja wiem? Pytałam, co będą jedli. Mówią, że wszystko przywieźli ze sobą, więc tylko proszą, żeby im zgotować. Wygląda na prawdę. Dali makaron i słoninę. O, tam leży.

— Rzeczywiście. Hm. I to wszystko?

Kucharka rozłożyła ręce.

— Proszę pana sędziego, też mi to nie wygląda na wszystko. Zagadnęłam dziewczynę, co przyniosła prowiant — Może pułkownikowi usmażyć parę jajek? — Zgodziła się. — Dwa, ale nie na patelni, tylko na miękko, bo innych nie lubi. — Teraz poszła się pytać pana dziedzica o klucz do fortepianu.

— Kto?!

— No, ta sierżant. Od radia albo od telefonów jest starszą.

— I nic więcej? Jajka i fortepian? — Sędzia podejrzliwie zerkał na kucharkę. — Ani słówka? Ej, pani Julio!

— Chyba to jeszcze, że pytała, czy szlaganow u nas dużo.

— Szlaganow? Hm. I co? I co jej pani powiedziała?

— Ano, że wszystko we dworze normalnie. Państwo, znaczy dziedzic i pani, na dole, a warszawscy bieżeńcy na górze.

— No, tak — Masłowiec chrząknął parę razy i zawrócił do hallu. Na krześle siedział żołnierz w koszuli z odwiniętym rękawem. Dr Znamięcka przewijała bandaż. Sędzia przystanął.

— Widzi pan? — Isia wskazała oczami rannego. — Nie ogolony. A to sztab!

Był to człowiek starszy, o szerokiej twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem. Widać zrozumiał uwagę lekarki, bo spojrzał z ukosa i zanucił cicho:

...Wot kagda pragonim Frica
Budiet wremia, budiem britsia
Striczsia, britsia, narażatsia
S miłoj celowatsia!

Na zakończenie łypnął zabójczo okiem. Znamięcka skrzywiła się cierpko i mruknęła:

— Właśnie tego było mi brak.

— Ot, to dobrze! — żołnierz roześmiał się. — U mnie jest córka taka jak wy. Może oczki jaśniejsze? A może nie?

— Ile ona ma lat? — spytała z ożywieniem Isia.

— No, stara już. Dwudziesty jej idzie... — ranny mrugnął na sędziego. Znamięcka rozpogodziła twarz. Sędzia słuch miał dobry. Coś go zaniepokoiło... Otworzył drzwi i od razu krzyknął:

— Lecą! Nalot!

Maszyny szły wprost na dwór. Masłowiec zdążył pomyśleć: „Białe ściany na pewno wpadną im w oko!" i w tejże chwili gwizdnęły bomby.

— Pani Isiu! Madziu! Madziu! — wołał sędzia.

— *Da niczewo, eto Fric bambit...* — żołnierz obejrzał się. Hall był pusty. Po schodach zbiegali mieszkańcy mansardy i kryli się w parku. Następne bomby upadły dalej. Samoloty huczały w stronie miasteczka.

Żołnierz wstał, poprawił bandaż lewą ręką i nałożył bluzę. Mruknął:

— Ot, czort przeklęty, po nocy lata — i poszedł do kuchni. Moczydłowska powitała go pretensjami.

— Widzicie! Przyszedł karabinem mieszać w makaronie! Taka z was pociecha! Ledwie weszli, już bomby za sobą przywlekli! Tu samolotów

nie ma! Idź strzelać na pole! Słyszysz? Jeszcze warczą! Zobaczcie, dobre te jajka? — Kucharka odłupała skorupkę. — Nie za miękkie?

— W sam raz! Mało która potrafi dogodzić pułkownikowi. A wy, za pierwszym razem. Żeby były twardsze — nie zjadłby za skarby! Ja go znam! Widać, gospodyni z was sławna.

Oparł automat o ścianę, wydobył papierosy i drzazgą przypalił od kuchni. Zaciągnął się dymem. Moczydłowska zerknęła na żołnierza raz i drugi. Wreszcie spytała rzeczowo:

— A kiełbasy wieprzowej zjecie?

— Jeśli waszej roboty i samiście przyprawiali, to namawiać nie trzeba. Firma kusi. Zjem. Człowiek grzeszny i słaby.

Kucharka pokroiła cebulę i rzuciła na patelnię. Ze schowka wydobyła butelkę i nalała w szklanki.

— Czujecie? Na jarzębinie. Ja też łyknę kropelkę, bo mi ziąb po plecach chodzi, choć kuchnia grzeje. Gęsiej skórki dostaję od samolotów.

— Dobra...! Wasze wódki i nasze, ot, nie znajdziesz lepszych na świecie. Niemieckie — pić nie można. Napiszą na flaszce „koniak", a w środku woda zbełtana z benzyną. Oszustwo. Wypijesz i nieszczęście gotowe. Bo po wypiciu nie obejdzie się bez papierosa. Benzyna uchwyci się ognia i płomień buchnie z gęby na metr albo i dalej. Na, wypijmy za zdrowie wasze, pani Julia...

— Skąd wiecie? — Moczydłowska złożyła ręce na biuście.

— Ja dużo wiem! Tak, tu oszustwa nie ma, dobra. A u nich, wszystko cygaństwo i świństwo. Piszą „socjalizm", a wewnątrz *gawno, izwinitie,* Hitler.

— Żebyście zdrowi wrócili z Berlina! — Moczydłowska wypiła do dna.

Żołnierz zamyślił się.

— Berlin... Nie jestem ciekaw tego faszystowskiego gniazda. Czy dojdę? Kto może wiedzieć? Ale nasi tam będą na pewno!

— Byłby już czas... O, znowu leci podlec!

— Spieszy się, bo wie, że niedługo... No, rzucił swoje. Na miasteczko? Szkoda. Dam wam herbaty... — pochylił się nad swym workiem — prawdziwa... Była czekolada, ale dzieci wzięły.

Moczydłowska ujęła się pod boki i z rosnącą sympatią patrzyła na żołnierza.

— Zaraz zaparzę i sama napiję się chętnie, bo z herbatą u nas bieda. Cukier schowajcie! A to co znowu! Przecie jest!

— Francuskie wódki też nic nie warte... — ciągnął żołnierz obraca-

jąc pustą szklankę. — Buteleczki dziwnie malutkie i strasznie pachnące. A nazywają się śmiesznie: narsiz ble, albo skandał. Najgorsze to te „skandałczyki"... Pić zupełnie nie można.

— Tylko nie naśmiewajcie się! — fuknęła Moczydłowska.

Żołnierz nie odpowiedział. Znów zanurzył rękę w worku. Wydobył flakon paryskich perfum i postawił przed kucharką.

— Ot, został jeszcze jeden. Nie bójcie się, to nie „skandał", jakoś inaczej się zwie. Hitlerowski porucznik wiózł dla mnie z samego Paryża. Ij Bohu, u niego w sumkach znalazłem — zaśmiał się krótko. — Chyba nie będziemy t e g o koniaczku pić? Tak myślałem. Zostawcie sobie.

Kucharka aż poczerwieniała.

— Oj, co też wy robicie! Zachowajcie. Zawieziecie swojej kobiecie. Pozwólcie tylko, zobaczę, jak pachnie...

Żołnierz skręcił nowego papierosa, odsunął szklankę i patrzył zamyślony na ogień buzujący pod kuchnią. Moczydłowska westchnęła i postawiła flakon z powrotem.

— Zawieźcie j e j. Dlaczego mnie?

— Co? — żołnierz drgnął. — Aha. Podoba się wam? No, to już miło. Ludziom trzeba robić dobrze. Nie jutro, nie na tamtym świecie, ale dziś. Kto wie, co będzie? Ot, przebrzydły, jeszcze lata... Uczepił się miasteczka — odsunął zasłonę i wyjrzał przez szparę. Łuna wywaliła się na pół nieba.

— Matko Święta! — jęknęła kucharka. — Trafili pewnie gorzelnię w Bradczycach.

— Ej, nie. Gorzelnia bliżej kościoła. A to pali się nasza benzyna. Słyszycie? Beczki pękają! To od nich huk... Trafiał, jakby miał sowie oczy. Niedobra sprawa, pani Julia. Ot, na chwilę nie dadzą człowiekowi zapomnieć. — Nieco w prawo od ogni pożaru, kolorowe paciorki przebiegały niebo. Żołnierz odwrócił się od okna.

— A ziemia tu dobra, prawda? To i dobrze. Będziecie mieli pociechę.

Moczydłowska nie odpowiedziała. Nie odrywała oczu od rondelka z jajkami.

— Na śmierć zapomniałam!

— Nie szkodzi. Pułkownik mało patrzy na jedzenie. Ja tylko tak, z żartów, o tych jajkach na miękko. Powiem także w sekrecie, że nie dziwna to rzecz. Przy mnie kobiety zapominają się łatwo, oj łatwo... — mrugnął wesoło, podniósł worek i ujął pepeszę. — Czas spać. Dobrej nocy, pani Julia. — I poszedł na kwaterę.

Kucharka westchnęła parokrotnie i zabrała się do przyrządzania kolacji.

Hitlerowskie samoloty przylatywały jeszcze kilka razy rzucając bomby na okoliczne laski, jakby dostrzegały ukryte tam wozy i samochody. Koło północy zjawiły się nocne myśliwce i przepędziły natrętów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Południowa dzielnica Bradczyc liczyła dawniej ponad sto numerów. Były to domki parterowe lub jednopiętrowe, o ścianach szarych i niewielkich oknach zasłoniętych dzień cały spłowiałymi firankami. Stały stłoczone ciasno nad uliczkami wijącymi się kręto jak strumienie zasilające płynącą w pobliżu rzekę. Rozległe podwórza, niewidoczne z zewnątrz, kryły dziesięć razy tyle bud, szop i składzików. Tysiące firm, handelków, interesów... Spaliło się wszystko w upalny wrzesień wojny, na parę dni przed świętem Jom-Kipur. Dzień Przebaczenia stał się prawdziwym Sądnym Dniem.

Bomby rzucone przez nieznanego lotnika, wznieciły pożar, który hulał bezkarnie na oczach Chewra Kadysza, świętego bractwa zajmującego się chowaniem zmarłych. Bowiem nalot wydarzył się w czasie nieobecności straży ogniowej. Czerwony samochód, chluba miasteczka i nadzieja okolicznych wiosek, odjechał na wschód uwożąc strażaków i policję. Pogorzelcy niedługo biadali nad dobytkiem strawionym przez ogień. „Hitler złoty" kazał ich wywieźć w pierwszej kolejności. Rumowiska pozostawiono własnemu losowi. Wypalone ruiny zmieniły się w pagórki gruzów, z których czas jakiś wybierano cegłę. Potem wyrosły tam bujne chwasty i chuderlawe brzózki.

Była noc i samoloty kręciły się jeszcze w pobliżu, gdy alzacki owczarek biegł w stronę zburzonej dzielnicy. Nad szosą kłębiły się płomienie i jaskrawym blaskiem zaglądały w zaciemnione uliczki. Pies zatrzymał się i słuchał głosów dolatujących od ognia. Po namyśle obrał drogę dłuższą: skręcił w kierunku cmentarza. Stamtąd zanurzył się w gęsty mrok ogrodów otaczających domy najbardziej wysunięte ku polom. Przeskoczył kilka płotów, przeczołgał się pod innymi i wykorzystując dziury wydrapane przez miejscowe kundle, znalazł się wreszcie wśród kopiastych zwalisk. Spłoszone koty umknęły co rychlej klnąc psiego intruza stekiem wściekłych prychnięć. Owczarek postawił uszy. Znów słuchał. Potem pobiegł w głąb ruin i znikł w szczelinie wiodącej pod ziemię.

Monika Wypęska postała chwilę w ogródku i, gdy nabrała pewności, że pies dotarł szczęśliwie do ruin, zawróciła do mieszkania. Odnajmowała dwa umeblowane pokoiki na piętrze. Naprzeciw mieszkał właściciel kamieniczki i apteki „Pod Kozłem", magister Strzelczyk.

— Nie może pani opanować nerwów? — zagadnął uprzejmie aptekarz. — Ja też nie zmrużyłem oka. Ironia losu te bomby. No, nie?

Aptekarz przymknął za sobą drzwi i podszedł do Wypęskiej. Zatrzymała się z ręką na klamce. Uniosła brwi i powiedziała:

— No...?

Przy tym zmierzyła pigularza słynnym spojrzeniem, w którym inteligentny mężczyzna powinien był doszukać się zdziwienia, lodowatego chłodu i drwiny zmieszanej z pogardą. Lecz Strzelczyk, to już nie był dawny Strzelczyk! Skończyły się czasy, że byle dziedzica lub zamożniejszego chłopa witał głębokim ukłonem spoza marmurowej lady. Przyjęcie w nagłowickim pałacu podziałało na magistra jak marzec na kota. Więc Strzelczyk nie zmienił się w słup ani w sopel lodu, tylko wepchnął nogę i przez dość szeroką szparę prowadził rozmowę dalej.

— Pani Moniko, do czego to podobne! Na dworze mróz, a pani wychodzi w samym futrze!

— Mam piżamę pod spodem — Wypęska roześmiała się ubawiona sapiącą troskliwością. — Pan zdaje się chce wejść? Proszę, nie będę się z panem mocować.

— Chcę zaproponować balsamik albo pigułki. — Strzelczyk wetknął kciuki za pasek szlafroka. Monika rozpięła futro i usiadła w fotelu. — Przeziębienie, to podstępna słabość, z której rodzą się zupełnie poważne choroby. Dobrze byłoby natrzeć plecki.

— Doprawdy nie mam ochoty. — Wypęska ziewnęła, ale i to nie zraziło magistra. — Wie pan, z balsamu rezygnuję i nie będę pana fatygować nacieraniem pleców, ale wypiłabym chętnie kieliszek ziołowej nalewki.

— Usłużę pani z przyjemnością. Za chwilę przyniosę, a pani raczy sięgnąć po kieliszki — rzekł Strzelczyk i odszedł kołysząc się godnie.

Ledwie znalazł się za drzwiami, zobaczył w świetle latarki drobną postać śpieszącą na górę.

— A co ty tu robisz, kochanie? — spytał zaskoczony. — O tej porze spacerujesz po ogrodzie?

— Wyjrzałam, bo wydało się mamie, że znowu lecą — odpowiedziała Cesia Zakrzewska, kilkunastoletnia córka „warszawskiej wdowy".

Mieszkały obydwie na drugim piętrze zajmując jeden z dwóch pokoików przeznaczonych przez zarząd miejski dla uchodźców z Warszawy.

— Nie wywołuj wilka z lasu. Dość narobili nam strachu. Idź spać, Cesiu.

— Chciałam zapytać pana, kto w miasteczku ma psa, wilka lub owczarka? Pan wszystkich zna. Ładny, bardzo duży pies?

— Wilk? Duży pies? Hm. Wiesz, że nikt mi nie przychodzi na myśl. Na cóż tobie pies i w dodatku duży?

— Tak sobie pomyślałam.

— Bardzo niełądnie, moja Cesiu, powiem o tym mamie. Nabierasz starszych na głupie pytania. To niegrzecznie.

— Przepraszam, panie magistrze. — Cesia powiedziała „dobranoc" i poszła na górę.

Strzelczyk odnalazł nalewkę i wrócił do Wypęskiej. Zdążyła się zdrzemnąć w fotelu. Obudzona chrząknięciem otworzyła oczy i wpatrywała się w aptekarza nie bardzo rozumiejąc, po co go diabli przynieśli.

— Aha, to znowu pan? Widocznie zapomniałam zamknąć drzwi. — Wypęska poprawiła filującą lampę i ziewnęła — Nalewka?

— Przecież sama pani chciała...! — Strzelczyk zmarszczył brwi. Od czasu przyjęcia w Nagłowicach nie lubił takich dąsów.

— Być może. Nic sobie nie mogę przypomnieć. Niech pan łaskawie naleje. Kieliszki? Gdzieś muszą być.

— Długo pan bawił u siebie. — Wypęska podniosła kieliszek. — Hania zatrzymała? A nalewka świetna! Ma pan rację bytu, dopóki żyją ludzie odróżniający koniak od politury. A więc, zdrowie, pańskie albo Hani. Jak pan woli.

— Nie odwiedzam służby po nocy — odparł niechętnie magister.

— Aha, rozumiem. Ten zaszczyt przypada samotnym lokatorkom. Pan bardzo uprzejmy. Nie, nie! Nie będę dokuczać więcej! Wypijemy jeszcze po kieliszku i bez grymasów pójdzie pan spać. Późno już. Gotów pan poplątać recepty. Chłopom zapewne to nie zaszkodzi, ale pana komendant każe rozstrzelać. Oni nie żartują. Zresztą, boję się sceny. Podobno Hania jest bardzo zazdrosna? Czemu pan nie pije?

Strzelczyk obracał kieliszek nie ciesząc się wcale złotym odcieniem znakomitego trunku. „A to jędza z piekła rodem. Sama latawiec, ale pod cudzą kołdrę nos wściubia i co zobaczy, to zaraz roznosi językiem. Podsłuchuje pod drzwiami czy co? A tom wlazł w kabałę". Magister złym okiem patrzył na Wypęską i przemyśliwał jak odejść z honorem.

„Widzę, że ma na mnie chętkę, aż się jej łydki trzęsą! Książę pan mnie zaprasza, a tu taka, panie, wydziwia i podśmiewa się w nos!"

— A psy pani lubi? — Strzelczyk przybrał obojętną minę. — Bo ja na przykład bardzo.

Wypęska drgnęła. Spojrzała bystro i spytała mrużąc oczy:

— Co to ma znaczyć?

Aptekarz zaśmiał się w duchu. „Aha! Mam cię kózko z siwą bródką! Co to znaczy? He, he! Dobrze powiadają, odgadniesz w babie feblika, toś wygrał! Zaraz jej fąfry wylecą z nosa i przestanie miny stroić. Każda ma coś takiego, za czym przepada. Na przykład Hania... ale to prosta dziewczyna. Nieboszczka żona? Nie, ona nie. Żony na ogół rzadko. A Monisia psy! Więc dolewajmy oliwy do ognia!"

— Jakby odpowiedzieć na pani pytanie. Lubię psy i to wszystko. Nie znajdzie się stworzenia wierniejszego i bardziej przywiązanego do człowieka. Zawołasz — przybiegnie, pomerda ogonem na dzień dobry, poda łapę i uśmieje się całym pyskiem. Pan Uniejto miał psa, co na rozkaz przynosił kota za kark i kładł przed panem w salonie. Kot tak się wciągnął do tego, że ani prychał, ani uciekał. Pies, to wygoda i przyjemność. Jak trafi się wilk mądry, to go można do sklepu posyłać po sprawunki.

Wypęska pobladła pod warstwą szminki, której nie zdążyła zmyć przed nocą. Zapaliła papierosa i wpatrywała się w aptekarza, zaniepokojona jego rozbawioną miną.

— Pies, proszę pani musi być duży. Te małe, to nie psy dla mnie. Ot, wilk, bernardyn albo owczarek. A pani, jakie przedkłada przed inne? Pozwoli pani jeszcze kropelkę? O, przepraszam, odpiął się widzę guziczek piżamki.

Wypęska odetchnęła.

— A więc, niech pan zapnie, ale nie mówmy już więcej o psach. Dobrze? Bardzo proszę, zapomnijmy o tym...

Strzelczyk wstał gwałtownie. Podniósł kieliszek i krzyknął:

— Wiwat pieski! Wiwat farmaceuci!

Ogarnięty nagłym podnieceniem zdmuchnął lampę tak energicznie, że szkło zleciało na podłogę. Huk rozległ się straszliwy!

— Oszalał! Wariat! — zawołała Wypęska i zerwała się z fotela.

— To nie ja, słowo honoru! — Strzelczyk rzucił się naprzód wymachując na oślep rękami. — Mam! — wykrzyknął uradowany i dalejże całować i ściskać, lecz poznał szafę, więc odskoczył wściekły.

W tej chwili spadła druga bomba. Okno, pchnięte podmuchem otwa-

rło się szeroko, spadła czarna zasłona, zabrzęczało szkło. Wypęska stała w oknie i drżąc powtarzała bez sensu:

— Czyś ty oszalał? Przecież mogłeś mnie zabić!

Po drugiej stronie rynku osiadał obłok pyłu i pojawiły się języki ognia. Z sąsiednich domów wybiegali ludzie i coś wołając niezrozumiale uciekali w boczne uliczki.

Strzelczyk przesadził przewrócony stolik. Uczepił się jedwabnej piżamy, szarpał, tarmosił i bełkotał:

— To nic...! Już poleciał! To nic! Nawet okno pal sześć. Mróz nie taki straszny! Przecież psy! Pies!

— Właśnie, to mnie najbardziej dziwi... — w blasku ognia widać było żołnierzy śpieszących na ratunek. — Aha, obok jest komendantura. Rozumiem.

Odwróciła się i odepchnęła magistra. Poprawiła podartą piżamę i schyliła się szukając futra.

— Zostaw! — powiedziała ze złością. — Stukają do drzwi.

— Tak, rzeczywiście. Co ja tu robię? — Strzelczyk wybiegł do przedpokoju.

— To pan? — zapytał młody człowiek oświetlając magistra latarką.

— Tak, tak! To na pewno on! — rozległ się głos kobiecy z mieszkania aptekarza.

Strzelczyk wtulił głowę w ramiona i zbiegł na dół, by otworzyć aptekę. Na chodniku układano już pierwszych rannych. Aptekarz trząsł się nie mogąc powstrzymać rozdygotanych rąk. Poznawał robotników gorzelni, którzy wnosili bezwładne ciała. Słyszał, jak porozumiewają się półgłosem: „Chyba, damy ją tu?" Dostrzegał dwubarwne opaski i broń. Widział sanitariuszy radzieckich, którzy w milczeniu zabierali się do pracy. Lecz nie był w stanie zrozumieć, co się właściwie stało. Skąd tyle krwi? Co twarz, to ktoś znajomy... Płoskotniakowa kupowała wczoraj maść na rwanie w stawach, a teraz leży na kamiennej posadzce, osmolona, zmasakrowana.

— Ona miała córkę! — wyszeptał Strzelczyk chwytając za rękę chłopca w półkożuszku. — Gdzie córka? Ja pana nie znam... Pan obcy!

— Jeszcze są ludzie pod gruzami. Słyszycie? Kopią.

— Trzeba posłać do dworu! Tam jest lekarka!

— Samochód już pojechał. Zaraz powinni być z powrotem. — Chłopiec uwolnił się od aptekarza i wyszedł na dwór, do ludzi pracujących przy trafionym domu.

Szok ustępował. Podnosiły się jęki, coraz głośniejsze i tak przeraźli-

we w swych skargach, że stały się nie do wytrzymania dla nieobytego z wojną magistra. Strzelczyk wsunął się w kąt, zacisnął oczy i przytknął dłonie do uszu. Gdy nieco oprzytomniał, dr Znamięcka myła ręce i rozmawiała z radzieckim oficerem. Kilku mężczyzn siedziało na ławie pod oknem paląc w milczeniu papierosy. Zawarczał odjeżdżający samochód.

— Opatrunki, morfina, to wszystko, co można było zrobić. Im potrzebny szpital. Rozumiecie? Sala operacyjna.

— Za pół godziny powinni być na miejscu. Dobrze, że śnieg nieduży — odpowiedział oficer.

Na podłodze walały się strzępy odzieży, szmaty, z których snuła się woń spalenizny i resztki opatrunków z burymi łatami krwi. Strzelczyk obciągnął biały kitel narzucony na szlafrok i zbliżył się do ludzi. Ucichł już warkot ciężarówki, przestały uderzać kilofy i łopaty. Za oknami szarzało, wschodził świt. Aptekarz oparł się o ladę. I na marmurze była krew.

Otworzyły się drzwi. Wypęska weszła do apteki i ze zbolałym uśmiechem zwróciła się do lekarki.

— Pani Isiu, czy mogę być w czymś pomocna? Straszny wypadek — Znamięcka odpowiedziała wzruszeniem ramion.

— Ranni odjechali. Już po wszystkim. Co robić? Trudno mi radzić.

— Niech zetrze krew! — krzyknął piskliwie Strzelczyk wskazując palcem Monikę. — Krew! Niech ona zetrze!

Aptekarz wybiegł zza lady. Skulił się, jakby chciał skoczyć Wypęskiej do gardła.

— Co to znaczy? — spytał oficer.

— Nie wiem, nie rozumiem... — Wypęska cofała się, aż plecami dotknęła ściany. Wtedy krzyknęła. — Ratujcie! On zwariował!

— No, bez figli, obywatelu — powiedział jeden z mężczyzn i podniósł się z ławy. — Dosyć hecy! Magister...! Pomóc, to nie umiał, a teraz psa udaje!

Strzelczyk zatrzymał się i naraz wybuchnął głośnym śmiechem. Klepał się po udach i chichotał opętańczo. Ochryple wył.

— Ty diabła nie udawaj! Słyszysz? — zawołał rozzłoszczony oficer. — Stój! *Saszoł z uma?!*

Aptekarz wrzasnął raz jeszcze „Niech zetrze krew!" i wypadł na ulicę. Biegł dobrze widoczny w skąpym świetle poranku. Poły białego kitla rozwiewały się łopocząc jak prześcieradła na wietrze. Magister minął rynek i pędził dalej w stronę żydowskich ruin. Z daleka przy-

pominał gęś, co jesienią przebiega ogród i macha skrzydłami udając odlot w ciepłe kraje.

— Ktoś musi za nim pójść. Gotów zwariować naprawdę. — Znamięcka spojrzała na Monikę. — Może pani? Pani tu przecież mieszka?

— Lepiej zawołać Hanię. To jego gospodyni i kochanka. Poradzi sobie najłatwiej. Boże, ależ mnie przestraszył!

— Ja pójdę po pana Strzelczyka — obejrzeli się. W drzwiach prowadzących do składu za apteką, stała chuda dziewczynka o niebieskich oczach i jasnych włosach wymykających się niesfornie spod wojskowej furażerki.

— Chcesz iść, Cesiu? — rzekła z ulgą Wypęska. — To bardzo ładnie, moje dziecko. Wstąp jeszcze na górę i powiedz pani Hani, że magister nagle zachorował.

Cesia skinęła głową, lecz poszła prosto w stronę starych gruzów.

— Więc ja sama uprzedzę Hanię... — odezwała się Wypęska i pożegnała uśmiechem oficera.

Rosjanin zapalił papierosa i mruknął do siedzących pod oknem.

— Pójdziemy. Paskudna sprawa, towarzysze. Ja w takie przypadki nie wierzę... — wojenny komendant Bradczyc kojarzył nocny nalot z kolumną benzynową i taborami rozlokowanymi w pobliskich zagajnikach. Nie mógł wyzbyć się myśli, że hitlerowskie samoloty nie polowały na ślepo. Ktoś, znajdujący się niewątpliwie w pobliżu, kierował maszynami i wskazywał cele. Tego informatora należało znaleźć i to jak najprędzej. Na poruczniku ciążyła odpowiedzialność, poza licznymi obowiązkami narzuconymi przez wojnę, za spokój miasteczka i bliskich wiosek. O tym myślał idąc do budynku z blaszanym dachem, zwanego szumnie ratuszem.

Andrzej zwrócił się do Znamięckiej:

— Poprosimy panią doktor na posterunek. Trzeba wypisać papierki, kto i jak został ranny. Dość umierania bez dokumentów.

— Pan w milicji?

— Na razie. A wie pani, że tamci przebili się za Wisłę. Podobno sławni ludzie! Dowódca został kapitanem, inni — awansowani. Wczoraj był tutaj oficer, znajomy i prawie mój sąsiad, bo z jednej osady jesteśmy rodem. Opowiedział wszystko dokładnie. No, i od razu lżej, że nie poszło na marne. Szymonik i Chwiostek, pani ich nie znała, to byli dobrzy ludzie i żołnierze dzielni. Prosiłem wczoraj: weź mnie ze sobą, bo oficer jechał na Warszawę. Ale nie! Uśmiał się z mego biadolenia. Wymyślił sto chorób i wszystkie wyczytał mi z twarzy.

— Trzeba wypocząć. Wiosenne słońce doda sił — powiedziała smętnie Znamięcka. Myślała z niechęcią o przyszłości na pewno obfitej w trudności. — Z każdym dniem będzie lepiej. Dobrze, że pan został. Człowiek słaby nie zwojuje wiele.

— Duszę się tutaj. Muszę jechać. Jak nie Warszawa, to Kraków. Tam formuje się wojsko. Jutro będzie okazja. Ciężarówki mają przywieźć mąkę i cukier ze stacji, więc mogą podwieźć do kolei. A stamtąd już da się radę.

— Do Krakowa? Wcale dobra myśl.

— Pojedziemy razem? — spytał Andrzej zaskoczony nagłym postanowieniem lekarki. — Ma pani ochotę? Podróż nie taka łatwa.

— Gdybym nie chciała, nie mówiłabym o tym. Na prawo czy na lewo?

— O, tu — Andrzej otworzył drzwi, a Znamięcka powiedziała ostro, żeby uchylić okno, bo pokój pełen był dymu. W chwilę później pisała, zamykając w krótkich sformułowaniach kalectwo, rany i śmierć mieszkańców sąsiedniego domu. Z głębi pokoju dolatywały ściszone głosy mężczyzn.

— Ciężarówki nie pojadą na stację, bo dziś w nocy kolumna odchodzi w drogę.

— Trzeba wyznaczyć, kto ma dać podwodę. U młynarza dwa wozy, Oruński ma jeden, ale duży... Sańmi nie przejedzie. Wyżej śnieg leży znaczny, ale szosa odkryta do kamienia. Wiatr wywiał wszystko.

— No i słońce przygrzewało w południe. Tak, saniami nie poradzi. Muszą być wozy, wiadoma rzecz, będą. Bieda tylko z ludźmi, bo mało kto chce jechać. Dwa dni jak nic zlecą.

— Nie taka znów trudna sztuka! Wyznaczyć silnych chłopów i po kłopocie. Podpiszą papier i w drogę!

— Wolno, wolniuśko, bo zajedziecie w głupstwo. Wspomniałem komendantowi o tym, tak rzecz przedstawiając, jak i wy mówicie do mnie. Spojrzał zdziwiony i spytał, czy jest u nas Partia. Przecież że jest. Pochwalił, lecz zaraz dodał niby nie znacząco, że u nich partyjni pierwsi są na wojnie i przewodzą w pracy. Kto wlecze się w ogonie, ten nie komunista. Ha, niemiłe słowa, ale głupie nie są, więc trzeba je uznać...

Dr Znamięcka położyła podpis i oddała protokół. W drzwiach odwróciła się.

— Panie Andrzeju...

Wyszedł za nią. Czekała w ciemnawej sieni.

— Chcę zajrzeć do apteki. Może wrócił Strzelczyk? Pójdzie pan?

— A, dobrze. Nie jestem tu uwiązany — odparł Andrzej nieco zdziwiony. — Chodźmy.

Na ulicy stanęli mrużąc oczy. Było prawie ciepło. Słońce spoglądało znad dachów, a w oknach kołysały się narodowe flagi nadając szarym budynkom wygląd świąteczny i radosny, od którego serce zaczynało bić żywiej. Na chodnikach gromadzili się ludzie. Zadzierali głowy i patrzyli nie dowierzając oczom, choć sami zatykali chorągwie uszyte przez żony. Oto Polska w oknach, na ratuszu, na całym rynku!

Andrzej i Znamięcka milczeli. Było co wspominać, było nad czym myśleć. We wrześniu, o jakże to dawno, poniosła ją piechota na pola i w lasy. Wtedy Polska żyła w złotych pyłach nad kolumnami żołnierzy, w błyskach bagnetów i iskrach na szablach. Szła drogami odwrotu i z każdym konała piechurem. Potem na długo znikła z okien, znad bram i z chorągwianych masztów. Przestała być ozdobą wystawy narodowych uczuć. Doprawdy, można powiedzieć bez przesady, że Polska zawędrowała wreszcie do wiejskich chat i robotniczych mieszkań. I stamtąd, nowi ludzie zabrali ją ze sobą do leśnych obozowisk. Cóż z wyliczania partyzanckich strzałów, zwycięstw i klęsk powstańczej barykady? Szeleszczą płótna chorągwi nad głową: powróciła Polska przyniesiona zbrojnym tętentem ludzi i maszyn ciągnących ze wschodu.

— Dziwnie i strasznie zarazem, gdy się spogląda w przeszłość. Pan pewnie nie zna tego wiersza:

Krew koszulę ubiera nam w sztandar.
Szturmem, szturmem uderzym na dworce,
My, nie wiedzieć czyja awangarda.

i to prawdziwe szczęście, bo dalej jest w nim taka zwrotka:

A historia okłamie nas jutro,
Groby nasze wyrówna znów obcy,
My walczymy, nie mówiąc, że smutno
I nie armia, nie wojsko — my — chłopcy!

Więc to wszystko już poza nami. Jest znowu Polska... — Znamięcka odwróciła głowę. Bała się, że lada chwila wzruszenie zamieni się w łzy, a łez wstydziła się bardzo.

Andrzejowi nastroje lekarki wydały się mało zrozumiałe i po kobiecemu ckliwe. Odpowiedział pogodnie i jak na wiek zwycięski przystało, prawie chełpliwie.

— Co też pani doktor mówi! Przecież Polska zawsze była. W tym tylko rzecz, że nie w każdym człowieku. — Chłopiec spoważniał opanowa-

ny jakimś złym wspomnieniem. — Tak to jest. Kruka nawet mydło nie odmieni, jak powiada Jaskółka. Wie pani, gdyby nie on, nie patrzyłbym na chorągwie i słońce. Leżałbym razem z Szymonikiem i Chwiostkiem pod dębem w polu.

— Ach, więc to tam...

— Jak Jaskółka mnie wyniósł, nie pamiętam. Stary nie lubi się chwalić. Pojechał z Tulikową na stację. Spodziewają się córki w gajówce, bo dostali wiadomość, że Katarzyna otrzymała urlop i jedzie z wojska do domu. Jak Tulikowa wyliczyła, że córka dziś wraca, a nie na przykład jutro, to już tajemnica matki.

Doszli do apteki. Nad głową kozła ze złotymi rogami tkwiła flaga. Andrzej szarpnął klamkę, nie puściła. Zajrzeli do środka: apteka pusta, lecz już sprzątnięta i wyszorowana do czysta. W oknie kartka:

Zamknięte
z powodu Wyzwolenia
i choroby.

— Chodźmy na górę.

Na schodach spotkali starą Zakrzewską. Schodziła trzymając się oburącz poręczy. Bała się wysokości od czasu Powstania. Spędziła dwa dni w mieszkaniu, zanim złączono drabiny i ściągnięto ją na dół.

— Cesia nie wróciła?

— Przyprowadziła pana Strzelczyka i tyle ją widziałam. Chciałam zatrzymać, żeby choć coś zjadła, ale powiedziała „Mamo, nie masz pojęcia, jakie to ważne!" i znów gdzieś pobiegła. Co ważne, co takie pilne, Bóg raczy wiedzieć. — Zakrzewska westchnęła. — Już było tak raz, w Powstanie. Przepuście mnie państwo, idę popatrzeć na chorągwie. Słyszałam, że będzie cukier i mąka.

Drzwi do mieszkania magistra były uchylone. Andrzej puścił Znamięcką przodem, a sam zatrzymał się w progu.

— Zaczekam tutaj. Nie wiadomo, co wariatowi strzeli do łba. Zobaczy obcego i znów opęta go licho. Panią zna. Pani doktor, inna sprawa. Musi zrozumieć, choć pomylony.

Wypęska, usłyszawszy głosy na schodach, odetchnęła z ulgą. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo stała między szafą i łóżkiem, przyparta do ściany gniewnie falującym ciałem gospodyni magistra. Przerażała ją nieruchoma twarz Hani i milczenie, bowiem dziewczyna nie odzywała się słowem. Podparła się pod boki i zwęziwszy oczy patrzyła na Wypęską, jakby liczyła jej zmarszczki. Tylko kobieta znająca swój wygląd

bez pudru i szminki, jest w stanie zrozumieć ogrom pogardy, jaki był w tym spojrzeniu.

Gdy Strzelczyk zasnął, Hania poszła do Wypęskiej pędzona złością nie ujętą jeszcze w plan działania. Oparła się o drzwi i dłuższą chwilę nie postąpiła kroku. Poprzestawała na niemej drwinie, na jaką stać młodą dziewczynę w obliczu arsenału kosmetyków służących przywiędłej rywalce. Przyjrzała się bacznie Wypęskiej i złożyła wybryk magistra na karb wariacji i bomb.

— Haniu? Co to wszystko znaczy? Niechże Hania siada. — Monika zyskała tyle, że dziewczyna ruszyła ku niej zaciskając dłonie.

— Haniu! — Wypęska zerwała się z krzesła i stanęła za stołem. — Proszę w tej chwili opuścić mój pokój! Albo usiąść! Tu jest fotel!

Okrążyły kilka razy stolik, a potem Monika rzuciła się do drzwi. Dziewczyna zastąpiła drogę. Wypęska cofała się, aż poczuła ścianę. I tak tkwiły naprzeciw siebie, jedna omdlewająca ze strachu, druga dysząca nienawiścią.

Oczekiwanie na awanturę jest przykrzejsze od wyzwisk i krzyków. Hania lżyła wzrokiem, lecz nie odrywała rąk wspartych na biodrach. Gdyby nie głosy na schodach, stałyby zapewne dłużej i kto wie, do czego by doszło. Rozmowa Isi z Andrzejem położyła kres milczącym porachunkom. Hania wykręciła się na pięcie i spokojnie poszła do wyjścia. Przystanęła na chwilę. Zmierzyła Wypęska raz jeszcze i rzekła:

— Głowa siwieje, dupa szaleje... Tfu! Jutro furmanki jadą na kolej. Żebym nie przypominała!...

Wypęska rzuciła się na łóżko. Kopała pościel i jęczała gryząc palce.

— Tak, tak! Wyjechać! Dosyć poniewierki! Jadę! Ani chwili dłużej!

Minęła pierwsza złość. Monika odszukała butelkę zapomnianą przez niedoszłego kochanka i przechyliwszy wypiła tęgi łyk. Potem doprowadziła twarz do porządku i przestraszona dostrzegła zegarek. Zbliżała się godzina, o której zwykła wychodzić na dłuższy spacer. Ubrała się więc śpiesznie i wyjrzała na schody. Na dole Znamięcka pouczała Hanię, jakie i kiedy ma podawać lekarstwa choremu.

— A mnie książę zaprosił na bal... Słyszycie? Książę mnie prosił do siebie... Wiecie? — rozległ się niespodziewanie znużony głos. — Książę! Mnie, magistra!

— Na szczęście zdaje się zwariował... — mruknęła Wypęska i przymknęła drzwi, by przeczekać tupot Hani biegnącej na górę. Wkrótce potem zbiegła po schodach i wymknęła się do ogrodu. Szła na cmentarz, jakby uciekając od turkotu wozów i gwaru ludzi, którzy wypeł-

niali plac przed ratuszem. Schodzili się już okoliczni chłopi na wielką manifestację, której nikt nie chciał opuścić, bo była pierwsza pod polską flagą. Czasu było dość. Dopiero ustawiano wzniesienia dla mówców.

Z dworu tylko sędzia zaryzykował wycieczkę do Bradczyc. Okrążył już rynek i zdążył pokiwać głową nad zburzonym domem, gdy zobaczył Znamięcką wychodzącą z apteki „Pod Kozłem".

— Halo! Pani Isiu! — zawołał podnosząc laskę, którą wziął w drogę w obawie przed ślizgawicą.

— Chodźmy coś zjeść. Przyznam się, że jestem porządnie zmęczona. Opowiem, opowiem, niech pan będzie spokojny! O, przepraszam. Panie sędzio, oto mój pacjent...

— Bardzo miło widzieć pana w zdrowiu — rzekł sędzia i roześmiał się nagle. — Ładne bliźniaki, co, pani Isiu? Hm.

Urwał, bo Znamięcka zaczerwieniła się po uszy. Sędzia zakaszlał i czując, że palnął głupstwo szybko zmienił temat.

— Ha, spróbujemy. Co prawda, przed szynkiem tłum ludzi, więc wątpię, czy wciśniemy się do środka. Pani da sobie radę, w to wierzę, lecz ja? Na dodatek laska! Zatem prawie dwie osoby! A więc! A więc! Idziemy!

— Liczę na pana, panie Andrzeju. Opaska, broń, każdy widzi z daleka, że urzędowa osoba zmierza do bufetu. Dostaniemy się, prawda? Maleńka protekcyjka dla znajomych i... przyjaciół? Nie odmówi pan? Właściwie drobnostka...

Andrzej kiwnął głową. Gdy podeszli bliżej, powiedział do mężczyzn tłoczących się u drzwi.

— Obywatele, rozstąpcie się trochę, tu jest pani doktor, która ratowała ludzi. Chciałaby odpocząć i zakąsić, bo mieszka daleko. Dajcie przejście, panowie...

— Jakto? Panie Andrzeju, pan odchodzi? — krzyknęła Isia zaskoczona. — Przecież... No tak, obiecałam kiedyś panu wódkę!

— Prawdę mówiąc, to nie raz, ale dwa, proszę pani doktor. O zaprosinach pamiętam. Cóż robić, nie składało się dotąd. Może więc przy innej okazji... Ja już pójdę.

— Co ugryzło smarkacza?... — szepnęła Znamięcka patrząc za oddalającym się chłopcem. Dostrzegła zdumioną minę sędziego i dodała już obojętnym tonem. — Dziwak!

— Zapewne, łaskawa pani — przyznał uprzejmie Masłowiec i podziękowawszy chłopom ukłonem, wszedł za lekarką do knajpy.

Usiedli pod ścianą. Sędzia zamówił jedzenie i wódkę. Spoglądał spod

oka na towarzyszkę, bezradny wobec uporczywego milczenia. Co Masłowiec zaczął, to Znamięcka ucinała roztargnionym „Słucham?“ Rozmowa nie kleiła się. Ani w ząb! Wreszcie sędzia odsunął talerz i rzekł rozdrażniony.

— Ejże, pani Isiu! Co to wszystko znaczy! Od pół godziny nie słyszę ludzkiego słowa, tylko „Słucham, proszę, i tak jest“. Cóż to, jest pani rekrutem, a ja dla odmiany kapralem? Pani łaskawa, gdzie leży przyczyna tych dąsów? Hm, no tak. — Masłowiec stropił się, bo na spokojnej zazwyczaj twarzy, zobaczył grymas cierpienia nie do ukrycia. — Pani Isiu, co pani jest?

— Nic. To wszystko nie ma sensu — odpowiedziała wolno. — Niech pan zamówi jeszcze jedną wódkę.

— Zatem, powodem jest ów przystojny chłopiec, który pożegnał nas przed chwilą? Czy tak? Bądźmy szczerzy. Pani wybaczy, tu trzeba rzecz postawić otwarcie. Inaczej nie warto dotykać tak delikatnej kwestii jak uczucie. Proszę mówić. Rozmowa, to nie loteria. Tu nie ma ciągnienia i słowa to nie losy!

— Chybione porównanie. Właśnie słowa stanowią czasami o losach.

— Nie słowa! Nie słowa, pani Isiu, lecz uczynki, które przychodzą po słowach. A to jest różnica!

— Wierzę, nie spieram się i ustępuję z placu. Wracając zaś do chłopca, ma na imię Andrzej, nazwiska nie ujawnia, muszę sprostować pańskie domysły, panie sędzio. Nie flirt i nie romans. Po prostu sytuacja, na której tle odżywa przeszłość, pozornie zapomniana i wymazana sakramentem z pamięci. To bardzo dawne dzieje...

— Przecież pani...? No, nie pytam o lata!

— Wystarczą dzieci. Nie ma bardziej bezlitosnego kalendarza dla starzejącej się kobiety — uśmiechnęła się Znamięcka. — Lecz to nie moja troska. Wie pan, czasami spotykam mężczyzn, ba, nawet chłopców, jak się okazuje, którzy wywołują we mnie wspomnienia starej i właściwie śmiesznej historii. Może opowiem panu kiedyś. Dziś raczej nie. Pan się będzie śmiał.

— Nie sądzę. Miłość porównuję czasami do amnestii. Przekreśla wady charakteru, kawalerskie grzeszki i usterki ciała. Spotykamy piękną kobietę u boku garbusa, prawda? Widzimy wspaniałych chłopców rozbijających sobie łby o jakąś niemrawą brzydulę. Pani ma rację. Najczęściej tak jest. To, co my robimy, to wzniosłe i niepowtarzalne. A inni w tej samej sytuacji są śmieszni lub rozpustni.

— Ach, nie. To był przystojny człowiek... Przekonałam się, że słowa

znaczą dużo, gdy zabraknie odwagi, by je cofnąć w porę. Z nieopatrznego słowa — błędny krok i oto, całe życie zamienia się w komedię pomyłek. Życie staje się kiepską sztuką, źle graną, źle napisaną i licho wystawioną. Wie pan, taka współczesna komedia, w której nic nie bawi, nic nie wzrusza, chyba tylko nieudolność autora. A ponieważ to jednak życie, więc tylko do siebie można mieć pretensję.

— Zaczynam rozumieć... — Masłowiec pokiwał smętnie głową. — Miłość potrzebna jest i sztuce i życiu. Cóż bowiem bez niej? Zostaje praca, ale pożal się Boże jaka!

— Czasami zostają dzieci.

— Zapewne. No, cóż. Mnie się wydaje, że właśnie czasami, warto wrócić i wejść na wygodniejszą drogę.

— Nie takie łatwe. Ale rozgadałam się dzisiaj.

— I to potrzebne człowiekowi. Co się tam stało? Mam nadzieję, że nie samoloty!

Knajpa opustoszała w mgnieniu oka. Nawet właściciel wybiegł do drzwi, a z kuchni wyjrzały zaciekawione pomywaczki i kucharka.

— Złapali szpiegów, proszę państwa! — oznajmił triumfująco szynkarz. — Nic dojrzeć nie mogę, ale zdaje się, że wiodą ich na tę nową policję!

— Możliwe. Od rana trwają rewizje w poszukiwaniu radiostacji. Podobno w związku z bombardowaniem.

— Szpiedzy? Hm, ciekawe. O ile siebie znam, nie jestem szpiegiem. Zatem, możemy dokończyć rozmowy i wypić jeszcze małe piwo.

A na rynku rósł tłum napierając na drzwi ratusza. Rozniosło się bowiem, że córka niejakiej Zakrzewskiej znalazła szpiegów i składa przed milicją zeznania w tej sprawie. Wołano, by ruszać bez zwłoki po sprawców nalotu i innych jeszcze nie wykrytych zbrodni. Rozumiano, że szpiegów powiesi się od ręki, zanim rozpocznie się wiec.

Komendant milicji był człowiekiem starszym i traktował serio zaufanie, jakim darzyli go mieszkańcy miasteczka. Słuchał z niepokojem wzburzonych głosów za oknami, wcale nie zachwycony uporem Cesi. Dziewczynka domagała się wiary dla swoich zeznań. Do powątpiewania nie było powodów. Wystarczyło powiedzieć „hitlerowcy", by każdy uwierzył w jakąkolwiek podłość.

Na pierwszy rzut oka nic prostszego. Posłać paru ludzi do żydowskich ruin, wydobyć szpiegów z podziemia i w śledztwie ustalić, z kim utrzymywali łączność. Ale tłum ruszy za milicją. Zanim przejdą parę kroków, nie zostanie śladu po winnych. A tu sprawa należała do sądu

i jeśli wieszać, to z mocy wyroku. Bowiem rzeczywistość istniejąca zaledwie od doby, powinna oznaczać koniec dotychczasowego bezprawia.

— Jeżeli będziecie czekać do zmroku, to możecie nie fatygować się wcale!

— Cicho, smarkata! — komendant spojrzał na towarzyszy.

— Można by pójść ogrodami i zebrać się koło cmentarza.

— Poproście radzieckiego porucznika, niech da ludzi dla osłony.

— Oj, wolno! Nałykamy się wstydu. Ja w te bajki nie wierzę. Tobie ten pies się przyśnił! Takie małe lubią kłamać.

Na to wszedł Andrzej. Od powiedzenia Cesi „Chcę złożyć zeznania" minęło pięć, może sześć minut.

— Prowadźcie do wojennego komendanta! — krzyknęła dziewczynka. — Ja go przekonam! Co wojskowy, to wojskowy!

— Trzeba iść i to zaraz. Przekonałem się na własnej skórze, że zwłoka nie wychodzi na dobre.

— Weźcie kilof i łopatę.

— Tylko... zgodnie z prawem!

— Wiadomo. — Andrzej chwilę zwlekał. Komendant spojrzał zdziwiony. Chłopiec mruknął — Minutkę... — i wyszedł na ulicę. — O, już można — powiedział wróciwszy.

Na ulicy rozległy się znów okrzyki, głośniejsze od poprzednich. Tłum huczał podniecony nową wiadomością.

— Aptekarz wyskoczył oknem! Mówił ten młody partyzant!

Ludzie odwrócili się od ratusza i popędzili co tchu w kierunku apteki. Komendant uśmiechnął się do Andrzeja i lekko pogroził palcem.

— Nabierasz ludzi... Trudno. Inaczej nie odeszliby stąd. Szkoda, że jedziesz.

— Obiecałem rodzinie, że napiszę z Berlina. Przecież i to miasto trzeba oswobodzić.

— Berlin? Oswobodzić?!

— A pewnie. Z faszyzmu. — Andrzej zamknął drzwi i dopędził chłopców. Szli bocznymi uliczkami obchodząc rynek wokoło.

— Co ty tam tłamsisz pod kurtką? — zagadnął zrównując się z Cesią.

— Granat. Nie bój się. Nie odbezpieczony.

— Hm. Kapota po ojcu?

— Nie. Z RGO. Ojca zabili na Dworcu Zachodnim.

— Co był?

— Murarz.

— Dobry fach, ale sezonowy. Wiem, bo wuj pracował na budowie. Nie zimno ci?

— Nie.

— Z granatem nie wyrywaj się pierwsza.

— Ty dowodzisz?

— Chyba widzisz!

— No, trudno... Ach, nic. Tylko proszę cię nie spapraj sprawy! Ruiny, to nie las.

— Co ty mnie tykasz!

— Taka tutaj moda. Nic dziwnego. Dwa domy na krzyż.

Andrzej zaklął z cicha, lecz zerkał na Cesię coraz przyjaźniejszym okiem. Odezwał się już innym tonem.

— Ile masz lat, Cesiu?

— Chcesz się żenić? Zaczekaj. Piętnaście.

— A już! Właśnie! Jak tylko wrócimy!

— Phi! Dałaby ci siwa! No, ta lekarka.

— A ty skąd wiesz? — Andrzej zaczerwienił się mocno, bo milicjanci wybuchnęli śmiechem. — Kłuje w oczy? Nie taka ona siwa, jak ci się zdaje. Wstyd, mała, a już pleciuga. Ot, baba.

— Nie latała do gajówki? Powiedz, że nie! Goniła, jakby co rano siadała w naftę. Pewnie do starego Tulika tak ją ciągnęło... — Cesia uśmiechnęła się porozumiewawczo do chłopców. — Ciekawe, co Tulikowa na to. Dużo pomogła. Oczy wpadły, gęba szara i to nazywa się partyzant.

— A ty Jaskółkę znasz? — spytał Andrzej podejrzliwie.

— Pewnie. Załatwialiśmy pewne sprawy razem.

— Konspiratorka!

— Tyś kanału na własne oczy nie widział? Phi, tak też myślałam. Pilnuj się mnie, bo cię znowu gdzieś postrzelą i siwa oczy wypłacze.

— Czego rozdymasz nos?

— Zawsze tak robię przed akcją.

Andrzej machnął ręką. Głębiej nadział czapkę i dał spokój dziewczynie. W wylocie uliczki widać już było żydowskie ruiny połyskujące w słońcu resztkami śnieżnej bieli.

— Pamiętaj o granacie — upomniał porzucając żartobliwy ton rozmowy. — Prowadź, żeby nie wałęsać się tam i sam. Po co im tupać nad głową? Może akurat drzemią.

— Tak jest! — i wysunęła się naprzód wskazując drogę.

Zbliżali się półkolem do pagórka leżącego o kilkanaście kroków od

ścieżki, w którą zmieniła się istniejąca niegdyś ulica. Wśród domów nie czuło się chłodu, a tu wiatr dął porządny i mroził słoneczny dzień powiewem znad rzeki i bagien...

Podmuchy niosły woń ludzi i w czas ostrzegły owczarka. Pies ukrył się w dołku i niespokojnie węsząc czekał, co stanie się dalej. Instynktem wyprzedził szybki bieg wypadków. Wyczołgał się z gruzów i spuściwszy ogon, pomknął z powrotem. Kryjąc się zręcznie pomykał bruzdami do kępy widocznej za murem cmentarza. Tam z ręki kobiety otrzymał cięgi, jakby z jego winy gra była przegrana. Obity uciekł w pola. Z nastaniem nocy pobiegł znanym tropem, lecz zmyliwszy ślady zawrócił i dni parę krążył wokół Bradczyc. W jakiś czas potem pojawił się na szosie wiodącej na północ. Jechały nią wozy wiozące ludzi. Pies z dala towarzyszył taborom, aż zawołano na niego z jednego z wozów. Przybiegł i widać pogodził się z losem, bo już nie odstąpił kolumny.

...Byli o krok od rozpadliny. Dla człowieka zbyt ciasna, dla psa stanowiła przejście w sam raz odpowiednie. Obok na śnieżnej płachetce utrwalił się odcisk dużej łapy.

— Tu?

Cesia skinęła głową. Andrzej odsunął dziewczynę i kilofem poszerzył otwór. Trzej chłopcy z opaskami milicjantów trzymali broń w pogotowiu. Światło latarki przesunęło się po klepisku, liznęło rąbek sklepienia, lecz w głąb nie sięgało. Piwnica zionęła stęchlizną i ciszą. A jednak, Andrzej tego był pewien, loszek służył ludziom przez dłuższy czas za kryjówkę. Więc mrugnął wesoło do Cesi.

— Miałaś nosa, smarkula. Teraz i ja czuję. Hitler aż wierci w nosie.

Andrzej pochylił się i krzyknął:

— *Und jetzt* — wychodzić! *Alles raus!* — dodał też parę innych słów niezwykle wdzięcznie brzmiących, lecz te, dziejopisarze przywykli już opuszczać.

Szpiedzy, rzecz jasna, ani mru-mru. Andrzej zeskoczył do piwnicy, za nim dziewczyna i trzej pozostali chłopcy. Pustka, cisza... W rogu podziemia wyrwa w murze, ślad po drzwiach odgradzających piwnicę od ciemnego korytarza. Jak często bywa w walce, tak stało się i tu. Błąd jednej strony przeoczyła druga i sama ściągnęła na się klęskę. Hitlerowcy, słysząc ponownie wołanie „*Alles raus!*" nie rzucili granatów do piwnicy. Zwlekali. Liczyli, że nacierający ulegną ciszy i zanurzą się w wąski i niski korytarz.

Więc Andrzej cisnął pierwszy. Wybuch osiadał wolno pyłem. Potem rozległy się jęki i poleciała seria z automatu. Pryskał mur i rykoszety

przecinały mrok. Znów granat. Wybuch i krzyk niemiecki o zaprzestanie ognia.

W ciągu tych kilku minut Beckmann przebył znaczny odcinek podziemnego przejścia łączącego kryjówkę z zapasowym wyjściem. Był już o parę kroków od celu. Wystarczyło rozsunąć cegły i wykorzystując ostatnie strzały walki, przemknąć się nad rzekę i dalej w las.

Usłyszawszy za sobą kroki, Beckmann przystanął. Chrobot zbliżał się szybko, wbrew rozkazowi obrony do upadłego. Lecz to nie esesmani opuszczali stanowiska. Radiotelegrafista Ernest Schirm dążył za oficerem próbując uciec przeznaczeniu. Schirma przydzielono do grupy rozkazem wyższego dowódcy, bowiem słynął jako doskonały fachowiec, a taki potrzebny był Beckmannowi do wykonania zadania. Kompanów nienawidził i nie chciał dzielić z nimi losu, lecz jeszcze bardziej — bał się oficera. Dotykał zdyszanym oddechem twarzy dowódcy i szeptem przynaglał do pośpiechu. Widział już smugę słońca przecinającą ciemność jak błysk latarki skierowanej w noc. Wyjść, przeczekać pierwszy gniew i poddać się zrzucając ciężar spółki. Tak myślał Schirm, lecz Beckmann był innego zdania. Rozkazał krótko.

— *Kehrt um!*

Radiotelegrafista odwrócił się posłusznie. Esesman podniósł rękę i gdy lufa przesunęła się nad kołnierz, wystrzelił. Huk zarwał zmurszałe sklepienie. Posypały się cegły i bryły ziemi, przykrywając ciało. Beckmann wydostał się z nory i upatrzywszy następne schronienie pobiegł, mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem.

Wybuch drugiego granatu zagłuszył śmierć Schirma. Dwaj hitlerowcy wynieśli trzeciego i położyli w środku piwnicy. Wyprostowani sięgali rękami sufitu, lecz to już nie dawni żołnierze SS, dobierani pod dwumetrowy kij i porośnięci jasną szczeciną na rasowych pyskach. Ci mieli szczeć podlejszą, dziwacznej barwy, nie rudą i nie czarną. Tylko szujowate gęby nawiązywały do tradycji. Spod spuszczonych powiek wodzili wzrokiem za lufą pepeszy i ukradkiem jakby w obawie nowej strzelaniny, zlizywali strach z rozdygotanych warg.

Wreszcie koniec. Zabrano broń i przetrząśnięto legowiska.

— Ilu was było?

— Pięciu. Brakuje oficera i radiotelegrafisty.

— Gdzie dwaj?

— Pewnie uciekli. Tam jest drugie wyjście.

— Kłamie. Przejście zasypane gruzem. Próbowali wykopać się z nory, ale nie zdążyli. Pozwólcie, obywatelu dowódco, dam mu raz w mordę. Zaraz dowiemy się, który jest starszym.

— Zostaw żarty. Gdzie pies?

— Nie wiemy.

— Odpowiadaj tylko za siebie? Rozumiesz?!

— Tak jest! Gdzie pies — nie wiem.

— Potem dowiemy się reszty. Wychodzić.

W otworze niebo, obłoki i obtargane spodnie chłopca z milicji. Esesmani dźwignęli rannego i zaczęli gramolić się w górę. Ruszono w powrotną drogę. Szli wolno, hamowani ciężarem zwisającego coraz bezwładniej hitlerowca. Przed domami Andrzej powiedział do Cesi.

— Pobiegnij naprzód i sprowadź jeszcze kilku. Jak ich ludzie dojrzą, to każdy weźmie po kawałku i dla sądu zostaną guziki.

— Już idę. — Cesia pochyliła się, by zawiązać sznurowadło.

Hitlerowcy grzmotnęli kamratem o ziemię i skoczyli w bok. Cesia wczepiła się w esesmana, ten odwinął się nagle i błysnął nożem.

— Gdzie go krył, ścierwo...! Czekaj no ty...

Dziewczynka krzyknęła i upadła. Hitlerowcy gnali w ruiny. O metr od zbawczych ułomków murów, pochwyciły ich kule i ułożyły w topniejącym śniegu. Nieruchomieli w dziwacznych pozach, dopiero teraz podobni do ludzi. Milicjanci opuścili broń.

— Uderzył cię, Cesiu?

— Trochę.

Chustką tamowała krew, uśmiechała się, ale bladła w oczach.

— Weźcie ją pod rękę i biegiem na rynek. Lekarka pewnie siedzi w karczmie.

Andrzej został z kolegą. Zapalili, osłaniając dymem skwaszone miny.

— Przepowiedziała dobrze. Spaprałem sprawę. Odwykłem jakoś, czy co? Sam nie wiem. No, Ceśce nic nie będzie, ale mogło się obejść bez tego.

Spojrzał na trupy i pokiwał głową.

— Głupcy. Uparli się z nożem iść na tamten świat, ale spod „pepeszy" nie uciekniesz łatwo... Ten zipie i doczeka się sądu, choć udaje trupa. A tamtych — Andrzej zaciągnął się mocniej — możemy już zapisać do niepalących na wieki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Stanisław Zieliński

LESŁAW BARTELSKI

ZŁOTA GÓRA

— Jedziemy teraz po moście — powiedział basem inżynier Ż., stojący przy szoferze na przodzie autokaru i udzielający wyjaśnień. Wychyliliśmy się przez otwarte okna, lecz nie dostrzegliśmy żadnych śladów rzeki. W jasnej, czerwcowej nocy, nakrapianej obficie gwiazdami, ciemniała płaską plamą po obu stronach drogi zwyczajna łąka. — Ależ tu nic nie ma! — wykrzyknął któryś z dziennikarzy. — Ani mostu, ani strumienia — dodał tak zawiedzionym tonem, że wybuchnęliśmy śmiechem. — Nie ma? — inżynier Ż. zdziwił się, jakby ktoś zaprzeczał czemuś bezspornie oczywistemu. Poważnie dorzucił. — Nie ma, ale będzie. I most, i rzeczka, Przerzucimy ją tędy. Na przyszły rok.

Poza nami, już prawie na skraju horyzontu, daleko, jaśniały niczym odbicie gwiaździstego nieba światła Nowej Huty. Byliśmy zmęczeni, już drugi dzień autokar był naszym domem, wraz z wycieczką dziennikarzy objeżdżaliśmy nim osiedla budowlane. Oczy bolały od szybko zmieniających się krajobrazów. Wstęgi pól bielejących kwitnącym żytem czy zieleniejących redlinami kartofli ustępowały łąkom i pastewnikom, lasom czy zagajnikom. Pejzaż podmiejski wstępował ogródkami przy domkach krytych papą lub świecących blachą. Miasta, przez które przejeżdżaliśmy, dziwiły nowymi osiedlami. Nigdy bym nie przypuszczał, że budujemy tak wiele; wyjechaliśmy z Warszawy, z placu Dzierżyńskiego, na którym świeciły świeżymi tynkami nowe domy, by po trzech godzinach drogi zobaczyć Radom, a następnie, jadąc dalej, ujrzeć piękne osiedle „na Skarpie" w Ostrowcu Świętokrzyskim; po Ostrowcu przyszła kolej na Skarżysko, Kielce, Jaworzno, Sosnowiec, Katowice, Gliwice, Pyskowice, Wodzisław, Nowe Tychy, zawadziliśmy, bo jakżeby inaczej — o Nową Hutę, Częstochowę, Piotrków, wreszcie zaskoczyła nas Łódź swymi Bałutami, rosnącymi jak biały kwiat na śmietniku. Nawet najśmielsze marzenia nie są w stanie wyrazić rzeczywistości; jest ona o wiele bogatsza, wspanialsza i pełniejsza rozmachu niż nasza wyobraźnia. Natomiast architekci, którzy nas oprowadzali, byli w swoim żywiole, sypali datami, cyframi, jakby statystyka była ich ulubioną specjalnością.

Trzeciego dnia, już w drodze powrotnej do Warszawy, zatrzymaliśmy się pod lasem. Szofer poprawiał jakieś drobne uszkodzenia w motorze, nasz autokar stanął na skraju szosy. Przeskoczyliśmy rów i położyliśmy się na trawie. Obok mnie usiadł starannie podciągając spodnie w górę, aby nie pomiąć kantów, inżynier Trzaskowski, zwany przez przyjaciół Abdullą.

Dochodziło południe, w cieniu sosen zażywaliśmy przyjemnego odpoczynku. Podłożywszy ręce pod głowę leżałem na plecach wpatrzony w niebo. Drobne chmurki ponad szpicami kłujących je sosen dymiły niby fabryczne kominy; skojarzenie nie było przypadkowe, gdyż w oczach miałem jeszcze pejzaż śląski, zarysy nowej huty w Częstochowie i kominy fabryk piotrkowskich. Spojrzałem na zegarek, poderwałem się i usiadłem. Inżynier Trzaskowski spytał, o co chodzi. — Inżynierze! — wykrzyknąłem — czy pan wie, że w tej chwili uruchomiają pierwszy piec martenowski w Częstochowie? Rusza nowa stalownia!

Popatrzał na mnie nie bez pewnej ironii. — Czy sądzi pan, że my architekci nie czytujemy gazet? Myli się pan,

drogi panie. Choć jesteśmy zatopieni w swojej pracy, o życiu nie zapominamy.

Nie zrozumiał mojego entuzjazmu. Wyjaśniłem mu, pospiesznie i chaotycznie. — Wie pan, pojadę tam w przyszłym tygodniu — pogrzebałem w portfelu i wyciągnąłem zeń pogniecioną kartkę. — O — pochwaliłem się — mam już list do Dyrekcji...

Trzaskowski zamilkł. Opuścił głowę na piersi, dotykając nią niemal kolan. Wydawało się, że drzemie. Chmury nad lasem szły ciężko jak żółwie, słońce przebijało się poprzez nie niby rzeka przez skały, paląc promieniami. Zanurzony twarzą w trawach, oparłem się wygodniej na łokciach i śledziłem ruchy biedronki wspinającej się po źdźble stokłosy. Nadleciał trzmiel, mały, brązowy jak ziarnko palonej kawy, uskrzydlony. Spodem, między roślinami, mrówki ciągnęły słomkę mocując się uporczywie z ciężarem. Ale ten obraz, gdy przymknąłem powieki, ustąpił innemu. Szliśmy oto poprzez osiedle, gdzie do niedawna główny rynsztok spływał środkiem ulicy, domy były brudne, z okopconej cegły, mieszkania ciemne jak więzienie. Ulica wiodła ku niewielkiemu wzniesieniu, z którego widać było trzy nowe kominy stalowni huty na Rakowie, szarą wstęgę muru i garbate dachy budynków fabrycznych. W słońcu migotały okruszynami blasku świetliki ponad nową stalownią i walcownią. Czwarty komin, jakby ucięty, dochodzący zaledwie do połowy swej wysokości, wyłaniał się zza dachów.

— Osiedle awaryjne — powiedział Trzaskowski pouczając mnie. — Tylko, jeśli to można tak określić, na potrzeby doraźne. Zmieniliśmy plany, przedtem mieliśmy rozbudować osiedle Raków, teraz przeszliśmy na koncepcję rozbudowy Częstochowy.

Wątłe akacje i czereśnie, przyprószone pyłem, suchą zielenią, sterczały pośród nowych domów. Budynek szkolny, odsunięty w głąb osiedla, ocieniony starodrzewiem, nasuwał zestawienie z jasnymi salami, pełnymi słońca i powietrza. Niektórzy z dziennikarzy stukali do mieszkań, wchodzili do środka dopytując się lokatorów, jak im się mieszka.

— To tylko osiedle awaryjne — powtórzył inżynier Trzaskowski. — Wejdziemy w środek miasta, zabudujemy go. Czy pan wie, że sześćdziesiąt procent budynków miasta Częstochowy, liczącego ponad sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców, to zabudowania parterowe i na domiar drewniaki?

— Miasto kopciuszek — biadał nad Częstochową Trzaskowski. — Rudery pośrodku miasta, wyższych uczelni nie było, dzieciom robotników nie potrzebne. Co za miasto! — narzekał.

— Czy pan sądzi, że w Warszawie było lepiej — przerwałem mu. — Też rudery straszyły w centrum, zagęszczenie było odwrotnie proporcjonalne do ilości zajmowanych izb. Częstochowa to nie wyjątek, można powiedzieć, miasto typowe — zaznaczyłem. Problemy te nie były mi obce.

— Ech — machnął ręką Trzaskowski. — Teraz będzie inaczej. Miasto połączymy z hutą i osiedlem linią tramwajową, zmienimy jego wygląd.

Przez wpółprzymknięte powieki pędy wybujałej stokłosy rysowały się jak tkanka wielkiego, wypełzłego z zieleni lasu. Przymknąłem oczy, południe kusiło snem. Pochyliłem głowę na ramię, zapadłem w drzemkę. Naraz ktoś szturchnął mnie w bok, spojrzałem nieprzytomny. Trzaskowski przechylony w moją stronę zaproponował.

— Miałem panu nakreślić plan nowej Częstochowy? Niech pan da notes — chwycił notatnik i automatycznym ołówkiem o miękkim graficie (taki używają zazwyczaj malarze), wodził po białych rozłożonych kartkach. — Zna pan dobrze Częstochowę? — dopytywał się.

Byłem oszołomiony, oddychałem głęboko jak odurzony, zmęczenie usztywniało mięśnie, przydawało im ciężaru. Trzaskowski był niezmordowany, kreślił z zapałem, czuby sosen chwiały się jakby chmury opadały wprost na nie.

— Niech pan patrzy! — powiedział twardym głosem, nie uznającym sprzeciwu. Podsunął mi pod nos kartkę. — Te linie grubiej pociągnięte to linie założeń urbanistycznych nowej Częstochowy, miasta, które dojdzie do dwustu tysięcy mieszkańców, wielkiego ośrodka przemysłowego, ale i miasta wyższych uczelni. Tu — wskazał na ciemniejącą plamę, dużą jak odcisk palca — Jasna Góra. Klasztor. Z jego podnóża wypływa główna ulica Częstochowy, niejako oś miasta — Aleje. My je chcemy przedłużyć, pociągnąć aż do Złotej Góry, pamięta pan to wzniesienie za miastem, przy drodze na Olsztyn, skąd kolejka powietrzna przewozi wapień do wielkich pieców? — skinąłem głową. — Tam będzie Akademia Górniczo-Hutnicza, wielki pałac, tak wielki i wysoki, aby zapanował nad miastem.

Inżynier machnął parę razy ołówkiem, twarde, grube linie przecięły plan jak tory kolejowe. — Na Raków pójdzie nowa wspaniała szosa, tak jak i w drugą stronę, do Rudnik. Kształty centralnych arterii przybiorą formę procy, której trzon podstawowy tworzyć będą Aleje, zaś ramiona boczne, to szosy w dwu kierunkach — uśmiechnął się jak gdyby mówił, że przyszłość leży w ich ręku, projektantów i budowniczych, poetom zaś pozostanie jedynie potwierdzenie wspaniałości faktów, świadczących o sile człowieka. Może miał rację? Nie wiem.

Szofer zapuścił motor i dwukrotnym sygnałem wzywał do powrotu. Podnieśliśmy się niechętnie, słońce bowiem znad lasu przeniosło się na nas i przyjemnie przypiekało ostrymi promieniami. Inżynier Trzaskowski wstał, podnosząc się z klęczek, szybko przeskoczył rów i stanął przy wozie, jakby wahając się, czy wejść do środka. Spostrzegłem, że kreśląc plan pomiął sobie spodnie i zazielenił je na kolanach. Widząc mój wzrok, popatrzał w dół. Roześmiał się i machnął ręką.

— Nieważne!

*

W tydzień później znalazłem się w hucie „Częstochowa“ [1]).

Stojąc na niewielkiej wyniosłości, usypanej ze spalonej na popiół szlaki, rudziejącej, łuszczącej się pyłem, przypatrywałem się w niemym skupieniu widniejącym w dali lasom olsztyńskim, siniejącym pod jasnym rozprażonym niebem, gdzie ponad dachami miasteczka sterczą na wzgórzu ruiny zamku. Odmierzałem wzrokiem odległość, chłód tych lasów kusił niepokojąco. Poza mną dyszała ciężko swym gorącem stalownia, z kominów snuły się gęste, popielate pasemka dymu. Pył osiadał na powiekach, dłoniach, wciskał się w nozdrza, drażniący i suchy.

Na położonej przy hucie łączce kosiarze szli równą ławą, ostrza spływały blaskiem, gdy odrzucali je nagłym głębokim ruchem do tyłu. Było ich trzech. Brodzili w przerosłej trawie, ciemnej, soczystej, zagęszczonej bliżej rzeki, rosnącej zwartymi niby wiechcie kępkami, przemieszanymi bliźniczką zwaną psią trawką i wiechliną. Przystając, prawie jednocześnie pochylali się i zza cholewy wyciągali osełki. Przez chwilę słychać było brzęczenie kos, odgłos klepania wibrował w powietrzu, jak gdyby duża ćma biła skrzydłami o szybę, potem wszystko cichło, dłonie zaciskały się niby obcęgi na stylisku i kosiarze, idąc zwolna krok za krokiem, kładli na łące pokosy dochodząc już do rzeki, któ-

[1]) W dniu 18 kwietnia 1952 roku huta „Częstochowa“ przybrała zaszczytną nazwę huty im. Bolesława Bieruta.

ra w tym miejscu przebiegała prostą linią, ujęta w wiklinową plecionkę koryta niczym kanał. Opodal starego młyna na Bugaju wpadała do Warty Kucelinka i powierzchnia brudnej wody, pełnej ścieków i osadu, barwiła się jaśniejszą plamą, by kłębowiskiem wirów toczyć dalej swe mętne fale. Warta pod Częstochową zatruwana wydzielinami z myszkowskiego „Światowida", to rzeka cuchnąca i bezrybna.

Przy grzbietach wzgórz jak piana gromadziły się chmury, czerwcowe słońce paliło nienajgorzej, a mimo to kosiarze szli ostro naprzód jak do ataku. Ten widok uspokajał; byłem zmęczony wrażeniami, oszołomiony jak dziecko, które naraz widzi wystawę pełną zabawek. W przeciągu paru godzin obszedłem hutę, aby w ten sposób, choćby nawet pobieżnie, ogarnąć całość. Przerzucany przez przewodników z oddziału do oddziału przechodziłem pełen niepokoju, czy zdołam to wszystko uchwycić, powiązać określonym sensem. Przerażał mnie ogrom wielkich pieców z nagrzewnicami i całą aparaturą pomocniczą, wstrząsnął widok starej stalowni, brudnej, ciemnej, małej. „Kurnik" — wyraził się o niej pogardliwie jeden z wytapiaczy, wskazując na budynek niski, przycupnięty do ziemi jak grzyb; okien nie ma, drewniane ściany pokryte pyłem, duszno i ciasno, trzeba uważać, aby na coś nie nastąpić i o coś się nie zaczepić. Piece, kadzie, wlewki skupione były na małej przestrzeni, stłoczone jak czerepy na śmietnisku.

Obok błyszczały świeżością mury nowej, nie wykończonej jeszcze stalowni nr 2, wielkie, przestrzenne i widne hale, wsparte wysoko na stalowych rusztowaniach; przez świetliki wpływało słońce, wszędzie wyczuwało się przestrzeń i rozmach. Błąkałem się po torach, nie pokrytych jeszcze betonem, ponad głową dzwoniła suwnica, przesuwając się koronkową klatką pod kopułą hali, kręte, żelazne schody prowadziły na górę. Pulsowały ciepłem marteny, przy nich stali wytapiacze, jeden dał znak ręką i młody chłopiec stojący na krawędzi betonowej płyty, przy tak zwanym pulpicie, nacisnął guzik, drzwi pieca uniosły się w górę, buchnął płomień, wytapiacz nabrał na chochlę trochę rozżarzonej masy i powoli wylewał ją na posadzkę. Iskry odbijające się od betonu tryskały złotym i pomarańczowym pękiem, wytapiacz wpatrywał się uważnie w ten świetlisty wodotrysk. Odwracając się krzyknął coś do tyłu. Usunąłem się w bok, gdyż dudniąc głośno przejechała wsadzarka ciężka jak czołg, dźwigając na stalowej łapie, przypominającej do złudzenia lufę armatnią, koryto wypełnione jakby grudami skalnymi.

— Co to? — spytałem chłopca przy pulpicie. Nie odrywając oczu od blasku mocnego jak sierpniowe słońce, powiedział krótko:

— Szpigel. Na wzmocnienie twardości.

— Ależ łapa! — mruknąłem z podziwem.

— Nie łapa — poprawił — dyszel!

Dyszel wtargnął do środka pieca poprzez otwór, zazgrzytał mechanizm wsadzarki i koryto przekręcone wyrzuciło z siebie ładunek. Znowu zadudnił beton, wsadzarka cofnęła się i ustawiła bliżej północnej ściany. Zajrzałem do jej środka, do tak zwanego kosza, siedziało tam dwóch ludzi. Twarz jednego z nich wydawała mi się znajoma, jakbym go gdzieś już spotkał.

Pokręciłem się jeszcze chwilę po nowej stalowni, napisy kreślone wapnem na ścianach przypominały, że piece ruszyły dopiero przed tygodniem. Żar buchający od pieców męczył, wyszedłem więc, aby ochłonąć i popatrzeć na okolicę, którą trochę znałem z dawnych lat. Kiedy przekraczałem tędy granicę zimą 1944 roku, kominy huty były moim drogowskazem. Przebiegając śnieżną

płaszczyznę, odsłoniętą ze wszech stron, z uczuciem zająca ściganego przez sforę psów myśliwskich wpatrywałem się w zarysy widniejącej przed oczyma huty, jak gdyby stanowiła ona gwarancję szczęśliwego zakończenia podróży. Dopiero uliczki Rakowa z rzędami domów z okopconej cegły przywracały zachwianą równowagę.

Chciałem podejść bliżej kosiarzy, ale strażnik zawrócił mnie z powrotem. Zapomniałem, że znajduję się na terenie huty, przesłoniły mi ją wspomnienia. Przystanąłem zamyślony, pogrążony w jednej myśli: skąd znam tego człowieka, który obsługuje wsadzarkę? Ludzie przypadkowo napotkani zacierają się łatwo w naszej świadomości, jednak zbieg okoliczności przywraca ich szybko naszej pamięci. W tym przypadku pamięć zawodziła, było to coś uciążliwego i męczącego.

Drgnąłem, gdyż poza moimi plecami zasapała lokomotywka — pach, pach, pach! Odwróciwszy się dostrzegłem, jak kolebie się na szynach, maszynista zahamował, wywrotki wyrzuciły z siebie masę kurzu, szlaka sypała się niby kartofle, bębniąc w ściany wagonetek i sypiąc drobinami kurzu na nadrzeczne łąki. W chwilę później spychacz najechał na usypisko, rozgarniając szlakę i równając teren. Po nim przyszły walce miażdżące niekształtne jak kalafior bryłki, wgniatając je w ziemię.

Podszedł do mnie jeden z robotników.

— Daj pan przypalić. — Podałem mu zapałki, podziękował i skinął głową. — Gorąco dziś. Grzeje.

Miał twarz spaloną słońcem, miedzianą, kurz na rzęsach. Popatrzał na mnie uważnie. — Pan pierwszy raz.

— Na hucie tak. Na Rakowie nie. Znam te strony — wskazałem ręką w kierunku kosiarzy błyskających ostrzami.

— Za okupacji szła tamtędy granica. Ta wieś pod lasem, którą widać...

— Wrzosowa — podpowiedziałem. Uśmiechnął się. — Wrzosowa. Tak właśnie. Ona była już w Reichu. Ale od tej pory zmieniło się, hę? — zagadnął i odszedł nie czekając odpowiedzi. Dziabał szpadlem, bądź na przemian wykuwał kilofem szczelinę w usypisku w pobliżu tego miejsca, gdzie stanąłem. Z hałd, jakie zalegały południową część huty, nie zostało wiele, najwyżej znikome pagórki.

— Rozwaliliśmy je dynamitem — dorzucił widząc, że patrzę na jego robotę. — Było tego jak drugie góry — spojrzał na pasmo olsztyńskie.

Nie słuchałem go uważnie, choć coś tam jeszcze do mnie mówił. Myślałem intensywnie o człowieku z obsługi wsadzarki. Czyżbym się omylił? Chyba go gdzieś spotkałem?

Naraz stuknąłem się dłonią w czoło, aż klasnęło, robotnik przy rozgarnianiu szlaki spojrzał na mnie zdziwiony, jakbym był niespełna rozumu i z furią uderzył kilofem w skawalone bryły, przerywając rozmowę.

Wiedziałem już! Ów robotnik z obsługi wsadzarki przypominał mi Stanisława Miziaka, instruktora ze Sławna, którego poznałem przed trzema miesiącami. Poszedłem czym prędzej do stalowni i spytałem jednego z wytapiaczy, jak się nazywają ludzie z obsługi. Powiedział. — Ten starszy to Miziak. Stefan Miziak z huty „Bankowa". Ten młodszy to od nas. Marian Wolski.

*

Stanisława Miziaka poznałem w następujących okolicznościach. Wracając wiosną z Darłowa do Sławna czekałem na nadejście pociągu. Bileter poinformował mnie, że mam jeszcze sporo czasu, więc ze spokojem wyszedłem na peron i usiadłem na ławce. W poczekalni mignęła mi znajoma twarz; spotkałem tego człowieka wczoraj po południu,

minęliśmy pełen ruin rynek w Sławnie i już wyjeżdżaliśmy z miasta, kiedy szofer nagle zahamował i zatrzymał wóz.

— Ot, znajomy — powiedział. — Spytam, czego chce — dodał tonem objaśnienia.

— Jedziecie do Darłowa?

Drobny, chuderlawy mężczyzna, nazwiskiem Miziak, przywitał się z kierowcą i podał mi rękę. Szofer skinął głową, więc Miziak bezceremonialnie przysiadł się i pojechaliśmy dalej razem. Był to, jak opowiedział mi w drodze o sobie, instruktor hodowli i udawał się do jednego z okolicznych PGR-ów. Miał zatroskaną minę i było widać, że jest czymś zaaferowany. Mówił niewiele, raczej zwracając się do kierowcy. W Darłowie wysiadł i tyleśmy go widzieli.

Dojrzał mnie teraz, co nie było czymś trudnym, gdyż perony były o tej porze wyludnione.

— Już wracacie? — spytałem ujrzawszy go nadchodzącego. Miziak przywitał się ze mną serdecznie jak ze starym znajomym i usiadł obok na ławce.

— Pociąg odchodzi dopiero za pół godziny — zamruczałem, aby coś powiedzieć. Przymykając oczy odwróciłem się twarzą ku słońcu. Łagodny wiatr z nadmorskich diun owiał mnie ciepłem, które obezwładnia. Na rozmowę nie miałem ochoty.

Miziak milczał, potem podniósł się z ławki, westchnął i zaczął przechadzać się po peronie. Powróciwszy do mnie zagadnął uradowany.

— No, a wam jak poszło?

— Dziękuję, nie mogę narzekać, dziękuję — starałem się być w miarę uprzejmy, nie mówiąc dokładnie, co robiłem. Ale Miziak nie dawał za wygraną, rozpytując szczegółowo.

— Ile osób było na waszym wieczorze autorskim?

— Skąd o tym wiecie? — zdziwiłem się. — Przecież byliście wtedy w terenie? — Na sali, w której miałem prelekcję, nie zauważyłem go. Zaśmiał się i mrugnął do mnie szelmowsko okiem.

— My terenowcy — podkreślił nie bez pewnej dumy — wiemy o wszystkim. O wszystkim, co się dzieje na danym terenie.

— Czy aby na pewno? — mruknąłem pełen niedowierzania. I chcąc pochwalić się znajomością tutejszych stosunków, nie dając mu dojść do słowa, spytałem. — Wiecie, co się zdarzyło przy podnoszonym moście w Darłówku wczoraj wieczorem?

Skrzywił się. Byłem zadowolony, że nie potrafi znaleźć odpowiedzi na moje pytanie. Odparłem więc triumfująco.

— Jeden pijak spadł do wody. Ale go wyciągnęli. Ten, co pilnuje mostu, wiecie, rzucił mu koło ratunkowe i pomógł tonącemu wydostać się z wody. Przymrozek był w nocy, więc kąpiel nie była przyjemna — zaśmiałem się. Miziak popatrzył na mnie, czy czasem nie kpię z niego. — Ależ nie! — wykrzyknąłem. — Wiadomości, że tak powiem, mam z pierwszej ręki. Mówił mi dzisiaj dźwigowy. Można mu chyba wierzyć?

— Bajeczki! — odpowiedział. — Bajeczki! Ile razy tu jestem, tylekroć kogoś wyciągają z wody. Nabili pana w butelkę — dodał z politowaniem. — Zawsze się znajdują jacyś cwaniacy, pozujący na bohaterów, człowieku! Ale przypatrz się im bliżej? A może dźwigowy wypił trochę „taty z mamą" i pomieszało mu się? Może to on kąpał się przy księżycu?

Przemilczałem już zbyt wyraźne grubiaństwo Miziaka. Poddawać w wątpliwość słowa innych może tylko człowiek zawistny. Nie kryłem swojego stanowiska, tym więcej oburzony, że Miziak uśmiechał się łagodnie.

— Ech, wy, terenowcy — powiedziałem z wyrzutem. — Wam niczym nie można zaimponować, wszystko już wiecie, skoro jeździcie w teren. Człowieka

tylko nie widzicie, człowieka! — podsunąłem mu pięść pod nos. Siedział, podkurczywszy nogi i pochyliwszy głowę na piersi. Był wyraźnie zmęczony, nie dospany, mały nos sterczał mu w twarzy jak nadłamana kość.

Uśmiechnął się jednak, przezwyciężając zmęczenie. — Są u nas ludzie — stwierdził zachwycony. — Żebyście takiego zobaczyli, bohater prawdziwy, można powiedzieć, nie taki jak ten tam... dźwigowy — nie skąpił swym słowom zjadliwości. Ale poklepał mnie przyjaźnie po plecach, za co odwzajemniłem mu się szturchańcem w bok i czyniąc niezbyt przyzwoitą aluzję do jego senności, spytałem złośliwie. — Coś was ten bohater wymęczył? A może to kobieta?

— Mężczyzna — rzucił krótko. — Przegadaliśmy całą noc. Żebyście go poznali, ocenilibyście człowieka. Szymański niejaki. Oborowy — wymienił nazwę PGR-u, która wypadła mi z pamięci. — Dla was, dla człowieka piszącego, hm... to jak znalazł bohater do książki.

— Co on takiego zrobił, ten Szymański? — Byłem zaciekawiony. — Mówcie, proszę.

Nie dał sobie tego powtórzyć dwa razy. Zaniepokoiłem się. — Tylko żebyśmy odjazdu pociągu nie przegapili! — Wagony stały już podstawione, w dali na torach manewrowała lokomotywa.

— Mamy czas — uspokoił mnie Miziak i kładąc mi rękę na kolanie zaczął opowiadać. — W pozaprzeszłym roku, jesienią, jeżdżąc po majątkach państwowych, spotkałem Szymańskiego. Starszy to już człowiek, można powiedzieć pod sześćdziesiątkę, siwy. Ale trzyma się wcale niczego. W oborze u niego porządek, aż popatrzeć miło. Byłem u niego parę razy, zaprzyjaźniliśmy się. Przyjeżdżam raz, a mój Józef zmartwiony. Nie wiedziałem, co go gnębi. Przyznał mi się w sekrecie, że niedaleko, w sąsiednim majątku, kolega jego, oborowy Walaszczyk uzyskuje coraz lepsze wyniki w hodowli. „Pomoglibyście mi, Miziak, wy jesteście specjalista", przypochlebił mi. Powiedziałem szczerze: „Józef, chcesz mieć wyniki?" Popatrzał na mnie, jakbym go pytał, czy pragnie oddychać. Mówi mi: „Stasiu, pomóż mi z dobroci serca twego, niech tego Walaszczyka przegonię. Stary już jestem i to mi spać nie daje, jak ten Walaszczyk chwali się, że jest pierwszy w powiecie, a może nawet w województwie. Zobaczymy, kto będzie pierwszy". Naraz przyszła mi świetna myśl do głowy. Pytam tedy Szymańskiego, czy słyszał o hodowli w sowchozie Karawajewo, w Związku Radzieckim. Nie, nie słyszał. „Ale zgodzisz się na wszystko, co ci powiem?" Przyświadczył jak należy. „Więc do roboty!" Wiecie, na czym polega metoda? — przerwał swoje opowiadanie Miziak zwracając się do mnie.

— Pewnie, że wiem. Znam to — skinąłem głową.

— Znacie to? — popatrzał na mnie bystro, świdrując mnie przenikliwym spojrzeniem, a trzeba wiedzieć, że miał zeza. Zmieszałem się nieco, a Miziak ciągnął drwiącym tonem. — Może i hodowlę poprowadzicie?

— No, nie. Ale przecież wiem. Nie wy jeden wiecie, na czym polega metoda zimnego wychowu cieląt systemem sowchozu w Karawajewie. Nie jest to żadna tajemnica, przeciwnie — ludzie radzieccy przekazują ją każdemu i każdego nakłaniają do stosowania tego systemu. Polega on na trzymaniu cieląt w okresie zimowym w niskiej temperaturze, tak by się hartowały. Jak hartuje się i uodparnia małe dzieci — zakończyłem przykładowo, patrząc na Miziaka z miną znawcy.

— Pojęcie to wy macie. Ale hodowli, bym wam nie powierzył.

Przez chwilę milczał, skręcając papierosa. Przysiadło się do nas dwóch

młodych chłopaków, przywitawszy się z nami po przyjacielsku. Miziak był tu widocznie znany. Zaciągnął się papierosem i powrócił do opowiadania.

— Kazałem ja temu Szymańskiemu zbić drewniane klatki i w nich trzymać cielęta. Popatrzył na mnie z ukosa, myśląc, że robię z niego wariata. „Gdzie — powiada — mogę coś podobnego zrobić. Przecie już czterdzieści lat, jak za gadziną chodzę, a wy mnie chcecie do wiatru wystawić. Nie, Miziak, dowcipny to ty jesteś, ale moim kosztem nie będziesz". Przywiozłem więc na przyszły raz broszury, stękał stary, jak czytał, ale przeczytał. Powiedział: „Widzę, żem się omylił. Ano spróbujemy". „Ale — mówię do niego — żebyś pamiętał, Józef, wszystko trzeba dokładnie czynić, jak należy. Bo jak nie usłuchasz, wyników należytych nie będzie". Miał Szymański w oborze piękną krowę, po ocieleniu. Astrea nazywali ją. Miała małego byczka. Mówię mu: „Wsadź do klatki, nie żałuj!" Ale Szymański jakoś nie usłuchał. Inne cielaki to jeszcze, owszem, nowym sposobem chował, ale tego byczka trzymał w oborze. Wreszcie przekonałem go. Byczek poszedł do klatki, choć poniektórzy prześmiewali się ze starego, że psy chowa. Po pewnym czasie przyjeżdżam, było to już wiosną następnego roku, a tu Szymański nie patrzy mi prosto w oczy. „Jak twoja rebiata?" — pytam. On odpowiada, zafrasowany. „Byczek — mówi mi cicho — zdechł. Byczek po Astrei". Najładniejszy był, rozwijał się już dobrze i nagle, kiedy oborowy zaszedł do niego rano, zwierzę leżało martwe". W dzień był niespokojny, trochę kichał, ale myślałem — opowiadał Szymański — że to przejdzie. Rano przychodzę — trup".

Miziak przerwał opowiadanie i palił papierosa. Dwaj nasi towarzysze wtrącili się do rozmowy. Każdy chciał coś dodać, opowiedzieć o własnych doświadczeniach i przeżyciach, ale Miziak uciszył ich, po czym zakończył tak:

— Myślałem, że Szymańskiego zła krew zaleje. Martwił się stary tym byczkiem, oj martwił. Nie dawało mu to spokoju. Prosiłem, aby się nie martwił. Przecież cielęta dobrze się chowają, waga przepisowa, a nawet i więcej, widać, że zdrowe. „Tak — odpowiada mi — ale ten byczek po Astrei padł". „Nigdy ci się, chłopie, nie zdarzyło, aby ci zwierzę padło?" — spytałem go. „Najmocniejszy był" — odpowiedział z uporem.

Nie byłem tam dość długo, nie mój już rejon. Parę dni temu wraca mój kolega z objazdu i mówi, że Szymański prosił koniecznie, abym do niego przyjechał. Zaklinał się na starą znajomość. Myślę, coś niedobrze, ale widzieliście — wybrałem się wczoraj z wami i pojechałem. Niech mnie kule biją, myślę, znowu jakaś chryja. A tu mnie Szymański wita rozpromieniony, całuje z dubeltówki i powtarza: „Chodź, Stasiu, coś zobaczysz" i prowadzi mnie do cielętnika...

— Byczek! — przerwałem mu tok opowiadania.

— Taak. Tak — powtórzył Miziak, wyraźnie zaskoczony moją domyślnością. — Po Astrei. Mocny, zdrowy, ciężki jak stary baran. Szymański wskazując mi powiedział: „Zimny wychów cieląt metodą sowchozu w Karawajewie".

Zamilkliśmy, gdyż trzeba było iść do pociągu i zajmować miejsca w wagonie. Spojrzałem jeszcze w kierunku miasta, gdzie nad kanałem portowym zwisł ciężkim masywem magazyn. Bielone końce masztów mieszały się z wczesną zielenią drzew nadbrzeżnego parku.

— Żal stąd odjeżdżać — westchnąłem. Miziak stanął przy oknie, z chwilą jednak gdy wsiadłem, zacierając ręce dodał — Długo w noc gadaliśmy. Dawno tam nie byłem. Wspominaliśmy wiele rzeczy. Był ten Walaszczyk...

— Konkurent Szymańskiego? — nie wytrzymałem, przerywając mu. Nie odpowiedział. Ciągnął ze spokojem dalej.

— Szymański przyznał mi się, że tego pierwszego byczka zmarnował, gdyż żałując go, potajemnie nakrywał własnym kożuchem. Zwierzę wydelikaciło się i zaziębiło. Ale ten drugi, z ocielenia ubiegłej jesieni, mówię wam... — zachwycał się Miziak.

— A cóż robił Walaszczyk? — przerwałem instruktorowi słowa zachwytu nad byczkiem PGR-u.

— Walaszczyk? Ano przyjechał do Szymańskiego po radę, miał jakieś trudności. Stary nauczył go nowych metod, więc zagląda często do niego — Miziak popatrzał na mnie i uśmiechnął się życzliwie. — Tak to bywa w życiu, widzicie sami, towarzyszu. Coś dla was.

Pociąg drgnął, lokomotywa sapiąc wyprowadzała wagony na stację. Na świeżą ruń pastuszkowie wypędzali bydło. Odwróciłem się i spojrzałem na Miziaka; stał przy oknie, drobny, z lekka przygarbiony, z szeroko otwartymi oczyma, chłonąc nasyconą wiosną przestrzeń.

I taki pozostał w mojej pamięci.

*

Kiedy w trzy miesiące później, w czerwcu 1951 roku, znalazłem się w hucie „Częstochowa", aby poznać i opisać tę nowopowstającą wielką budowlę socjalizmu, spotkałem drugiego z braci Miziaków — Stefana. Pracował przy obsłudze wsadzarki. Nim się zbliżyłem do niego i nim mi opowiedział historię swojego życia, upłynęło parę dni. Przez ten okres poznawałem hutę i śledziłem postępy w budowie nowej stalowni, walcowni czy zbiornika wodnego, który budowały brygady espowskie. Codziennie jednak wracałem do pieców martenowskich, świeżo postawionych — było ich na razie dwa — i przypatrywałem się pracy wytapiaczy. Z głuchym łoskotem przejeżdżała wsadzarka podwożąc do pieców potrzebne materiały. Kiedy było mniej pracy, obsługa wsadzarki opuszczała kabinę i przystawała przed piecami. Wtedy poznałem bliżej Stefana Miziaka.

Siedzieliśmy we trzech na żelaznych korytach, zwanych pospolicie muldami, naprzeciw pieców martenowskich, buchających żarem. Marian ze smakiem zajadał chleb z boczkiem, my ze Stefanem gawędziliśmy.

Wsadzarka — to tylko drobna cząstka mechanizmu huty, obsługująca piece martenowskie. Na starej częstochowskiej stalowni wsadu dokonuje się ręcznie, nowoczesna technika jest bardziej humanistyczna — stara się ona oszczędzić niepotrzebnego wysiłku człowiekowi. Zaciekawiła mnie ta maszyna. W niewielu słowach skąpych w określenia Stefan Miziak objaśnił mi mechanizm wsadzarki. Patrzyłem na mego rozmówcę, na jego twarz pobrużdżoną jak u starych chłopów zmarszczkami, rozjaśnioną w życzliwym uśmiechu. Przypatrywał się czerniejącemu pudłu maszyny z takim zainteresowaniem, jakby ją widział po raz pierwszy, poznać można było, że mocno go zajmuje. — Niezła, niezła — zamruczał tonem pochwały. Wsadzarka była produkcji i konstrukcji polskiej. Zwracając się do mnie dodał, że choć mu tutaj w Częstochowie dobrze, to jednak tęskni za swoimi: żoną i córką. Spytałem, gdzie one są, okazało się, że mieszkają w Dąbrowie Górniczej.

— Bo ja tam pracuję — zaznaczył Stefan. — Na hucie „Bankowej".

— Myślałem, że wy stąd. Z Rakowa? — powiedziałem chytrze. Uśmiechnął się na to, nic nie mówiąc i zdjął przybrudzoną czapkę z nałożonymi na wierzch ciemnymi okularami hutniczymi. Przygładził włosy szeroką dłonią, nadal uśmiechając się w milczeniu. W

otworach piecowych błyskała stal rozżarzona jak płynne złoto.

— Taka praca to przyjemność — przypochlebiłem mu wskazując dźwig, bo i tak nazywano wsadzarkę. Zgodził się ze mną, choć niby silił się na obojętność tłumacząc, że praca jak każda inna. Zwrócił ku mnie twarz, w rysach przebijała jakaś godność, ciemne jakby wytopione z rudy oczy lśniły blaskiem, odbijało się w nich słońce, zawisłe jak jastrząb nad świetlikami hali. Chciał coś powiedzieć, zmarszczył w zastanowieniu czoło, gdy Marian szturchnął go w bok.

— Jedź, Stefan, topowy woła!

Ruchy wsadzarki zagłuszyły dalsze słowa. Stefan nakierował maszynę ku wypełnionym muldom i manewrując przybliżył dyszel ku nim, Marian zaś umocował koryto ze szpatem i bauksytem, wsadzarka zazgrzytała, zrobiła obrót, dyszel znalazł się w piecu i zginął na chwilę w płomieniach.

— Do wszystkiego trzeba dochodzić pomalutku swoją pracą — Marian wycierał dłonie o kombinezon. Był to blondyn średniego wzrostu, raczej drobny i szczupły, o rysach delikatnych, twarzy różowej, przypieczonej ledwie słońcem, które nie chwyta. Złote włosy wystawały kudłami spod czapki, małe baczki foremnie czepiały się policzków. Powtórzył. — Uczyć się dzisiaj trzeba. Ja sam, musisz pan wiedzieć, do niedawna pracowałem przy zwózce rudy. Dopiero od dwóch tygodni jestem przy wsadzarce. A przedtem to łopata i popychanie wózka. Parszywa robota, nudna, bez żadnej przyszłości. Ale nie było innych możliwości, huta szła ostatnim wysiłkiem. Wydawało się nam, że obudzimy się pewnego ranka, a tu po hucie zostaną wystygłe piece. Widział pan ten kurnik obok? Starą stalownię. Gdzie tam człowiek mógł się wcisnąć? Nawet starzy wytapiacze z praktyką, można powiedzieć, odpowiedzialną, szli na inne huty, nie, Dąbek? — zwrócił się do starszego robotnika, który w tym czasie podszedł do nas i przysłuchiwał się temu, co mówił Marian.

— Co racja, to racja — potwierdził.

— Co pan tak kiwasz głową? — zniecierpliwił się Marian. — Może tak nie było? Znam to. Mój stary był już tu wytapiaczem, bo u nas zawód przechodzi z ojca na syna. A stary u Hantkego pracował od początku, jeszcze hutę stawiał, potem przyuczył się i do pieców poszedł. Naprzód jako pomoc, potem na pierwszego wytapiacza. Mieszkał w Kamienicy Polskiej, codziennie drałował te parę kilometrów, skwar czy zawieja, wszystko jedno, dopiero później przeniósł się na Raków — Marian wskazał ręką na mury nowej stalowni, zasłaniające przyfabryczne osiedle. — Tu się urodziłem, w 1920 roku...

Przerwał. Skręcał papierosa. Spytałem go, ponaglając. — No, a co dalej.

— Wiele do opowiedzenia nie ma. Tyle, że jak miałem trzy albo cztery lata — przypomniał sobie — nastąpił wybuch w piecu. Znalazł się między złomem pocisk artyleryjski, sortownicy nie wyłapali, dostał się do pieca i eksplodował. Mojemu ojcu nogę urwało, twarz pocięło, myślisz pan, że jakieś odszkodowanie otrzymał? Figę, można powiedzieć...

Dąbek pokiwał ze zrozumieniem głową. Stał wsparty o filar i przymrużonymi oczyma śledził pracę wytapiaczy. — Pamiętam — zachęcał Mariana — mów dalej.

— Nic już do mówienia nie ma. Bieda i nędza, chcesz pan wiedzieć, ot co było. Czworo nas w domu, jeść dać trzeba, ojciec jeszcze niezdrów, z wielkim staraniem, bo i matka chodziła prosić, dostał się za stróża nocnego, ale i tak długo nie pociągnął. Sparaliżowało go. Potem, potem... ech, szkoda mówić — machnął ręką.

Milczeliśmy przez chwilę. Stefan ustawił wsadzarkę na dawnym miejscu, wysiadł z kabiny, zwanej koszem, i podszedł do nas.

— Chodzę i patrzę, jak z tym współzawodnictwem. Kiedy będziecie mogli ruszyć na pełną parę? Bo mnie się śpieszy.

— Coś taki prędki, Dąbek — osadził go Marian. — Piec nie człowiek, jego pogonić nie można. Swoje się wypalić musi i wygrzać.

— Z tobą nie mówię, boś naprzeciwko mnie szczeniak. Na robotę swoją patrz — uniósł się gniewem Dąbek, ale był to gniew nieszczery, udany. Widać, że lubił chłopaka. Oczy mu się śmiały, gdy narzekał. — Wy to, aby robotę odwalić. Bez sumienia. A potem jakiś wypadek, płacz i zgrzytanie zębów. A we wszystkim, w każdej najmarniejszej robocie odpowiedniego starania trzeba.

Wtrąciłem się przerywając mu. — A wy gdzie pracujecie?

— W Radzie Zakładowej.

— Ech, tam taka praca — mruknął Marian. Chciał dokuczyć Dąbkowi. Ten popatrzył na niego i odpowiedział. — Ale ze szmelcerzy jestem, wiesz? Z ojca na syna, trzeba wiedzieć. Nie od dziś jak inni — splunął pod nogi Marianowi, który uśmiechnął się nieco krzywo. — Dawniej to inaczej było, wiesz? — zapytał Mariana wprost. — Dziś robotę do ręki dają, proszą, abyś przyszedł. A dawniej co człowiek dzień przepracował, to dwa odpoczywał. Kapitalista uważał, aby się nikt nie przepracował i na skinienie ręki był. Tak i u nas. Huta zamierała, podobno nie opłacała się już. Żadnych tu inwestycji nie robiono, właścicielom na niej nie zależało, tyle tylko, by wycisnąć resztę, co się da. Ja sam wyniosłem się przed wojną do Stalowej Woli, tam ludzi potrzebowali. A tutaj o ludzi nie dbali, mało ich tu było — powiedział bez goryczy, jakby uważał to za coś zwyczajnego.

— Aleś pan powrócił — powiedział Marian. — Pamiętam pana, jeszcze z pierwszych lat wojny, nim mnie do Rzeszy na roboty wywieźli...

— Wrócić, wróciłem, bo i gdzie było przyjść, jak nie do swoich. Wojna przecież wybuchła, to człowiek na stare śmiecie powrócił. Wtedy i huta ruszyła, hitlerowcy wszystkich według spisu do roboty zagonili, potrzebowali żelaza i stali, ganiali robotników, a u nas, trzeba wiedzieć, ciągle się coś psuło. To oni na nas z kolbami: „Ach, wy *verfluchte*— wrzeszczą — Robić się wam nie chce? Do Oświęcimia stąd niedaleko, *Auschwitz, verstehs du?*" Zaciskaliśmy zęby, czekaliśmy swojej chwili. Na murach huty ktoś nocą rysował kredą duże żółwie. U nas na Rakowie była komórka, partyjna znaczy się, prasa szła między nas, ludzi nowych do roboty werbowaliśmy. Nawet sztandar uszykowaliśmy, czerwony sztandar. I przyszedł ten dzień, człowieku, jak dziś pamiętam, armaty grały, czołgi szły, a my od pieców nie odstępowaliśmy, niech pierwszy spust będzie dla Polski. Nie udało się, bo elektrownia stanęła...

Pamiętam dobrze te chwile, pracowałem wtedy w jednej z fabryk włókienniczych, na Stradomiu. Hitlerowcy, jak się wycofywali uszkodzili elektrownię, broniąc miasta, krótko wprawdzie, Rosjanie wbili się bowiem pancernym klinem między niemieckie dywizje. Wyswobodzona Częstochowa przeżywała radosne dni, ludzie płakali, gdy słyszeli „Jeszcze Polska". Na wielki wiec, pierwszy powojenny wiec, na którym przemawiał w imieniu Rządu pułkownik Ochab, hutnicy z Rakowa przybyli gromadnie i ze sztandarami, czerwono było od tych sztandarów ponad głowami. A kiedy wybrano pierwszego prezydenta miasta, został nim hutnik z Rakowa, Langner. Powiedziałem o tym Dąbkowi, ucieszył się. Spojrzał na mnie łaskawie. — Ze szmelcerzy on — po-

wiedział o Langnerze. — A wiecie, co to znaczy? Jak tu Rosjanie przyszli, to jeden powiedział do mnie po rusku: „Daj choć popatrzeć, bracie, na piece, ja też szmelcerz".

Podszedł jeden z wytapiaczy i przywitał się z Dąbkiem. — Jak ci idzie? — dopytywał się były szmelcerz. — Piec kiedy nagrzejesz?

— Ech — wytapiacz narzekał. — Suwnica stanęła, coś tam poprawiają. Jakby kiedy indziej nie mogli, na innej zmianie. A gdyby tak szła, zaraz bym miał spust gotowy. A tak, sam wiesz, Dąbek, bez kadzi czym wlewki napełnię? Powietrzem — zaśmiał się z goryczą.

— Ale ja pytam, kiedy już ruszycie na całego? — dopytywał się Dąbek.

— Nie gorączkuj się, Julian, wszystko będzie na czas, znasz mnie chyba? Maniek, szpiglu trzeba — zwrócił się do mechanika. — Jedź pan ze mną — zaprosił mnie Marian. Nie dałem sobie drugi raz powtórzyć, wsiadłem z nim do kosza, maszyna ruszyła, obracając się, Stefan zaklinował muldę i podjechaliśmy pod piec. Marian manewrował ostrożnie, widać, że bez większej wprawy. — Dopiero Stefan uczy mnie, jak kierować — usprawiedliwiał się. Szarpnął za rączkę, wsadzarka zaczęła się cofać, dyszel wyłaniał się z żaru. Marian pokręcił korbą i maszyna zwróciła się bokiem ku martenowi. Jeszcze parę ruchów i stanęliśmy.

— Zupełnie dobrze — pochwalił Stefan. Marianowi błysnęły oczy, odpowiedział zaczepnie. — Pewnie, że dobrze. A co, nie z hutników jestem?

Stefan wzruszył ramionami, odchodził. Marian dorzucił biorąc mnie za świadka. — Ot, majster się znalazł, od pługa przyszedł i rady dawać będzie.

Stefan odwrócił się, przybladł na twarzy, wargi wykrzywił w złości. Nie widziałem go do tej pory takim jeszcze, zacisnął dłonie w pięści i powiedział. — Ty, Marian, nic mi nie wymawiaj. I bądź wdzięczny, że się czegoś nauczysz. Ja taki sam hutnik albo i lepszy. Dwa tygodnie temu rudę woziłeś, a dziś pana chcesz zgrywać? Fachowiec wielki. Idź i sam pojedź, pojedź jeszcze raz, rączki ci drżą jak panience, co chłopca pierwszy raz widzi — szydził na cały głos. Dąbek uspokajał go. — Co, on myśli, że mnie tak łatwo przyszło jak jemu? A ile przeszedłem, nim hutnikiem zostałem? Pewnie, z chłopów jestem, żaden to wstyd. U nas ziemi wprawdzie niewiele, gąb było więcej, ale zawszem syn gospodarski...

Marian roześmiał się, poklepał go po ramieniu i gniew Stefanowi już przeszedł. — Bo my zawsze tak — powiedział Marian tonem wyjaśnienia — dogryzamy sobie. Aby się człowiek nie nudził.

— No, chłopcy, starajcie się — Dąbek pożegnał się i odszedł. Stefan ochłonął i odpowiedział poważnie Marianowi.

— Ze mną ty, bracie, nie zaczynaj, bo nie lubię, po prawdzie mówiąc. Jeszcze ci krzywdę jaką wyrządzę i co?

Marian łagodził. — Lepiej byś coś opowiedział. Na pewno towarzysz byłby zadowolony, gdybyś mu opowiedział o swoim życiu — Marian wskazywał na mnie, mrugając filuternie oczyma, jakbym ja był przyczyną kłótni.

— Co tam do opowiadania. Ot, zwyczajne życie — zastrzegł się. — Nic ciekawego dla szanownego pana.

Aby go wciągnąć w rozmowę, rzuciłem niby od niechcenia. — Widział pan sianokosy? Byłem przed godziną na skraju huty, tam łąki koszą.

Wzięło go. Skinął potakująco głową. — Raniutko przed zmianą tam poszedłem, aby trawie się przyjrzeć, czy pod kosę zdatna — przyznał się. — Bo wiesz pan, przed świętym Janem uprzątnąć muszą. Ale u nas w Rzeszowskiem to łąki lepsze. Tu ziemia lichsza.

Powoli rozgadał się. Pochodził spod Jasła, jak tylko dorósł, podnajmował się, gdzie się tylko dało. Potem wywieźli go w czasie wojny na roboty do Rzeszy, nie miał się ojciec czym sołtysowi opłacić.

— I tam trafił pan do huty? — spytałem zadowolony ze swej przenikliwości. Popatrzył na mnie nieco urażony, że przerywam mu tok myśli i zwolna odrzekł, jakby coś sobie przypominając — Nie. Pracowałem u bauera. Na roli.

Było to na północy, pod Hamburgiem, gospodarka była duża, nawet synowie Niemca, którzy służyli w artylerii przeciwlotniczej, przyjedżali do domu pomagać przy żniwach. Tam też Stefan poznał dziewczynę, z Dąbrowy Górniczej była, ładowaczka z huty, Jadzia jej na imię. Chodzili ze sobą, pobrali się, jak tylko zakończyła się wojna, dziecko przyszło na świat, po powrocie do kraju w 1946 zajechali do Dąbrowy. Teściowa Stefana miała tam mieszkanko, zamieszkali razem i Stefan poszedł do pracy w hucie. Żona powiedziała: „Znajomości mam, u nas będziesz pracował". Nic nie odpowiedział, choć gryzła go tęsknota za ziemią. Ale nie mówił jej nic, dobra dziewczyna była, a przy tym żona ślubna. Przez jesień i zimę przepracował przy złomie, wytrzymywał jakoś, rodzice pisali, że im po wojnie nienajgorzej, wszyscy wychodzili z domu, może by on powrócił? Ziemi mieli więcej, bo i z reformy trochę dostali, konia się ojciec dorobił, więc inna gospodarka szła. Chciał pojechać, ale z drugiej strony robota go trzymała, dnia szkoda było opuścić. Przyszedł czerwiec, sianokosy. — Pytałeś pan — zwrócił się do mnie — czym widział, jak tutaj na łączce pod hutą koszą? W Dąbrowie wieczorami wychodziłem na dalekie spacery z moją małą, aby tylko zobaczyć, czy już koszą i odetchnąć zapachem pól. A dziecko tom brał, żeby się ze mnie nie śmieli. Że niby na spacer z nią idę, nie po co innego — dodał cichym głosem. W żniwa nie wytrzymał, rzucił wszystko, pojechał do rodziców. Żonie powiedział, że matka zachorowała i jeszcze jej tam jakiś różności naopowiadał, aby mu dała pozwolenie. Odjeżdżając widział w jej oczach żal, ale nie odmawiała go. Zapomniał o wszystkim, kiedy chwycił za kosę. Poczuł się innym człowiekiem. „Można żyć — myślał — nie to co przed wojną, gdzie człowiek wycierał się po cudzych kątach". Po paru dniach powróciła myśl o żonie. Wiedział, że da sobie radę, o to nie miał obawy, z teściową mogła zostawić małą, a ludzi do pracy w hucie potrzebowano. Jednak myśli o pracy, o kolegach zaczęły każdego dnia powracać z coraz większą siłą. Na sercu legł mu ciężar, nie wiedział, na co się zdecydować — zostać na wsi czy powrócić do huty? Już zabierał się, żeby porozmawiać z rodzicami, już szykował rzeczy do drogi, ale odkładał je, bo robota w polu czekała. A przy robocie zapominał o wszystkim. Przeszły dwa miesiące, wyprowadzał w chłodniejsze poranki konia na podorywkę, ale często teraz przystawał wpatrując się w widnokrąg. Pola rozciągały się długie jak kiszki, pokrajane miedzami, gruszami polnymi oddzielone od siebie. Ani śladu komina fabrycznego. Z rzadka zabielał lasek brzozowy, wieś czapami słomianych strzech zamykała horyzont. Skiby były coraz cięższe, aż pewnego dnia, prawie po kryjomu, bez pożegnania rodziców Stefan uciekł ze wsi. Ciągnęła go nie tylko rodzina, ale i praca. Tęsknił za pracą w hucie.—Przypatrz się pan jej dobrze — podkreślił z zapałem — a takiej drugiej chyba nigdzie nie znajdziesz.

— A żona? — spytałem. — Czy ucieszyła się przyjazdem?

Nie od razu odpowiedział. Wpatrywał się w migocący płomień, o ostrym blasku jak czerwcowe słońce. Przymrużа-

jąc oczy kończył swoją opowieść. — Żona, pytasz pan, czy czekała? A pewnie, czekała — podkreślił z dumą w głosie.— Jakby czekać nie miała, przecież to ślubna żona.

Wiedziała, że nie wytrzyma i po pewnym czasie powróci. „Ty, Stefan — powiedziała na przywitanie — nasz już jesteś, hutnik. Gdziebyś nie poszedł, za tobą tęsknota do pracy przyjdzie, bo robota jak ten magnes, co złom sortuje; szmelc odpada, lepsze żelastwo przyciąga. A ja przecież wiedziałam za kogo za mąż wychodzę!"

— Koledzy przyjęli pana dobrze? — zapytałem z ironicznym uśmiechem, wpatrując się w Mariana. Stefan odpowiedział po chwili namysłu. — Pewnie, że dobrze. Prawdziwi to hutnicy, nie tacy jak ci, co po dwóch tygodniach uważają, że wszystkie rozumy zjedli.

Marian roześmiał się. Uważał sprzeczkę za skończoną, powiedział serdecznie. — Widzisz, Stefan, dzięki tobie staję się hutnikiem. Bo ty, znaczy się, mój instruktor jesteś.

— Jak cię poduczę, wrócę do swoich. Stęskniłem się za nimi, stęskniłem się za hutą. Bo musisz pan wiedzieć, że nasza „Bankowa" to najlepsza huta w Polsce. Gdzie tam „Częstochowie" do niej, daleko jej jeszcze. A wie pan, jak wróciłem, koledzy żartowali trochę ze mnie, nawet przezwisko mi dali — Gospodarz, że ja niby w roli zakochany. Ale ja, widzisz pan, przemyślałem to wszystko. Jak gospodarz, to gospodarz— wszędzie...

*

— No i co, przyjechał pan właściwie za późno? — stwierdził z pewnym przekąsem naczelny dyrektor huty. Z okien jego gabinetu widać było wielkie piece z nagrzewnicami systemu Cowpera, które robotnicy nazywają „kołprami", aparaturę pomocniczą i niknące w dali kominy nowej stalowni. Drogą pod murem, odgradzającym hutę od torów kolejowych, ocienioną wątłymi akacjami jechały furmanki z koksem, spod kopyt końskich wznosiły się brązowe tumany pyłu. Na bocznicy z licznymi odgałęzieniami, rozszczepionej jak dłoń, manewrowała lokomotywa wprowadzając w obręb huty pociąg ciężarowy z materiałami budowlanymi. Zaraz za oknem rosły mizerne akacje, ziemia wyschła jak szlaka nie dawała wiele wilgoci, drobne, małe jak groszki listki były przywiędłe i pożółkłe. Nieco więcej zieleni ciemniało przy starych blokach administracji, zamieszkałych przez urzędników. Gwizd parowozu przeciął powietrze, dyrektor przymknął okna.

— Gdyby pan przybył tydzień wcześniej — nadmienił — zobaczyłby pan najciekawszą rzecz, jaką ostatnio mieliśmy. Uruchomienie nowej stalowni, dwóch pierwszych martenów. I to właśnie pan przegapił. Przecież pisarz musi mieć jakiś instynkt jak pies myśliwski. A tu przepadł panu temat i co za temat! Gdyby pan przyjechał wcześniej... — nie mógł odżałować dyrektor.

— Byłem na wycieczce. Objeżdżaliśmy osiedla mieszkaniowe, wybudowane przez Zakład Osiedli Robotniczych. Dopiero zobaczyłem, ile się w Polsce buduje — usprawiedliwiałem się.

— Szkoda — dyrektora nie przekonało to. Dla niego nowa stalownia na pewno była najważniejsza na świecie, co wyczułem dobitnie z jego tonu. — Szkoda. Gdyby pan widział ten wysiłek. To była rzecz zupełnie wyjątkowa, uruchomienie na czterdzieści dwa dni przed terminem.

Podziękowałem mu za pomoc i ułatwienia przy zwiedzaniu huty. Ale dyrektor wciąż myślał o jednym.

— Pańscy koledzy — miał na myśli dziennikarzy, którzy zjechali się tu na otwarcie stalowni z całej Polski — siedzieli w hucie i widzieli. Można nawet

powiedzieć śmiało, że przeżywali. Ten wysiłek, jaki dała z siebie załoga, to temat godny powieści — uniósł się w fotelu. Zamierzałem odpowiedzieć, że na tematy powieściowe napotykamy niemal co dnia, na każdym kroku, gdy naraz zadzwonił telefon. Dyrektor odpowiadał zwięźle, zdaniami krótkimi, jakby wydawał rozkazy. Na skroniach srebrzyły się nitki siwizny, choć twarz miał młodą, spaloną od słońca, nie przesiadywał widać zbyt wiele w swoim gabinecie. Kładąc słuchawkę przeprosił mnie i dodał tonem wyjaśnienia. — Kierujemy zarówno budową, jak i bieżącą produkcją. Widział pan walcownię? — przeskoczył na inny temat. — Obok stawiamy nową. Coraz to gromadzą się jakieś nowe sprawy, trzeba je rozstrzygać na poczekaniu. Szkoda nam każdej chwili. Niech mi pan powie, czy wszystko pan sobie obejrzał?

— Obiekt duży — odpowiedziałem. — Więc nie tak łatwo. Nie byłem na budowie zbiornika retencyjnego...

— Kolos. Woda, podstawa przemysłu hutniczego.

— Wiem.

— A czy był pan tam, gdzie staną wielkie piece i nowe zakłady?

— Nie. Nie byłem.

Ucieszył się, jakby mnie przyłapał na gorącym uczynku. — A widzi pan. Mówi pan, że to obiekt duży, dopiero będzie duży. Niech pan weźmie pod uwagę, że nasza huta będzie miała w przyszłości, i to niedalekiej, trzy stalownie, nowoczesną koksownię z urządzeniami, przerabiającymi uboczne produkty procesu koksowania węgla, nowe wielkie piece z odpowiednimi urządzeniami pomocniczymi, spiekalnie, wszystko zmechanizowane w najwyższym stopniu, po prostu ostatni wyraz techniki. Do tego dojdą walcownie o różnej charakterystyce. Nie wypuścimy ani deka stali, nie przerobiwszy jej na miejscu. I jak się to panu podoba? Rozmach, co? Stajemy się państwem stali.

Zapukał jeden z inżynierów, spytał o coś i wyszedł. Zadzwonił telefon. Naczelny westchnął. — Tak cały dzień. A nawet w nocy.

Słuchał jakiegoś meldunku, uśmiechając się. — No, nareszcie, nareszcie. — Odłożył słuchawkę i zwracając się do mnie powiedział uradowany — Suwnica ruszyła. Dzwonili właśnie. Ta wielka, w nowej hali lejniczej, stupięćdziesięciotonówka. Widział ją pan? Pan i tak nie zrozumie mego podniecenia, przecież pan nie jest hutnikiem.

Poderwałem się spojrzawszy na zegarek. — Idę, dyrektorze, muszę — wyciągnąłem do niego rękę żegnając się, mimo iż właściwie chciałem mu opowiedzieć anegdotę o budowie mostu na rzeczce, której wprawdzie jeszcze nie ma, ale która na pewno będzie, i o inżynierze Abdulli marzącym o przebudowaniu Częstochowy, lecz już nie miałem czasu.

— Gdzie pan tak się śpieszy? — powstrzymał mnie dyrektor.

— Suwnica ruszyła — krzyknąłem. — Zaraz będzie spust stali.

Lipiec 1952.

Lesław Bartelski

W. S. KIEMIENOW

Spuścizna artystyczna Leonarda da Vinci

Cała postępowa ludzkość obchodzi pięćsetlecie urodzin Leonarda da Vinci, wielkiego malarza, wszechstronnego uczonego oraz filozofa, jednego z najgenialniejszych przedstawicieli kultury, sztuki i nauki Odrodzenia. Ogromne, postępowe i rewolucyjne znaczenie tego okresu polegało na zaciętej i wszechstronnej walce ze średniowieczem. Walka z feudalizmem i jego stoją duchową — kościołem katolickim — rozpoczęła się we Włoszech, gdzie feudalizm został obalony już w XIII wieku. Rozwój rzemiosła i handlu oraz rozkwit miast jako wielkich ośrodków kulturalnych przyśpieszyły rozkład gospodarki naturalnej. Podstawę ekonomiczną Odrodzenia stanowiło wyzwolenie chłopów pańszczyźnianych oraz rozkwit drobnej wytwórczości, której narzędzia pracy znajdują się w posiadaniu rzemieślnika. Była to sytuacja chwilowa, stanowiła ona formę przejściową i nie mogła trwać długo.

„Zarówno drobne gospodarstwa wiejskie jak i produkcja drobnych rzemieślników samodzielnych stanowią częściowo bazę feudalnego sposobu produkcji, częściowo zaś po jego upadku istnieją nadal obok produkcji kapitalistycznej. Są one jednocześnie podstawą ekonomiczną klasycznego społeczeństwa w najbardziej pomyślnym okresie jego rozwoju."*

Ta podstawa ekonomiczna Odrodzenia miała charakter przejściowy między feudalizmem a kapitalizmem i nie można jej uważać za ustrój kapitalistyczny. „Jakkolwiek pierwsze zaczątki produkcji kapitalistycznej sporadycznie występują w niektórych miastach śródziemnomorskich już w wieku XIV i XV, era kapitalizmu datuje się dopiero od XVI wieku" — pisał Marks zaznaczając, że „tam gdzie ona występuje, poddaństwo już dawno było zniesione, a miasta udzielne, ów najwyższy wykwit średniowiecza, już od dłuższego czasu chyliły się do upadku." *

Ażeby w krótkim stosunkowo czasie mogła pojawić się tak znaczna liczba wszechstronnie utalentowanych twórców Odrodzenia, którzy celowali jednocześnie w kilku dziedzinach nauki, literatury i sztuki, konieczne było powstanie określonych historycznie warunków pracy ludności ówczesnych włoskich miast-państewek. Takich mianowicie warunków, w których podział pracy nie przeszkadzałby rozwojowi ludzkich zamiłowań i zdolności. W miastach średniowiecznych nie przeprowadzono wówczas jeszcze w cechach rzemieślniczych tak charakterystycznego dla produkcji kapitalistycznej podziału na rodzaje pracy wykonywanej przez poszczególnych robotników.

W stosunkach wytworzonych przez produkcję kapitalistyczną rozłam między pracą umysłową a fizyczną doprowadza do zdławienia działalności robotnika i wszystkich jego możliwości duchowych.

„Z podziałem pracy następuje też podział człowieka. Udoskonaleniu jednej tylko czynności zostają złożone w ofierze wszystkie inne uzdolnienia fizyczne i duchowe. To skarłowacenie człowieka wzrasta w tej samej mierze, co podział pracy."

Engels podkreśla nieco dalej, że sama

* Karol Marks. Kapitał t. I.

* Karol Marks. Kapitał t. I, Książka i Wiedza. Warszawa 1951, str. 773.

manufaktura przemienia robotnika w jakiegoś potwora „przez stłumienie w nim całego królestwa twórczych skłonności i dyspozycji.“*

Marks podkreśla, że „produkcja kapitalistyczna nie sprzyja niektórym dziedzinom twórczości duchowej, jak sztuka i poezja“ ** i już chociażby dlatego jedynie nie może ona stanowić przyczyny, od której zależał rozkwit sztuki w okresie Odrodzenia.

Lecz panowanie manufaktury, tego początkowego stadium rozwoju kapitalistycznego, jak na to wskazuje Marks, powstaje również — mniej więcej od połowy XVI wieku do drugiej połowy XVIII wieku. Odrodzenie zaś, które się rozpoczyna w drugiej połowie XV wieku, założyło jedynie podwaliny „przejścia od rzemiosła do manufaktury.“ *** Należy to podkreślić, gdyż wulgaryzatorzy, którzy powtarzają antyhistoryczne poglądy burżuazyjne, popełniają najczęściej ten błąd, że usiłują łączyć w ten czy inny sposób twórczość Leonarda z kapitalistycznym sposobem produkcji i związać ją z rozwojem manufaktury, tłumacząc wszystkie trudności, jakie napotyka na swej drodze twórczej i wszystkie rozczarowania, jakich doznał, jedną tylko przyczyną — wybuchem reakcji feudalnej we Włoszech w końcu XV i na początku XVI wieku.

To jednostronne wyjaśnienie daje fałszywą charakterystykę Leonarda: zaciera ono sprawę jego negatywnego stosunku do powstających wówczas tendencji burżuazyjnych i właściwie czyni z Leonarda przeciętnego ideologa burżuazji. Przy tym obiektywny skutek wynikły z działalności Leonarda i innych tytanów Odrodzenia, których Engels uważa za założycieli nowoczesnego panowania burżuazji, wiąże się z ich subiektywnymi celami i dążeniami.

Jako humanista Leonardo da Vinci wierzył w możliwość wszechstronnego rozwoju człowieka, w całkowite wyzwolenie go ze wszystkich pęt krępujących harmonijny rozwój jednostki. „W rzeczywistości sprawa przedstawiała się oczywiście w ten sposób, że wyzwalali się za każdym razem o tyle, o ile im na to pozwalał i nakazywał nie ideał człowieka, ale istniejące siły produkcyjne“, mówi Marks. *

Nie wolno nie doceniać wielkiej oryginalności historycznej Odrodzenia, o którym Engels powiedział: „Był to największy postępowy przewrót, jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła, epoka, która wymagała olbrzymów i olbrzymów zrodziła — olbrzymów myśli, namiętności, charakteru, wszechstronności i wiedzy. Mężom, którzy zakładali nowożytne władztwo burżuazji, można było przypisać wszystko, ale nie ograniczoność burżuazyjną. Przeciwnie, owładnął nimi mniej lub więcej awanturniczy charakter epoki. Trudno było podówczas o wybitniejszego człowieka, który nie podejmowałby dalekich podróży, który nie mówiłby czterema lub pięcioma językami, który nie celowałby w kilku naraz dziedzinach: Leonardo da Vinci był nie tylko wielkim malarzem, ale zarazem wielkim matematykiem, mechanikiem i inżynierem, któremu różne gałęzie fizyki zawdzięczają doniosłe odkrycia.“ **

Twórcy kultury Odrodzenia wierzyli głęboko we wszechmoc rozumu ludzkiego, którego wysiłki powinny doprowadzić do wykrycia wszystkich ta-

---

* Fryderyk Engels. Anti-Dühring. Książka i Wiedza. Warszawa 1949, str. 286.

** Karol Marks. Teoria wartości dodatkowej, t. I, wyd. ros., str. 247.

*** Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła Wybrane tom II. Książka i Wiedza. Warszawa, 1949, str. 53.

* Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła t. IV, wyd. ros., str. 419.

** Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła Wybrane tom II. Książka i Wiedza, Warszawa 1949, str. 53.

jemnic przyrody. Człowiek stanowił dla nich jej część; uważali oni, że narządy zmysłów mogą dostarczyć i dostarczają człowiekowi prawdziwych wiadomości, że należy śledzić je o wiele uważniej niż teksty rozpraw teologicznych, w których gąszczu błądzili scholastycy i mnisi średniowieczni. Leonardo mówił, że z nienasyconą żądzą poznania marzył o tym, by zgłębić pochodzenie wielu tworów przyrody. Istotnie, niewyczerpana i wielostronna działalność Leonarda ogarnia najróżnorodniejsze dziedziny przyrody: budowę świata, historię ziemi, geologię, botanikę, zoologię, matematykę, optykę, mechanikę, fizykę, oraz wszystko, co ma związek z życiem i działalnością człowieka: jego anatomię, różne dziedziny jego działalności praktycznej i teoretycznej, architekturę, lingwistykę, poezję, muzykę, malarstwo, rzeźbę, estetykę itd. Badania swoje Leonardo opierał na poglądach materialistycznych, traktując świat z całą jego różnorodnością jako dzieło przyrody, która ma „własny rozum" i własne prawa. Jego zdaniem malarz jest tłumaczem przyrody na język sztuki. *

A jeśli spotyka się niekiedy u Leonarda obok zachwytu dla piękna przyrody wzmiankę o „pierwszym budowniczym" czyli Bogu, to jedynie jako o wielkim wynalazcy i artyście; nie bierze on nigdy Boga pod uwagę, gdy wyjaśnia konkretne zjawiska przyrody.

Wszechświat jest dla Leonarda olbrzymią księgę napisaną „w języku matematyki". Naukowe wyjaśnienie świata Leonardo opiera przede wszystkim na matematyce i mechanice, gdyż były to wówczas jedyne nauki ścisłe. Jakkolwiek jednak Leonardo twierdził, że nie można uzyskać żadnych pewnych wiadomości bez zastosowania jednej z nauk matematycznych i że pismem świata są figury geometryczne, materializm jego nie miał tego ściśle mechanicznego, metafizycznego charakteru, jakiego nabrał później u Hobbesa i niektórych filozofów XVII wieku. Zaniedbują oni bowiem ruch fizyczny na korzyść ruchu mechanicznego lub matematycznego i sprowadzają całą różnorodność jakościową i złożone piękno świata do wzajemnego oddziaływania abstrakcyjnych sił mechanicznych i abstrakcyjnych ilości; materializm ich według określenia Marksa staje się wrogi człowiekowi.

Materializm Leonarda da Vinci nie pozbawia świata malowniczości i różnorodności jakościowej. Przeciwnie, badając przyrodę jako uczony, Leonardo zachwyca się jednocześnie jako artysta proporcjami, harmonią i różnorodnością kształtów w przyrodzie. Z tego względu do materializmu Leonarda można zastosować charakterystykę, jaką Marks dał materializmowi Bacona: „U Bacona, jako u pierwszego swego twórcy, zawiera materializm w naiwnej jeszcze formie zaczątki wszechstronnego ustroju. Materia otoczona poetycznie zmysłowym blaskiem uśmiecha się do wszystkich władz człowieka."*

Toteż uznając znaczenie nauk matematycznych dla malarstwa, Leonardo widział także wyższość malarstwa nad nimi: „...Jeśli geometria sprowadza każdą powierzchnię ograniczoną linią do kwadratu i każde ciało do sześcianu, jeśli to samo czyni arytmetyka... to obie te nauki obejmują tylko poznanie ilości, lecz nie zajmują się wcale jakością i pięknem zjawisk przyrody oraz pięknem świata." (Traktat o malarstwie)

Leonardo był głęboko przekonany o obiektywnym istnieniu przyrody i jej właściwościach niezależnych od czło-

* Leonardo da Vinci. Traktat o malarstwie.

* Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła Wybrane. t. II. Książka i Wiedza. Warszawa 1949, str. 88.

wieka. „Czy można powiedzieć, że właściwości traw, kamieni i drzew nie istnieją, bo ludzie nie wiedzą o nich? Oczywiście, nie."

Leonardo bronił materializmu i atakował agnostycyzm twierdząc: „...Wiemy, że ludzie mogą wydawać słuszne sądy o zjawiskach przyrody."

„Cała wiedza nasza zaczyna się od doznań."

Leonardo ośmieszał pojęcia religijne: „A jeśli wątpimy w prawdziwość tego, co poznajemy przy pomocy zmysłów, o ileż bardziej powinniśmy wątpić w to wszystko, co jest sprzeczne z naszymi zmysłami jak na przykład w istotę Boga i duszy itp. ...Nauka prawdziwa to nauka, którą doświadczenie zmusiło do dotarcia do zmysłów i... która nie żywi się sennymi majakami badaczy." *

Leonardo zadał decydujący cios biblijnej legendzie o potopie: „Brak tu przyczyn naturalnych, toteż dla rozstrzygnięcia tych wątpliwości należy na pomoc przywołać cud." — powiada Leonardo z ironią, nazywając „sektą nieuków" tych, którzy chcą wszystko tłumaczyć „działaniem niebios." Wykpiwał on również przepowiednie wszelkich chiromantów i wróżbitów twierdząc, że ich fantazje nie mają podstaw naukowych."

Charakterystyczną cechą Leonarda jest ścisły związek jego badań teoretycznych z praktyką, z doświadczeniem, z eksperymentem. Wiedza jest córą doświadczenia, twierdził Leonardo. „Nie ufajcie pisarzom, którzy usiłują wyjaśniać zjawiska przyrody jedynie przy pomocy swej wyobraźni... — pisał — Strzeżcie się rad tych myślicieli... którzy rozmyślań swych nie popierają doświadczeniem. Wiedza, której nie zrodziło doświadczenie, źródło wszelkiej wiarygodności, jest jałowa i błędna. Chcę z początku ustalić jakiś fakt i dopiero potem dowieść przy pomocy rozumu, dlaczego fakt ten ma taki a nie inny charakter. Jest to właśnie ta słuszna metoda, którą powinien stosować każdy badacz zjawisk przyrody." Dzięki tym poglądom Leonardo stał się ojcem rozwoju nauk ścisłych w czasach nowożytnych, poprzednikiem Bacona i Galileusza.

Wykpiwając ślepe uwielbienie autorytetu pisarzy starożytnej Grecji i Rzymu, Leonardo pisał: „Ten kto w dyskusji powołuje się na autorytet, posługuje się nie rozumem, lecz jedynie pamięcią." Znacznie lepiej jest „powoływać się na doświadczenia nauczyciela ich nauczycieli."

Mówiąc o ścisłym związku, który istnieje między teorią a praktyką, Leonardo podkreśla: „Nauka to wódz, doświadczenie to żołnierze." Nieco dalej pisze: „Ten, kto zajmuje się tylko praktyką zaniedbując teorię, przypomina marynarza, który puszcza się w drogę bez steru i busoli: nie wie nigdy, dokąd płynie... Unikaj tych prac naukowych, których wyniki giną wraz z tymi, którzy ich dokonali. Pod każdą zasadą wpisz zastosowanie jej, żeby wiedza nie pozostała bezpłodna."

Ta zasada Leonarda świadczy o jego głębokim przekonaniu, że nauka powinna służyć ludzkości, że odkrywając prawa przyrody uczony powinien przekazać wiedzę swoją innym ludziom.

„Najpożyteczniejsza jest ta nauka, której owoce najbardziej nadają się do przekazywania." (Traktat o malarstwie)

Przekonanie Leonarda, że sztuka i nauka stanowią jedynie dwa różne sposoby poznania życia ludzkiego, jest mocno oparta na realizmie. Według Leonarda malarstwo naśladuje wszystkie widzialne twory natury, „delikatny instru-

* Leonardo da Vinci. Traktat o malarstwie. L. Olschi usiłuje zupełnie bezpodstawnie uznać te wyraźnie ironiczne sądy Leonarda godzące w idealizm i religię za... agnostycyzm. (przyp. autora).

ment, który z namysłem filozoficznym i subtelną dociekliwością bada wszystkie właściwości kształtów: morza, miejscowości, drzew, zwierząt, traw i kwiatów... Istotnie, malarstwo to nauka i córa przyrody, gdyż przyroda je zrodziła; żeby wyrazić się słuszniej powiemy: to wnuczka przyrody, gdyż wszystkie rzeczy widzialne zostały zrodzone przez przyrodę i z tych rzeczy narodziło się malarstwo."

Poglądy Leonarda na malarstwo pomagają nam zrozumieć tę wielką rolę, jaką odegrało ono w rozwoju innych sztuk i nauk Odrodzenia. Zasadniczy punkt widzenia Leonarda, z którego wynikają jego poglądy na malarstwo jako na środek poznania świata obiektywnego w całej jego różnorodności, określał postulat realizmu w sztuce i estetyce. Postulat ten zmuszał malarza do gruntownego, naukowego poznania przyrody, zgłębienia jej praw, jako do niezbędnego warunku odtwarzania jej tworów na obrazach i rysunkach.

Osobowość Leonarda da Vinci łączy uczonego i artystę, i to umożliwiło mu ogromne osiągnięcia zarówno w dziedzinie nauki jak i sztuki. Tak więc Leonardo żądał od malarza znajomości anatomii człowieka, budowy jego kości, ścięgien, mięśni, nerwów itd. i aby tę wiedzę uzyskać zajmował się sam sekcją zwłok.

Dla Leonarda znajomość ciała ludzkiego, rąk, twarzy, staje się środkiem wymownej, obrazowej charakterystyki stanów psychicznych jego postaci. Ponadto Leonardo był nieprzejednanym wrogiem wszelkiego szablonu, schematyzmu i jednostajności w przedstawianiu psychicznych stanów człowieka. „Przecież brwi i usta człowieka płaczącego zmieniałą się zależnie od powodów, dla których płacze, jedni bowiem płaczą z gniewu, inni ze strachu, inni z rozczulenia i radości, inni z powodu złych przeczuć, jedni z bólu i na skutek cierpień, inni z żalu i zmartwienia... płacząc jeden okazuje rozpacz, inny niezbyt się smuci, jeden jest skłonny do łez, inny krzyczy... itd. w zależności od wymienionych przyczyn." (Traktat o malarstwie)

Wspaniały przykład bogactwa charakterystyk konkretnych znajdujemy w gestach, ruchach rąk i wyrazie twarzy apostołów w O s t a t n i e j W i e c z e r z y. Tu także Leonardo-uczony i Leonardo-malarz pomagali sobie wzajemnie.

Leonardo był nie tylko wielkim malarzem, lecz także znakomitym teoretykiem sztuki, autorem T r a k t a t u o m a l a r s t w i e. W traktacie tym Leonardo łączy owoce swego osobistego doświadczenia z doświadczeniem włoskiej sztuki realistycznej wieku XV, która przełamała gotyckie tradycje średniowieczne łączące niejednokrotnie konwencjonalną sztywność kształtów z dekoracyjnością i naturalizmem. Swoją działalnością praktyczną i wywodami teoretycznymi Leonardo ugruntował i przygotował późniejszy rozkwit sztuki włoskiej początku wieku XVI, sztukę Giorgione, Tycjana, Veroneza, Tintoretta i innych znakomitych malarzy Odrodzenia.

Przed Leonardem malarze włoscy już od Giotta począwszy pracowali w kierunku wytyczonym przez ogólny charakter kultury Odrodzenia, walczyli z oschłością, przezwyciężali konwencjonalność i religijny schematyzm bizantyjskiego malarstwa kościelnego i usiłowali naśladować przyrodę, przepajać religijną tematykę obrazów, które u nich zamawiano, treścią ziemską, typami i charakterami ludzi spotykanych w życiu codziennym, rzeczywistym. Quatrocento wydało szereg wybitnych dzieł sztuki realistycznej, które przygotowały glebę dla działalności Leonarda. Lecz

nawet w najlepszych z tych dzieł można znaleźć takie czy inne rysy łączące je z okresem poprzednim, gdyż większość malarzy, którzy dążyli do realistycznego obrazu przyrody, nie znali jeszcze jej praw i nie wiedzieli, że znajomość tych praw ułatwia zrozumienie praw sztuki i wypracowanie reguł realistycznego przedstawiania przyrody.

„W tym właśnie czasie, pisze Goethe, wystąpił Leonardo. Z wrodzonej miłości do sztuki z łatwością naśladował przyrodę, toteż głęboka inteligencja wkrótce pouczyła go, że pod zewnętrznymi postaciami zjawisk, które umiał tak świetnie kopiować, kryje się jeszcze wiele tajemnic, do których rozwiązania powinien ciągle dążyć. I oto zaczął doszukiwać się praw budowy organizmów i podstaw proporcji, interesować się prawami perspektywy, ustawienia postaci i przedmiotów, oświetleniem ich i kolorytem na danej przestrzeni; słowem usiłował zgłębić przy pomocy rozumu wszystkie wymagania sztuki."

Miasto rodzinne Leonarda — Florencja — było glebą, na której wyrósł i rozwinął się jego geniusz. Florencja była wówczas czołowym, przemysłowym miastem Włoch, słynęła z wyrobów włókienniczych i szklanych. Tradycje demokratyczne były tu głębiej zakorzenione niż na przykład w Rzymie lub Wenecji. Właściwości te wycisnęły także swoje piętno na sztuce. Krytykując Stirnera Marks pisał: „Sancio wyobraża sobie, że Rafael tworzył swe obrazy niezależnie od istniejącego wówczas w Rzymie podziału pracy. Gdyby porównał on Rafaela z Leonardo da Vinci lub Tycjanem, zobaczyłby jak dalece dzieła malarskie Rafaela zależały od ówczesnego rozkwitu Rzymu, który nastąpił pod wpływem Florencji, dzieła Leonarda — od warunków we Florencji, a Tycjana — od zupełnie odmiennego rozwoju Wenecji." *

Florencja uchodziła za miasto-republikę, chociaż właściwie władza w niej należała do Kosmy i Lorenzzo Medicich, wokół których grupowali się pisarze, uczeni i artyści Odrodzenia.

Pracownia Verocchia była ośrodkiem, do którego zjeżdżali się najbardziej utalentowani artyści — malarze i rzeźbiarze Florencji. W atmosferze tej, która sprzyjała rozwojowi wielostronnych zdolności kształtował się talent Leonarda. W pracowni Verocchia Leonardo zajmował się rzeźbą, rysunkiem, robił wykresy architektoniczne jak również plany młynów, projekty maszyn tkackich, kanału rzeki Arno łączącego Florencję z Pizą, tuneli górskich, kranów, itd. Jednocześnie doskonalił się w sztuce malarskiej.

Z lat 70-tych datuje się obraz Z w i a s t o w a n i e, w którym Leonardo wychodząc poza ramki tematu religijnego w sposób bardzo ludzki potraktował postacie, co daje się stwierdzić również w znakomitym studium głowy kobiecej (Uffizzi). W obrazie tym również krajobraz jest przesycony poezją: łąka z doskonale namalowanymi kwiatami i trawą, ciemne sylwetki cyprysów na jasnym, przedwieczornym niebie.

Połączenie wizerunku postaci ludzkiej z „uczłowieczoną" przyrodą widzimy również w portrecie Ginevry Benci.

Portret Cecylii Gallerani — wizerunek siedzącej młodej kobiety z białym zwierzątkiem (łasiczką) na ręku — jest jednym z najpiękniejszych portretów Leonarda. Portret ten odzwierciedla czystość i jasność humanizmu i wywołuje w patrzącym nań człowieku uczucie spokoju i harmonii tak charaktery-

* Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła t. IV wyd. ros., str. 379—380.

stycznych dla większości dzieł Leonarda z lat 70—80.

Pod koniec lat 70-tych Leonardo maluje Madonnę z kwiatem (Ermitaż, Leningrad). W tym doskonałym obrazie Leonardo całkowicie wyzwolił się od wszelkiego wpływu tematyki religijnej. Obraz namalowany w ciepłej, złocistej gamie kolorów odznacza się głębokim realizmem i poezją. Leonardo przedstawił młodą matkę z dzieckiem na kolanach. Matka uśmiecha się patrząc na syna, który bawiąc się obrywa płatki kwiatu. Za model do tego obrazu Leonardo wziął bardzo młodą dziewczynę (w ówczesnych Włoszech kobiety wychodziły za mąż bardzo wcześnie). Madonna z tego obrazu — to jeszcze podlotek, niemal dziewczynka, która niedawno bawiła się lalkami, a teraz z naiwną radością i zapałem bawi się ze swoim niemowlęciem. Madonna z kwiatem — to stosunkowo wczesne dzieło Leonarda; środki malarskie nie są jeszcze w nim w pełni doskonałe, malarz nie malował ich jeszcze z takim mistrzostwem, jakie przejawia się w późniejszych jego pracach. Lecz niezwykle wymownie wyraża się tu pogoda i beztroski optymizm, *leit-motiv* humanizmu Leonarda w pierwszym okresie jego twórczości.

W znakomitych portretach kobiecych i rysunkach przedstawiających kobiety z 70—80-tych lat Leonardo przedstawił całą galerię pięknych wizerunków ludzkich, zdumiewających harmonijną jednością piękna fizycznego i duchowego, wzniosłością i czystością uczuć ludzkich, doskonałością proporcji i ruchów.

Leonardo uważał, że malarstwo ma zdolność i siłę przedstawiania „wszystkiego, co istnieje w świecie jako rzecz, zjawisko lub twór wyobraźni." Pisał: „Jeśli malarz zapragnie ujrzeć piękne rzeczy wzniecające jego miłość, jest w mocy je stworzyć, jeśli zaś zapragnie rzeczy potwornych, które budzą przerażenie, lub błazeńskich i śmiesznych, lub naprawdę żałosnych, to także jest ich panem i bogiem."

Wielki malarz robi szereg rysunków, które słusznie czynią zeń ojca sztuki karykatury. Tak na przykład znajdujący się w Windsorze rysunek przedstawia wstrętną starą elegantkę z małpią twarzą w sukni z ogromnym dekoltem i w bezsensownym kapeluszu. Inny rysunek znajdujący się w Windsorze to parodia dyskusji, przedstawia ona rozmowę mężczyzn. Jeden z nich wrzeszczy z głową podniesioną do góry i nie słucha nikogo; inny w todze mędrca i dębowym wieńcu na głowie to uparty tępak; trzeci z długimi do ramion włosami i wysuniętą dolną wargą to zadowolony z siebie arogant; czwarty — kretyn z uprzejmym uśmiechem. Analogiczny rysunek trzech profilów męskich znajduje się w Wenecji. To zarozumiałe nadęci głupcy — „mężowie nauki", z których jeden ma również wieniec na głowie. Są to wszystko beztalencia, mole książkowe i scholastycy, typy zarówno średniowiecznych jak i nowych, „humanistycznych", talmudystów, których było niemało za czasów Leonarda i których wykpił Rabelais. Znajdujący się w Wiedniu rysunek głowy starszego mężczyzny ukazuje takie wady modelu jak chciwość, egoizm, lubieżność i złośliwość.

Tak więc Leonardo, realista z przekonania, traktował sztukę jako potężny środek poznania życia i usiłował ogarnąć je we wszystkich jego sprzecznościach. Lecz do Ostatniej Wieczerzy te dwa kierunki istniały w jego twórczości niejako obok, równolegle, nie oddziaływując na siebie nawzajem i nawet nie stykając się ze sobą w żadnym z jego obrazów. W Ostatniej Wieczerzy pierwiastek potworny, antyhumani-

styczny, negatywny, wyrażony w postaci Judasza, po raz pierwszy zostaje włączony w wielką wielopostaciową kompozycję zbudowaną zgodnie z najsurowszymi zasadami harmonii i piękna i burzy ten świat pozytywnych etycznie wizerunków braci apostolskiej, do którego wtargnęła zdrada. Siła konfliktu dramatycznego, głębia charakterystyki psychologicznej, doskonałość kompozycji i wyrazu plastycznego czynią z O s t a t n i e j W i e c z e r z y Leonarda jedno z największych dzieł sztuki świata. Fresk ten, namalowany w refektarzu klasztornym w Mediolanie, nad którym Leonardo pracował od 1495 do do 1497 roku, obecnie jest prawie zupełnie zniszczony, gdyż malarz użył farb olejnych, które zaczęły blaknąć i osypywać się pod wpływem wilgoci. Fresk ucierpiał również na skutek wtargnięcia żołnierzy wojsk napoleońskich, którzy urządzili w refektarzu stajnię i palili ogniska. Podczas drugiej wojny światowej bomba amerykańska zniszczyła dach refektarza, zasypała sam refektarz i pochyliła cudem ocalałą ścianę z freskiem Leonarda.

Temat O s t a t n i e j W i e c z e r z y jest bardzo rozpowszechniony w malarstwie włoskim, wielu malarzy opracowywało go przed Leonardem: Andrea del Castagno, Ghirlandaio i inni. Ale jak to niejednokrotnie podkreślano, umieszczali oni Judasza samego, po drugiej stronie stołu, aby nie „obrażać" tym sąsiedztwem apostołów i Chrystusa. Leonardo zdecydowanie zerwał z tą tradycją. Tworząc swój fresk kierował się nie pobożnością, ale poczuciem głębokiego realizmu. Rzecz charakterystyczna, że w notatniku Leonarda znaleziono opis projektu kompozycji fresku, w którym malarz nie używa nawet słowa apostoł, nie nazywa żadnego z nich po imieniu, a Chrystusa określa jako „mówcę, który przemawia." Dla realistycznej metody Leonarda ważne było, o czym mówi przedstawiany przez niego mówca. Leonardo pisze: „Jeżeli chcesz przedstawić jednego człowieka przemawiającego do wielu, przemyśl temat, na jaki on powinien mówić i dostosuj wszystkie gesty mające z nim związek."

W odróżnieniu od swych poprzedników, którzy opracowywali kompozycję O s t a t n i e j W i e c z e r z y rozmieszczając uroczyście nieruchome postacie apostołów zajętych spokojną rozmową, Leonardo i tu także wystąpił jako odważny nowator. Dla fresku swego wybrał inny moment, moment, kiedy spokojną ciszę wieczerzy apostołów zakłóciły nagle słowa przemawiającego: „Jeden z was mnie zdradzi", i kiedy każdy z obecnych wstrząśnięty tymi słowami reaguje na nie po swojemu — ruchem, gestem, spojrzeniem, wyrazem twarzy. Wszystkie postacie tchną niezwykłym realizmem, w obrazie nie ma ani jednego figuranta, ani jednej postaci, której twarz, ruchy i gesty są podyktowane względami dekoracyjnymi, pragnieniem „zrównoważenia" poszczególnych elementów kompozycji itd. Wszystko to tłumaczy się wewnętrznie przy jednoczesnym zachowaniu jedności i harmonijnej równowagi klasycznej kompozycji sztuki dojrzałego Odrodzenia. Pośrodku stołu, za którym zasiedli uczniowie, na ściśle pionowej osi obrazu postać nauczyciela. Z lewej i z prawej jego strony po dwie grupy apostołów składające się z trzech postaci każda. Niektórzy rozmawiają z ożywieniem, inni patrzą na mówiącego, jeszcze inni zerwawszy się ze swoich miejsc dowodzą zapalczywie, że są niewinni.

W swoim T r a k t a c i e Leonardo żądał realistycznego przedstawiania osób słuchających człowieka, który przemawia. Przede wszystkim niech lu-

dzie otaczający zdarzenie, będące historycznym tematem obrazu, będą zajęci tym zdarzeniem, niech ruchy ich odzwierciedlają zdziwienie, szacunek, zmartwienie, podejrzenie, lęk, radość lub to, czego wymaga dane zdarzenie, dla którego stanęły lub zbiegły się twoje postacie."

W Ostatniej Wieczerzy Leonardo przedstawił uczucia osób działających z wyjątkową siłą wyrazu, po mistrzowsku pokazał charakter, wiek, temperament, ruchy i stan uczuciowy każdego człowieka i w sposób doskonały spełnił postulat, który sformował sam w swoim traktacie: „Przedstaw postacie wykonujące gesty, które ukazują dostatecznie wyraźnie, co się dzieje w sercu każdej postaci, w przeciwnym razie sztuka twoja nie będzie godna pochwały."

Szczególny zachwyt Goethego wzbudziły w Ostatniej Wieczerzy ruchy rąk, które jego zdaniem mógł wymyśleć tylko Włoch, gdyż całe ciało Włocha jest jednakowo uduchowione i bierze zawsze udział w wyrażaniu uczuć, namiętności i nawet myśli.

Zrozumiałe jest ogromne wrażenie, jakie fresk Leonarda robił na współczesnych, którzy widzieli w uczestnikach Ostatniej Wieczerzy nie oderwane postacie legendy chrześcijańskiej, lecz swoich ziomków. Analiza fresku dowodzi, że Leonardo użył świadomie niektórych środków zmierzających do tego celu. Należy szczególnie podkreślić cudownie rozwiązany problem włączenia fresku w architekturę sali. Żeby związek ten pogłębić, Leonardo przedstawił refektarz jako głęboką czworokątną niszę malując w niej ściany, gzymsy i belki sufitu zgodnie z najsurowszymi zasadami perspektywy. Wywołało to zachwyt Surikowa, który napisał, że w Ostatniej Wieczerzy Leonarda da Vinci „namalowany sufit sali, w której dzieje się przedstawiana przez malarza scena, rzeczywiście spada na prawdziwą ścianę." *

Po tak świetnym rozwiązaniu części architektonicznej fresku Leonardo maluje na tylnej ścianie niszy trzy otwory okienne, przez które widać krajobraz. Postacie i przedmioty na fresku są oświetlone zgodnie z rzeczywistym źródłem światła w refektarzu klasztornym, co jeszcze bardziej zespala fresk z architekturą sali. Dzięki takiemu ujęciu namalowane na ścianie przestrzeń i postacie niejako włączają się w codzienny, rzeczywisty posiłek mieszkańców klasztoru mediolańskiego. Goethe pozostawił następujący bardzo cenny opis: „Kilka lat temu, podczas pierwszej naszej podróży do Włoch, widzieliśmy tę Wieczerzę w tym jeszcze stanie, w jakim była za Leonarda. Na wprost wejścia, w głębi sali stał stół przeora; po dwóch jego stronach — stoły mnichów ustawione na niewysokim występie; kiedy zaś wchodzący odwrócił się, to na czwartej ścianie, nad niewielkimi drzwiami widział czwarty, namalowany stół, a za tym stołem siedział Chrystus z uczniami, którzy sprawiali wrażenie, jakby należeli do bractwa mnichów." **

Stoły rzeczywiście ustawione w refektarzu w kształcie podkowy zamykał stół namalowany na murze przez Leonarda, tworząc zamknięty czworokąt, co w godziny posiłków, kiedy sala zapełniała się ludźmi siedzącymi za stołami, tworzyło według słów Goethego imponujący widok. Ażeby pogłębić to wrażenie, Leonardo namalował na swym fresku stół zupełnie podobny do stołów, jakie mieli mnisi. To samo dotyczy serwety z frendzlą i wzorzystym szlakiem, typowym wyrobem

* W. I. Surikow. Listy.
** Goethe. Dzieła, t. 8.

czternastowiecznych rzemieślników z Perugii, która według słów Goethego była wzorowana na serwecie klasztornej. Półmiski, talerze, kubki i pozostałe naczynia zostały skopiowane z naczyń klasztornych. W ten zdecydowany i mocny sposób Leonardo osiągnął maksymalny związek między zdarzeniem odtworzonym na fresku a życiem codziennym współczesnych Włoch.

Do jakiego celu zmierzał Leonardo? Nie mógł nie wiedzieć, że tak rozwiązany pod względem kompozycyjnym fresk będzie przez długie lata, co najmniej trzy razy dziennie, przypominać wszystkim ludziom wchodzącym do refektarza zdradę popełnioną w ich oczach przez jednego z obecnych, siedzącego z nimi przy wspólnym stole. Szczególnej ważności nabiera wobec tego problem umieszczenia Judasza w kompozycji fresku. Widocznie Leonardo nie pochwalał pomysłu swoich poprzedników, którzy umieszczali Judasza osamotnionego po drugiej stronie stołu, ażeby w ten sposób bardziej go wyodrębnić od reszty. Dla Leonarda, głębokiego realisty i wnikliwego obserwatora współczesnej rzeczywistości ze wszystkimi jej kontrastami i sprzecznościami, problem polegał nie na tym, by kompozycyjnie wyodrębnić Judasza (chociaż w szkicach wypróbował to rozwiązanie także), lecz przeciwnie, by uczynić go mniej widocznym na pierwszy rzut oka. Leonardo rozumiał, że zdrajca powinien dążyć do tego, żeby się nie zdradzić.

Zgłębiając z właściwą sobie przenikliwością psychologię Judasza, Leonardo umieszcza go obok Chrystusa, w najbliższej grupie, do której wchodzą Piotr, najstarszy z apostołów, i Jan, ulubiony uczeń Chrystusa. „W takim umieszczeniu Judasza — pisze Ajnałow — znalazło wyraz nowe ujęcie jego charakteru. Judasz był człowiekiem bliskim Chrystusowi, mieli oni wspólną kasę i mógł wiedzieć wszystko będąc tak bliski nauczycielowi."*

Nie ulega wątpliwości, że współczesna Leonardowi rzeczywistość włoska dostarczała mu materiałów do stworzenia postaci Judasza. Stąd tak głębokie wczucie się artysty w psychologię Judasza. Zaskoczony słowami nauczyciela, lękając się, że zdrada jego zaraz wyjdzie na jaw, przerażony reakcją pozostałych uczniów, Judasz odsunął się nieco w tył i patrząc na Jezusa przysłuchuje się jednocześnie z napięciem słowom Piotra, który coś żarliwie szepce na ucho Janowi. Lewa ręka Judasza powtarza analogiczny ruch prawej ręki Jezusa, a prawa kurczowo ściska sakiewkę ze złotem. Tymi właśnie objawami strachu, czujności, rozdwojonej uwagi i chciwości Leonardo ukazuje charakter Judasza.

Szkice głowy Judasza na rysunkach pozwalają odtworzyć kierunek twórczej myśli Leonarda. Jest tu zaostrzony, haczykowaty nos, który się styka z brodą, jest nieco wysunięta i krzywa warga dolna, niskie, spadziste czoło, wszystkie rysy przygotowane przez szereg groteskowych karykatur Leonarda i mające wyrażać połączenie szpetoty fizycznej i moralnej. Jednak na fresku Judasz nie jest postacią przesadną, lecz realistyczną. Według biografów Leonardo długo nie mógł znaleźć modelu dla postaci Judasza i chodził poszukując go przez cały rok po brudnych uliczkach Borgetto, gdzie mieszkali różni przestępcy, zanim udało mu się stworzyć doskonały obraz człowieka, którego imię stało się symbolem zdrady. Rzecz ciekawa, że postać Chrystusa pozostała niedokończona i że to niezbyt niepokoiło Leonarda.

Sakiewka ze złotem, którą Judasz zaciska w ręku — to prawdziwy wy-

* D. W. Ajnałow. Studia o Leonardo da Vinci.

nalazek artystyczny Leonarda, był on pierwszym, który zastosował ją dla scharakteryzowania postaci Judasza. Sakiewka ta ukazuje wymownie pobudki zdrady Judasza i nadaje freskowi głęboki sens realistyczny.

Tak dzięki potędze realizmu Leonardo da Vinci zdołał przełamać kościelno-dogmatyczne tradycje średniowiecza i wcielić w żywe postacie Ostatniej Wieczerzy nieśmiertelną legendę Judasza.

Myśli swoje Leonardo wykłada na kształt proroctwa: „Z mroków i głębi ziemi wyłoni się coś, co wtrąci cały rodzaj ludzki w straszliwe nieszczęścia, niebezpieczeństwa i śmierć. Wielu po wielkich trudach zdobędzie złoto, które dostarczy im rozkoszy, lecz ci, co go nie będą mieli, umrą wśród cierpień i nieszczęść. Wywoła ono ciągłe zdrady, popchnie ludzi do morderstwa, rabunku i wiarołomstwa, zasieje podejrzliwość wśród ludzi, odbierze władzę wolnym miastom, będzie kosztowało wiele ludzkich istnień; będzie ono dręczyć ludzi oszustwem i zdradami...

O potworny żywiole! O ileż szczęśliwsza byłaby ludzkość, gdybyś wrócił do piekła...“ *

Jako wielki myśliciel Odrodzenia, obdarzony zmysłem obserwacji i przenikliwą inteligencją, Leonardo nie mógł nie zastanawiać się nad zgubnymi skutkami potęgi złota i pieniędzy: nad upadkiem moralności, wypaczeniem myśli i uczuć, podkopywaniem związków społecznych i osobistych, niszczeniem zdobyczy demokratycznych wolnych miast. Nie mógł nie widzieć, że zagraża ono wszystkim tym wartościom ludzkim, które w walce z duszącym mrokiem średniowiecza stworzyło Odrodzenie i które niedawno jeszcze wydawały się najlepszym przedstawicielom tej epoki dowodem tego, że w świecie współczesnym można urzeczywistnić ich ideały, utrwalić harmonię i piękno.

Leonardo mógł ciągle obserwować, że obudzona w jego współczesnych żądza złota i pogoń za bogactwem pchały ich na drogę kłamstwa, zdrady i krwawych zbrodni. W Traktacie o malarstwie Leonardo podkreśla kilkakrotnie, że pogoń za zyskiem, pragnienie pieniędzy psuje artystę i niszczy sztukę.

Wypowiedzi Leonarda na ten temat zawierają nie tylko gorzką prawdę o pieniądzach, lecz godzą także w ich drapieżnych posiadaczy, chciwych rozkoszy tyranów włoskich miast, w arcyksiążąt świeckich i książąt kościoła, we wszystkich tych Medicich, Sforzów, Borgiów, którzy dążyli do zdobycia państw i bogactw i nie cofali się przed żadną zbrodnią dla pozyskania pieniędzy; ażeby przy ich pomocy zaspakajać swoje rozwiązłe i lubieżne zachcianki, „niskie żądze ciała.“ Potępiając rolę złota, tego — jak mówi Szekspir — „diabła“ i „powszechnej nierządnicy“, które pcha ludzi do morderstw i krwawych wojen, któremu się składa w ofierze losy całych narodów, Leonardo woła z goryczą: „O nicości ludzka! Czyim nie zostałabyś niewolnikiem dla pieniędzy!“

Słowa te charakteryzują pogląd Leonarda na rodzące się w jego epoce stosunki burżuazyjne. W okresie wczesnego feudalizmu z jego zamkniętą gospodarką naturalną nie było dla pieniędzy niemal miejsca. Wraz z rozwojem miast i wymiany handlowej, wraz ze wzrostem gospodarki towarowej i rozkwitem miast pieniądze zaczęły odgrywać rolę przyśpieszając pod wieloma względami upadek feudalizmu i przygotowując rozkwit Odrodzenia. Engels powiedział, że „mieszczaństwo rozporzą-

* „Codice Atlantico de l'Ambrosienne à Milan“. 1891. 362 v. cyt. według „Textes choisis de Leonardo da Vinci“. Paris MCMVII, p. 67—68.

dzało przy tym potężną bronią przeciwko feudalizmowi — był nią pieniądz."*

Odegrawszy postępową rolę w walce z feudalizmem pieniądze wkrótce ukazały drugą swoją stronę, której nie mogły nie zauważyć najlepsze umysły Odrodzenia, a w ich liczbie Leonardo da Vinci. Podobnie jak Szekspira — Leonarda przerażała wzrastająca władza i potęga pieniądza i kazała mu wątpić w możliwość urzeczywistnienia jego ideału harmonijnej, pięknej i wszechstronnie rozwiniętej osobowości ludzkiej. Ludzie tak genialni jak Leonardo coraz bardziej zastanawiali się nad losami wielkich zdobyczy kultury i sztuki, nad losami humanizmu, rozumiejąc, że grozi im niebezpieczeństwo i to nie tylko ze strony sił żywotnej jeszcze przeszłości — reakcji feudalnej, która wzrosła pod koniec XV wieku i na początku XVI, lecz także ze strony sił i tendencji przyszłości, która wraz ze wzrostem stosunków burżuazyjnych musiała prowadzić do nowych sprzeczności, równie zgubnych dla krótkotrwałego rozkwitu humanizmu.

We Włoszech, które wstąpiły na drogę rozwoju burżuazyjnego i skończyły z feudalizmem wcześniej od innych krajów europejskich, wytworzyły się warunki do ukształtowania jednego państwa narodowego. Lecz tendencja ta nie została urzeczywistniona we Włoszech w okresie Odrodzenia przede wszystkim na skutek antynarodowej, egoistycznej polityki kościoła katolickiego i intryg papiestwa, które dążyło do zachowania swej władzy zarówno we Włoszech jak w innych krajach Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Cechy charakterystyczne polityki, którą uprawiał w tym celu we Włoszech kościół rzymski, to gęsta sieć ciągłych intryg i szczucie jednych miast-republik lub księstw na inne, tworzenie bloków i sojuszów w najróżnorodniejszych, ciągle zmieniających się kombinacjach, użytkowanie na szeroką skalę wojsk najemnych i wciągnięcie do tej walki sił wewnętrzno-włoskich państw obcych: Hiszpanii, Francji, Niemiec, Szwajcarii.

W tych wojnach domowych poszczególne włoskie miasta-republiki nie występowały w obronie interesów ogólnonarodowych, lecz walczyły jedynie o własne, miejscowe interesy, płacąc wezwanym na pomoc obcym państwom częścią zdobytych łupów lub odstępując im zdobyte na przeciwnikach włoskie miasta i ziemie.

Na szczególnie wielką skalę handlowali interesami Włoch papieże. Charakteryzując wstąpienie na tron papieski Giovanniego Medici jako Leona X (1513—1522), Marks pisze: „Za jego panowania: rozłam w kościele, wolność zaś i narodowa niezależność Włoch (Leon był człowiekiem Odrodzenia) zostały sprzedane Hiszpanii."*

Leonardo nie mógł oczywiście nie widzieć prawdziwego stanu rzeczy we Włoszech rozdartych wojnami domowymi i walkami wewnętrznymi. Popełniłoby się niesprawiedliwość zarzucając Leonardowi, że pracował raz we Florencji, raz znów w Mediolanie. Oba te miasta były dla niego ośrodkami rozkwitu powstającej w okresie Odrodzenia kultury włoskiej, dwiema nieprzyjaznymi, lecz dążącymi do zjednoczenia narodowego częściami Italii. Nic też dziwnego, że otrzymawszy od florentyńskiej Signorii zamówienie na obraz historyczny przedstawiający walki między wojskiem Florencji a wojskiem Mediolanu, Leonardo potrakto-

* Fryderyk Engels. O upadku feudalizmu i początkach rozwoju burżuazji, str. 6. Książka i Wiedza, Warszawa 1949.

* Archiwum Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, t. VII, wyd. ros., str. 121.

wał zamówienie to inaczej niż ci, którzy go zrobili. Obserwując ciągłe wojny domowe i potyczki zbrojne, które wyczerpywały Włochy i nie pozwalały na zjednoczenie kraju, Leonardo doszedł do wniosku, że są to walki okrutne i bezsensowne. Pogląd ten wyraził w obrazie przedstawiającym bitwę pod Anghiari. Czy miał rację Leonardo traktując w ten sposób temat, który zaproponowały mu władze Florencji, czy też, być może, bitwa pod Anghiari była postępowym czynem patriotycznym i Leonardo okazał się pacyfistą?

Około roku 1503 Leonardo rozpoczął we Florencji portret Mony Lizy Giocondy, nad którym pracował kilka lat i który szeroko zasłynął w historii sztuki całego świata. Portret przedstawia lekko uśmiechniętą młodą kobietę siedzącą w fotelu na tle górzystego krajobrazu. Twórczy geniusz Leonarda, który doszedł wówczas do pełni rozkwitu, sięgnął w tym portrecie swoich szczytów. Dzieło to według Vasariego ukazuje każdemu „jak dalece sztuka może naśladować naturę".*

Nie tylko realistyczna doskonałość wykonania przykuwa uwagę do tego portretu, lecz także sama treść typu ludzkiego stworzonego przez Leonarda. Gioconda to nie tylko portret Mony Lizy Gerardini, żony bogatego florentyńczyka Francesca Gioconda, to filozoficznie uogólniony obraz człowieka Odrodzenia.

Problem ten ma kilka stron. Jedna z nich: człowiek a przyroda. Uogólniony charakter wizerunku Giocondy wpłynął na równie uogólniony charakter krajobrazu na tym obrazie. Czerwonawe skały, które wydają się z oddali niebieskie, woda zasnuta delikatnymi falami, wijąca się droga, kamienny wiadukt, wszystko to przedstawione jest również „w ogóle". To nie tyle konkretny obraz jakiejś określonej miejscowości, ile odbicie ulubionego poglądu Odrodzenia na przyrodę, jako na „państwo człowieka".

Jak gdyby po to, by nie odciągać uwagi od tego co najważniejsze, w obrazie tym, w odróżnieniu od innych kobiecych portretów Leonarda, nie ma ani drogich kamieni, ani naszyjników, ani spinek, ani wyszukanych rękawów z wycięciami i kokardami, ani umiejętnie ułożonych lub splecionych w warkocze włosów. Gioconda przedstawiona jest z rozmyślną prostotą zgodnie z poglądem Odrodzenia: „Człowiek — to część przyrody". Odkryta szyja bez ozdób, przedzielone rozdziałem, miękko spadające na ramiona włosy. Ciemna suknia z dużym wycięciem wykończonym łotą nitką przedstawiona jest również w sposób uogólniający. „...Należy jak najbardziej unikać strojów swoich czasów" pisał Leonardo. Mona Liza nie nosi żadnych ozdób; nie potrzeba ich tu wcale, gdyż ona sama zdobi i krajobraz, który osnuwa niebieską mgiełką jej twarz, i ciemnozieloną tkaninę sukni, która spływa delikatnymi fałdami po jej ciele i rękach ujawniając piękne kształty i doskonałe proporcje. Połączenie postaci ludzkiej z krajobrazem podkreślone rytmem linii i wspólną gamą kolorów osiągnęło w Giocondzie najwyższy wyraz harmonijnej jedności człowieka i przyrody. W tym sensie nie ma tu tego przeciwstawienia delikatnej kruchości człowieka i surowego okrucieństwa otaczającej przyrody, jakie występowało w Madonnie w skałach.

Mogłoby się wydawać, że Gioconda powinna dać najpełniejsze wrażenie harmonii i jedności, że powinna ona bardziej od innych kobiecych obrazów Leonarda budzić w człowieku poczucie całkowitego zado-

* Giorgio Vasari. Żywoty znakomitych malarzy, rzeźbiarzy i architektów t. II.

wolenia i spokoju, tak właściwych obrazom tego malarza. Lecz pomimo swobodnego umieszczenia postaci Giocondy, jej zewnętrznego spokoju i zjednoczenia z przyrodą, portret Giocondy budzi w człowieku nie spokój, lecz przeciwnie nawał myśli i uczuć, wywołuje potrzebę coraz uważniejszego oglądania go, zrozumienia go i przeanalizowania.

Według Leonarda człowiek jest nie tylko częścią przyrody, lecz najcudowniejszym jej dziełem, jej szczytem i uwieńczeniem. Człowiek wydaje mu się zdumiewającym dziełem sztuki; Leonardo porównuje go z doskonałą architekturą, w której przebywa dusza i dodaje, że opuszczając ciało dusza ma wszelkie powody do skargi i żalu.

Podobnie jak inni przodujący myśliciele Odrodzenia Leonardo uważał, że pięknu ciała ludzkiego powinno odpowiadać piękno duszy rozumiejąc przez to słowo charakter człowieka, świat jego myśli i uczuć. Dlatego też w Gioconda problem pięknej jednostki ludzkiej jest rozwiązany jako wyraz harmonii pierwiastka fizycznego i duchowego. Leonardo zdołał stworzyć tu postać głęboko uduchowioną, której piękno fizyczne jest niejako opromienione od wewnątrz życiem duchowym, ruchem myśli i uczuć człowieka.

Niezależnie od stosunku do samego portretu Giocondy na pierwszy już rzut oka nie ulega wątpliwości, że Leonarda pociągnęła nie tylko harmonijność i proporcjonalność jej twarzy i postaci, lecz także głęboka inteligencja, którą świeci jej spojrzenie, subtelność jej uczuć. Materiału do stworzenia takiego obrazu mogła dostarczyć malarzowi nie tylko jedna Mona Liza, lecz również inne kobiety Odrodzenia odznaczające się wykształceniem i bogatym życiem duchowym. Portret Giocondy mógł powstać tylko w okresie Odrodzenia, nie mógł powstać ani w średniowieczu, ani w starożytnej Grecji, gdyż sztuka antyczna w swej dążności do harmonijnego rozwoju jednostki w gruncie rzeczy niewiele się interesowała indywidualnością ludzką.

Leonardo mówił, że przedstawione w dziele sztuki ruchy „powinny odzwierciedlać ruchy duszy tego, kto je wykonuje", mając na myśli nie tylko ruchu postaci, ale również ledwo uchwytne skurcze mięśni twarzy, które powodują „ruch światła w różnych kierunkach". Malarz odda ten ruch kształtów swym pędzlem i osiągnie, że będą się one wydawały żywe „dzięki światłocieniom, które wywołują wyrazy twarzy". Leonardo stworzył w Gioconda właśnie taką twarz, która się wydaje żywa.

Stworzenie uogólnionego obrazu człowieka Odrodzenia wymagało nie tylko przemyślenia problemów przyrody i człowieka, jedności pierwiastka fizycznego i duchowego w harmonijnej osobowości ludzkiej, lecz i przemyślenia samego duchowego świata człowieka. Na pierwszy rzut oka uderza przede wszystkim bogactwo duchowego życia Giocondy w porównaniu z wizerunkami kobiet stworzonymi poprzednio przez Leonarda. Porównane z Giocondą wszystkie inne portrety Leonarda wydają się przedstawiać kobiety o wiele prostsze i nawet nieco naiwne. Portrety te można bardzo wysoko cenić, ale Gioconda nie jest po prostu dalszym ich ciągiem, to nowy krok w twórczości Leonarda. To nie tylko portret, jak na przykład portret Cecylii Gallerani, albo portret kobiety znany jako La bella Ferroniere, albo Ginevry Benci, chociaż w tych portretach także występuje moment uogólnienia. Nie jest to również wizerunek kobiety z pewną domieszką idealizacji występu-

jącej w madonnach Leonarda, w których idealizował on zresztą nie pierwiastek religijny, ale miłość macierzyńską. W Giocondzie nie ma tej jednoznaczności uczuć, występującej w innych pracach Leonarda.

W Giocondzie Leonardo ukazuje intensywne życie wewnętrzne, myśli i uczuć, intelektu i wzruszenia. Ponadto dzięki niezwykle subtelnej grze światłocieni na twarzy Giocondy, myśli jej i uczucia niejako prześlizgują się po twarzy, występują w swym związku wewnętrznym, we wzajemnych związkach ze sobą. Leonardo potrafi ukazać jej życie wewnętrzne jako ustawicznie zmienny proces. Równie zmienne wydają się spojrzenia jej i uśmiech. Malarz uchwycił w nich chwilę przejścia od miękkiej życzliwości do lekkiej drwiny.

Za uśmiechem i spojrzeniem Giocondy wyczuwa się ukryte życie duchowe, o wiele bardziej skomplikowane, wielostronne i pełne sprzeczności, niż to wyraża jej twarz. Twarz ta pozostawia wrażenie czegoś niedopowiedzianego, jakiejś „tajemnicy", którą od tylu lat usiłują zgłębić ludzie oglądający Giocondę.

Należy się tu zatrzymać nad problemem stosunku tego obrazu Leonarda do widza. Zwykle malarze tworzą w swych dziełach wizerunki ludzkie jako obiekty do oglądania. Widzowie mogą obserwować stosunki wzajemne przedstawionych postaci, sądzić o ich charakterze, przenikać myśli i uczucia. W Giocondzie Leonardo obala ten ustalony już i zwykły stosunek między dziełem malarskim a tym, kto je ogląda.* W obrazie tym malarz osiągnął rzecz niemal niewiarogodną: nadał on twarzy i spojrzeniu Giocondy taki wyraz, że ma się wrażenie, iż to ona patrzy na widza, ona chce przeniknąć jego myśli i uczucia, zrozumieć jego charakter.

Na wielu obrazach, portretach i rysunkach Leonarda przedstawione postacie albo patrzą w bok (portrety z profilu, Cecylii Gallerani), lub jedna na drugą (madonny, Anna i Maria). Najczęściej zaś patrzą one w dół, oczy mają spuszczone, powieki przymknięte, na wargach igra lekki, ledwo dostrzegalny uśmiech. Na człowieka przyzwyczajonego do twarzy z przymkniętymi powiekami na obrazach Leonarda zupełnie nieoczekiwane i bardzo głębokie wrażenie robią oczy Giocondy: utkwione są wprost w patrzącego. Leonardo obliczył odległość, z jakiej będzie oglądana Gioconda i tak wymierzył spojrzenie Giocondy, że patrzący na obraz znajduje się w ognisku jej wzroku. Dlatego też treść obrazu zwraca się bezpośrednio do widza. Nie dzieje się to przypadkiem, treść bowiem obrazu staje się jasna nie we wzajemnym stosunku Giocondy z innymi postaciami — nie ma ich zresztą na obrazie — lecz właśnie we wzajemnym stosunku Giocondy i patrzącego na nią.

Dlatego też oglądając obraz człowiek często odczuwa niepokój, że to Gioconda patrzy nań ze swego krajobrazu mądrym, przenikliwym wzrokiem, uśmiechając się miękko, prawie niedostrzegalnie. I im bardziej usiłuje człowiek przezwyciężyć swoje wrażenie albo nie zwracać uwagi na to spojrzenie, żeby przekształcić Giocondę w zwykły obiekt bierny i zastanowić się nad jej charakterem i stanem, tym mniej mu się to udaje, gdyż utkwiony weń z obrazu wzrok Giocondy ciągle i uporczywie zwraca myśl człowieka na samego siebie. Człowiek patrzący

* Widzieliśmy już, że Leonardo wystąpił w tej dziedzinie jako nowator we fresku namalowanym w refektarzu klasztoru w Mediolanie włączając mnichów do liczby uczestników Ostatniej Wieczerzy. Przyp. autora.

na obraz staje się właśnie tą drugą postacią, której Leonardo nie namalował, ale którą włączył w kompozycję swego dzieła.

Leonardo przenosi tym samym problem poznania uogólnionego typu człowieka Odrodzenia na problem poznania siebie samego przez człowieka, który obraz ogląda. Proponuje on niejako człowiekowi oprzeć swoje zdanie o obrazie przedstawiającym Giocondę nie tylko na sposobie, w jaki zostały rozwiązane w obrazie podstawowe zagadnienia estetyki Odrodzenia o wzajemnym stosunku przyrody i człowieka, pięknie, proporcji i harmonii pierwiastka fizycznego z duchowym, lecz także na wzajemnym oddziaływaniu, jakie istnieje między wszechstronnie rozwiniętym człowiekiem Odrodzenia a patrzącymi na obraz współczesnymi Leonarda.

Gioconda jest nie tylko odpowiedzią lecz także pytaniem skierowanym do ludzkości. Za tym niemym pytaniem Giocondy stoi sam Leonardo. Toteż być może dlatego właśnie w odróżnieniu od innych obrazów Leonarda, których wewnętrzne i zewnętrzne piękno i harmonia budziły od razu w patrzącym zdumiewające uczucie spokoju i zadowolenia, Gioconda swoją niedopowiedzianą treścią i swoim z lekka drwiącym spojrzeniem wywołuje w człowieku obok silnego uczucia rozkoszy estetycznej, niejasne uczucie niedosytu pomimo zewnętrznego spokoju i harmonijności jej wizerunku. Dlatego też w człowieku patrzącym na obraz toczy się niejako przez cały czas walka wewnętrzna między siłą przyciągania a siłą przeciwdziałania. Podkreśla to bardzo wielu ludzi.

W Giocondzie został w sposób nowy rozwiązany problem pierwiastka wewnętrznego i zewnętrznego w obrazie człowieka. Problem ten, jak to widzieliśmy, Leonardo rozwiązał w poprzednich swych pracach uznając całkowitą ich zbieżność zarówno w stosunku do postaci ujemnych (karykatury, Judasz) jak i dodatnich (portrety, madonny).

Ta teoria całkowitej zbieżności była postępowa w estetyce Odrodzenia, gdyż pomagała walczyć z kościelno-scholastycznymi poglądami średniowiecznymi, rehabilitowała naturę ludzką i miażdżyła kościelną naukę o walce ducha z ciałem. Uważane za coś niższego, grzesznego i wzgardzone dotąd ciało ludzkie stawało się przedmiotem poznania i zachwytu. Człowiek został uznany za miarę wszelkich rzeczy. W architekturze, rzeźbie, malarstwie zagadnienie proporcji rozwiązywano na podstawie obliczeń proporcji ciała ludzkiego, jako obiektu stworzonego przez przyrodę zgodnie z prawami piękna. Wybitny matematyk Pacioli w dziele Proporcja boska napisanym w najbliższym porozumieniu z Leonardem da Vinci opracowuje podstawy matematyczne takich proporcji, Leonardo zaś wykonuje wyjaśniające rysunki i wykresy do tej książki.

Poglądy humanistów Odrodzenia były przepojone optymizmem i wiarą w to, że przyroda daje człowiekowi wszelkie możliwości harmonijnego rozwoju i stworzenia pięknej i doskonałej osobowości: reszta zależy od samego człowieka. Za najlepszy tego dowód uważali samych siebie. Prawdziwie szlachetny człowiek, pisał Petrarka, nie rodzi się z wielką duszą, lecz sam siebie czyni takim przez swoje doskonałe uczynki. Pico della Mirandola nadał swoim rozmyślaniom nad zasługami człowieka formę rozmowy Boga z Adamem, któremu Bóg powiada: „Nie stworzyłem ciebie ani niebieską ani ziemską istotą, ani śmiertelnym ani nieśmiertelnym tylko po to,

byś z własnej woli i ku swojej chwale stał się rzeźbiarzem i twórcą samego siebie; Będziesz mógł zejść do poziomu bydlęcia i wznieść się do istoty podobnej Bogu, gdyż w odróżnieniu od zwierząt i duchów tylko ty jeden jesteś zdolny do rozwoju, do wzrostu według swej woli, w tobie kryją się możliwości rożnorodnego życia."

Biograf Leona Battisto Alberti powiada w charakterze najwyższej pochwały, że Alberti może służyć za przykład tego, iż człowiek może zrobić z siebie wszystko, co zapragnie.

Leonardo, który może być sam najwymowniejszym przykładem harmonijnego rozwoju jednostki, miał możność przekonać się na podstawie własnego doświadczenia i obserwacji życia, jak trudno jest człowiekowi być „rzeźbiarzem i twórcą samego siebie." Chociaż przyroda dawała wszelkie możliwości urzeczywistnienia ideałów głoszonych przez humanistów, nie sprzyjały temu coraz bardziej warunki życia społecznego, które w końcu wieku XV i na początku XVI znacznie się pogorszyły. Tendencje do wprowadzenia nowych, burżuazyjnych stosunków zaczęły się przejawiać z coraz większą siłą, stały wzrost potęgi pieniądza przekształcał głoszoną przez humanistów wolność jednostki w nowy rodzaj zależności u tych, którzy nie mieli pieniędzy, i w skrajny indywidualizm, pragnienie władzy, okrutną przemoc i poszukiwanie rozkoszy u bogaczy. Leonardo potępiał w swych zapiskach, aforyzmach, traktatach te antyhumanistyczne tendencje. Jednocześnie wzrost reakcji feudalnej związany z kryzysem, jaki przeżywały Włochy skutkiem utraty rynków zbytu na Bliskim Wschodzie, stawał się coraz groźniejszy dla osiągniętego już w pewnym stopniu wyzwolenia jednostki. Zajęcie Konstantynopola przez Turków, odkrycie Ameryki i przesunięcie światowych szlaków handlowych z basenu Morza Śródziemnego na Zachód, wzrost konkurencji krajów północnych itd. — wszystko to doprowadziło do tego, że ku końcowi wieku XV przewrót na rynku światowym unicestwił przewagę handlową Włoch Północnych." *

Masy robotnicze wypierane są z miast na wieś, burżuazja włoska zaczyna kupować ziemię, wpływy kościoła katolickiego rosną.

W tych skomplikowanych warunkach Leonardo nie mógł nie dostrzegać niebezpieczeństwa grożącego zdobyczom kultury Odrodzenia i rozwojowi osobowości człowieka Odrodzenia, tym bardziej że był to rozwój ograniczony i dostępny niewielkiej liczbie ludzi.

W Giocondzie Leonardo wyraził pełnię swego talentu zarówno malarskiego jak i filozoficznego, niejako dał summę tego rozwoju harmonijnego człowieka, do jakiego mogła doprowadzić poszczególne jednostki rzeczywistość współczesnych mu Włoch na początku XVI wieku. Summa ta przy całej wierze Leonarda w możliwości rozwoju człowieka nie mogła już wówczas wyrażać beztroski i całkowitego zadowolenia z harmonijnego złączenia człowieka z przyrodą. Summa ta zawiera już nuty trwogi i problemy wynikłe z bogatego i skomplikowanego doświadczenia życiowego. Wystarczy porównać Giocondę z wcześniejszymi dziełami Leonarda, ażeby zrozumieć różnicę zaszłą w jego poglądach na harmonijny rozwój jednostki w różnych okresach jego twórczości.

Po Giocondzie Leonardo namalował jeszcze kilka obrazów Ledę, Annę i Marię, Jana Chrzciciela. W Ledzie zarówno w tematyce jak i w

* Karol Marks. Kapitał, t. I. Książka i Wiedza. Warszawa, 1950, str. 774.

opracowaniu jej artysta przeciwstawia malarstwu chrześcijańskiemu „grzeszne", antyczne pogaństwo. W Janie Chrzcicielu zamiast chrześcijańskiego kaznodziei Leonardo przedstawił starożytnego Bakchusa. Obraz Anna i Maria nie ma również nic wspólnego z religią chrześcijańską. Pod koniec życia Leonardo pochłonięty badaniami naukowymi, ciężko chory nie tworzył już żadnych dzieł malarskich. Umarł w Amboise we Francji 2 maja 1510 r.

*

Pięćset lat minęło od urodzin Leonarda da Vinci, lecz wielki jego geniusz służy dziś nadal szlachetnej sprawie postępu ludzkości i umacnia w ludziach różnych kultur i narodowości wiarę w człowieka „w chwili gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzebne jest wzajemne zrozumienie", jak to podkreślił w swym wezwaniu do obchodu jubileuszu Leonarda da Vinci przewodniczący Światowej Rady Obrońców Pokoju — Joliot Curie.

Składając hołd Leonardowi da Vinci bronimy jego spuścizny przed falsifikatorami i wulgaryzatorami różnego gatunku. W bogatej lieraturze poświęconej Leonardowi da Vinci niemałe miejsce zajmują domysły idealistów, machistów, neokantystów itd., którzy usiłują na wszelkie sposoby wynaleźć w twórczości Leonarda mistycyzm, demonizm, irracjonalizm, formalizm. Bezwstyd reakcyjnych amerykańskich „historyków sztuki" doszedł do tego, że uważają Leonarda za poprzednika „paranoicznego podejścia do estetyki" nadrealistów i zastanawiają się głęboko nad „wpływem" madonn Leonarda na upiornie szaleńcze i patologiczne bohomazy Salvadora Dali.*

Zgodnie ze stanowiskiem amerykańskim podchwyconym przez Watykan takim samym fałszerstwem trudnią się w rzymskim Instytucie Historii Kultury włoscy reakcyjni historycy sztuki. Lecz daremne są podstępy fałszerzy.

W naszej epoce, kiedy świat cały podzielił się na dwa obozy — obóz pokoju i demokracji, na którego czele stoi Związek Radziecki i obóz reakcji, obóz podżegaczy do nowej wojny, któremu przewodzą imperialiści anglo-amerykańscy, spuścizna Leonarda da Vinci bierze udział w walce po stronie postępu, po stronie miłującej pokój ludzkości, po stronie narodów walczących o pokój, wolność, i niepodległość, po stronie dzielnego ludu włoskiego i komunistów włoskich z Togliattim na czele.

Jakież znaczenie ma dla nas spuścizna wielkiego malarza włoskiego? Cenimy wybitną rolę, jaką odegrał Leonardo w historii, jego głęboką wiarę w siły twórcze rozumu ludzkiego, przed którym muszą ustąpić ignorancja i przesąd, mistyka i idealizm. Materialistyczny w swych założeniach światopogląd Leonarda, realizm jego sztuki służą nadal sprawie postępu kultury. Humanizm Leonarda nastawiony na walkę z barbarzyństwem średniowiecznym, z wszelkimi pętami i z wszelką przemocą, które paczą człowieka, ten humanizm z nową siłą demaskuje współczesnych zwyrodnialców, którzy postanowili oddać wszystkie miłujące wolność ludy świata w niewolę amerykańskiego imperializmu.

Wiara Leonarda w to, że zdobycze nauki powinny służyć szczęściu ludzkości nabiera dziś szczególnie aktualnego sensu. Kiedy w latach 1483—1484 w Lombardii wybuchła dżuma, Leonardo opracował projekt miasta przyszłości, w którym rozplanowanie ulic, rozmieszczenie ludności i wyko-

* James Thrall Soly, Salvador Dali. p. 25—36. New York 1944.

rzystanie rzek oraz specjalnych kanałów miały zapobiegać epidemiom. Ta działalność Leonarda stanowi prawdziwe oskarżenie zbrodniarzy amerykańskich, którzy zrzucają bakterie dżumy i cholery na miasta i wsie Korei.

Leonardo, który dokonał szeregu doniosłych odkryć, przewidział już możliwość wykorzystania wynalazków naukowych na zgubę ludzkości i protestował przeciw temu. Tak na przykład Leonardo odkrył możliwość pracy nurków pod wodą, ale nie podał tego do wiadomości: „Jak i dlaczego nie piszę o moim sposobie pozostawania pod wodą tyle czasu, ile można pozostawać bez jedzenia. Nie podaję tego do ogólnej wiadomości z powodu złych ludzi, którzy mogliby wykorzystać ten sposób dla dokonywania morderstw na dnie mórz, dziurawiąc dno okrętu i topiąc go wraz ze znajdującymi się nań ludźmi."

Z jaką siłą brzmią te słowa wielkiego humanisty dziś, kiedy energia atomowa, która może ulżyć ludziom w pracy, powiększyć siły produkcyjne i podnieść dobrobyt materialny narodów, wykorzystywana jest przez imperializm anglo-amerykański do przygotowywania krwawej wojny niosącej wszędzie zniszczenie, kiedy zbrodniczy agresorzy amerykańscy goniąc za zyskiem używają zdobyczy mikrobiologii, nauki, która ma za cel walkę o zachowanie życia ludzkiego i zdrowia, do potwornych zbrodni, do wojny bakteriologicznej, do masowego zarażania i tępienia ludności Korei i Chin! Oto do jakiego upadku, do jak haniebnego rozkładu doszli „uczeni" lokaje imperializmu, wypaczający samą istotę, sens i szlachetne cele nauki, której z takim oddaniem służą najlepsi przedstawiciele ludzkości i dla której oddał swe życie genialny Leonardo da Vinci!

Leonardo wierzył, że zdobycze kultury, literatury, sztuki powinny łączyć ludzi, pomagać ich wzajemnemu zrozumieniu. Miał lat 13, kiedy do Włoch wprowadzono wynalazek druku, który stworzył ogromne możliwości rozpowszechniania wiedzy wśród ludzi, ich wzajemnego poznania i zbliżenia. Cała działalność artystyczna, naukowa i literacka Leonarda była nastawiona na przekazanie ludziom wiedzy i skarbów kultury. W tym celu Leonardo pisał nie po łacinie lecz w narodowym języku włoskim. Zbierał materiały do wydania ogólnie dostępnej encyklopedii wiadomości naukowych dla ludu. Nauka i sztuka Leonarda przesiąknięte są wysokimi zasadami moralnymi, zmierzały one do rozwijania w ludziach szlachetnych, prawdziwie ludzkich myśli i uczuć.

W naszej epoce czarne doły reakcji imperialistycznej używają sztuki i literatury do najbardziej niskich, zbrodniczych celów. Ludzie typu Sartre'a, Henri Millera, Salvadora Dali głoszą podłe idee nienawiści człowieka, zdrady i moralnego rozkładu jednostki ludzkiej.

Wystarczy spojrzeć na jasne, czyste, harmonijne obrazy Leonarda, żeby uprzytomnić sobie cały marazm, cały haniebny upadek, do którego doprowadzili kulturę ludzkości magnaci imperializmu. Jasny geniusz Leonarda i obecnie, po upływie wieków, rozprasza mroki i uczy ludy wiary w potęgę sił postępu, wiary w to, że istniejące w człowieku i w ludzkości siły twórcze, i dążenie do piękna oraz harmonii pokonają ciemne siły zniszczenia, szpetoty i przemocy. Na tym polega ogromne postępowe znaczenie w naszych czasach Leonarda da Vinci, wielkiego malarza, o którym Goethe powiedział: „Był on niby wzór człowieka wśród ludzi."

W. S. Kiemienow

(Fragmenty pracy opublikowanej w nr 3 czasopisma Woprosy filosofii).

50-lecie śmierci Emila Zoli

We wrześniu br. minęło pięćdziesiąt lat od śmierci Emila Zoli. Wiemy, że autor cyklu Rougon-Macqartów był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naturalizmu w literaturze francuskiej. Nie rocznicę naturalizmu jednak wspominamy. Twórczość Zoli, jego miejsce we francuskiej kulturze, nie sprowadza się bynajmniej do reprezentacji literackiej szkoły.

W dziele Zoli poprzez fizjologizm przedarła się społeczna treść życia Francji na progu III Republiki. Germinal jest przecież pierwszą w literaturze francuskiej powieścią o proletariacie. Zola był pierwszym, który przedstawił walkę pracy z kapitałem, odsłonił głębię „społecznego piekła", ukazał również proces wzrostu klasowego uświadomienia klasy robotniczej. Dzieło jego nie tylko, jak zamierzył autor, wstrząsnęło sumieniem bourgeois, lecz także dotarło do szerokich kręgów ludu francuskiego i innych ludów. W tym jest najgłębiej postępowy, rewolucyjny sens jego twórczości. W tym jest jego dzisiejsza dla nas także aktualność.

Zola był przede wszystkim pisarzem walczącym. Wrażliwy na zapalne sprawy społeczne i polityczne swojej epoki piórem pisarza i publicysty targał sumienie Francji. Smagał wstecznictwo, ujawniał zbrodnię, piętnował zbrodniarzy. Opowiadał się zawsze po stronie prawdy, wolności i postępu.

W sprawie Dreyfusa, która podzieliła Francję na dwa nieprzejednane obozy, obóz postępu i demokracji oraz obóz reakcji klerykalnej, Zola z całą pasją i całą siłą swego talentu rzucił w twarz burżuazji słynne: Oskarżam!

Dzisiaj kiedy nowe zbrodnie burżuazji dyktowane przez imperialistów amerykańskich, budzą oburzenie świata, głos wielkiego pisarza ma wciąż żywą wymowę płomiennego manifestu.

EMIL ZOLA

OSKARŻAM !

(List do Feliksa Faure'a, prezydenta Republiki Francuskiej)

Panie Prezydencie!

Czy pozwoli pan, że w podzięce za życzliwość, z jaką mnie pan niegdyś przyjął, zadbam o należną mu cześć i powiem, że haniebna, nie dająca się zatrzeć plama zagraża tak do dziś szczęśliwej pańskiej gwieździe?

Bez ujmy dla siebie wyszedł pan z podłych potwarzy, podbił pan serca. Promienieje pan w apoteozie tego święta patriotycznego, jakim jest dla Francji sojusz z Rosją, przygotowuje się pan do przewodniczenia uroczystemu otwarciu naszej wystawy mającej uwieńczyć wielki wiek pracy, prawdy i wolności, w którym żyjemy. Lecz cóż za plama błota na imieniu pańskim — nie powiedziałem omal na pańskim panowaniu — ta haniebna sprawa Dreyfusa. Sąd wojskowy ośmielił się niedaw-

no, na rozkaz, urągając wszelkiej prawdzie i poczuciu sprawiedliwości, uniewinnić takiego Esterhazego. Stało się, Francja ma już tę plamę na policzku, historia powie, że taka zbrodnia wobec społeczeństwa było możliwa za pańskich rządów.

Skoro nie zabrakło odwagi tamtym, mnie także odwagi nie zabraknie. Będę mówił prawdę, złożyłem bowiem przyrzeczenie, że ją głosić będę, jeśli powołana do zajęcia się tą sprawą Sprawiedliwość nie ujawni jej sama w całej pełni. Obowiązkiem moim jest mówić, nie chcę być współwinny zbrodni. Widmo niewinnego człowieka pokutującego w strasznych męczarniach za niepopełnioną winę nie dawałoby mi spokoju po nocach.

Do pana, panie Prezydencie, będę wołał, wykrzykując tę prawdę z całą siłą oburzenia, którą odczuwam jako uczciwy człowiek. Ze względu na mój dla pana szacunek jestem przekonany, że prawdy tej pan nie zna. Przed kim miałbym oskarżyć zbrodniczą zgrają rzeczywistych winowajców, jeśli nie przed panem, pierwszym sędzią w państwie?

Na wstępie kilka słów prawdy o procesie i skazaniu Dreyfusa.

Wszystko jest wymysłem i dziełem człowieka bez czci i honoru, podpułkownika du Paty de Clam, ówczesnego majora jeszcze. To on jest całą sprawą Dreyfusa; będzie się ją naprawdę znało dopiero wówczas, kiedy bezstronne śledztwo ustali wyraźnie jego czyny oraz posunięcia, za które jest odpowiedzialny. Jest to osobnik o umysłowości bardzo nieuchwytnej, bardzo skomplikowanej, opętany manią sentymentalnych intryg, lubujący się w metodach powieści brukowej, metodach takich jak skradzione papiery, anonimowe listy, spotkania w miejscach ustronnych, tajemnicze kobiety przenoszące w nocy obciążające dowody rzeczowe. Jego to właśnie pomysłem było podyktowanie Dreyfusowi owego listu, jego pragnieniem — zbadanie tego listu w pokoju o ścianach wyłożonych lustrami; on to według słów majora Forinzettiego chciał być wprowadzony do oskarżonego podczas jego snu ze ślepą latarką w ręku, aby rzucić mu snop światła w twarz i przez to zaskoczenie wydrzeć oszołomionemu nagłym przebudzeniem przyznanie się do winy. Nie zamierzam powiedzieć wszystkiego; kto poszuka, dopowie sobie resztę. Oświadczam po prostu, że major du Paty de Clam, któremu powierzono sprawę Dreyfusa jako prokuratorowi sądu wojskowego, jest tak ze względu na chronologię wydarzeń jak i na ciążącą na nim odpowiedzialność pierwszym winowajcą w tej straszliwej omyłce sądowej, którą popełniono.

Zmarły później na paraliż pułkownik Sandherr, szef wywiadu, miał już od pewnego czasu ów list w swych rękach. Wiadomości przenikały na zewnątrz, dokumenty znikały, tak jak znikają jeszcze dziś, i szukano tylko autora listu, kiedy niepostrzeżenie wyłoniło się przekonanie *a priori*, że mógł nim być tylko oficer sztabu generalnego i oficer artylerii: błąd to podwójny i oczywisty, dowodzi on, jak bardzo były powierzchowne oględziny listu, gdyż z analizy wnikliwej wynika, że mogło chodzić jedynie o oficera liniowego.

Szukano więc w centrali, badano charaktery pisma, wyglądało to na sprawę najzupełniej rodzinną, chodziło o wykrycie i usunięcie zdrajcy z biur samego sztabu generalnego. Nie chcę tu opowiadać całej historii częściowo znanej zresztą, ale gdy tylko pierwsze podejrzenie padło na Dreyfusa, major du Paty de Clam wychodzi na scenę. Od tej chwili Dreyfus staje się jego wynalazkiem, sprawa Dreyfusa — jego

sprawą, on podejmuje się wykryć zdrajcę i zmusić go do przyznania się do winy. Jest wprawdzie minister wojny, generał Mercier, człowiek o miernej inteligencji; jest wprawdzie szef sztabu generalnego, generał de Boisdeffre, szczególnie zaślepiony klerykał, fanatyk i zastępca szefa sztabu generalnego, generał Gonse, którego sumienie potrafiło przystosować się do bardzo wielu sytuacji. Lecz w gruncie rzeczy z początku jest tylko major du Paty de Clam, wodzi on wszystkich za nos, hypnotyzuje nawet, zajmuje się bowiem także spirytyzmem, okultyzmem i rozmawia z duchami. Trudno sobie nawet wyobrazić doświadczenia, jakie robił z nieszczęśliwym Dreyfusem, sidła, jakie nań zastawiał, wariackie przesłuchania, potworne pomysły, całe szaleństwo udręki.

Ah! Ten początek sprawy! Cóż to za koszmar dla tych, którzy znają jej prawdziwe szczegóły. Major du Paty de Clam aresztuje Dreyfusa, zamyka go w izolatce. Następnie biegnie do pani Dreyfus, teroryzuje ją, grozi, że jeśli cokolwiek powie, mąż jej będzie zgubiony. Tymczasem nieszczęśliwy wyrywał sobie włosy, wył, że jest niewinny. Śledztwo zostało przeprowadzone jak w kronice piętnastowiecznej, w tajemnicy, z całym splotem potwornych wybiegów, oparto się jedynie na tym dziecinnym dowodzie obciążającym, na owym idiotycznym liście, który stanowił nie tylko ordynarną zdradę, lecz także najbezwstydniejsze oszustwo, gdyż prawie wszystkie owe zdradzone tajemnice były bez znaczenia. Podkreślam to, gdyż tu tkwi zarodek sprawy, tu wylęgnie się potem prawdziwa zbrodnia, przerażające zaniedbanie wymiaru sprawiedliwości, które jest chorobą Francji. Chciałbym pokazać namacalnie, jak mogła się zdarzyć omyłka sądowa, jak narodziła się ona z machinacji majora du Paty de Clama, jak generał Mercier, jak generałowie de Boisdeffre i Gonse dali się wziąć na lep, jak mogli nie zdając sobie z tego sprawy zaangażować własną odpowiedzialność w ten błąd, jak uznali później za swój obowiązek narzucać go jako świętą prawdę, prawdę nie podlegającą nawet dyskusji. Na początku więc uchybili tylko beztroską i brakiem inteligencji. Widać jedynie, że ulegają namiętnościom religijnym swego środowiska i przesądom klanu. Dali swobodę działania głupocie.

Lecz oto Dreyfus staje przed sądem wojskowym. Żąda się absolutnej tajności rozprawy. Gdyby jakiś zdrajca otworzył wrogowi granicę, by przyprowadzić cesarza niemieckiego do Nôtre Dame, nie zastosowanoby tak bezwzględnych środków milczenia i tajemniczości. Naród jakby osłupiał; snują się szepty o jakichś strasznych wydarzeniach, o potwornych zdradach wywołujących oburzenie Historii i naród oczywiście chyli czoła. Nie ma dość surowej kary, naród przyklaśnie publicznej degradacji i domagać się będzie, aby winowajca pozostał na swojej skale hańby pożerany przez wyrzuty sumienia. Czyż prawdą jest to wszystko? Czy naprawdę są to rzeczy nie dające się wyrazić, rzeczy niebezpieczne, mogące stać się zarzewiem pożaru Europy, że aż musiano starannie ukryć je za zamkniętymi drzwiami trybunału? Nie! Za tymi zamkniętymi drzwiami kryły się jedynie romantyczne i szalone urojenia majora du Paty de Clam. Zrobiono wszystko, by ukryć najdziwaczniejszą powieść brukową. Aby się o tym przekonać, wystarczy przestudiować uważnie akt oskarżenia odczytany przed sądem wojskowym.

Ah! Nicość tego aktu oskarżenia. Cud to zaiste niesprawiedliwości, że można było skazać człowieka na podstawie ta-

kiego oskarżenia. Wzywam uczciwych ludzi, by przeczytali go bez oburzenia w sercu i wewnętrznego buntu na myśl o pokucie ponad miarę tam, na Czarciej Wyspie. Dreyfus zna kilka języków, to zbrodnia; nie znaleziono u niego żadnego kompromitującego dokumentu, to zbrodnia; jeździ niekiedy do kraju swoich lat dziecinnych, to zbrodnia; jest pracowity, stara się o wszystkim wiedzieć, to zbrodnia; nie jest zmieszany, to zbrodnia; jest zmieszany, to zbrodnia. A ta naiwność sformułowania, twierdzenia w całkowitej próżni! Mówiono nam o czternastu punktach oskarżenia: w ostatecznym rachunku znajdujemy tylko jeden: sprawę listu i dowiadujemy się nawet, że zdania ekspertów były podzielone, że jednego z nich, p. Goberta, poszturchiwano na sposób wojskowy, gdyż pozwolił sobie nie wyciągnąć wniosków w pożądanym sensie. Mówiono również o dwudziestu trzech oficerach, którzy przybyli świadczyć przeciw Dreyfusowi. Nie znamy jeszcze tych zeznań, jest wszakże rzeczą pewną, że nie wszyscy go obciążali; i warto ponadto podkreślić, że wszyscy są związani z Ministerstwem Wojny. Jest to proces familijny, toczy się wśród swoich, trzeba o tym pamiętać: sztab generalny chciał procesu i rozegrał go, a teraz rozegrał go po raz drugi.

Pozostawał więc tylko list, co do którego zdania ekspertów były podzielone. Podobno na tajnym posiedzeniu sędziowie mieli jednomyślnie wydać wyrok uniewinniający. Jakże zrozumiały staje się rozpaczliwy opór, z jakim dla usprawiedliwienia wyroku skazującego twierdzi się dziś, że istniał tajny dokument obciążający, którego nie można ujawnić, bóg niewidzialny i niepoznawalny!

Zaprzeczam istnieniu tego dokumentu, zaprzeczam ze wszystkich moich sił! Jakiś błahy dokument, owszem, być może dokument, w którym mowa o kobietach, o niejakim D..., coraz bardziej wymagającym: pewien mąż uważa prawdopodobnie, że nie dość dużo płacono mu za żonę. Ale dokument dotyczący obrony narodowej, dokument, którego ujawnienie grozi wypowiedzeniem wojny nazajutrz, nie, nie! to kłamstwo! Jest to tym wstrętniejsze, tym bardziej cyniczne, że kłamcy są bezkarni i że nie można im kłamstwa dowieść. Podburzają Francję, kryją się za jej prawowitym wzburzeniem, kneblują usta siejąc rozpacz w sercach, pacząc umysły. Nie znam większej zbrodni przeciwko narodowi.

Oto, panie Prezydencie, fakty, które tłumaczą, jak można było popełnić omyłkę sądową; dowody zaś moralne, sytuacja majątkowa Dreyfusa, brak pobudek, jego bezustanne zapewnienia o niewinności, dowodzą, że stał się ofiarą przesadnych rojeń majora du Paty de Clama, środowiska klerykalnego, w którym ów przebywał oraz nagonki na „wstrętnych Żydów", nagonki, która bezcześci naszą epokę.

Dochodzimy do sprawy Esterhazego. Minęły trzy lata, wielu ludzi jest w sumieniu swym do głębi wstrząśniętych, niepokoją się oni, szukają, w końcu zdobywają pewność o niewinności Dreyfusa.

Nie będę zajmował się kroniką wątpliwości, a później pewności p. Scheurer-Kestnera. Lecz podczas gdy on szukał na własną rękę, w sztabie generalnym zaszły wydarzenia ważne. Zmarł pułkownik Sandherr i szefem wywiadu został podpułkownik Picquart. Z tej racji w ręce jego wpadł podczas sprawowania funkcji telegram zaadresowany do majora Esterhazego przez agenta pewnego obcego mocarstwa. Obowiązek po prostu nakazywał mu wszcząć dochodzenie. Z całą pewnością można stwierdzić, że nie działał on ni-

gdy bez porozumienia ze swoimi przełożonymi. Przedstawił więc swoje podejrzenia swym zwierzchnikom w hierarchii, generałowi Gonse'owi, potem generałowi de Boisdeffre'owi, potem generałowi Billotowi, który po generale Mercier został ministrem wojny. Sławetne *dossier* Picquarta, o którym się tyle mówiło, to nic innego jak *dossier* Billota czyli *dossier* przygotowane przez podwładnego dla swego ministra, *dossier*, które powinno istnieć jeszcze w Ministerstwie Wojny. Dochodzenia trwały od maja do września 1896 i trzeba stwierdzić, że generał Gonse był przekonany o winie Esterhazego, natomiast generałowie de Boisdeffre i Billot nie mieli najmniejszej wątpliwości, iż list napisany był ręką Esterhazego. Dochodzenie podpułkownika Picquarta doprowadziło do skonstatowania tej pewności. Lecz poruszenie było wielkie, gdyż skazanie Esterhazego musiało w konsekwencji doprowadzić do rewizji procesu Dreyfusa; a sztab generalny nie chciał dopuścić do tego za żadną cenę.

Musiał wytworzyć się bardzo niepokojący moment psychologiczny. Proszę pamiętać, że generał Billot przecie nie był skompromitowany, świeżo przybył do Ministerstwa i mógł ujawnić prawdę. Nie odważył się na to, prawdopodobnie ze strachu przed opinią publiczną, a zapewne także lękając się wydać cały sztab generalny, generała de Boisdeffre'a, generała Gonse'a, nie licząc już podwładnych. Zresztą była to tylko chwila, chwila walki między jego sumieniem a tym, co uważał za interes armii. Kiedy chwila ta minęła, było już za późno. Generał Billot wybrał drogę — wybrał własną kompromitację. Odtąd już odpowiedzialność jego ciągle wzrastała, wziął na swoje sumienie zbrodnię innych, jest równie jak oni winien, jest większym winowajcą od innych, gdyż od niego tylko zależało, by sprawiedliwość zatryumfowała, a on tego, co powinien był zrobić, nie zrobił. Proszę to zrozumieć! Od roku już generał Billot, generałowie de Boisdeffre i Gonse wiedzą, że Dreyfus jest niewinny i zachowują dla siebie tę straszną świadomość! I pomyśleć tylko, że ludzie ci mogą spokojnie spać, że mają żony i dzieci, które kochają!

Podpułkownik Picquart spełnił obowiązek uczciwego człowieka. Kołatał do swoich przełożonych w obronie sprawiedliwości. Błagał ich, mówił, jak szkodliwa politycznie jest ich opieszałość wobec straszliwej burzy, na którą się zbiera i która wybuchnie, gdy prawda wyjdzie na jaw. To samo mówił później generałowi Billotowi p. Scheurer-Kestner, zaklinając go na miłość ojczyzny, by wziął w swoje ręce sprawę oraz nie dopuścił do jej zaognienia i przeobrażenia się w katastrofę społeczną. Nie! zbrodnia została popełniona, sztab generalny nie mógł przyznać się do swej omyłki. I podpułkownik Picquart został wysłany służbowo, odsuwano go coraz dalej, aż się znalazł w Tunisie. Zamierzano nawet pewnego dnia wynagrodzić jego brawurę powierzając mu do wykonania misję, w której zginąłby z pewnością w okolicach, gdzie znalazł śmierć markiz de Morès. Nie był bynajmniej w niełasce, generał Gonse utrzymywał z nim przyjazną korespondencję. Istnieją jednak tajemnice, których nie opłaca się podpatrywać.

W Paryżu ofensywa prawdy postępowała krokiem niepohamowanym; wiemy, jak wybuchła oczekiwana burza. P. Mateusz Dreyfus oskarżył majora Esterhazego o autorstwo listu w chwili, kiedy p. Scheurer-Kestner miał złożyć na ręce Ministra Sprawiedliwości prośbę o rewizję procesu. Wtedy występuje major Esterhazy. Mówiono, że z początku stracił głowę, że bli-

ski był samobójstwa, ucieczki. Potem nadrabia bezczelnością i zadziwia Paryż swoją gwałtowną, porywczą postawą. Nadeszły posiłki, otrzymał list anonimowy ostrzegający go przed knowaniami wrogów, jakaś tajemnicza dama pofatygowała się nawet w nocy, by mu wręczyć wykradziony ze sztabu generalnego dokument, który miał go ocalić. Nie mogę nie dopatrzeć się tu podpułkownika du Paty de Clam, poznaję go po sztuczkach bujnej wyobraźni. Dzieło jego, wina Dreyfusa, było zagrożone. Chciał niewątpliwie bronić swego dzieła. Rewizja procesu, ależ to fiasco powieści brukowej, tak ekstrawaganckiej, tak tragicznej, której ohydne zakończenie rozgrywa się na Czarciej Wyspie! Na to nie mógł pozwolić. Odtąd toczyć się będzie pojedynek między podpułkownikiem Picquartem a podpułkownikiem du Paty de Clamem, jeden walczy z odkrytą twarzą, drugi w masce. Staną niebawem obaj przed sądem cywilnym. W gruncie rzeczy to sam sztab generalny broni się ciągle, nie chcąc przyznać się do popełnionej zbrodni, której ohyda wzrasta z godziny na godzinę.

Zastanawiano się z ciekawością, jakich protektorów miał major Esterhazy. Z początku był nim ukryty w cieniu podpułkownik du Paty de Clam, który wszystko kombinował i prowadził. Dziwaczne metody zdradzają jego rękę. Potem generałowie de Boisdeffre i Gonse oraz sam generał Billot są zmuszeni uzyskać uniewinnienie majora, nie mogą bowiem pozwolić na ogłoszenie niewinności Dreyfusa w obawie, by ciężar pogardy publicznej nie zwalił się na Ministerstwo Wojny. Niezwykła sytuacja wyda piękne owoce, ofiarą jej padnie podpułkownik Picquart, człowiek uczciwy, jedyny, który spełniał swój obowiązek; wyszydzi się go i ukarze. O sprawiedliwości, jakaż rozpacz ściska serce! Dojdzie nawet do tego, że podpułkownika Picquart ogłosi się tym właśnie fałszerzem, który spreparował ów telegram, aby zgubić Esterhazego. Ale wielki Boże! Dlaczego? W jakim celu? Prosimy o podanie powodów. Czy także zapłacili mu Żydzi? Najlepsze zaś w całej tej historii jest to, że był on antysemitą. Tak! co za haniebne widowisko! Głosi się niewinność ludzi zgubionych, tonących w długach i zbrodniach, a godzi się w honor człowieka bez skazy. Kiedy społeczeństwo dochodzi do takiego stanu, następuje jego rozkład.

Taka jest, panie Prezydencie, sprawa Esterhazego. Jest to winowajca, którego trzeba było uniewinnić. Od dwóch miesięcy mamy możność obserwować z godziny na godzinę piękną robotę. Streszczam się, jest to tylko pobieżny skrót historii, której palące stronice zostaną kiedyś wszystkie zapisane. Widzieliśmy przecie, jak generał de Pellieux a potem major Ravary prowadzili zbrodnicze śledztwo, z którego łajdacy wychodzą oczyszczeni, a uczciwi ludzie obryzgani błotem. Potem zwołano sąd wojskowy.

Jakże można było mieć nadzieję, że sąd wojskowy uchyli decyzję sądu wojskowego?

Nie mówię nawet o możliwym, zawsze odpowiednim doborze składu sędziowskiego. Czyż najwyższa idea dyscypliny, którą żołnierze ci mają we krwi, nie wystarcza, by osłabić ich zdolność uczciwego wymiaru sprawiedliwości? Ten kto mówi dyscyplina, mówi posłuszeństwo. Kiedy Minister Wojny, wielki szef, publicznie wśród oklasków przedstawicieli narodu ogłosił nienaruszalność rzeczy osądzonej, chcecie, żeby sąd wojskowy zadał mu oficjalnie kłam? Z punktu widzenia hierarchii jest to niemożliwe. Generał Billot wpłynął na sędziów przez swoje oświadcze-

nie, osądzili więc sprawę tak, ja się wykonuje zadanie bojowe, nie rozumując. Przekonanie z góry powzięte, z którym przyszli na swoje obrady, jest z pewnością takie: „Dreyfus został skazany za zdradę przez sąd wojskowy, a więc jest winny; i my, jako sąd wojskowy, nie możemy ogłosić, że jest niewinny; wiemy natomiast, że uznanie winy Esterhazego oznaczałoby uznanie niewinności Dreyfusa.“ Nic nie mogło ich od tego odwieść.

Wydali wyrok niesprawiedliwy, który na zawsze zaciąży na naszych sądach wojskowych, który wyciśnie piętno nieufności na wszystkich ich orzeczeniach. Pierwszy sąd wojskowy mógł grzeszyć brakiem inteligencji, drugi jest bezwzględnie zbrodniczy. Na usprawiedliwienie swoje ma, powtarzam, to jedno — najwyższy zwierzchnik zabrał głos oświadczając, że rzecz raz osądzona jest nienaruszalna, święta i niepodlegająca ludziom — podwładni nie mogli być odmiennego zdania. Mówi się nam o honorze armii, pragnie się, byśmy ją kochali i czcili. Tak! Na pewno dla tej armii, która wobec pierwszego grożącego niebezpieczeństwa porwałaby się w obronie ziemi francuskiej, dla tej armii, która jest narodem całym, mamy szacunek i miłość. Lecz nie o nią tu chodzi, nie o tę armię, którą nasze ukochanie sprawiedliwości chce widzieć pełną dostojeństwa. Chodzi o szabelkę, o tego pana, którego się nam narzuci jutro być może. A całować pobożnie rękojeść szabli, całować bożka, nie!

Wykazałem już, że sprawa Dreyfusa była sprawą Ministerstwa Wojny. Oficer sztabu generalnego oskarżony przez swoich kolegów ze sztabu generalnego jest skazany pod presją sztabu generalnego. Powtarzam raz jeszcze, nie może okazać się niewinny, bo winowajcą byłby cały sztab generalny. Toteż Ministerstwo Wojny wszelkimi możliwymi środkami, kampaniami prasowymi, oświadczeniami, wpływami — kryło Esterhazego po to jedynie, by raz jeszcze zgubić Dreyfusa. Rząd republikański powinien raz a dobrze wymieść to gniazdo jezuitów, jak je nazywa sam generał Billot! Gdzie jest ten naprawdę silny, mądrym patriotyzmem ożywiony rząd, który się odważy wszystko przetopić i odlać na nowo? Znam wielu ludzi, którzy na myśl o wojnie drżą z niepokoju wiedząc, w jakich rękach znajduje się obrona narodowa! Jakim gniazdem podłych intryg, plotek i marnotrawstwa stał się ten święty przybytek, w którym rozstrzyga się los ojczyzny! Straszliwe światło rzuciła nań sprawa Dreyfusa, przerażeniem napełnia to męczeństwo nieszczęśliwego człowieka, „wstrętnego Żyda“. Ah! cóż to za szaleńczy splot opętania i głupoty, co to za kłębowisko szalonych pomysłów i metod policyjnego łotrowstwa. Cóż za obyczaje z czasów inkwizycji i tyranów, jaka samowola kilku wygalowanych osobników, którzy butami depcą swój naród, dławią go wciskając mu z powrotem do gardła jego wołanie o prawdę i sprawiedliwość pod kłamliwym i bluźnierczym pretekstem rzekomej racji stanu/

Zbrodnią jest także szukanie oparcia w nikczemnej prasie, oddanie się w obronę całej hołocie Paryża, tak że oto hołota bezczelnie tryumfuje nad pokonanym prawem i ludzką uczciwością. Zbrodnią jest oskarżanie o sianie zamętu we Francji tych, którzy pragną, by czysta kroczyła ona na czele narodów wolnych i sprawiedliwych, gdy jednocześnie bezwstydnym knowaniem narzuca się jej w oczach całego świata panowanie nieprawości. Zbrodnią jest wprowadzenie w błąd i używanie do nikczemnej roboty opinii publicznej, którą się wypaczyło i doprowadziło do obłędu. Zbrodnią jest sączenie trucizny

w umysły maluczkich i cichych, zbrodnią — rozpalanie namiętności wstecznictwa i nietolerancji z ukrycia, spoza ohydy antysemityzmu, od którego wielka, liberalna Francja — ojczyzna praw człowieka — zginie, jeśli się zeń nie wyleczy. Zbrodnią jest wykorzystywanie patriotyzmu dla dzieła nienawiści, zbrodnią jest wreszcie kreowanie szabelki na bożyszcze, kiedy cała wiedza ludzka służy przyszłemu dziełu prawdy i sprawiedliwości.

Rozpacz ogarnia, gdy się widzi te tak namiętnie upragnione przez nas idee, prawdę i sprawiedliwość, spotwarzone i zepchnięte w cień wzgardy! Domyślam się, co się teraz dzieje w sercu p. Scheurer-Kestnera i sądzę, że w końcu będzie on gorzko żałował tego, że w dniu interpelacji w Senacie nie występował bardziej rewolucyjnie, że nie użył całego ładunku argumentów, by wszystko obalić. Był na wskroś uczciwym człowiekiem, lojalnością samą, myślał, że prawda mówi sama za siebie, skoro wydawała mu się taka oczywista jak światło dnia. Słońce wzejdzie niebawem, po cóż więc wywracać wszystko? Za tę właśnie pogodną ufność dziś jest tak ciężko ukarany. To samo podpułkownik Picquart, któremu wysokie poczucie honoru nie pozwalało ogłosić listów generała Gonse'a. Te skrupuły tym większy mu przynoszą zaszczyt, że zachowywał dyscyplinę, gdy zwierzchnicy jego obrzucali go błotem i w sposób najbardziej nieoczekiwany wdrożyli przeciwko niemu postępowanie karne. Dwie są ofiary, dwa czyste serca, dwaj porządni ludzie, którzy oddali się w ręce Boga, gdy tymczasem diabeł działał. W sprawie podpułkownika Picquarta widziało się rzecz haniebną: trybunał francuski zezwolił prokuratorowi publicznie obciążać świadka, oskarżać go o wszystkie możliwe wykroczenia, a zarządził tajność rozprawy, kiedy ów świadek wprowadzony na salę miał bronić się i składać wyjaśnienia. Powiadam, że to jeszcze jedna zbrodnia i że zbrodnia ta poruszy sumienie opinii publicznej. Dziwne doprawdy pojęcie o sprawiedliwości mają sądy wojskowe!

Taka jest więc naga prawda, panie Prezydencie, jest to prawda straszliwa, będzie ona skazą na rządach pańskich. Domyślam się, że nie ma pan żadnego wpływu na tę sprawę, że jest pan więźniem Konstytucji i otoczenia. Niemniej jednak jako człowiek ma pan obowiązek, o którym pan pomyśli i który pan spełni. Nie znaczy to zresztą, że tracę w najmniejszym stopniu wiarę w ostateczne zwycięstwo. Powtarzam to z coraz natarczywszą pewnością: ofensywa prawdy się zbliża i nic jej nie jest w stanie zatrzymać. Dopiero dziś sprawa się zaczyna, gdyż dopiero dziś stanowiska są wyraźne: z jednej strony stoją winowajcy, którzy bronią się przed światłem, z drugiej ludzie miłujący sprawiedliwość, którzy gotowi są oddać życie, by światło się stało. Powiedziałem to gdzie indziej i powtarzam tutaj: kiedy się zakopuje prawdę pod ziemią, ona tam tężeje i nabiera takiej mocy eksplodującej, że wybuch jej wysadza wszystko w powietrze. Czas pokaże, czy nie przygotowano na przyszłość najgłośniejszej z katastrof.

Lecz list ten przedłuża się, panie Prezydencie, i czas, bym go zakończył.

Oskarżam podpułkownika du Paty de Clam, oskarżam go o to, że działając w nieświadomości, chcę w to wierzyć, był szatańskim sprawcą omyłki sądowej, że następnie bronił swego zgubnego dzieła od trzech lat przy pomocy najdziwaczniejszych i najbardziej zbrodniczych machinacji.

Oskarżam generała Mercier, oskarżam go o to, że w słabości umysłu stał się

współwinnym jednej z największych nikczemności tego stulecia.

Oskarżam generała Billot, oskarżam go o to, że mając w rękach najbardziej niezbite dowody niewinności Dreyfusa zataił je i stał się winny zbrodni obrazy ludzkości i obrazy sprawiedliwości, chcąc ze względów politycznych ocalić skompromitowany sztab generalny.

Oskarżam generałów de Boisdeffre'a i Gonse'a, oskarżam ich o to, że brali udział w tej samej zbrodni, jeden prawdopodobnie przez fanatyzm klerykalny, drugi może przez solidarność klanową, która uczyniła z biur Ministerstwa Wojny święty i nietykalny przybytek.

Oskarżam generała de Pellieux i majora Ravary, oskarżam ich o to, że w sposób łajdacki prowadzili śledztwo, chcę przez to powiedzieć, że prowadzili śledztwo w sposób najpotworniej stronniczy, co czyni z raportu majora Ravary niezniszczalny dokument naiwnej bezczelności.

Oskarżam trzech ekspertów pisma, niejakich ichmościów Belhome'a, Varinarda i Couarda, oskarżam ich o to, że złożyli kłamliwe i oszukańcze raporty, chyba że badanie lekarskie uzna, iż są poszwankowani na wzroku i umyśle.

Oskarżam Ministerstwo Wojny, oskarżam je o to, że prowadziło w prasie, głównie w pismach L'Eclair i L'Echo de Paris, potworną kampanię mającą na celu otumanienie opinii publicznej i zatajenie własnego błędu.

Oskarżam pierwszy sąd wojskowy, oskarżam go o to, że zadał gwałt prawu, gdyż skazał podsądnego na podstawie dokumentu tajnego, który nie został ujawniony; oskarżam drugi sąd wojskowy, oskarżam go o to, że bezprawnie to osłonił i że z kolei popełnił na rozkaz przestępstwo prawne uniewinniając świadomie winowajcę.

Wnoszę te oskarżenia w pełni świadomości, wiedząc, że czyn mój podpada pod artykuły 30 i 31 prawa o prasie z dnia 29 lipca 1881 roku, które karze za zbrodnię oszczerstwa. Narażam się na to dobrowolnie.

Jeśli chodzi o ludzi, których oskarżam, nie znam ich, nigdy ich nie widziałem, nie żywię w stosunku do nich żadnej urazy ani nienawiści. Są to dla mnie tylko symbole, duchy społecznego szkodnictwa. Czyn, którego tu dokonywam, jest jedynie rewolucyjnym środkiem przyśpieszającym eksplozję prawdy i sprawiedliwości.

Mam tylko jedną namiętność, namiętność światła. W imieniu ludzkości, która tyle przecierpiała, że ma prawo do szczęścia. Mój płomienny protest jest jedynie wołaniem wyrywającym się z serca. Proszę mieć odwagę oddać mnie pod sąd przysięgłych, a śledztwo niech się toczy na oczach wszystkich.

Czekam.

Raczy pan przyjąć, panie Prezydencie, wyrazy szacunku.

13.I.1898.

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

Wyjęte z książki pt. O s k a r ż a m, która ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

ANATOL FRANCE

EMIL ZOLA*)

Panowie!

Wezwany przez przyjaciół Emila Zoli do przemówienia nad tą trumną, chcę najpierw złożyć, jako ich hołd, wyrazy bólu i czci — tej, która przez lat czterdzieści była towarzyszką jego życia, która dzieliła i łagodziła trudy pierwszych kroków, opromieniała dni sławy i podtrzymywała go swym niezmiennym

*) Przemówienie wygłoszone 5 października 1902 r. nad trumną Zoli.

oddaniem w chwilach niespokojnych i bolesnych.

Panowie!

Oddając Emilowi Zoli w imieniu jego przyjaciół należne mu honory, nie dopuszczę do głosu naszego wspólnego smutku. Nie skargą i lamentem należy czcić tych, co zostawiają po sobie wielką pamięć, ale męską pochwałą i wiernym obrazem ich dzieła i życia.

Literacka twórczość Zoli jest olbrzymia. Słyszeliście właśnie prezesa Związku Literatów, który ją scharakteryzował z podziwu godną dokładnością. Słyszeliście ministra oświaty, który w wymownych słowach wyjaśnił jej znaczenie intelektualne i moralne. Zezwólcie, bym i ja z kolei poświęcił jej kilka chwil.

Panowie, kiedy widziało się, jak owa twórczość narastała, cegiełka po cegiełce, ze zdziwieniem oceniało się jej wielkość. Podziwiano, zdumiewano się, chwalono, ganiono. Pochwały i nagany rzucano z równie wielką gwałtownością. Czasem stawiano wielkiemu pisarzowi (wiem to z własnego doświadczenia) zarzuty płynące z głębi przekonania, a jednak niesłuszne. Zniewagi mieszały się z apologiami. A dzieło tymczasem rosło.

Dziś, gdy się je widzi w całym jego ogromie, rozpoznaje się też wypełniającego je ducha. Ducha dobroci. Zola był dobry. Miał wielkość i prostotę wielkich dusz. Był głęboko etyczny. Malował występek ręką mocną i szlachetną. Pod maską jego pozornego pesymizmu, ponurego nastroju panującego nieraz na kartach jego książek kryje się rzeczywisty optymizm, uparta wiara w postęp rozumu i sprawiedliwości. W swych powieściach, które są studiami społecznymi, piętnował z nienawiścią próżniacze, płoche społeczeństwo, niegodną i szkodliwą arystokrację, zwalczał chorobę epoki: potęgę pieniądza. Choć demokrata, nigdy nie schlebiał ludowi i starał się mu wykazać, że ignorancja wiedzie do zależności niewolniczej, że alkohol jest niebezpieczeństwem, które wydaje ogłupiały i bezbronny lud na pastwę wszelkiego ucisku, wszelkiej nędzy, wszelkiej hańby. Zwalczał zło społeczne, gdziekolwiek je spotkał. Taki był w swej nienawiści. W ostatnich swych książkach objawiał w całej pełni swe gorące umiłowanie ludzkości. Starał się odgadnąć i przewidzieć lepszy ustrój społeczny.

Pragnął, by coraz większa liczba ludzi na świecie mogła zażywać szczęścia, ufał potędze myśli i wiedzy. Miał nadzieję, że nowa siła, maszyna, stopniowo wyzwoli ludzkość pracującą.

Ten szczery realista był żarliwym idealistą. Wielkość jego dzieła można porównać tylko z wielkością dzieła Tołstoja. Są to dwie wielkie budowle, wzniesione przez geniusz poetycki na dwóch krańcach myśli europejskiej. Obie są szlachetne i pokojowe. Ale Tołstojowska jest gmachem rezygnacji. Gmach Zoli to przybytek pracy.

Zola zdobył rozgłos będąc jeszcze młody. W niezamąconym spokoju i otoczony sławą, cieszył się owocami swej pracy, gdy nagle zerwał ze swym spokojem, ukochaną pracą i słodyczą cichego życia. Nad grobem wolno wypowiadać tylko słowa poważne i pogodne, dawać wyraz jedynie nastrojom spokojnym i harmonijnym. Wiecie jednak, panowie, że spokój można znaleźć jedynie w sprawiedliwości, a odpoczynek w prawdzie. Nie mówię tu o prawdzie filozoficznej, przedmiocie wiecznych naszych dyskusji, ale o tej prawdzie moralnej, którą możemy uchwycić wszyscy, gdyż jest względna, dostrzegalna, zgodna z naszą naturą i tak nam bliska, że nawet dziecko może dotknąć jej ręką. Nie dopuszczę się zdrady wobec sprawiedliwości, która mi każe

chwalić to, co godne pochwały. Nie ukryję prawdy w tchórzliwym milczeniu. I dlaczegoż mielibyśmy milczeć? Czyż milczą oni, oszczercy? Powiem tylko to, co należy powiedzieć nad tą trumną, i powiem wszystko, co powiedzieć trzeba.

Mając przypomnieć walkę podjętą przez Zolę w obronie sprawiedliwości i prawdy, czyż mogę zachować milczenie o tych, którzy się zawzięli na zgubę człowieka niewinnego*) i którzy wiedząc, że zostaną pogrążeni, jeśli tamten ocaleje, obciążali go z rozpaczliwą odwagą strachu? Jakże ich usunąć sprzed waszych oczu, gdy mam pokazać, jak Zola słaby i bezbronny stawia im czoło? Czyż mogę pokryć milczeniem ich kłamstwa? Musiałbym zamilczeć o jego heroicznej prawości. Czyż wolno mi przemilczeć ich zbrodnie? Przemilczałbym wtedy jego cnotę. Czyż mam nie mówić o obelgach i oszczerstwach, którymi go prześladowali? Byłoby to przemilczeniem otrzymanej przez niego nagrody i zaszczytów. Czyż mam milczeć o ich hańbie? Byłoby to milczeniem o jego chwale. Nie! Będę mówił.

Ze spokojem i pewnością, które daje zetknięcie się ze śmiercią, przypomnę ponure dni, gdy Egoizm i Lęk zasiadały w Radzie Ministrów. Niesprawiedliwość wychodziła powoli na jaw, ale wyczuwano, że podtrzymują ją i bronią jej takie czynniki oficjalne i tajne, iż nawet najodważniejsi się wahali. Ci, których obowiązkiem było zabrać głos — milczeli. Najlepsi, którzy lękali się nie o siebie, nie chcieli narażać swego stronnictwa na straszliwe niebezpieczeństwa. Wprowadzony w błąd przez potworne kłamstwa, podniecony przez ohydne patetyczne przemówienia, tłum wrzał oburzeniem, przekonany, że go zdradziecko oszukano. Ci, co kształtowali opinię publiczną, aż nadto często stawali w obronie fałszu, nie czując się na siłach zdemaskować go. Coraz większe ciemności zalegały horyzont. Panowało złowrogie milczenie. Wtedy to Zola napisał do Prezydenta Republiki ów list pełen umiaru*), a straszliwy, który odsłaniał fałsz i nadużycie władzy.

Wiecie, z jaką wściekłością rzucili się na niego wówczas zbrodniarze, ich bynajmniej nie bezinteresowni obrońcy, ich mimowolni wspólnicy, skoalizowane stronnictwa wszelkiej reakcji i oszukany tłum. Widzieliście tych maluczkich duchem, jak przyłączali się ze świętą naiwnością do ohydnego orszaku płatnych ujadaczy. Słyszeliście wycia wściekłości i żądania wyroku śmierci, które ścigały Zolę aż do Pałacu Sprawiedliwości podczas tego długiego procesu, prowadzonego z rozmyślną nieznajomością sprawy, na podstawie fałszywych zeznań i przy pobrzękiwaniu szabelką.

Widzę tutaj kilka z tych, co stanąwszy wtedy u boku Zoli dzielili z nim niebezpieczeństwa. Niech powiedzą, czy rzucono kiedyś więcej obelg na kogokolwiek ze sprawiedliwych? Niech powiedzą także, jak nieugięty był w ich znoszeniu! Niech powiedzą, czy choćby raz sprzeniewierzył się swej niezachwianej dobroci, męskiej litości i łagodności i czy owe obelgi zdołały kiedykolwiek osłabić jego wytrzymałość?

W tych dniach zbrodni niejeden dobry obywatel zwątpił o ocaleniu ojczyzny i o moralności Francji. Nie tylko sami republikanie, obrońcy obecnego

*) Dreyfus — oficer armii francuskiej pochodzenia żydowskiego został niewinnie skazany za szpiegostwo. Padł on ofiarą intryg kliki monarchistycznej w armii.
Tzw. „sprawa Dreyfusa" (pierwsze lata dwudziestego wieku) wstrząsnęła Francją i wywołała głęboki kryzys polityczny w kraju. Walka o rewizję procesu Dreyfusa, zakończona pomyślnie, stanowiła zwycięstwo obozu demokracji.

*) J'accuse.

ustroju, byli przygnębieni. Słyszano, jak jeden z najbardziej zdecydowanych wrogów tego ustroju, bezkompromisowy socjalista, zawołał z goryczą: „Jeśli to społeczeństwo jest aż tak zdeprawowane, nawet jego ohydne ruiny nie będą mogły służyć jako fundament nowego społeczeństwa". Sprawiedliwość, honor, myśl — wszystko wydawało się stracone.

Wszystko ocalało. Zola nie tylko odsłonił omyłkę sądu, lecz ujawnił też spisek wszystkich sił przemocy i ucisku, zjednoczonych dla zabicia we Francji sprawiedliwości społecznej, idei republikańskiej i wolnej myśli. Jego odważne słowa obudziły Francję. Konsekwencje tego czynu nie dają się obliczyć. Rozwijają się dziś z niezwykłą siłą i potęgą, zataczając coraz szersze kręgi. Zrodził się z nich ruch sprawiedliwości społecznej, który nie stanie w swym biegu. Wyniknie zeń nowy porządek rzeczy, oparty na lepszej sprawiedliwości i na głębszej znajomości praw każdego człowieka.

Panowie!

Jest jeden tylko kraj na świecie, gdzie mogły się dokonać te wielkie sprawy. Jakże godna podziwu jest moc ducha naszej ojczyzny! Jakże jest piękna dusza tej Francji, której w ubiegłych wiekach zawdzięczała Europa i świat cały znajomość prawa! Francja jest krajem słynnych umysłów i myśli owianych życzliwością, ziemią sprawiedliwych sędziów i humanitarnych filozofów, ojczyzną Turgota, Monteskiusza, Woltera i Malesherbes'a. Zola dobrze się zasłużył ojczyźnie, nie tracąc wiary w sprawiedliwość we Francji.

Nie żałujmy, że wiele przeszedł i przecierpiał. Zazdrośćmy mu. Na najdziwniejszym stosie obelg, jaki kiedykolwiek wzniosły głupota, ignorancja i złość, sława jego osiągnęła zawrotne wyżyny.

Zazdrośćmy mu: przyniósł chwałę swej ojczyźnie i światu twórczością niezmierzoną i wielkim czynem. Zazdrośćmy mu: przeznaczenie i własne serce stworzyły mu los największy: Był przebłyskiem sumienia ludzkości.

przełożył **Wojciech Natanson**

ARTUR SANDAUER

TEOKRYT

Aby zrozumieć charakter demokracji starogreckiej, należy sobie uprzytomnić, że maksymalna odległość od granic państwa do centrum wynosiła w Attyce siedemdziesiąt pięć, w Sparcie — dziewięćdziesiąt pięć kilometrów i że zatem, aby wziąć udział w zgromadzeniu ludowym, obywatel musiał odbyć jednodniową co najwyżej przejażdżkę. Urok tej epoki — mowa o V i IV w. prz. n. e. — tłumaczy się między innymi małością terytoriów, na jakich rozgrywały się jej dzieje. To, że ówcześni Grecy nie potrafili złączyć się w państwo, zgubiło ich może politycznie, ale wyszło na dobre ich kulturze. Była ona rzeczywiście masowa: teorie filozofów krążyły z ust do ust; Sokrates był miejskim gapiem i popularność uliczna wystarczyła, aby zapewnić mu nieśmiertelność; Arystofanes wprowadzał na scenę znajomych nie zmieniając im nazwisk. Słowem, podział na sprawy bieżące i wieczne jeszcze nie istniał. Kultura była cała aktualna, doraźna i być może dlatego właśnie — wieczna.

Sytuacja ta ulega całkowitej zmianie z chwilą — gdy na podbitych przez Aleksandra Macedońskiego obszarach — powstają olbrzymie państwa hellenistyczne, gdzie ludność grecka jest napływową, uprzywilejowaną mniejszością. Nie ona jednak nimi rządzi: generałowie i następcy Aleksandra przejmują niezwłocznie sposób rządzenia, ceremoniał dworski ba! nawet boskie tytuły monarchów Wschodu. Przez pewien czas jeszcze zachowują dla pozoru fasadę demokracji: tak np. zamieszkali w Egipcie obywatele greccy dzielą się po staremu na gminy i rody. Instytucje te nie posiadają jednak znaczenia politycznego: są to pozostałości dawnej nadbudowy. W ten sposób podbity Wschód narzuca z kolei Grekom swój ustrój.

Tym samym jednak z masowej, jaką była dotychczas, kultura grecka staje się elitarną; pisarz — z działacza politycznego — dworakiem i panegirystą, w najlepszym zaś razie — artystą dla niewielu. Stopniowo sztuka staje się zajęciem zawodowców. Powstają kluby ludzi „interesujących się literaturą"; w wewnętrzne sprawy i rywalizacje jednego z nich wprowadzają nas Teokrytowe D o ż y n k i. Te zamknięte środowiska cenią sobie w dziele przede wszystkim pokaz majsterstwa; nad siłę przekonania, nad rozmach kompozycji przenoszą wykończenie szczegółu, subtelną aluzję. Jest to poezja erudytów i smakoszy. Nie darmo pierwszy z monarchów grecko-egipskich, Ptolemeusz Lagid, zakłada olbrzymią bibliotekę aleksandryjską; niedarmo dyrektorem jej mianuje poetę-antykwariusza, owego Kallimacha, który nieubłaganą walkę wypowiedział niedobitkom dawnej szkoły epickiej, zamaszystym i niechlujnym cyklikom. „Nienawidzę poematu cyklicznego" — pisze ów ideolog nowego kierunku, a Teokryt w D o ż y n k a c h wtóruje mu:

Obmierzł mi budowniczy,
który z wielką biedą
Chce dom wywieść nad szczyty góry
Oromedon,
I ptaszki Muz, co ledwo zdążyły się
wyląc,
Już krakają, Homera przekrzyczeć się
siląc.

W polemice zwyciężyli obrońcy drobnej formy, Teokryt, Kallimach: przyznała im rację potomność, która przechowała skrzętnie ich teksty, oddając niepamięci i piaskom egipskim „zakal-

ce" ich przeciwników. I nie dziwota! Szli z duchem czasu. Na wielką kompozycję nie stać już było epoki, w której dawne wierzenia plemienne ostatecznie się rozwiały. Społeczeństwo hellenistyczne, złożone z Greków, Egipcjan, Żydów, Persów, nie poddaje już artyście żadnych jednoznacznych tematów: może je wybierać dowolnie. Toteż nad mity homeryckie, opiewające helleński „napór na Wschód", przenosi on mało znane podania, które odgrzebuje w starych kronikach gminnych i w których pociąga go bardziej ich sensacyjny i romansowy posmak niż treść społeczna i narodowa.

Stąd — w najdoskonalszych utworach aleksandryjskich — luźność kompozycji: nawet urocze pieśni miłosne w Teokrytowych Dożynkach nie grzeszą zbytnią jej zwartością; podobnie Syrakuzanki i Pieśń Tyrzisa rozpadają się na dwie dość różnorodne części. Aby zaradzić temu niedowładowi, Aleksandryjczycy tworzą nowy schemat kompozycyjny, który zrobi karierę w dziejach piśmiennictwa: polega on na nizaniu perełek literackich na nić dość dowolnie obranego tematu. W swych Początkach Kallimach, chcąc zapuścić się w gąszcz lokalnych legend, ucieka się do pretekstu: kreśli dzieje powstania poszczególnych miast greckich i przy tej sposobności opowiada ciemne i dziwaczne mity. Dla swej twórczości szuka więc usprawiedliwienia naukowego: podobnie Arat w swej poetyckiej astronomii, Eratostenes — w swej geografii. Stąd rozkochanie Aleksandryjczyków w dydaktyce i w jej patronie, Hezjodzie. Poezja ich nie wyrasta już bowiem z konieczności społecznej: niczego nie dowodzi, o nic nie walczy. Na hasło „sztuka dla sztuki" nie stać jednak jeszcze jej teoretyków; szuka więc oparcia w dydaktyce, która — jakkolwiek paradoksalnie to brzmi — jest w starożytności maską estetyzmu, rygorem, jaki narzuca sobie poeta, aby zorganizować swe rozpierzchłe wyobrażenia.

Rozmiłowanie w dawności, jakim tchną Kallimachowe Początki i tyle innych utworów aleksandryjskich, jest zjawiskiem nowym. Pisarze dawniejsi nie lubowali się w starożytnościach greckich; sami byli starożytnymi Grekami. Lecz artysta aleksandryjski to ostatni Grek i pierwszy hellenista. Nie tkwi już — jak jego poprzednik — w kokonie rodu, gminy, miasta. Jest urzędnikiem, dworzaninem, cyganem, włóczęgą: zawsze emigrantem. Pozostawił za sobą w tyle starożytną Grecję, jej wierzenia i obyczaje. Cóż dziwnego, że odwraca się, aby dojrzeć jej niknące kontury? Umieszczony pod okiem „barbarzyńców" uczy się patrzeć na siebie ich spojrzeniem. Uświadamia sobie, że jest Grekiem; dawniej był nim naturalnie. W parę wieków później mniejszość grecka rozpłynie się w orientalnym morzu; o asymilacji jednak świadczą już w wieku trzecim pewne symptomy, jak opisany w Teokrytowych Syrakuzankach kult syryjskiego Adonisa. Zagrożony w swej greckości, Aleksandryjczyk usiłuje spotęgować ją w sobie, wracając do źródeł, czyniąc ją bardziej czystą i doskonałą, niż była kiedykolwiek. Stąd szperanie w starożytnych rękopisach, stąd kolekcjonerstwo; stąd owa olbrzymia praca krytyczna, której owoce zbieramy po dziś dzień. Pisze językiem bardziej wyrafinowanie greckim niż jego poprzednicy, właśnie dlatego, że już nim przestaje mówić; używa w swych utworach gwary doryckiej i eolskiej na przemian, jak Teokryt. Nie wpadłoby to do głowy klasykom, którzy posługiwali się jednym tylko dialektem — macierzystym. W trzy wieki później nastanie z kolei moda na attycyzm i nauczyciele retoryki tępić będą w ćwiczeniach uczniów wszelkie wyrażenie, nie poświadczone

u pisarzy ateńskich. Słowem — by użyć Schillerowskiej terminologii — przechodzą od naiwności do sentymentalizmu. My byśmy powiedzieli: od naturalności — do refleksji, od poezji — do poetyczności.

Wszelka jednak sztuka sentymentalna ma to do siebie, że przeciwstawia ideał — rzeczywistości; rozróżnienie obce Grekom klasycznym. Arystofanes każe swym znajomym rozmawiać z chmurami lub podróżować do ptasiego państwa, łącząc fantazję z życiem w jedność mitu. Bywa rubaszny; nigdy nie jest nieprzyzwoity: kategoria ta jeszcze wówczas nie obowiązuje. Dopiero epoka aleksandryjska wyda sprośne piosenki Sotadesa i mimy Herondasa, wprowadzające nas najchętniej w towarzystwo właścicieli domów publicznych i stręczycielek. Nie tylko jednak w pornografii przejawia się jej naturalizm; także i w zamiłowaniu do drobiazgowej, „bezwydźwiękowej" obserwacji: świetny obraz starożytnej „dulszczyzny", nakreślony w Syrakuzankach Teokryta, zawisa w próżni, nie prowadzi do niczego. Równocześnie zaś — jak gdyby na przeciwległym krańcu epoki — rodzi się — przez tegoż poetę stworzona — idealizująca sielanka. Nie należy bowiem sądzić, jakoby idylla dopiero w rękach następców Teokryta wyrodziła się w konwencjonalną: już w Dożynkach występują w przebraniu pasterskim poeci, członkowie klubu literackiego z Kos; już rozmowa pasterzy w Pieśni Tyrzisa nosi wszelkie znamiona — uroczej zresztą — stylizacji.

Pojawienie się zatem dwu kontrastowych rodzajów: naturalistycznego mimu i idealizującej sielanki świadczy o dokonanym w świadomości poety aleksandryjskiego — rozkładzie sztuki na fantazję i rzeczywistość; rozkładzie, który odzwierciedla narodziny warstwy artystów-zawodowców czyli — by mówić językiem dzisiejszym — oderwanie się inteligencji od ludu.

I nie tylko to! Sentymentalizm epoki aleksandryjskiej odbija nie tylko sytuację artystów, lecz i całej ludności greckiej, wyrwanej z dotychczasowych związków, rzuconej na obczyznę, przeniesionej jak gdyby z świata konieczności w świat hazardu. Jest to okres zawrotnych karier i równie nagłych upadków. Czyż macedoński oficer mógł przewidzieć swą przyszłość absolutnego despoty, ba! bóstwa na tronie orientalnym? Toteż, podobnie jak w dwa tysiące lat później awanse generałów napoleońskich zawrócą w głowie całej generacji, tak i wówczas powstaje — znęcone sukcesem Aleksandra — pokolenie awanturników, poszukiwaczy przygód — takich jak Pyrrus z Epiru, który przebiegł z hoplitami Italię, zadając cios po ciosie Rzymianom, lub jak Demetriusz Zdobywca Miast. To nagłe rozszerzenie świata i zawrotność możliwości sprawia, że nad starych Zeusów i Apollinów epoka aleksandryjska przenosi inne, bliższe sobie, bóstwo: jest nim Przypadek czyli Tyche. Jej to podobizny — jako opiekuńczego bóstwa miasta Aleksandrii — rozpoznajemy na ówczesnych medalionach; w niej upatruje o wiek późniejszy historyk, Polibiusz, przyczynę wzniesień i upadków ludzi i narodów. Interpretowana przez Stoików jako opatrzność, przez Epikurejczyków jako dowód obojętności lub nieistnienia bogów, Tyche uczy w każdym razie jednego: że człowiek nie jest panem własnego losu, lecz igraszką w ręku niezależnych od siebie mocy.

Kult Przypadku jest szczytowym uogólnieniem, do jakiego wzniosła się epoka aleksandryjska, aby wyrazić swą koncepcję ludzkiego losu. To samo ujęcie powtarza się jednak i w ówczesnej sztuce: jej postaci to miniaturowe kopie kapryśnej i nieobliczalnej Tyche. Czy to będzie Eros, zmalały z klasycznego

bóstwa do psotnika hellenistycznych ogrodów; czy Herondasowy urwipołeć; czy igrająca niemrawym Polifemem nimfa Galatea; czy wreszcie kobieta z Pieśni Tyrzisa, która — otoczona gronem swarliwych zalotników— „nie dba i raz śmiejąca temu główką kiwnie, raz na innego mruga".

Epoka aleksandryjska nie poprzestaje jednak na tym. Jak wszelkie okresy poetyczne i sentymentalne wytwarza ona pewien ideał, który umieszcza poza sobą — w przeszłości. Ekranem, na jaki go rzutuje, jest właśnie dawna Grecja: jej to hezjodowy, wegetatywny spokój przeciwstawia własnemu wykorzenieniu. Smak ówczesny lubi zestawiać istoty lekkie i napowietrzne z nieporadnymi i nieco archaicznymi figurami: Galatei przydaje do boku masywnego Polifema, zalotnicy z Pieśni Tyrzisa skupioną nad siecią postać rybaka, młodziutkiej Artemidzie każe — w Hymnie Kallimachowym — zejść do jaskini, gdzie łomocą młotami podziemni Cyklopi. Być może, rozmiłowanie w tego rodzaju kontrastach odzwierciedla owe zasadnicze sprzeczności, jakie wytworzyła w sobie epoka aleksandryjska: między wsią a wielkim miastem, między Grecją archaiczną a nową, między ludem a inteligencją, między „barbarzyńcami" wreszcie a Helladą w całości — i to nie tą dawną, lecz świeżo powstałą i błyskawicznie modernizującą się na egipskich piaskach...

Jakież miejsce przypisać w tej epoce naszemu poecie? Jaką rolę w niej odegrał? Skazani tu jesteśmy — jak przeważnie w biografiach antycznych artystów — na przypuszczenia. Informacje starożytnych komentatorów tzw. scholiastów rzadko dotyczą tego, co by nas najżywiej interesowało; również i nowsi filologowie, którzy każdą literkę klasycznych tekstów obwiesili górami odsyłaczy, okazują w pewnych dziedzinach zadziwiającą obojętność. Dość powiedzieć, że sytuacja materialna pisarza epoki klasycznej (V i IV w. prz. n. e.) nie została po dziś dzień należycie wyjaśniona. Zapewne, słyszymy coś niecoś o dramatycznych agonach, gdzie zwycięzca otrzymywał wyznaczoną przez miasto nagrodę; ani jednak jej wysokość, ani honoraria za nienagrodzone lub odrzucone sztuki nie uległy ustaleniu. Cóż mówić o sytuacji materialnej filozofów, historyków czy krytyków, która pozostaje po dziś dzień skrzętnie pomijaną zagadką? Możemy się jedynie domyślić, że niektórzy — jak Arystoteles lub sofiści — byli korepetytorami; inni — jak Sokrates — bez stałych źródeł utrzymania, co usprawiedliwia — nawiasem mówiąc — permanentny rozstrój Ksantypy; większość żyła zapewne z gospodarstwa, a więc z pracy niewolników — w sytuacji dość podobnej do tej, w jakiej był nasz obywatel ziemski z ubiegłych stuleci.

W przeciwieństwie do nich poeta hellenistyczny nie może już się oprzeć o mecenat miasta, które z trudem opędza najkonieczniejsze wydatki. Jeśli wyemigruje na Wschód, traci dotychczasową materialną bazę i musi chcąc nie chcąc ubiegać się o poparcie u króla lub u jednego z notabli.

Ta zmieniona sytuacja decyduje i o kolejach Teokryta. Urodził się około 300 r. prz. n. e. w Syrakuzach — z rodziców niezbyt zamożnych, jeżeli wierzyć epigramatowi, gdzie nazywa siebie „jednym z pospólstwa". Toteż pierwszy już swój datowany utwór Charytki kieruje do stratega Syrakuz, Hierona, z prośbą o wsparcie—w zamian za obietnicę unieśmiertelnienia go w poezji. Był to okres, kiedy Hieron szykował się do wojny z Kartagińczykami, którzy zajmowali część wyspy: nakreślony przez poetę głęboko przeżyty obraz przyszłego pokoju i dobrobytu, jaki nastanie po przepędzeniu wroga, świadczy, że nie tylko potrzeba stałego dochodu, ale i

autentyczny patriotyzm ten utwór mu podyktowały. A i później, gdziekolwiek go losy rzucą — na Kos, do Miletu czy do Aleksandrii — zawsze będzie występował jako piewca podań, obyczajów i krajobrazów sycylijskich, wzbogacając wykwintną i uczoną poezję aleksandryjską o swój nieco wyidealizowany, chytro-naiwny folklor.

Czy to jednak, że Hieron, zajęty innymi sprawami, pozostał na przymówki poety nieczuły, czy to, że względy rodzinne — miał podobno krewnych na Kos — skłoniły go do wyjazdu, dość, że w cztery lata później, w 270 r., znajdujemy Teokryta w Aleksandrii, piszącego pochwałę tym razem N a c z e ś ć P t o l e m e u s z a F i l a d e l f a. W okresie tym na dworze egipskim istniało chyba dość wielkie zapotrzebowanie na panegirystów: król dokonał bowiem niedawno dwu posunięć, które — sprzeczne z helleńskim obyczajem i przeznaczone dla skaptowania ludności tubylczej — nie mogły liczyć na aplauz emigracji: zaliczył w poczet bogów, identyfikując ją z Afrodytą, matkę swą, Berenikę, oraz pojął za żonę własną siostrę, Arsinoe, czemu — nawiasem mówiąc — zawdzięczał przydomek Filadelfa (Siostrolubca). Że ostatni ten krok nie był przyjęty przez Greków z entuzjazmem, świadczy zachowany epigram cynika Sotadesa, tak nieprzyzwoity, że nie nadaje się do zacytowania. Wybieleniu tego związku poświęca Teokryt dużą partię swej P o c h w a ł y; ubóstwieniem Bereniki zajął się w — zaginionym niestety — poemacie, z którego ocalał tylko poniższy uroczy fragment:

A jeśli kto sutego pożąda połowu,
Komu za niwę morze, za pług służą sieci,
Niech złoży tej bogini przed nocy połową
Rybę świętą, świetlistą, co spod wody świeci,
A zarzuci więcierze i wyciągnie znowu
Pełne...

Apel Teokryta do Ptolemeusza nie pozostał bez skutku. Działalność jego jako poety dworskiego miała ciąg dalszy: dwa inne utwory Z a k o c h a n y w K y n i s c e i S y r a k u z a n k i świadczą o ścisłym związku z polityką dworu aleksandryjskiego. Pierwszy — to dość naciągnięta agitacja: przyjaciel namawia nieszczęśliwie zakochanego Ajschinesa, aby wybił klin klinem i zaciągnął się do armii Ptolemeuszowej. S y r a k u z a n k i powstały prawdopodobnie również na zamówienie króla, który pragnął uświetnić uroczystości na cześć syryjskiego bóstwa, Adonisa; Adonis był — według legendy — ukochanym Afrodyty; że zaś tę — jak już wiemy — utożsamiano z Bereniką, więc święto to przybrało charakter rodzinnego kultu Ptolemeuszy. Z zadania poeta wywiązał się nader zgrabnie: hymn na cześć Adonisa wplótł w przezabawną scenkę rodzajową, której bohaterkami uczynił dwie swoje rodaczki, przybyłe — jak on — z Sycylii do Egiptu i prawiące mimochodem komplementy pod adresem jego władców. Godne jest uwagi, że ten — tak bardzo aleksandryjski w swej tematyce — utwór napisany jest jednak ze stanowiska Sycylijczyka: gwałtowna reakcja jednej z Syrakuzanek wobec przechodnia, krytykującego jej dorycką gwarę, jest, być może, echem jakichś literackich napaści, na jakie był narażony w Aleksandrii sam Teokryt — ze strony piszących po attycku kolegów — za swój prowincjonalny dialekt. Nie należało by się wówczas dziwić, że odparowuje je włożonym w usta bohaterki pełnym oburzenia zdaniem: „Wolno, jak sądzę, Dorom po dorycku gadać".

Czyż ta — dostrzeżona przez nas w Syrakuzankach — skłonność Teokryta, aby patrzeć na Aleksandrię oczyma sycylijskimi, pozwala nam wysnuć wnioski szersze i określić ogólny stosunek poety do nowej literatury, jaka tworzyła się w Egipcie? Wiemy już z Dożynek, że przyjął on ogólne założenia jej sentymentalnej i poetycznej estetyki; wiemy jednak również, że reprezentował w niej element ludowy; czyż między dwoma tymi twierdzeniami nie ma sprzeczności? Lecz epoka aleksandryjska — jak w ogóle wszelki sentymentalizm — umieszcza swój ideał poza sobą; przedmiotem jej idealizacji i sentymentalizmu była właśnie grecka ludowość; i w tym jej punkcie umieścił się Teokryt. Innymi słowy, przyjął formalne postulaty poetyki aleksandryjskiej: drobny rozmiar, wykończenie szczegółu, ale wypełnił je rodzimą, sycylijską treścią. Że przyjął je jednak z pewną ironiczną rezerwą, o tym świadczy chociażby jego Cyklop*), gdzie miłosne skargi prostaczka-Polifema są wyraźną parodią wymizdrzonej liryki miłosnej, uprawianej przez Aleksandryjczyków.

Możemy zatem przypuścić, że Teokryt przybrał — wobec kultury aleksandryjskiej — na wpół-naiwną, na wpół-kpiącą postawę prowincjonalnego chłopka-roztropka i że owe nieco niedźwiedziowate postacie z jego Cyklopa czy Serenady, ubiegające się o względy napowietrznie lekkich Galatej i Amaryllid, są po trosze jego sobowtórami: istnieje nawet pewne podobieństwo zewnętrzne między płaskonosym Polifemem czy płaskonosym pasterzem z Serenady a samym autorem. Przydomek „Simichidasa" zawdzięczał on — wedle scholiastów — takiemu właśnie wyglądowi: „simichos" znaczy „płaskonosy". I czyż sam Teokryt w jednym ze swych epigramów nie chełpi się — zapewne w przeciwstawieniu do innych poetów aleksandryjskich — że „nigdy nie przywoływał obcej Muzy" czyli że uprawiał poezję rodzimą?

Istnieje jednak pewien — niewątpliwie Teokrytowy — utwór, który zdaje się przeczyć naszej tezie o zastrzeżeniach, jakie miał poeta wobec aleksandrynizmu. Jest nim jeden z najdzikszych wybryków ówczesnej erudytomanii i niezrozumialstwa: utwór pt. Fletnia, w kształcie fletni, złożony z siedmiu par coraz bardziej skracających się wierszy, co w sumie przypomina siedmiotrzcinną starożytną syringę; w treści — rebus, rojący się od omówień i dalekich aluzyj: dość powiedzieć, że żona Odysseuszowa, Penelopa, nazwana w nim jest „małżonką niczyją", ponieważ Odysseusz przedstawił się Polifemowi jako „Nikt". Epoka aleksandryjska lubowała się w tego rodzaju pomysłach: równocześnie Likofron pisze swą najeżoną rebusami Kassandrę, w której wypadki minione opowiada — jako proroctwa Kassandry — w czasie przyszłym; przyjaciel Teokryta, Dosiadas z Krety, tworzy również zagadkowy Ołtarz w kształcie ołtarza. Od tego, czy Fletnię Teokrytową uznamy za utwór poważny, za figlik czy też wreszcie za świadomą parodię tamtych, zależeć będzie nasz pogląd na jego dalszy rozwój: czy to że uległ w końcu manierze aleksandryjskiej, czy że ją w dalszym ciągu parodiował. Z dzieła Teokrytowego ocalały jedynie szczątki: połączenie ich w jednolitą całość i sformułowanie ogólnego poglądu na osobowość i ideologię poety jest wciąż jeszcze sprawą przypuszczeń. Piszący te słowa starał się dać koncepcję poety, która by — nie przecząc żadnym stwierdzonym faktom — tłumaczyła możliwie największą ich ilość...

Artur Sandauer

*) Patrz Twórczość, 1946, Nr. I.

PIEŚŃ TYRZISA

TYRZIS. Ten szum jakiś, pasterzu, ten sosny stuletniej
Śpiew na wietrze przy źródle miły jest, jak fletni
Twojej dźwięki. Po Panie [1]) tyś drugim fletnistą.
Jeśli on capa weźmie, ciebie wynagrodzi
Koza; jeśli on — kozę, ty w darze soczystą
Weźmiesz kózkę — soczystą, póki nie porodzi [2]).
KOŹLARZ. Milszy twój, pasterzu, śpiew niźli ta kaskada,
Co ze zbocza stromych skał z wielkim szumem spada.
Jeśli Muzy owieczkę dostaną w nagrodzie,
Ty tryka brodatego otrzymasz, a jeśli
Tryka wybiorą, owca na ciebie przypada.
TYRZIS. Chcesz-li na wzgórka stoczu, w tamaryszków chłodzie,
Siąść i we fujarkę dąć, o koźlarzu, chcesz-li?
Ja tymczasem opodal będę pasł twe stada.
KOŹLARZ. Nie nasza rzecz, pasterz, graniem mącić ciszę
Popołudnia. Boimy się Pana. W tej porze
Znużonemu łowami na sen mu się morzy.
A to złośnik i zawsze gniew mu z nozdrzy dyszy.
Lecz ty, Tyrzi, zaśpiewaj żale Dafnisowe [3]).
Usiądźmy tu, pod wiązem. Naprzeciw posągi
Źródlanek i Priapa [4]) skryły się w dąbrowę
I ławeczka pasterska. Zaśpiewaj, jak ongi
Z Chromisem Libyjczykiem śpiewałeś w zawody,
A dam ci do udoju kozę, co dwa płody
Ma u wymion i mlekiem napełnia dwie dzieże.
Dam i szeroką, wonnym wymaszczoną wszędzie
Woskiem wazę dwuuszną. Drzewo jeszcze świeże
I pachnie; w bluszcz owite są czary krawędzie,
W bluszcz, przeplatany gęsto helichryzu splotem,
Co pełga i owocem przebłyskuje złotym.
Wewnątrz postać kobiety, rzeźbiona przedziwnie,
Strojnej w peplos i wieniec, wśród amantów grona,
Ufryzowanych i kłótliwych. Ale ona
Nie dba i raz śmiejąca temu główką kiwnie,
Raz na innego mruga. Próżne ich zaloty
I trud próżny, choć biją na nich siódme poty.
Dalej na poszarpanym, nadmorskim cokole
Z pośpiechem ponad fale rybak-starowina
Ciągnie więcierze w nadmiernym mozole.
Rzekłbyś, że wszystkie mięśnie w wysiłku napina
Łowiąc. Tak muskułami napęczniały bary.
Siwy on jest i stary, ale jeszcze jary.
Krzynkę opodal starca, co żył nad głębiną,

Pod śniadymi gronami pięknie się ugina
Winnica, której strzeże spod murka chłopczyna.
Tuż dwie liszki: dostałe z latorośli wino
Łupi jedna, przy mieszku druga się zaczaja
I prawi, że nie prędzej go popuści, zanim
Chłopięcia nie usadzi przed postnym śniadaniem.
Lecz on pastkę szarańczom plecie z źdźbeł i spaja
Trzciną wodną. Nie mieszek, ni tyle sad winny
Mu w głowie, ile własne raduje go dzieło.
Po pucharze zaś akant rozsypał się płynny.
Zmyślne cudo! Z podziwu dech by ci odjęło...
Flisakowi z Kaulonu w zapłacie zań dałem
Kozę wraz z wielkim sera śnieżnego kawałem.
Jeszczem usty go nie tknął, ale jako żywo
Chowam nienaruszony. Ja-ć go sercem całym
Oddam, jeśli zaśpiewasz mi tę pieśń tęskliwą.
Nie okpiwam cię... Siądź-no! Chowasz-że twe pienia
Aż do chwili, gdy pójdziesz w krainę milczenia?

TYRZIS *(śpiewa):*

Rozpocznijcie, Muzy me, bukoliczne piosnki.
Oto Tyrzis spod Etny i jego śpiew boski.

Gdy Dafnis we łzach tonął, wyście, Nimfy polne,
Tańczyły nad Penejem, po dolinie kwietnej;
Nie widziano was wtedy na czatowni Etny
Ni tam, gdzie Anap toczy swe fale powolne.

Rozpocznijcie, Muzy me, bukoliczne pieśni.

I tylko nad nim zawył wilk razem z szakalem
I długo nad nim groźny lew ryczał z dąbrowy.
Z oczyma łez pełnymi jałówki i krowy,
Byki i karwie stopy mu lizały z żalem.

Rozpocznijcie etc.

Zszedł Hermes z gór i pyta pierwszy: „Czemu szlochasz?
Cóż cię trapi, Dafnisie? Czyli w kim się kochasz?"
Nadeszli i czabany, wolarze, koźlarze,
Pytali, co go boli. Priap się ukaże —

Rozpocznijcie etc.

„O Dafnisie, ty płaczesz, gdy dziewczyna blada
Ciągle szuka za tobą po polach i lasach?
Nie znasz się na miłości. Trudna na to rada.
Choć wolarz, równyś temu, co kozy wypasa".

Rozpocznijcie etc.

„Koźlarz, gdy widzi, jak się gzi bekliwe stadko,
Gorzkie łzy roni, że się capem nie narodził.

A ty, gdy się przyglądasz tańczącym dzierlatkom,
Gorzkie łzy ronisz, żeś się wśród nich nie nagodził".

Rozpocznijcie etc.

Przyszła i słodka Kypris, Kypris uśmiechnięta [5]),
Słodziutko uśmiechnięta, w sercu pełno złości...
I rzecze: „Tyś się wszakże zaklinał, że w pęta
Nigdy się nie uwikłasz mozolnej miłości".

Rozpocznijcie etc.

A Dafnis jej tak odparł: „Kyprido wszeteczna!
Kyprido nienawistna, która trapisz męże!
Myślisz może, że dla mnie już noc wszeszła wieczna?
Dafnisa i w podziemiu miłość nie zwycięży".

Rozpocznijcie etc.

„Do innego pasterza idź sobie, na Idę [6]),
Do swego Anchizesa. Tam jeszcze dziś dęby
Szepcą, jako to czaban miłował Kypridę.
Kukułka o tym kuka i ćwierkają zięby".

Rozpocznijcie etc.

„I Adonis ci dobry, pasterz białych owiec,
Przed którym zwierz pomyka przerażony borem.
Przecie Diomedesowi wyjdź i jemu powiedz:
„Dafnisa zwyciężyłam. Nuże, stań mi sporem!"

Rozpocznijcie etc.

„Wilki, niedźwiedzie, śpiące w gór kamiennym łożu,
Żegnajcie! Już nie będzie Dafnis w gaj wiódł trzody.
Żegnaj mi, Aretuzo [7]), i wy, piękne wody,
Co zlewacie Nerejdę [8]), kąpiącą się w morzu".

Rozpocznijcie etc.

„Jam ów Dafnis, co tędy chadzał z bydłem swoim,
Dafnis, co swoje woły nad tym poił zdrojem".

Rozpocznijcie etc.

„Panie, Panie, czyliś ty wśród Likeju lasów
Czy hal Menalu, przybądź na Sycylię błogą.
Zostaw kurhan Heliki i kopiec Arkasów,
Wysoki, co go widzieć cudno samym bogom" [9]).

Rozpocznijcie etc.

„Przyjdź, Panie, i tę piękną fletnię weź ode mnie,
Która, zsiadłego wosku mocną dysząc wonią,

Na wardze drga. Bez żalu daję-ć. Bo już w ciemnie
Podziemne utrapienia miłości mnie gonią".

Rozpocznijcie etc.

„A teraz niech bzy kwitną na cierniu i oście,
Niech pod narcyzem gnie się jałowca gałązka,
Gdy Dafnis kona. Łanie, kundlów w zębach noście
I niech śpiewem słowiczym górski puchacz kląska".

Zaprzestańcie, Muzy me, bukolicznych pieśni.

Tu urwał. Afrodite rzeźwi go co siły.
Próżno! Przędzy nie stało na Mojry [10]) kądzieli.
I Dafnis poszedł z nurtem [11]). Plusnął war topieli
Nad tym, co Nimfom luby i Muzom był miły.

Zaprzestańcie etc.

Ty zaś kozę i czarę daj, bym po udoju
Oddał ofiarę Muzom. O! Żyjcie w spokoju,
Muzy! A ja zaśpiewam innym razem cudniej.
KOŹLARZ. Obyś usta miał pełne miodu i skarzylu
I obyś słodkie figi zrywał na Egilu,
Tyrzi, bo piękniej śpiewasz, niźli świerszcz w południe.
Naści czarę. Woń jaka od niej bije! Patrz-no!
Rzekłbyś, że ją spłukały Hor przejrzyste struje.
Chodź, Krasa, daj wymiona. A kozy, jak zaczną
Brykać... Ale tam cap już coś o nich miarkuje.

DOŻYNKI [1])

Tego dnia ja, Amyntas i Eukryt samotrzeć
Wyszliśmy z miasta, aby do Halentu dotrzeć;
Gdzie składali Demetrze [2]) plonów pierwociny
Frazydam i Antygen, z przezacnej rodziny.
(Jej początki sięgają owego Chalkona,
Którego stopą niegdyś skała uderzona
Wytrysła żywą wodą; dzisiaj nad ruczajem
Wiąz i czarne topole rozrosły się gajem.)

Nie uszliśmy pół drogi jeszcze i mogiły
Brazylasa nie było widać, kiedy miły
Zrządzeniem Muz towarzysz zdarzył się, z imienia
Lykidas Kydonijczyk, a pasterz z odzienia.
Nikt by się nie omylił: tak bardzo pasterza
Zdradzała płowa skóra kosmatego zwierza,
Kozła, którą był sobie zarzucił na bary;
Woń serwatki z niej biła. Na piersi miał stary

Strzęp peplosu, kręconym przepasany sznurem,
Podpierał się zaś krzywym, oliwnym kosturem.

On z lekkim warg skrzywieniem tymi słowy rzecze,
A oczy mu się śmieją: „Dokąd to, człowiecze,
Naglisz kroku w tej porze, gdy nawet jaszczurka
Zielona drzemie w cieniu kamiennego murka
I dzierlatki po grobach nie skaczą? Czy może
Na ucztę nieproszony mkniesz w samo południe,
Albo na winobranie? Jak ci to, nieboże,
Gdy tak śpieszysz, gościniec pod obcasem dudni".

Na to ja: „Lykidasie miły! Wieść się szerzy,
Żeś fletnista, jakiemu nikt z naszych pasterzy
Ni żniwiarzy nie sprosta. Wielce to mą duszę
Raduje. Ja wszelako dorównać ci tuszę.
Droga zaś — na dożynki. Nasi przyjaciele
Pierwocinami plonów darzą dziś Cybelę,
Boginię pięknoszatą, co miarką obfitą
Sypnęła na klepisko i jęczmień i żyto.
Lecz — że wspólna wędrówka i swobodna chwila —
Zanućmy: niech śpiewanie drogę nam umila.
Jam też muzyk; i o mnie mówią ludzkie usta,
Żem pieśniarz nad pieśniarze. Lecz to sława pusta.
Bo jeszcze — tak rozumiem — nie sięgam do pasa
Cnego Asklepiadesa ani Filetasa [3]),
Lecz, jak żaba przy świerszczach, tak ja przy nich skrzeczę".

To mówię — naumyślnie. On z uśmiechem rzecze:
„Ten ci kostur daruję, żeś jest jako owa
Na prawdzie wykarmiona latorośl Zeusowa.
Obmierzł mi budowniczy, który z wielką biedą
Chce wywieść dom nad szczyty góry Oromedon.
I ptaszki Muz, co ledwo zdążyły się wyląc,
Już krakają, Homera przekrzyczeć się siląc.
Lecz śpiewajmy. A ja ci... Słuchaj, Simichida [4]),
Jak ta, com wczoraj złożył, piosnka ci się wyda.

PIEŚŃ LYKIDASA [5])

Lekko do Mityleny poniesie cię fala,
Choć zabłysły Koźlęta na zachodnim niebie,
Wichura obielałe wody gna przed siebie
I już się ponad morzem Orion zapala,

Jeżeli trawionego miłością gorącą
Twa wzajemność z serdecznych katuszy ocali.

Zimorodki ci wtedy wyścielą grzbiet fali [6])
I wichry, co najgłębsze wodorosty mącą,

Uciszą — zimorodki, modrej Nereidzie
Milsze nad inne ptactwo, co z połowu żyje.
Lekko, Ageanakcie, od brzegu odbije
Twoja łódź i pomyślnie do przystani przyjdzie.

W ów dzień ja przy ognisku, uwieńczywszy czoło
Śnieżnobiałą lewkonią, koprem albo różą,
Pteleatyckie wino czerpać będę z krużu,
A na ognisku będzie skwierczeć groch wesoło.

Aż po łokieć głębokie będę mieć posłanie
Ze złotogłowu, rdestu, krętego opichu
I wspominając ciebie przy pełnym kielichu
Pić będę, aż sam osad na dnie się ostanie.

Zagrają mi na fletniach w ów dzień dwaj pasterze
Z Acharnu i z Likopy; a Tityr zaśpiewa,
Jak Dafnis kochał Ksenię i jak nad nim drzewa
Płakały, które rosną przy rzece Himerze,

Jak on sam spływał łzami, niby śniegiem stoki
Dalekiego Kaukazu, Rodopy lub Hemu.
Zaśpiewa, jako gwoli panu okrutnemu
Pastuszek był wtrącony do skrzyni głębokiej,

Jako z łąk wracające pszczoły-płaskonoski
Do cedru pachnącego przylatując rojem
Karmiły go zebranym na kwiatach napojem
Przeto, że z ust mu płynął Muzy nektar boski.

Ty tej szczęsnej przygody, Komatasie luby,
Dostąpiłeś; i ciebie to w mocnej szkatule
Więzionego karmiły słodkim miodem ule,
Aż przetrwałeś owocne lato swojej próby.

O! Gdybyś się wśród żywych liczył w moim czasie,
Ja bym pasał na górach twoje piękne stada
Zasłuchany, a ty byś słodkie pieśni składał
Leżący w cieniu dębów, boski Komatasie!

To wyrzekłszy zaprzestał. Po nim tymi słowy
Jam się ozwał: „Najmilszy Lykidasie! Siła
Pieśni i mnie przy stadach Nimfa wyuczyła
Pięknych. Sława ich doszła aż przed tron Zeusowy.
Ale ciebie tą oto, najpiękniejszą z wielu,
Pierwszego chcę uraczyć, Muzy przyjacielu!

PIEŚŃ SIMICHIDASA

Uśmiechnęłaś się do mnie, miłości skrzydlata,
Że kochamy się z Myrto jak gołąbków dwoje.
Lecz cóż mi po tym, kiedy miłego Arata
Gorzkie za sprawą chłopca dręczą niepokoje?

Wie coś o tym Aristis, człowiek rzadkiej cnoty,
(Którego by sam Febus rad przy swym trójnogu
Zobaczyć grającego na formindze złotej)
Że z winy chłopca Arat ranę odniósł srogą.

O Panie, co w Homoli miłej się znachodzisz,
Jakiekolwiek jest imię owego chłopięcia,
Filinos czy kto inny, — spraw, by mu w objęcia
Upadł sam, nieproszony, a nigdy cię młodzież

Cebulami nie będzie grzmocić arkadyjska
Po plecach i po żebrach, gdy zbraknie mięsiwa [7]).
Jeśli zaś nie, bodajbyś pcheł się nie doiskał
W sierści i bodaj łożem była ci pokrzywa.

Bodaj cię w trackich górach, ponad Hebru rzeką,
Pod samą Niedźwiedzicą zima naszła mroźna.
Lato zaś zapędziło na ziemię daleką
Etiopów, skąd i Nilu dojrzeć już nie można.

Wy zaś rzućcie siedzibę Diony płowowłosej
Wzniosłą, rzućcie Hietydy i Byblidy zdroje,
Wy, do jabłek rumianych podobne Erosy
I w gładkiego Filina wszystkie groty swoje

Wymierzcie, bo jest nazbyt, szelma, bezlitosny.
A sam przecie już przejrzał jak grusza i panny:
„Biada! — mówią — Filinie, mija czas twej wiosny".
Dość, Aracie, czuwania u wrót. Niech poranny

Kur swym pianiem innego przyprawia o ciarki [8]).
Molon niech się umartwia. Nam zasię głębokiej
Spokojności jedynie potrzeba i starki,
Która by odczyniła, plując, złe uroki".

Tak rzekłem. On, jak przedtem, mile uśmiechnięty
W imieniu Muzy kostur dał mi dla zachęty
I zawrócił na lewo, gdzie wiódł zakręt drogi
Do Pyksy; ja zaś, Eukryt i Amyntas drogi
Do domu Frazydama, gdzie nas miękkie łoże
Czekało: z pachnącego sitowia rogoże
I świeżo pościnane winne latorośle.
Nad głową nam topole i wiązy wyniośle
Chwiały się; obok — Nimfom poświęcona grota,

Gdzie ściekając z kamieni źródełko bełkota.
W dali kumkały żaby w jeżynach ciernistych.
Ogorzałe od słońca z gałęzi cienistych
Koniki polne, ile sił starczyło, strzygły.
Zawodziły turkawki i śpiewały szczygły.
Polatywały płowe pszczoły nad ruczajem.
Pachło nam żyznym latem, pachło urodzajem.
Więc gruszek pod stopami, a jabłek pod dłonią
Leżało pod dostatkiem; opodal się kłonią
Ku ziemi śliwy, owoc ciężarnej gałęzi.
I wino z czteroletniej dobyto uwięzi.

O mieszkanko Parnasu, Nimfo Kastalijska!
Czyż ongi Heraklesa we wnętrzu pieczary
Nie takim to napojem Chiron podjął stary?
A ów pastuch-wielkolud, co miotał skaliska
Na statki, ów Polifem po takim nektarze
Czyż nie poszedł ochoczo w pląsy po pieczarze?
Takim nas, Nimfo, trunkiem uraczyłaś wtedy
U Demetery Żniwnej ołtarza. Czy kiedy
Utkwię znowu łopatę w jej brogu, gdy ona
Kłosy i maki trzyma w rękach, uśmiechniona?

SYRAKUZANKI
CZYLI
KOBIETY NA ŚWIĘCIE ADONISA[1])

Scena I

Rzecz dzieje się w Aleksandrii, w mieszkaniu Praksinoi. Praksinoa zajęta jest kobiecą robótką. W izbie są poza nią dwie niewolnice, Eunoa i Frygia oraz dziecko, Zopyrion. Wchodzi Gorgo w towarzystwie niewolnicy Eutychidy.

GORGO. Czy pani w domu?

PRAKSINOA *(zrywa się).* W domu! Gorgo! Co się stało,
Żeś się wreszcie zjawiła? Podaj krzesło pani
I jasieczek, Eunoo!

(Eunoa podaje krzesło i jasiek)

G. Świetnie!

PR. Siądź, kochanie!

G. *(siada).* O, ja szalona! Ledwo, Praksinoo, cało
Uszłam: tyle pojazdów, takie zbiegowisko!

Wszędzie — buty, chlamidy [2])... Tłoczą się i pchają...
A droga — nieskończona. Nie mieszkacie blisko.

PR. Wszystko — ten wariat! Norę, nie mieszkanie najął
Na końcu świata, byle nas rozłączyć obie,
Wciąż taki sam, zazdrośnik, na złość wszystko robi!

G. W obecności małego musisz zważać na to,
Co mówisz o swym mężu. Spójrz, jak patrzy na cię!
Nie bój się, Zopyrionie! Nie mówi o tacie.

PR. Wszystko dzieciak rozumie!

G. Grzeczny, grzeczny tato!

PR. A tatunio ten właśnie wczoraj... Ja go proszę,
Żeby ługu i farbek na bazarze kupił,
A on mi sól przynosi — chłop duży, a głupi!

G. Mój to samo... Dioklid nie liczy się z groszem.
Wczoraj psie futra, starych biesagów odpadki,
Pięć skórek przyniósł — śmiecie, nie warte zachodu.
Ale żywo! Włóż suknię! Narzuć wierzchnie szatki!
Chodź do Ptolemeuszów królewskiego grodu
Obejrzeć Adonisa! Słyszę, że królowa
Cuda szykuje.

PR. (*obojętnie*). Widać, opływa w dostatki.

G. Niejeden, gdy opowiesz, będzie się dziwował.
Ale czas iść!

PR. *(do Eunoi).* Wciąż święto u ciebie, leniuchu!
Eunoo! Znów mi zostaw robótkę, flejtuchu,
Na środku, by się kotu na niej spało milej!
Ruszaj się! Wody — prędzej! Wodę najpierw trzeba!
A ta — mydło... No, daj już! Rozrzutna, nie tyle [3])!
Nalej wody! Nieszczęsna, zmoczysz cały chiton!
Dość! Umyłam się tyle, ile chciały nieba!
Gdzie klucz od wielkiej skrzyni? Zaraz daj go mi tu!

G. Bardzo ci, Praksinoo, dobrze w tej sukience
Z fałdami. Powiedz, ileś włożyła w tkaninę?

PR. Nie mówmy o tym, Gorgo! Więcej niźli minę
Srebra i aż po łokcie urobiłam ręce.

G. Lecz wyszło ci po myśli?

PR. To — owszem. *(do Eunoi)* Okrycie
I kapelusz mi podaj! Ułóż należycie!
(Zopyrion wrzaskiem daje znać, że chce towarzyszyć matce)
Czy chcesz zostać kaleką? Konik gryzie! Bobo!
Płacz, ile chcesz, dzieciaku, nie wezmę cię z sobą!
No, idziemy już. Frygio, zabaw mi chłopczyka!
Psa zawołaj do środka, a drzwi pozamykaj!

Scena II

Na ulicy

PR. Co za ścisk! Wielkie bogi! Jak wybrnąć z tej biedy?
Jakie nieprzeliczone, nieprzebrane mrowie!
Wieleś, Ptolemeuszu, dokazał, od kiedy
Pośród niebian twój rodzic zasiadł. Łotrzykowie
Nie grabią już zwyczajem egipskim przechodnia,
Jak dawniej, gdy płatali nowe figle co dnia,
Wszyscy z tej samej mąki, okpisie, nicponie!

(Dogania je kolumna koni, prowadzonych za uzdy)

Co poczniemy, Gorgono? Patrz! Bojowe konie
Króla! Błagam, nie rozdepcz mnie, człowiecze drogi!
Dęba stanął bułany! Jaki dziki! W nogi,
Eunoo! Ukatrupi tego, co go trzyma!
Uff, kamień spadł mi z serca, że dziecka tu nie ma!

G. Nie bój się, Praksinoo! Ruszyły już dalej
Na swoje stanowiska.

PR. Już mi strach przemija.
Od dziecka mnie najbardziej koń i zimna żmija
Brzydzą. Lecz śpieszmy! Wielki tłum za nami wali!

(Z przeciwnej strony nadchodzi staruszka)

G. Z grodu, matko?

ST. Tak, córko.

G. Czy można dojść aby?

ST. Długo dojść próbowali Achaje pod Troję,
Ślicznotko! Kto próbuje, osiąga. *(odchodzi)*

G. Na dwoje
Wywróżyła nam babka.

PR. Wszystko wiedzą baby —
Nawet to, jak zamierzał Zeus Herę poślubić.

G. A oto wejście! Popatrz, jaki ścisk dokoła!

PR. Straszny! Daj rękę, Gorgo! Niech chwyci Eunoa
Eutychidę! Uważaj, aby się nie zgubić!
Pchajmy się wszystkie, kupą! Trzymaj się co siły
Przy nas, Eunoo! Biada, Gorgo! Na dwie części
Już mi szalik podarli! Niech ci Zeus da szczęście,
Chciej uważać na szalik mój, człowiecze miły!

MĘŻCZYZNA PIERWSZY.
Co w mojej mocy — zrobię.

PR. Cisną się jak wieprze.
Co za ciżba!

MĘŻ. Odwagi! Jużeśmy bezpieczni!

PR. Bodajbyś był bezpieczny i dzisiaj i wiecznie,
Żeś nam przyszedł z pomocą. Znać, żeś człowiek lepszy!

Scena III

Na dziedzińcu pałacowym.

G. Przyjrzyj się, Praksinoo, tej oto tkaninie.
Cienka! Piękna! Jak gdyby tkały ją boginie!

PR. Wielka Ateno! Jakich prządek to robota!
Co za malarz tak ścisłe wyrysował wzory!
Jakie ruchy prawdziwe! Jak trafne kolory!
Żywe — nie tkane! Człowiek — to mądra istota!
A on — jak piękny, kiedy w srebrnym łożu drzemie,
A jagody mu puchem młodzieńczym się złocą,
Adon, za którym miłość zeszła i w podziemie!

MĘŻCZYZNA DRUGI.
Przestańcie już, na litość! Jak sroki szwargocą
Bez końca! Uszy więdną, jak zaczną przeciągać!

PR. He! A ten skąd? Drażnimy go swoim szwargotem!
Niewolnice kup sobie, aby im urągać,
A nam nie śmiej! Z Syrakuz jesteśmy, wiedz o tym!
Rodem, jak Bellerofon, z Koryntu! [4]) O nieba!
Chcesz Doryjkom zabronić po dorycku gadać?
Wystarczy mi mąż jeden, by nade mną władać.
A ty mi nie rozkazuj! Nie jem twego chleba!

G. Ucisz się, Praksinoo! Ku chwale Adona
Śpiewa córka Argei, śpiewaczka uczona,
Którą za rok miniony już nagroda wieńczy.
Śpiewa pięknie, to pewne. Popatrz, jak się wdzięczy!

Lament śpiewaczki na śmierć i zmartwychwstanie Adonisa.

Tobie, pani Idalion, Golgów i Eryksu [5]),
Tobie to, Afrodycie złotem igrającej,
Tobie dzisiaj znad brzegów prawiecznego Styksu
Adonisa oddają powolne Miesiące,
Najpowolniejsze z bogów, ale upragnione
Przychodzą — zawsze jakimś darem obarczone.
O pani Cypru, córo Dionejska! Ty to,
Berenikę ambrozją skropiwszy obfitą,
Dałaś jej — jako mówią — dar nieśmiertelności;
Tobie, wieloimienna i wieloświątynna,
Córa jej, Arsinoe, wdzięcznością powinna,
Dziś wszelakim bogactwem Adonisa gości.
Tu — owoc rozmaity, jaki drzewa noszą,

Sztuczne ogrody, w srebrnym hodowane koszu,
Alabastry, syryjskich pełne aromatów.
Tu — dłońmi niewieścimi ugniecione ciasta,
Gdzie biała mąka łączy się z wywarem kwiatów,
A z miodem pozłocistym oliwna omasta,
Wydają sobą kształty ptaków albo zwierząt [6]).
Wiszą z kopru miękkiego zielone altany,
Nad nimi polatują Erosy rumiane,
Jak fruwają słowiczki, kiedy się wypierzą,
Z gałązki na gałązkę, doświadczając lotu.
O hebanie! O kości słoniowa! O złoto!
O orły, Ganimeda [7]) unoszące w chmury!
I wy „od snu miękciejsze" kobierce z purpury,
Jako mówią w Milecie; a Samijczyk powie:
„Myśmy to dla Adona usłali wezgłowie" [8]).
Cyprydę różanymi otoczył ramiony
Mąż osiemnastoletni, dzisiaj poślubiony.
Nie kłują wargi, puchem ocienione złotym.
Niech więc cieszy się Kypris kochanka powrotem.
My zasię równo z rosą, o najpierwszym brzasku
Złożywszy go na falą zaślinionym piasku,
Z włosem rozwianym, z szatą spuszczoną na pięty,
Z piersią nagą — jękliwe rozpoczniem lamenty.
Jedynyś ty z półbogów w krainę podziemną
Zszedł i wrócił, Adoni! Tego Agamemnon
Nie zaznał, ani Ajas, bohater szalony,
Ni Pyrros, spod Ilionu murów ocalony,
Ni Hektor, który pierwsze miał śród Trojan miejsce,
Ni dawne Pelopidy, ni Deukaliony,
Lapity, ni Pelazgi, książęta argejscy.
Okaż łaskę, Adoni, dzisiaj i w przyszłości,
A rade ci będziemy, gdy znów przyjdziesz w gości.

GORGO. Ta baba, Praksinoo, to sztuka nielada!
Jak wszystko spamiętała! Jak misternie gada!
Ale pora do domu! Dioklid nie śniadał!
A to złośnik! Gdy głodny, nie przystąp do niego!
Bądź zdrów, panie, i w zdrowiu zastań nas! Dosiego!

KOMENTARZE

PIEŚŃ TYRZISA

1. Pan — koźlonogi bóg pasterzy.
2. Mięso jałowej kozy uchodziło za najlepsze.
3. Dafnis — bohater pasterskich legend sycylijskich. Złożył on śluby czystości, czym ściągnął na siebie gniew Afrodyty. Ta — nie mogąc ścierpieć, aby ktokolwiek uchylał się jej władzy — zsyła nań — odwzajemnioną zresztą — miłość. Dafnis trwa wszelako przy złożonych ślubowaniach. Końcowy epizod tej legendy znajdujemy w Pieśni Tyrzisa.
4. Priap — bóg ogrodów, znany z rozwiązłych obyczajów i nieprzyzwoitego wyglądu.

5. Kypris — Afrodyta, bogini miłości.
6. Dafnis wypomina Afrodycie wszystkie jej miłostki ze śmiertelnymi oraz ową dość dla niej kompromitującą przygodę, kiedy to wmieszała się w bitwę o Troję i została zraniona w rękę przez Diomedesa.
7. Aretuza — źródło obok Syrakuz.
8. Nereida — nimfa morska. Tu — synonim morza.
9. Pan przebywa najchętniej w Arkadii, klasycznym kraju pasterskim. Menal, Likej, kurhan Heliki, kopiec Arkasowy — miejscowości w Arkadii.
10. Mojra (po łac. Parka) — jedna z trzech sióstr, które przędą nić ludzkiego żywota.
11. Mowa o podziemnej rzece Styks.

DOŻYNKI

1. Rzecz dzieje się na wyspie Kos, gdzie — podczas swej podróży z Sycylii do Aleksandrii — bawił poeta.
2. Demeter lub Cybele — bogini plonów.
3. Asklepiades i Filetas — poeci starszego — w stosunku do Teokryta — pokolenia. Filetas był jego mistrzem.
4. Simichidas — pseudonim Teokryta.
5. Pieśń Likidasa ma kompozycję nieco luźną: od życzeń szczęśliwej podróży pod adresem ukochanego przechodzi do dwóch popularnych pasterskich mitów: legendy o nieszczęśliwie zakochanym Dafnisie (por. Sielanka I) i legendy o pasterzu Komatasie, którego za to, że strzeżone przez siebie jagnięta ofiarował Muzom, Pan zamknął w skrzyni, gdzie karmiły go pszczoły.
6. Wedle legendy starożytnej w okresie, gdy zimorodek wije gniazdo na morskich falach, bogowie zsyłają parodniową ciszę.
7. W Arkadii, ilekroć łowy się nie powiodły, obrzucano posążek Pana cebulami.
8. Jedna z metod starożytnych konkurów: spędzanie nocy pod drzwiami osoby ukochanej.

SYRAKUZANKI

1. Adonis lub Adon — bóstwo syryjskie, którego kult przyjął się w zhelenizowanym Egipcie. Wedle legendy piękny pasterz Adonis, zabity na polowaniu przez dzika, otrzymał od Zeusa — dzięki błaganiom kochającej go Afrodyty — pozwolenie corocznego powrotu z podziemia. Święto jego zmartwychwstania było szczególnie uroczyście obchodzone przez kobiety.
2. Chlamida stanowiła ówczesny uniform wojskowy. Ulice są więc pełne żołnierzy.
3. Było to mydło w postaci pasty.
4. Syrakuzy, stolica Sycylii, były kolonią Koryntu.
5. Hymn zwrócony jest ku Afrodycie (zwanej również Kypridą, Dioneją itp.) bogini miłości, małżonce Adonisa.
6. Rytuał nakazywał wypiekanie ciast o kształtach zwierzęcych.
7. Wedle legendy — Ganimedes porwany został przez orła, aby służyć Zeusowi jako podczaszy.
8. Dwa te — dość zagadkowe — wiersze stanowią, być może, reklamę handlową. Milos i Samos były ośrodkami produkcji tekstylnej i każde z nich starało się o dostawę swych kobierców do Aleksandrii.

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

ARTUR MIEDZYRZECKI: *Stronu przydrożne*, Paryż, 1949; str. 35. *Szyby Auchel.* Poemat: Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 33. *Światło nowej dzielnicy*, Czytelnik, 1952; str. 66.

Pierwszą swoją książkę wydaną w Paryżu w 1949 r. Międzyrzecki zaopatrzył w krótki wstęp. Według zamysłu autora wiersze te miały być poetyckimi znakami dalekiej drogi żołnierskiej. W rzeczywistości jednakże utwory te nie odzwierciedlają chyba tej jakże tragicznej drogi. Nawet czytelnikowi przyzwyczajonemu do zawiłości rozmaitej poezji, wyćwiczonemu w wydobywaniu zagmatwanych wątków treściowych, utwory te stawiają wiele przeszkód. Po to, ażeby jakoś je uszeregować, przywołuję na pomoc późniejszą twórczość Artura Międzyrzeckiego. Wydaje mi się, że książka ta to szkicownik poetycki młodego poety chłonnego na urok najrozmaitszych nurtów poetyckich.

Michał Isakowski odpowiadając swoim korespondentom artykułem O t a j e m n i c y p o e z j i pisał słusznie, że w wierszach poety nie tylko odzwierciedla się artyzm, ale też indywidualne cechy pisarza. „Nie można — pisał — sztucznie wymyślać poetyckiego głosu." Poeta powinien aktywnie uczyć się od życia. Z pierwszych wierszy Międzyrzeckiego, niestety, nazbyt mało możemy się o nim dowiedzieć. Na twarz wrażliwego człowieka zarzucona została maska przyjętych stylów. Pojawiają się obrazy groteskowe, odkonkretyzowane. Toteż, gdy Międzyrzecki chciał włączyć do ostatniej swej książki Ś w i a t ł o n o w e j d z i e l n i c y część tych wierszy, to z wyjątkiem czterech i to niezbyt klarownych utworów, nic nie mógł znaleźć. Natomiast zamieścił w tym rozdziale cały szereg innych utworów pisanych w Paryżu, nasyconych już w jakiś sposób treściami społecznymi, będących już zapowiedzią późniejszych wierszy, wyraźniejszych ze względu na swoją ideologię.

Tęsknota za krajem jest głównym motywem tych utworów. Z początku niejasna, z nieokreślonych pozycji (P o d r ó ż) pogłębia się w wierszu K o l ę d a 1 9 4 8, poświęconym repatriantom z Francji. Obraz Polski oczyszczony z ornamentów cedrów, araukarii i pinii, zaczyna się konkretyzować. Ludzkie uczucie tęsknoty za krajem przemawia coraz goręcej. Na razie roztopione w przypominanym krajobrazie brzóz i jodeł. Chęć jednakże tłumienia uczuć swoich i wzruszeń za wszelką cenę, oraz zdobycia sztuki pięknego mówienia o wszystkim, nie pozwala poecie jeszcze na pełną jasność sfomułowania. W wierszu N a d k r z y ż a m i V e r d u n poprzez artystowskie upoetycznienie przedziera się okrzyk: „Nigdy więcej Oświęcimia". W wierszu P o l e g ł y m w o s t a t n i m d n i u w o j n y Międzyrzecki pisze już wyraźniej:

I wtedy był maj na wzgórzach bulońskich,
Od łąk nad Odrą dudnił marsz pancerny;
Więźniowie Dachau na trakcie, co rozkwitł.
Witali armię idące na Berlin...

...Nad niebem łun, w mogile rudej bitew
Znad Wołgi wiatr wiał w puste wnętrza maszyn
I jak most wysadzany dynamitem
Pod błyskiem salw pękał niemiecki faszyzm.

Te zwrotki stanowią już wyraźne

przejście do następnego etapu twórczości Międzyrzeckiego, kiedy po powrocie do kraju stał się poetą politycznym. Większość jednakże tych wierszy tak ze względu na tematykę jak i formę poetyckiej wypowiedzi jest kameralna. Mimo dużej troski o czystość języka i schludność w rymowaniu, wyczuwa się zbyt małą ostrość widzenia poetyckiego.

Po powrocie do kraju Międzyrzecki szybko włączył się w główny nurt naszej poezji. Pisma literackie i codzienne przynosiły utwory Międzyrzeckiego, stanowiące odzew na zasadnicze przemiany zachodzące w kraju. Ukazały się także fragmenty utworu, który w 1951 roku wyszedł pod nazwą: S z y b y w A u c h e l.

Poemat ten poświęcony jest polskim górnikom we Francji, których dzieje i los kreśli poeta w liryczno-epickim skrócie na przykładzie życia górnika Wdowiaka. Międzyrzecki w poemacie tym stara się mówić prosto, lapidarnie, chce wyrazić w wierszu to, co jasno powiedział na wstępie. „Górnicza Polonia łączy się z Francją walczącą, Francją szybów Auchel, Francją Raymondy Dien i marynarzem Martin."

Międzyrzecki zakreślił poematowi swemu zbyt wielkie ramy. Na przestrzeni trzydziestu trzech stron opowiedzieć chciał całe dzieje wychodźtwa polskiego we Francji. W krótkich, niemalże filmowych migawkach przed oczyma czytelników przesuwa się historia Wdowiaka. Przyjazd polskiego bezrobotnego z Mazowsza do Francji, strajki, bezrobocie, powstanie Frontu Ludowego, udział w walce republikańskiej Hiszpanii, uwięzienie w hitlerowskim obozie, udział we francuskim ruchu oporu, odbudowa Francji po wojnie przez komunistów, aresztowanie Wdowiaka przez policję Mocha, sąd wojskowy w Metzu. Demonstracja francuskich towarzyszy przed sądem staje się optymistycznym akordem, którym kończy się poemat.

Materiału jest dużo. Starczyłoby na powieść albo na szereg nowel. Trzeba było raczej skracać się wybierając kilka ale bardziej węzłowych momentów z życia bohatera. Międzyrzecki nie rysuje wyraźnie żadnej postaci. Opowiada prawie zawsze w pierwszej osobie. Jest więc głównym, ba, jedynym narratorem i lirycznym bohaterem. Narratorem zaangażowanym uczuciowo i ideologicznie. Stąd kompozycja całego utworu, liryczna wymowa wybranych scen i charakter obrazowania. Utwór ten określiłbym jako liryczną gawędę z lekko naszkicowaną postacią górnika Wdowiaka.

Międzyrzecki otrząsając się z dotychczasowych prób poetyckich, wybrał dla swego poematu tradycję pieśni rewolucyjnej, w której czuje się dobrze, naturalnie. Liryka tego typu nasycona konkretnymi realiami dopomogła mu do przezwyciężenia wielu dotychczasowych błędów. S z y b y w A u c h e l były wybuchem może jeszcze młodzieńczej, ale szczerej pasji poety, który przemówił jasnym i prostym językiem.

Utwory Międzyrzeckiego, które na łamach pism ukazywały się później, stanowią drugi i ostatni rozdział pt. W a r s z a w a zbioru Ś w i a t ł o n o w e j d z i e l n i c y. Z wyjątkiem D y s t y c h ó w n a d m o r s k i c h wszystkie te utwory dotyczą ważniejszych wydarzeń w kraju albo poruszają istotne, aktualne zagadnienia. Włączając się, jak już powiedziałem wyżej, do głównego nurtu poezji polskiej Międzyrzecki wchodził jako poeta o pewnym smaku artystycznym. Zwróćmy w tym miejscu uwagę na rzecz, zdaniem moim ciekawą. Czytając poszczególne utwory w pismach, widziało

się słuszność ideologiczną, staranną ich formę, dobrą kompozycję. Zebrane jednak w książce sprawiają czytelnikowi pewien zawód. Dlaczego tak jest?

Wiersze te są niejednolite. Niektóre z nich wywodzą się z okresu wczesnego. Jakkolwiek ideologiczna postawa tych utworów zdawałoby się jest tak wyraźna, wyczuwa się jakąś nadmierną wstydliwość w wyrażaniu uczuć. Starannie napisane zwrotki wieją chłodem. Wśród gęsto rozsianych deklaratywnych wypowiedzi wyczuwa się jakiś beznamiętny ton. Kto wie, może właśnie to wywołuje uczucie niedosytu.

Łączy się z tym jeszcze jedna sprawa, tym razem wykraczająca poza ramy tej recenzji, sprawa tego, w jaki sposób poeta pojmuje obraz poetycki. Międzyrzecki stara się mówić rzeczowo, ale chęć uładniania całości modeluje mu tę rzeczowość, powiedziałbym, opiłowuje, wygładza. Kto wie, może w tym wypadku sprawa jest bardziej skomplikowana i wynika z pewnej wtórności przeżycia. Poeta czerpie często z gazety przynoszącej odpowiednie wydarzenie, z książki, którą się interesował, a nie z życia, nie z bezpośredniej obserwacji. Oczywiście, uwaga ta odnosi się nie do wszystkich, ale do niektórych utworów. Na tę wtórność należy jednakże zwrócić uwagę, ponieważ w późniejszych utworach powstałych po ukazaniu się tego tomiku, tendencja taka stanowczo daje się zauważyć. Uwagi te odnoszą się do wierszy: Dystychy nadmorskie, O krajobrazie, Omar-zszywacz namiotów i Pieśń o Rejsie. Próby polemiczne ze swoimi wcześniejszymi wierszami są dodatnią stroną tych utworów i świadczą o tym, że poeta ma szczerą chęć pójścia naprzód.

Inne są wiersze Międzyrzeckiego nawiązujące do tradycji pieśni rewolucyjnej: Piosnka, Pokój zwycięży wojnę, List o Marienszatacie, Władysławowi Broniewskiemu. Mniej tu może nienaganności formy, na pewno mniej elegancji, ale więcej naturalności. Nie ma tego artystowskiego grymasu, który przebijał jeszcze w poprzednio omówionych utworach. Międzyrzecki najwyraźniej waha się, którą drogę wybrać. Wydaje mu się, że droga prostsza jest uboższa, i że bardziej skomplikowana leży na linii „wielkiej poezji." Tymczasem w prostszych wierszach Międzyrzeckiego wyczuwa się wyraźniej autora, jego indywidualność, miłość i nienawiść, jego chęć agitowania, służenia swojej ideologii.

Dojrzalsze pod każdym względem są wiersze: Ołowiana fala, Spawacze, a zwłaszcza Nowej Hucie. Wiersz Ołowiana fala jest ostrą dyskusją ze sobą, wewnętrznym surowym porachunkiem. Tu właśnie dochodzi do głosu rzeczowość w dobieraniu argumentów i obrazów poetyckich.

Nasze prawa
są prawami miłości i życia.
Jakżebym chciał uspokoić te noce
Rozkołysane jak okręt!
Kiedyż jedność mego serca
stanie się prostą radością?...

A dalej:

Niewielki wietrze poranny,
czy potrafisz rozwiać
krążący we mnie powoli
dym niepokoju?
Życzę ci szczęścia
i nie zamierzam odbierać złudzeń.
Sprawy naszego wieku
są sprawami ogromnych działań.
Nic nie przyjdzie nam samo.

Oto fragment z wiersza Spawacze:

Dzień szedł na dno jak kamień
Dzwoniła w szarży uprząż —
Okrzepnie nasza pamięć
Żelbetonową konstrukcją.

Niebieski na moście płomyk
Iskrzy się aż do rana,
Chłopiec na brzegu stromym
Uczy się sztuki spawania.

Wiersze te są bardziej refleksyjne, umotywowane. Wiersz N o w a H u t a słusznie umieszczony na końcu tomu stanowi zapowiedź dalszych tego rodzaju utworów. Że tak jest, świadczy chociażby późniejszy wiersz Międzyrzeckiego N o c n o w o r o c z n a:

U nóg twych byli i wdowieństwo
twoje
Słodziła wierność. A nad głową
mieli
Gwiazdy ojczyste. I poszli na boje,
I kwiat rzucili na stok cytadeli.
Wolna Warszawo, pamiętaj o nocy,
W której tak jasno świeciły ich
oczy!

Międzyrzecki jest poetą utalentowanym, o ciekawym profilu artystycznym. Książka jego, Ś w i a t ł o n o w e j d z i e l n i c y, pomimo pewnych niedociągnięć zasługuje na uwagę. Niektóre zaś utwory świadczą o tym, że po Międzyrzeckim na przyszłość można się wiele spodziewać.

Jan Śpiewak

EDWARD FISZER: *Kwatera i przystań*. Czytelnik, Warszawa, 1952; str. 64.

Niemalże równocześnie i niezależnie od siebie w dwóch pismach ukazały się głosy dwóch krytyków o tomie wierszy Edwarda Fiszera K w a t e r a i p r z y s t a ń. W krótkim polemicznym artykule „jabł" atakuje tę książkę widząc w niej tylko i jedynie „poprawność". I nic poza tym. Tego rodzaju zarzut wystarczy „jabł'owi" nie tylko do nader lekceważącego tonu o książce, ale wręcz do wysnucia daleko idących, ujemnych oczywiście, wniosków o ostatnich wydawnictwach poetyckich w ogóle. Drugim głosem była recenzja Jacka Trznalda. Jest to recenzja na swój sposób znamienna. Krytyk zbyt mało zajmując się tekstem książki atakuje przeważnie poetę w imię tego, czego Fiszer w swej książce nie poruszył.

Zaintrygowany tymi wypowiedziami przeczytałem książkę. Przeczytałem kilka razy. Im dłużej czytałem te wiersze, tym mniej rozumiałem zarzuty. Przede wszystkim, na czym w tym wypadku polega zarzut „poprawności"?

W cyklu pierwszym — morskim Fiszer w szeregu wierszy pisze o ziemiach odzyskanych, o ludziach, którzy tam przybyli, o robotnikach portowych, stoczniowcach, rybakach, o marynarzach, a nade wszystko o morzu. Tematyka taka zasługuje na uwagę. Zbyt mało w ostatnich latach poezja nasza zajmowała się tymi sprawami. Na tych ziemiach wśród ludności rolniczej urodzonej z dala od morza kształtują się nowe kadry: rybaków, marynarzy, ludzi steru i maszyn. Ich życie, ich dzieje, to jakże wdzięczny materiał dla poety.

W poezji Fiszera spotykamy czasem luźne impresyjne migawki jak np. w wierszu P r z e j a z d e m w U s t c e, gdzie nie ma ogólnego obrazu, czasem wiersz ogranicza się do namalowania scenki utrzymanej w sentymentalno-konwencjonalnym tonie jak np.: K t ó r y ż t o w i e c z ó r m a t k o. Motyw matki czekającej na powrót syna rybaka jest dość ograny. Fiszer stary ten temat potrafił jakoś odświeżyć i nasycić liryzmem wzruszenia. Reszta tego cyklu, z wyjątkiem wiersza poświęconego stoczniowcom, M e l d u n e k z e s t o c z n i, poświęcona jest ludziom morza. Poeta chwali młodych płynących przez morza, przez grudnie, przez skwarną ciszę. Z rozrzewnieniem spogląda na flotę idącą z pełnym ładunkiem pomyślności i woła:

O! jakaż miłość i wzruszenie
Prowadzą brzegiem lud nadmorski.
Żeglarze robotniczej Polski
W banderę biorą wiatr — natchnienie.

Marynarzom płynącym na zachodnie rejsy poeta przesyła nie tylko ten okrzyk, ale i przestrogę przed wrogiem przyczajonym z daleka. Statek pokoju przywitają „Dzieci południa, dziewczęta francuskie". Przyjdą przyjaciele dalecy walczący o swoją wolność.

W wierszach tych wyczuwa się nutę nowego romantyzmu, szlachetnego współzawodnictwa, zapał młodych marynarzy udających się w dalekie, pierwsze w ich życiu rejsy.

Poeta na ogół ogranicza się do malowania drobnych scen, sytuacji lub obrazów. Taka skromność bywa dobrą stroną wielu jego utworów. Pozwala poecie dość konsekwentnie utrzymać się w zakreślonych przez siebie ramach. Gorzej bywa, kiedy Fiszer upraszcza swoje utwory. Powstają wtedy obrazy nieprzekonywające, widziane zresztą przeważnie z brzegu, z plaży. Niekiedy szwankuje wręcz marynistyka Fiszera, zwłaszcza gdy pisze:

Ty, marynarzu żeglujący od Odry
Do Rotterdamu z dobrym wiatrem
steruj

(M a r y n a r z o m n a z a c h o d n i e r e j s y)

To „żeglujący" i „z dobrym wiatrem steruj" jest przestarzałe, chyba że idzie tu o drobny (bardzo drobny) rybacki kuter.

Wiersze z drugiego cyklu nawiązują do ostatniej wojny, względnie do pierwszych lat powojennych. Jeden tylko wiersz T e l e g r a m z G d a ń s k a mówi o smutnej jesieni 1939 roku. W wierszu K w a t e r a p r z e d w y b u c h e m prostymi środkami niemalże pieśni ludowej osiąga poeta artystyczny efekt. Oto mówi wdowa:

A w gminie piszą i piszą,
A chłopów biorą i biorą.
Żołnierzowi miła kwatera,
A mnie w sercu niesporo.

Przejmująco i bardzo dyskretnie napisany jest ten wiersz. Przed bitwą, na wiejską kwaterę zajechali żołnierze. Dialog pomiędzy oficerem a wdową umiejętnie skondensowany wywołuje nastrój ciszy złowrogiej przed grozą. Uśmiech spokojny żołnierza, smutek i niepokój kobiety tworzą ostry dysonans. Podobnie jak wiersze z poprzedniego rozdziału, wiersz ten pisany jest z dużym umiarem. S p o t k a n i e 9.V.1945 z a O d r ą a zwłaszcza J u r i j G r o m o w mówią o polsko-radzieckim braterstwie broni. Pierwszy wiersz jest pogodny, z uśmiechem wspominający tę znamienną datę.

... Dziś głowię się i nie wiem,
Gdzie bywa druh mój, Gromow...

Nie wiem? Jak to? Wiem zawsze —
Kiedy w pieśni znajomej
Słyszę słowa odważne —
Myślę: śpiewa ją Gromow;

Kiedy podczas igrzyska
Sztandar Rad wzlata w górę,
Grzmi fanfara zwycięska,
Jakże dumny jest Jurij.

Kiedy z książki rosyjskiej
Poznaję bohatera
Wiem, że druh mój hartowny
Tak by żył i umierał.

Odnajdę cię, wywołam
Z bezmiernych twych obszarów,
Gdziekolwiek bywasz, Gromow.
Pomnożony przez naród!

Wiersz P a m i ę c i W ł a d y s ł a w a S e w e r y n a, nauczyciela Polski Ludowej, zamordowanego

przez faszystów, pisany w szlachetnym gniewie, jest mocnym, agitacyjnym utworem.

Trzeci cykl wierszy składa się z kilku utworów o tematyce osobistej, nawiązujących niekiedy do motywów balladowych. Poziom tych wierszy, niestety, nie jest równy. Obok błahego Kujawiaka i banalnej Sztafety trafiają się wiersze ciekawsze jak Anna a zwłaszcza Przędza utrzymaną w nurcie poezji ludowej, oparta na motywie spotykanym w ludowej poezji bułgarskiej.

Ostatni wreszcie rozdział to wiersze przywiezione z podróży do Czechosłowacji. Utwory te są na ogół plastyczne. Mówią o przemianach społecznych, jakie zaszły w Czechosłowacji. Trafiają się utwory uproszczone, operujące banalnymi określeniami jak np. Rozmowa z aktywistką.

Spójrz, Różeno, promienne kryształy?
Żmudne dzieło biegłych w kunszcie rodzin.
Skrzętny lud zbiera plon wspaniały,
kwiat pokoju na twej ziemi wschodzi.

Te „promienne kryształy", „skrzętny lud" i „kwiat pokoju" poza komunały nie wychodzą.

Omawiając tę książkę musimy jakoś ustalić proporcje. Kwatera i przystań nie jest rewelacją literacką. Jest to książka poruszająca szereg ważnych tematów. Fiszer jest poetą wrażliwym, o dużej skali możliwości poetyckich, chociaż jeszcze nieokrzepłym. Skąd więc bierze się zarzut „poprawności"? Odpowiedź na to daje referat Adama Ważyka Uwagi o kryteriach poezji. Zastanawiając się nad niedojrzałością artystyczną niektórych wierszy Ważyk pisze: „Wynik jest taki, że niektórzy od wielu lat piszą niektóre utwory niepojętym językiem, a krytyka traktuje ich poważnie". W tym wypadku sytuacja wygląda tak, że niektórzy krytycy, przyzwyczajeni do bełkotliwego stylu, przestraszyli się normalnej mowy, uznając ją niemalże za wykroczenie przeciwko poezji. Uczciwy ton tych wierszy powitać należy życzliwie ze względu na słuszny w zasadzie kierunek, jakie tomik Kwatera i przystań wytycza.

Jan Śpiewak

MARIAN PROMIŃSKI: *Opowieści sportowe*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952; str. 235.

Cykl opowiadań Mariana Promińskiego, składający się na tom Opowieści sportowe, jest przykładem ewolucji pisarza, powolnej i i trudnej drogi autora Róż w betonie w kierunku realizmu. Bramkarz Świętej Barbary, który zamyka tom, jeśli wierzyć chronologii czasopiśmienniczych publikacji, powstał najwcześniej. Później dopiero zrodziły się Drugą — proszę!, Bierz rękawice i Dziesięć kilometrów, świadcząc o wzroście realistycznego ładunku. Utwory najpóźniejsze okazują się więc najbardziej dojrzałymi. Mówią o wyrzeczeniu się psychologistycznego warsztatu, o nasilonej trosce o wierną literacką transkrypcję rzeczywistego kształtu wydarzeń. Stąd też najbardziej wątpliwy będzie Bramkarz Świętej Barbary: ostatni rozdział nie potrafi nas uspokoić i wyrwać z niepewności, zakończenie nie rozproszy podejrzeń i nie zasugeruje słusznej interpretacji samobójstwa Puebla.

Ewolucję Promińskiego można by zamknąć w skrócie: od Bramkarza Świętej Barbary po Bierz rękawice! i Dziesięć kilometrów. Drugą — proszę!

jest jednym z etapów wspomnianych tu przekształceń pisarza, opowiadającym o porzuceniu dotychczasowych upodobań estetycznych, o rezygnacji z pióra, które kreśliłoby „tragiczną egzystencję" człowieka znającego tylko samotność, pozostawionego w obcym świecie. Autor Twarzy przed lustrem poszedł dalej niżeli historia Michała Wańczury, powołał do życia postać Mazurka i sylwetkę Curwooda. Czy osiągnął już w tej chwili pozycję realizmu, czy w opowiadaniach jego nie mieści się jeszcze deklaracja, czy nie grożą im nadal złowrogie niebezpieczeństwa schematyzmu? Oto pytania, na które powinniśmy udzielić odpowiedzi.

Kiedy Pueblo Cochas po nieudanym meczu wystrzałem rewolwerowym odbiera sobie życie, rozpoczyna się najważniejsza część Bramkarza Świętej Barbary. Składają się na nią trzy odmienne wersje interpretacyjne dobrowolnego zgonu piłkarza. Szuka się przyczyn śmierci. Są one bowiem nieznane. Promiński wprawdzie szybko przeszedł od behawiorystycznej maniery pierwszego rozdziału do introspekcji wobec swego bohatera, do zapisu, bardzo zręcznego zresztą, jego monologów wewnętrznych, nigdzie jednak nie podał motywów skłaniających Puebla ku rewolwerowemu wystrzałowi. Zgon Cochasa komentują: tajemniczy pan Berazzi, szatniarka Maria i tancerka Vally. Pierwsza z tych postaci widzi przyczynę śmierci w psychologicznych dyspozycjach Puebla, druga w całkowitym jego odosobnieniu, trzecia na koniec — w układzie społecznym. Ta ostatnia interpretacja nadaje dopiero losom świetnego urugwajskiego bramkarza realistyczny sens. Czy ją jednak wybiera Promiński, czy potwierdza, czy mianuje słuszną? Niestety, nie. Na pozór zdawać się może, że prozaik akceptuje komentarz Vally, że dlatego właśnie uczynił zeń pointę, że po to wkomponował w zdania tancerki polemikę z poglądami Berazziego. Tak jednak nie jest. Zwycięża racja druga, racja reprezentowana przez szatniarkę Marię.

Czytamy: „Nikogo nie miałeś, ot co — powiedziała (Maria — przyp. mój L. B.) jeszcze do siebie, myśląc o Pueblu. I to była prawda. Nawet znajoma z pałacu Hadriana nie przyszła". Do ostatniego dnia biografii Puebla dołączono więc komentarz i to komentarz arealistyczny. Determinantą samobójstwa staje się izolacja człowieka pozbawiona jakichkolwiek społecznych przyczyn. Perypetie Cochasa awansując przeto do rangi przedmiotu pisarskich zainteresowań świadczą o całkowitym poddaniu się prozaika — w momencie, w którym rozpoczął on pracę nad Opowieściami sportowymi — wpływom burżuazyjnej literatury epoki imperializmu. „Na siłę" jakby dodane zakończenie nie zmienia wymowy opowiadania. Deklaracja, którą składa nam autor, nie wystarcza, więcej, okazuje się bezsilna wobec obrazu artystycznego. Kompozycja zaś, którą posłużył się twórca Twarzy przed lustrem, staje się w danej sytuacji jedynie funkcją wadliwego założenia. Gdzieś w połowie opowiadania ginie postać, którą skłonni bylibyśmy uważać za najważniejszą, już w dwóch rozdziałach rozwiązaniu podlega nikła intryga. Ekstraordynaryjna konstrukcja, rzekoma atrofia fabuły sprowadzona do jednego wydarzenia i do epizodów — na pierwszy rzut oka słabo z nim związanych — to pochodna autorskich koncepcji. Pogoń za właściwą wykładnią przypadków Puebla wyznacza egzystencję trzech ostatnich rozdziałów utworu, brak jednolitej intrygi, przerosty epilogu, medytacje Marii dokonywające się jak gdyby na marginesie właściwej akcji.

Po Bramkarzu Świętej Barbary przyszły: Drugą — proszę! i Dziesięć kilometrów. Pisarz dokonał poważnego zwrotu. Pożegnał się z fałszywą opowieścią o „rozpaczliwej doli" człowieka. Rozpoczął walkę o realizm. I rzecz ciekawa, omijał zdradliwe pułapki schematyzmu, nie zapełniał opowiadań tłumem pozytywnych bohaterów równie konturowych, co i niewiarygodnych, nie zamykał swych utworów *happy endem*, sztampowym i dzięki temu raczej pocieszynym, nie przeprowadzał ideologicznego przełomu herosów, wbrew ich woli, za sprawą tej przewagi, jaką ma autor nad beletrystycznymi figurami. Nie zaklął Wańczury, Wawrzy, Mazurka w papier. Nie wyciął ich z kartonu, nie obdarzył dwu tylko wymiarami. Ale równocześnie spłacił trybut deklaratywności. Naturalnie, zamaskował ów haracz, zamaskował widocznie jednak w sposób nie najzręczniejszy, gdyż bystry wzrok spostrzeże liczne proklamacje dobrej woli ze strony prozaika, wdzierające się naraz w dzieło.

Drugą — proszę! — to zaledwie wstęp do Bierz rękawice! i do Dziesięciu kilometrów, to tylko zapowiedź późniejszych wysiłków Promińskiego. Nie znajdziemy tutaj jeszcze udanego portretu nowej moralności, a konflikt przez nas podczas lektury oglądany na pewno nie będzie konfliktem socjalistycznym. Pueblo, który dwukrotnie przegrał pojedynek z piłką, odbiera sobie życie, Wańczura, po przegranej z Miłoszem, mówi: „Wrzesień życia — jeszcze piękny miesiąc". Dwa odmienne rozwiązania, dwie różne reakcje bohaterów, znajdujących się w dość podobnej sytuacji i podejmujących przeciwstawne sobie decyzje, są przedmiotem celnej obserwacji prozaika. Położenie człowieka w socjalistycznym społeczeństwie nie przypomina tego, na które skazany jest żyjący pod twardą władzą *bourgeois*. Finał Drugą — proszę! tworzy *pendant* do opowieści o Cochasie, *pendant* stwierdzające, iż wystrzał rewolweru przestał być potrzebny sportowcowi, który osiąga starość w kraju wyzwolonym spod władzy monopoli. W tej częściowej trawestacji losów urugwajskiego bramkarza kryje się trafne widzenie wydarzeń, trwające również w odnalezieniu przez Michała sensu dalszej egzystencji, w konfrontacji jego przedwojennych przygód z doświadczeniami zebranymi przezeń po roku 1945. Konkluzja takiego zestawienia przekaże nam wiedzę o przemianie funkcji sportu i o nowych perypetiach tenisisty, który porzucił już zawód trenera bogatych przemysłowców i drapieżnych bankierów, ceniących latem kort i niewielki ciężar rakiety, który ćwiczy juniorów i pragnie dla nich laurów mistrza.

W Dziesięciu kilometrach obok Kazimierza Mazurka staną ludzie wyznający burżuazyjny styl życia. Spotkanie ich z polskim biegaczem przemieni się w *rendez-vous* różnych systemów moralnych. Jednemu z nich patronuje kapitalizm, drugiemu — społeczeństwo socjalistyczne. Wątki fabularne przynoszą nam batalię etycznych reguł Charlesa Bernaut, Curwooda, miss Addisson z zasadami, Mazurka, Ulewicza, Jabłońskiego. Zwycięstwo przypada w udziale tym ostatnim. Biedermann nie zdołał kupić Kazimierza. Telefon Curwooda przyniesie informacje o niepowodzeniu. Władza kapitału, niczym niepowstrzymana dla ludzi wychowanych przez kapitalizm, okazuje się niedostateczna i bezradna wobec tych, którzy znieśli koncerny i na banicję skazali trusty. Stąd zdumienie amerykańskiego producenta filmowego, gdy otrzymuje wiadomość o fiasku misji agentów. Moralność Mazurka jest inna niżeli ta, która kieruje zachowa-

niem Bernauta. Realistyczna diagnoza formuje w pewnym stopniu konkluzję płynącą z utworu. Osłabia ją jednak rejestracja maksym determinujących postępowanie Kazimierza. Jeśli portret przykazań Curwooda, Biedermanna i Colette podbija swą dokładnością, jeśli na pierwszym planie zamieszczono w nim namiętność do kapitału, od której uzależnione są pozostałe afekty, to prezentacja motywów poczynań Mazurka wzbudzić potrafi wiele niepewności.

Mazurek jest biegaczem pozbawionym ambicji i, jak lubią mówić kibice oraz niektórzy sprawozdawcy sportowi, „woli walki". Toteż nikt nie przypuszcza, że wygra swą konkurencję. W przeddzień zawodów zgłasza się doń delegacja francuskiej Polonii. Prosi go o zwycięstwo. Prozaik zaraz notuje: „Ale uniesiony zapałem i bezinteresowną miłością, poczuł (Mazurek, przyp. mój L. B.) w sobie instynkt i wolę twardej walki". Oczywiście, wkrótce potem polski długodystansowiec gładko pokonuje swych rywali. Mamy tu do czynienia z przełomem natury moralnej. I to nie byle jakim przełomem, gdyż „ułatwionym". Bohater błyskawicznie zmienia swe zapatrywania. Bodziec natychmiast powoduje pożądaną reakcję. Stajemy oko w oko z metamorfozą tak rychłą, iż wręcz niewiarygodną. Objawia się w niej dobra wola pisarza, nie wystarczająca jednak przy pracy nad dziełem. Najbardziej wzniosłe intencje niewiele pomagają wówczas, gdy legitymacją ich stają się wydarzenia podważające nasze zaufanie do prawdomówności prozaika. A taki właśnie efekt sprawia pośpieszna, gwałtowna, do kataklizmu podobna „konwersja" Kazimierza. Gdybyśmy tutaj mogli porzucić już nasze troski i obawy, których przyczynę stanowią O powieści sportowe, z wielkim entuzjazmem witalibyśmy nową książkę Promińskiego, powołując się na nią jak na wyznanie wiary. Niestety, katalog naszego lęku jest obszerniejszy. Wpisano weń również pozycję znaną dobrze pod nazwą deklaratywność.

Zastępowanie artystycznego obrazu komentarzem lub też wypowiedziami postaci nie czyni utworu dziełem realistycznym. Spór między trafnym publicystycznym wtrętem a mylną w wielu miejscach konstrukcją utworu nie świadczy na korzyść pisarza. Prozaik tłumacząc przyczyny, dla których Mazurek odrzucił propozycję Biedermanna, wkłada w usta polskiego biegacza następujące słowa: „Miałem dziwny sen. Śnił mi się poważny mężczyzna w ciemnym garniturze. To jakby prezydent, ale to niekonieczne musiał być on. „Mazurek — powiedział do mnie — nicponiu, chcesz zrobić okropne świństwo. Nam zawdzięczasz wszystko, czym jesteś, i teraz, kiedy się dochrapałeś i możesz przysporzyć Polsce trochę sławy, myślisz o ucieczce. Czyś się zastanowił, jak to przyjmie młodzież, która z ciebie, jako sportowca, chciałaby brać przykład?" I mówił jeszcze inne przekonywające rzeczy, których nie spamiętałem". Kompozycja opowiadania pomija milczeniem przeżycia Kazimierza, motywujące jego powrót do kraju. Prozaik który notorycznie stosował introspekcję wobec tej postaci, wprowadził naraz „lukę", opuścił sceny decyzji Mazurka, zastąpił je złożoną przez postać deklaracją. Nie trzeba chyba długo rozwodzić się tutaj nad wiarygodnością wyznań beletrystycznych figur, niewątpliwie mniejszą niżeli wiarygodność stwierdzeń poczynionych w narracji. Główne zasady dekalogu polskiego sportowca znalazły się dzięki temu poza powieścią. Dokumentem ich stało się jedynie przemówienie Mazurka.

Poszczególne postacie z opowiadań Promińskiego mówią lub wmontowują w swój monolog wewnętrzny refleksje niesugerowane przez artystyczny obraz. Nie „dublują" ani wymowy stylistycz-

nej aury, okalającej sylwety herosów prozy, ani też przesłanek intrygi. Publicystyczny wtręt nie dominuje tym razem wśród komentarza. Włożono go w usta bohaterów, czyniąc zeń — co ciekawsze — specyficzny rodzaj suplementu, dopełniającego ideologię utworu. Widocznie ta nie wydawała się pisarzowi dostateczna. Wołała o aneks. I aneks taki rzeczywiście się pojawił. Prozaik potwierdza — przynajmniej częściowo— krasomówcze ćwiczenia swych postaci. Obdarza ich oracje sympatią. Gotów jest się pod nimi podpisać. W ten sposób opowiadanie dodatkowo wyposażono w zbeletryzowany artykuł.

Wańczura myśli: „To jest prawo życia: wieczne ustępowanie ustalonych na krótko wartości — pod naporem nowych; nigdy zastoju, nigdy spoczynku". Przekonanie jego, do którego pozytywnie odnosi się autor, nie potwierdza fabuła D r u g ą p r o s z ę ! Wprawdzie stary tenisista przegrywa tam z młodym, ale może być to uważane co najwyżej za przykład popierający pierwszą część zacytowanej przez nas tezy Michała. Dalszy jej ciąg nie zyskał egzemplifikacji. „Autoryzowanie" zaś go — poprzez przychylną ocenę słów bohatera — pozwala na ozdobienie utworu wnioskiem o przebiegu walki „starego" z „nowym", wnioskiem, który pełni tutaj obowiązki wdzięcznego ornamentu. Taką tylko bowiem rolę przyznać należy oświadczeniu pisarza, deklarującego swoje dobre chęci, niepoparte, niestety, budową artystycznego obrazu.

„Z satysfakcją pomyślał (Wojnarowski — przyp. mój L. B.), że jest amatorem, że nie bije się dla pieniędzy i że w skomplikowanej strukturze organizacji sportowych ktoś za niego myśli i czuje." Oto jedno z ostatnich zdań B i e r z r ę k a w i c e. Medytacje głównego bohatera tego opowiadania zdumiewają nas w niemałym stopniu. Są podobne do niespodzianki. Rodzą się bowiem bez powodu. Autor skorzystał ze swej władzy nad postaciami. Wywołał dywagacje Wojnarowskiego bez żadnego niemal ich uzasadnienia. Zawarł w nich apologię aktualnej sytuacji polskiego sportu, kompensując końcowymi rozważaniami początkującego boksera braki fabuły. Dzięki temu w utworze pojawiły się tezy suflowane już nie przez obraz artystyczny. Znów deklaracja, znów dopowiadanie tego, co pominięto w intrydze, deklaracja wprawdzie umiejętnie zamarkowana, ale nie najsilniej oddziaływająca na czytelnika, ale podszyta publicystyką, choć krótka, choć nie nużąca, choć zręcznie skonstruowana. Nie zastępuje ona jednak prozy, nie pokrywa usterek opowiadania, nie wystarcza jako dowód realizmu i nie przesłania skaz narracji.

Lech Budrecki

ZOFIA DRÓŻDŻ - SATANOWSKA: *Opowieść wierzbowa*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951; str. 267.

Ocenę nowej książki autorki T o p i e l i należałoby rozpocząć w sakramentalny sposób; że autorka miała odwagę, że nowy temat, że niezwykłej społecznej i politycznej wagi problematyka. W samej rzeczy. O socjalistycznej przebudowie wsi mamy zaledwie dwie, licząc w tym O p o w i e ś ć w i e r z b o w ą, powieści, kilka opowiadań bardzo pośledniej miary, jak na przykład W s p ó l n a d o l i n a Piętaka, czy P r z e ł o m Adolfa Lekkiego, kilkadziesiąt wierszy, jedną czy dwie, mogące wchodzić w rachubę, sztuki sceniczne i to wszystko.

W O p o w i e ś c i w i e r z b o w e j mamy do czynienia, kto wie, czy nie w większym niż w T o p i e l i stopniu z ustępstwem na rzecz drobnomieszczańskich gustów, choć wiele man-

kamentów książki trzeba by po prostu położyć na karb zwykłej niedbałości i lekkomyślności redakcyjnej. Że drukuje się książki niedopracowane, czyniące szkodę pisarzowi i wydawnictwu, jest bardzo źle, że książki takie bezkrytycznie się rozpowszechnia, to rzecz bardzo niepokojąca. Wypadnie mi zasygnalizować fakt jakże przykry. Książka Niny Rydzewskiej L u d z i e z w ę g l a została jednoznacznie oceniona przez krytykę. Uznano ją za książkę naiwną, wywodzącą się z niechlubnych tradycji ckliwo-sentymentalnych drobnomieszczańskich powieścideł. Głosu krytyki nie wzięto jednak pod uwagę, skoro książka wyszła w drugim wydaniu w bibliotece prowincjonalnej gazety codziennej, w dużym nakładzie, w cenie zł 2,40 za egzemplarz. Jaki rezultat? Czytelnika albo się zniechęca do czytania współczesnej literatury w ogóle, albo wyrabia się w nim zły smak.

O O p o w i e ś c i w i e r z b o w e j zdarzyło mi się czytać pełne rozczarowania listy czytelników, których zwiodła pochlebna ocena, znajdująca się na okładce książki.

Swoją negatywną ocenę O p o w i e ś c i w i e r z b o w e j chciałbym szerzej udokumentować, żeby nie być posądzonym o gołosłowność, a tym bardziej o nieżyczliwość wobec autorki.

Kościec fabularny O p o w i e ś c i w i e r z b o w e j stanowi historia powstania i początkowych trudności spółdzielni produkcyjnej w nadwiślańskiej wsi Wierzby, w której autorka wyraziście podkreśliła podział klasowy na bogaczy, średniaków i biedotę wiejską. Do roku 1947 struktura społeczna wsi nie uległa żadnym zmianom, odwieczność społecznego ładu w Wierzbach podkreśla autorka, niestety, naiwną i stylizowaną legendą, jakoby Bóg, stwarzając świat, w Wierzbach stworzył mikroskopijny wzorzec porządku społecznego na świecie. Historia nowego w Wierzbach zaczyna się od utworzenia podstawowej organizacji partyjnej w 1947 r., której działalność — niestety w książce pominięta — doprowadziła do założenia w r. 1949 przez mało i średniorolnych chłopów spółdzielni produkcyjnej, ta zaś hartowała się w ogniu walki z kułacką dywersją w pierwszym okresie swego istnienia.

Ten w zasadzie politycznie słuszny szkielet fabularny wypełniły losy ludzi, ich przeżycia, konkretne sytuacje i obrazy powieściowe.

Przede wszystkim nieprawdopodobieństwo psychologiczne postaci bohaterów, konwencja czarno-białych charakterów, naiwność i prymitywna metoda charakteryzowania postaci.

Przecież nikt nie uwierzy w istnienie parobka Michela, a zwłaszcza w jego cudowne przemiany wewnętrzne a nawet zewnętrzne, bo z garbatego, zahukanego, nie potrafiącego mówić po ludzku parobka kułackiego zmienia się w spółdzielni na chłopysia pięknego i młodego, podbijającego serca dziewczęce.

A kto uwierzy w istnienie nauczycielki Ireny, która musiałaby co najmniej cierpieć na rozdwojenie jaźni, żeby przez lata całe, będąc z przekonania członkiem partii, kochając ponadto postępowego człowieka, inżyniera Gortę, utrzymywać stosunki z herszłem kułackiej bandy. Nawet sama autorka ma wątpliwości, bo przez całą powieść daje do zrozumienia, że Irena wie o sprawkach bandy, a pod koniec wynika, że o jej właściwym charakterze (morderstwo Mordęgi, przekopanie wału nadwiślańskiego itd.) przekonała się dopiero w ostatniej chwili.

A co powiedzieć o groteskowej wprost postaci księdza, który bandytyzm, wro-

gą robotę polityczną i rozpustę uprawia na oczach całej wsi, w sposób niemal jawny i wyzywający, co powiedzieć o wszystkich szwarccharakterach, młynarzu, kułakach, Łomazie i Pietrasach, Grochulskim? Wszyscy oni przecież zachowują się jak kukły, pociągane za sznurek. Autorka nie szczędzi ciemnych barw do odmalowania ich właściwego wyglądu zewnętrznego i wewnętrznego. Młynarz podpala młyn, bo go nie chce oddać Samopomocy Chłopskiej. Abstrahując od tego, że młynarze tego typu rozumują raczej w ten sposób — „diabli wezmą demokrację, a młynowi nic się nie stanie", po zwierzęcemu przewrotny, a jednocześnie zadziwiająco lekkomyślny podpalacz w czasie pożaru podstawia nogi ratującym i (horrendalne!) polewa deski wodą zmieszaną z naftą czy benzyną.

Nawiasem mówiąc opis pożaru jest majstersztykiem w swoim rodzaju. Gdy fragment z pożarem czytałem bez uprzedzenia swoim przyjaciołom, działaczom wiejskim, uznano go za doskonałą parodię satyryczno-wulgarno-schematycznego sposobu pisania. Pod piórem Dróżdż-Satanowskiej w dramatycznym czasie pożaru walka klasowa występuje z całą wyrazistością. Obserwujący pożar Rezym Sałka widzi ją w całej grozie. „Ale nie ruszał się z miejsca. Tylko z tej znacznej odległości przyglądał się napiętym do ostateczności wysiłkom ludzi, z których jedni chcieli ten ogień ugasić, a drudzy starali się go podtrzymać". (str. 173) I w dodatku niesamowita śmierć młynarza na sam widok Sałki, śmierć zresztą bardzo wykorzystana w dalszych perypetiach powieściowych.

Wszyscy bohaterowie negatywni mają odrażający wygląd zewnętrzny, herszt bandy jest zezowaty, Grochulski strzyka śliną, Pietras jest karykaturą człowieka. Autorka dyskretnie akcentuje swój, pełen dezaprobaty stosunek do negatywnych bohaterów. O Pietrasach, nie tylko zresztą o nich, pisze na przykład następująco: „Odziawszy się w swoje obrzydliwe ubrania, przeciągali się i ochlapawszy sobie twarze wodą wyszli popatrzeć na świat". (str. 168)

Uwierzyć nie można także w bohaterów pozytywnych. Jasienkowski, sekretarz organizacji partyjnej, dobrze płatny robotnik fabryczny, postanawia rzucić fabrykę i wrócić do rodzinnej wsi, w której wychowywał się jako syn ubogiej wyrobnicy, od wczesnej młodości sierota. Podany przez autorkę życiorys Jasienkowskiego czyni tę bądź co bądź niezwykłą decyzję prawdopodobną, ale nie przekonuje nas o niej, decyzją tą nie jesteśmy przejęci, bo autorce zbrakło środków do odtworzenia całej aury emocjonalno-światopoglądowej, do odtworzenia konkretnych przeżyć Jasienkowskiego. Pióro Dróżdż-Satanowskiej jest mało podatne do odtwarzania skomplikowanych procesów światopoglądowych i dlatego autorka wolała pominąć ważny okres w historii wsi Wierzby, okres pomiędzy zorganizowaniem komórki partyjnej a założeniem spółdzielni, okres kształtowania się nowego w duszach małorolnych chłopów. W obrazie pierwszego zebrania podstawowej organizacji partyjnej ukazana została podatność biedoty z Chudych Glin na wpływy nowego. Mordęgi, Wojcieszki i Bączki wyznawali jak gdyby podświadomie ideologię postępu, przyjęcie do partii utwierdziło ich w gotowości do przemian światopoglądowych (zebranie organizacyjne partii — to najwartościowszy fragment książki), ale sam proces przemian został pominięty, w zebraniu organizacyjnym spółdzielni Dróżdż - Satanowska zademonstrowała rezultaty tego procesu.

Przy charakteryzacji zewnętrznej pozytywnych bohaterów jest chyba nie mniej nieznośna niż obsesja brzydoty

przy bohaterach negatywnych, maniera podkreślania zmysłowych w znaczeniu erotycznym walorów, autorkę interesuje głównie białość zębów, zmysłowość ust, namiętność spojrzenia. Niektórych opisów, niesposób byłoby je cytować, pozazdrościłaby autorce Mniszkówna. W dodatku w książce widać wyraźne tendencje do stylizacji na ludowość. Bohaterowie zwłaszcza pozytywni mają zwyczaj podśpiewywać sobie dla wyrażenia swoich nastrojów „na czysto wiejski sposób". Daje to oczywiście żałosne rezultaty, jak zwykle zresztą, gdy stare konwencje górują nad obserwacją życiową, zwłaszcza że Dróżdż-Satanowska nie ma szczęścia do tekstów. Większość z nich to niezbyt stare, nic nie mające wspólnego z pieśnią ludową, sentymentalne szlagiery.

Nic dziwnego więc, że jako tako wypada zaledwie kilka postaci. Do nich można by zaliczyć starego Sałkę, który początkowo raczej tylko dla zemsty na księdzu idzie do „komunistów, by później zrozumieć wiele rzeczy", Łomazową, choć autorka męczy się z jej wywodem genealogicznym od biedoty, by wulgarnemu socjologizmowi uczynić zadość, wreszcie małorolnych, Mordęgę i Wojcieszka, a od biedy Rezyma Sałkę, w którym dwie dusze jednak siedzą.

Druga seria pisarskich przestępstw Satanowskiej — to okrutnie naciągana konstrukcja sytuacji powieściowych, ich sztuczność i nieprawdopodobieństwo. Tu można by sypnąć mnóstwem przykładów od drobnych epizodów począwszy a na zasadniczych konfliktach skończywszy. Ojciec Jasienkowskiego ginie pod wozem z burakami, Pietras traci przytomność na widok Michela, Mordęga w 1947 roku nie wie, kto może mieć legitymację partyjną, choć całą wojnę współdziałał z partyzantką ludową. Młynarz umiera ze strachu, mnożą się jednak posądzenia o morderstwo, a wystarczyłaby zwykła sekcja zwłok, by sprawę wyjaśnić i sekcja taka nie mogłaby się przecież nie odbyć. Małgośka, gospodyni Jasienkowskiego, w tydzień po wypadku z młynarzem w tej samej wsi nic o tym nie wie, a usłyszawszy podczas rozmowy Gorty i Jasienkowskiego o śmierci młynarza w tak ważny dla podejrzeń Gorty przeciwko nauczycielce sposób, wypowiada swoje zdziwienie: „Zabili go. Biedna pani nauczycielka, nie będzie miała teraz do kogo chodzić". (str. 178) Podobnie Wikta Łomazówna w godzinę po wyznaniu miłosnym Jasienkowskiego, usłyszawszy niczym nie uzasadnioną wieść, że Jesienkowski ma się żenić z nauczycielką, biegnie pod jej okno, by usłyszeć intrygujące wyznania herszta bandy.

Nawet tak zasadnicza dla konfliktów powieściowych sprawa, jak stopniowe zalewanie terenów spółdzielczych przez bandę, która przekopała wał nadwiślański, nie wytrzymuje odrobinę krytycznego zastanowienia. Przecież trudno przypuścić, żeby banda wymierzała wodę, zalewającą pola przez całe tygodnie, woda jak wiadomo jest żywiołem dosyć groźnym i nawet niewielka wyrwa w wale mogłaby rychło spowodować katastrofę. Trudno byłoby nie dostrzec zresztą, skąd woda płynie, zwłaszcza że Jasienkowski, odkąd założono spółdzielnię, jak to autorka sugestywnie przedstawiła, słyszał i widział więcej niż normalny człowiek. A tu trzeba było po prostu nie być ostatnim niedojdą. Tak, ale w jaki sposób zrobić dramatyczną „być albo nie być" sytuację spółdzielni, w jaki sposób zawiesić wszystko na włosku, gdy o rzeczywistych trudnościach i konfliktach niewiele się wie? Znać w tym wszystkim grube szwy pisarskiej roboty.

Jeśli do tej długiej listy niedopatrzeń pisarskich dorzucić błędy natury językowej, nielogiczność całych zdań, fałszywą stylizację nastrojową, wypadnie stwierdzić smutny fakt, że autorka w

sposób nie przemyślany oddała książkę do druku.

Na stronie 39 autorka pisze o pieniądzach Michela: „Były to pieniądze, które zarobił przez całe swoje życie". Zważywszy na niedorozwój Michela i zupełną tajemnicę wokół tej sprawy, nie podobna przypuścić, żeby ukrywane w kuferku papierki były wymieniane w kolejnych wymianach pieniędzy, których od roku 1939 było, jak wiemy, kilka. Jaka wtedy byłaby ich wartość i czy usprawiedliwione byłyby łapczywe spojrzenia Pietrasa? Z tragedią Michela nie taka więc prosta sprawa.

Metafory typu „Pocałunek widziany przez okno podziałał na niego jak diagnoza lekarska, która skazuje na śmierć" (str. 23), zdania tak pełne ekspresji, jak: „Nagle, nieoczekiwanie owładnęła nim gwałtowna, nieomal dzika radość" (str. 138), opisy tak nastrojowe, jak wcale nie wyjątkowy początek rozdziału VIII: „Wieczór był bardzo chłodny. Ostry wiatr smagał ziemię biczami białego śniegu, który zawiewał spoza drzew coraz nowymi falami. Wierzby zawiodły ponury rozhowor i w bladawym świetle niewidocznego księżyca rozchwiały się, rozmachały ramionami, łamiąc je w nieznanej trwodze" (str. 59), w dostateczny sposób charakteryzują metody, jakimi autorka chce osiągać literackie efekty.

Mógłby ktoś powiedzieć, że interesują mnie przysłowiowe dziury w serze. Ale przecież nie o to chodzi. W recenzji starałem się wykazać, jak bakcyl złego smaku atakuje nawet zdrowe tkanki książki. Inna rzecz, że recenzję tę przyjemniej byłoby pisać przed zakwalifikowaniem książki do druku. Staranniejsze opracowanie książki przyczyniłoby się niewątpliwie do osłabienia części stawianych zarzutów.

Henryk Bereza

MARCELINA GRABOWSKA: *Antoni Mroczek poznaje świat.* Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 260.

Przeczytałem książkę Marceliny Grabowskiej pt. Antoni Mroczek poznaje świat. Książka ta miała zobrazować bardzo pouczający i dramatyczny okres dziejów dwudziestolecia; okres, w którym w obliczu zwycięstwa Rewolucji Październikowej, burżuazja i obszarnictwo polskie maskowało się „demokratyczną konstytucją" i obiecywało reformy, a ponieważ państwo polskie ukonstytuowało się w czasach imperialistycznych, musiało ono już w pierwszych latach rządów obnażyć swoje wsteczne, antyludowe oblicze.

A więc sam zamiar pokazania nam pierwszych lat „drugiej niepodległości" poprzez doznania młodego, wiejskiego chłopca, zasługuje na uwagę i to na baczną uwagę, gdyż jest to temat o wielkiej wymowie polityczno-poznawczej — i o to zasadniczo chodziło autorce powieści.

Nie będę się rozwodził nad tym, jak wiele tematów z owego okresu czeka jeszcze na swego autora. Zresztą ostatnie półrocze przyniosło cenne pozycje, odsłaniające oblicze dwudziestolecia. Pamiątka z Celulozy Newerly'ego, Matka i syn Bobruka, Komuna miasta Łomży Pasternaka, Uczta Baltazara Brezy — są najlepszym świadectwem, że temat ten nie schodzi z warsztatu pisarskiego.

U wszystkich wyżej wymienionych autorów można znaleźć ten sam motyw zasadniczy: dawniej było źle. I to wie każdy z nas. Wiedzą już o tym nawet nasze dzieci, które naocznie tego zła nie oglądały... Chodzi więc o jedno: w jaki sposób to zło zostało nam ukazane? Jakie elementy rzeczywistości zostały przez autora wydobyte na światło dzien-

ne? Czy osoby, sytuacje, obrazki obyczajowe, walki, węzłowe problemy, cechujące ową epokę — zostały nakreślone w sposób odkrywczy i przekonywający?

Autorka powieści pt. Antoni Mroczek poznaje świat nie zna ani ludzi, ani epoki, na tle której osnuła swój temat. Jeżeli autor nie widzi więcej, dokładniej, głębiej — wtedy nie ma po co pisać książki; jeżeli zabiera się do zobrazowania wypadków o doniosłości politycznej, lecz w gruncie rzeczy pływa tylko po powierzchni ogólnie znanych faktów, to znaczy, że pracował nad książką nierzetelnie i powodował się tylko pamięcią, a nie opierał się na starannym przestudiowaniu danego okresu czasu. Jeżeli spostrzegł rzeczy najbłahsze, lecz mechanizmu tych wydarzeń nie rozszyfrował w sposób jasny i nie budzący zastrzeżeń, to znaczy, że sprawę najbardziej doniosłej wagi zatarł i zamazał, a więc podał nam fałszywy obraz opisywanej rzeczywistości.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilka przykładów, w jaki sposób Marcelina Grabowska upraszcza historię i jak mało zna ówczesną rzeczywistość. Oto jak w „pamięci" jednego z jej poczciwych, zdezorientowanych, galaretowatych bohaterów, wygląda 1905 rok:

„Rok 1905. Poprzedzały go jakieś pogłoski, plotki, opowiadania. A potem wielkie demonstracje, w których nie sposób było nie uczestniczyć — zagarniały, porywały nawet obojętnych. I za zdradę, za odstępstwo poczytywano, jeżeli ktoś nie szedł na ulicę, na masówkę".

Teraz — jak tramwajarze warszawscy oceniają pewne wydarzenia (zabójstwo prezydenta Narutowicza):

„— Powiadają, że na wieść o morderstwie stanęły fabryki. Ludzie byli gotowi. Chcieli iść na ulicę. I gdyby nie delegaci PPS i nie związkowcy...

— Mam znajomego u Gerlacha. Chwycili za drągi, rury — co było pod ręką. Wszyscy czuli, że nie ma innej rady, tylko na ulicę. Za dużo się już znosi. Kipiało, mówię wam...

— Mnie to samo gadał sąsiad od Lilpopa. Przyszli z PPS. Myślano, że poprowadzą. Tymczasem zaczęli przemówienia. A tu nie słów trzeba było, tylko żeby prowadzili. Oni zaś gadu... gadu... Zatrzymali".

Tak podaje Marcelina Grabowska czytelnikowi „historię" i sposób reagowania warszawskich tramwajarzy. Z kolei parę próbek z dziedziny prawdy psychologicznej:

Znajda, popychle wiejskie, Antoni Mroczek, ucieka z wioski i udaje się do Warszawy. Ma 12 lat...

„Dlaczego Warszawa? Myślał, że w dużym mieście zatraci może piętno nieznanego pochodzenia; trudności życiowe znikną dzięki tysiącom możliwości, które nastręcza bogate życie stolicy. Jak dla wielu innych (12-letnich — S. Ł.), samo słowo „stolica" grało dla niego ogromnymi szansami".

A oto jak mówi 15-letni (?) syn komunisty, Bieńka, podczas dyskusji z Mroczkiem:

„Co tam taki Kaden może wiedzieć? Ci literaci... Skrzydła i historia... Historia to samo życie, chodzi po prostu po ziemi. Nieraz sobie myślałem: jeśli co na ziemi ma skrzydła — to człowiek..."

Ten sam mówi, wkrótce po przewrocie majowym, do Antoniego:

„Byli tacy naiwni, co uważali go (Piłsudskiego — S. Ł.) za socjalistę. Byli tacy, którzy w niego wierzyli i zamach majowy uważali za rewolucję. Ale wkrótce przekonali się, że za Piłsudskim stoją kapitaliści, że się przez niego wzmocnili i zacisnęli palce na gardle proletariatu..."

I na ostatek chociażby jeden „opis",

włożony w usta tego nieprzeciętnego młodzieńca:

„W zeszłym roku byłem w Kazimierzu. Och Boże, jak tam pięknie. Znasz Kazimierz?"

Czy nie są to czasem tendencyjne wyrywki z kontekstu? Nie. Wszystko, co tu zostało zacytowane nie należy ani do lepszych, ani do gorszych miejsc powieści Marceliny Grabowskiej. Są one pod każdym względem typowe nawet w zacytowanym opisie, bo autorka, oprócz wymieniania nazw ulic Warszawy, na żaden obszerniejszy opis się nie zdobyła.

Pomysł autorki utworu był dość cenny. Chciała, jak to zaznaczyliśmy, poprzez doznania chłopca z ludu, dzięki przerzucaniu go z jednego środowiska w drugie, ukazać ówczesny stan umysłów i sytuację panującą w ruchu robotniczym okresu mniej więcej pierwszego dziesięciolecia tzw. drugiej niepodległości.

Dlatego też chłopiec zostaje przygarnięty przez jakiegoś Pawła, o którym trudno coś konkretnego powiedzieć, gdyż działa zgodnie z widzi mi się autorki; dlatego każe dyrektorowi fabryki, eksploatatorowi i kobieciarzowi, zaprosić Mroczka na obiady; każe mu podsłuchać cytowaną powyżej rozmowę tramwajarzy; każe mu rozmawiać ze starymi robotnikami — PPS-owcami; przypomina Pawłowi, że kilkanaście lat temu znał jakąś młodą dziewczynę i każe mu odszukać ją po to, aby pokazać Antoniemu robotniczą rodzinę komunistów i by wysłuchał tam, również cytowaną powyżej, prelekcję ich syna; każe staremu matematykowi gimnazjalnemu zainteresować się Antonim i opowiadać mu o swej legionowej przeszłości, a także o swoich troskach z powodu młodzieży, która nie jest należycie przygotowana do życia. Widzi przyczynę zła w tym, że nawet najlepszy nauczyciel literatury nie dojdzie dalej jak do okresu Młodej Polski, a także i dlatego, że w szkołach nie nauczają o dziejach współczesnych — (jak uczą, to nieważne!...)

Mroczek więc ma być pryzmatem i zwierciadłem, obiektem i subiektem dziejów lat dwudziestych. Nie byłoby to złe, gdyby tak bohater, jak i jego dzieje były chociaż w minimalnym stopniu prawdopodobne. Ale, niestety, tak nie jest.

Książka: A n t o n i M r o c z e k p o z n a j e ś w i a t — powinna była pokazać tę nienową już prawdę, która znalazła swoje artystyczne ucieleśnienie w pamiętnikach Lucjana Rudnickiego, a więc: sprzedajność, oportunizm góry partyjnej PPS i rewolucyjność dołów — masy robotniczej. Czy zostało to w jakiś możliwy sposób przedstawione? Skądże! W każdej książce przede wszystkim trzeba widzieć przed sobą żywych i działających ludzi, a w powieści Grabowskiej nie podobna ich odnaleźć.

Autorka chciała również ukazać rozkład moralny domu burżuazyjnego i przeciwstawić mu czystość moralną domu proletariackiego Bieńków. Ale i to nie wyszło. Nie wyszło dlatego, że autorka zdradza całkowitą nieznajomość zarówno pierwszego, jak i drugiego środowiska. Historia domu dyrektora Garnera, który zaniedbuje żonę, a zaczyna szaleć za swą chytrą sekretarką, ma przebogaty rodowód w przedwojennych powieścidłach brukowych, z jedną wszakże różnicą: tam autorzy potrafili te rzeczy podawać w sposób bezpretensjonalny, świadomi tego, że piszą bezwartościową, tzw. wulgarnie „szmirę" — tu zaś autorka ma ambicje ideologiczne...

Główną intrygantką w tej miłosnej awanturce jest sekretarka, Anna Siedla. Nie wiadomo dlaczego niecny jej postępek autorka usiłuje wytłuma-

czyć w sposób „socjologiczny". Charakteryzując tę kokotę i jej matkę o kwalifikacjach rajfurki, Grabowska powiada: „Pochodziła z chłopów podwarszawskich. Upór i spryt — oto główne cechy jej charakteru". Należy więc rozumieć — i można tak rozumieć — że cechy te są właściwe chłopom podwarszawskim, a poza tym, że chłopi w o g ó l e są chytrzy, podstępni i nie mający skrupułów, jak panna Anna i jej matka Katarzyna.

Jej ofiarą, (nie mówiąc już o nieszczęśliwych dzieciach, które matka porzuca na kilka lat, a potem zjawia się, gdyż bez nich żyć nie może), jest pan Garner:

Posłuchajmy, jak maluje go autorka powieści:

„Podczas nudnych posiedzeń, albo w restauracji w miłym towarzystwie, myślał o żonie i dzieciach z czułością, o którą sam by siebie nie posądzał. Wyobrażał sobie, że czekają na niego i naprawdę chciałby być przy nich w tej chwili.

Niekiedy telefonował do żony, że zaraz wraca do domu, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Robił to umyślnie, aby czekała, aby się niepokoiła".

Wydaje mi się, że ta niedorzeczna charakterystyka (która zresztą powtarza się i w stosunku do Pawła i do Darowskiego i do Mroczka), wskazuje na to, że z powieścią brukową, mimo najlepszych chęci, autorka nie potrafi się zmierzyć. Tamci robili to konsekwentniej...

Cóż pozostaje? Jedynie chyba tylko to, iż autorka c h c i a ł a napisać, że dawniej było źle, że po pierwszej wojnie światowej była inflacja, że czołówka PPS-u była oportunistyczna i zdradziecka, że masy domagały się czynu, ale nie było komu ich poprowadzić itd. Tak. Pozostają tylko dobre chęci, ale same chęci literatury nie tworzą.

Salomon Łastik

WILIAM SZEKSPIR: *Hamlet, królewicz duński.* Tragedia w pięciu aktach. Przekład Romana Brandstaettera. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952; str. 228.

Który to z rzędu H a m l e t polski? — na wstępie wypada zapytać. Zanim na to udzieli precyzyjnej odpowiedzi w druku będąca, obfita bibliografia: S z e k s p i r w P o l s c e, opracowana przez nestora naszych literackich badaczy, Wiktora Hahna — przypomnijmy bodaj pobieżnie poprzedników nowego tłumacza. Będzie to zarazem metryka świadcząca, że to jeden z utworów najczęściej u nas przyswajanych.

Pomijając przekłady fragmentów, chociaż wśród ich translatorów błyszczą takie nazwiska, jak Trembecki, Norwid, Wyspiański — poczet tłumaczów otwiera zacny Wojciech Bogusławski (1797), co prawda z niemieckiej „poprawionej" przeróbki. Z tegoż języka adaptuje H a m l e t a płodny scenarzysta J. N. Kamiński (1805). Z kolei mamy wersje: A. Horodyskiego (nie drukowana), wymęczoną z oryginału Hołowińskiego (1840), zapomnianą J. Komierowskiego (1859), aż wreszcie znakomitą, do dziś żywą, J. Paszkowskiego (1862). Po nim dał zamaszystą przeróbkę Krystyn Ostrowski, tłumaczyli: K. Czerny, K. Zalewski, solidny Ulrych, słynny Matlakowski (wersja filologiczna, 1894), słący się na dokładność Kasprowicz, wierszujący całość Zdzisław Skłodowski (1908), aż po tęgą, nieco przyciężką robotę Andrzeja Tretiaka (1922). Następnie cztery przekłady niedrukowane, znane jedynie ze sceny lub rękopisów: Tadeusza Micińskiego, grany w Moskwie w 1916 r., niestety zaginiony; Jarosława Iwaszkiewicza wznawiany już po wojnie; Ksawerego Pusłowskiego w całości zrymowany, i wreszcie Władysława Tarnawskiego,

który trud życia uwieńczył przekładem wszystkich dramatów i sonetów Szekspira.

Roman Brandstaetter jest przeto bodaj dziewiętnastym tłumaczem Hamleta, ale nie ostatnim. Równocześnie z nim całość przełożył Witold Chwalewik, a sądząc nawet po ogłoszonych dotąd fragmentach (Twórczość Nr 7 br.), będzie to w tej „konkurencji" przeciwnik chyba najgroźniejszy.

Mając w pamięci tę długą listę tłumaczy, z tym większą ciekawością zagłębiamy się w lekturę przekładu Brandstaettera, pragnąc się przekonać, co wnosi nowego, czy wniknął w sens utworu, czy przezwyciężył błędy poprzedników, dał nowe rozwiązania, zbliżył nas do arcydzieła, piękno i myśl poety oddał językiem lepszym, tęższym, bogatszym, niż translatorzy dawniejsi?

W miarę czytania, dramat porywa głębią, tak wiele ma świeżości, taki żywy i ciekawy, że czytelnik, zwłaszcza młody entuzjasta, przeskakuje przeróżne zapory, przeszkody, tamy i mielizny, rwie dalej niesiony zagadką geniuszu, mamiony potoczystością, gładkością, dziejszością języka, i odurzony zatrzymuje się na ostatniej stronicy. Gdy się jednak w rzecz wejrzy uważniej, gruntowniej i z ołówkiem w ręku, budzą się nagle pewne wątpliwości, mnożą się znaki zapytania, wykrzykniki i uwagi na marginesach starannie wydanej książki, która w końcu pokrywa się nimi dość szczelnie. Sięgamy wówczas po oryginał, przeprowadzamy konfrontację z paru innymi przekładami, i w rezultacie dochodzimy do wniosków, które pozwolimy sobie najkrócej wyłożyć, poprzedzając je licznymi cytatami i przykładami, a zdając sobie w pełni sprawę z jednostronności takiego stanowiska, z którego szuka się tylko przysłowiowej „dziury w całym"... Czy jednak naprawdę „w całym"?

Tak więc, po dokładniejszej lekturze nowy przekład nie zadowala w pełni. Zawodzi, co bije w uszy przede wszystkim polszczyzna: uboższa, mniej sprawna i tęga, niż np. u Paszkowskiego. Czasem wprost dziwią trudne do tolerowania nieporadności i niezręczności. Błędne używanie i nadużywanie zaimków osobistych wcale częste: „Ojcowski sygnet miałem w moim mieszku" (207), albo: „przychodzi on powiadomić mnie o aktorach" (88), „Powinna ona być zawsze zwierciadłem natury" (111). Zbyt często też nadużywanie słówka „jest" (zwłaszcza przy łataniu metrum): „Która jest godzina" (44), „wielka jest gorączka" (62), „Chociaż to jest szaleństwo, jest w nim jednak metoda" (48), „Imię jego jest Gonzago. To jest prawdziwa historia" (124), „warte jest tysiąc funtów" (125). To znów wyskoczy taki dziwoląg: „Strój poleca męża" (41), lub poniekąd w granicę humoru wkraczająca „królowa w nieładzie" (94):

Pierwszy aktor

Lecz, ach, kto widział królowę [w nieładzie...

Hamlet

Królowa w nieładzie.

Poloniusz

To dobre „Królowa w nieła- [dzie" — to dobre.

Szekspir w edycji Quarto mówi o „rozczochranej" królowej (tak tłumaczy Kasprowicz, 73), w edycji Folio mamy „najszlachetniejszą" królowę.

Rażą też pewne manieryzmy, np. powtarzanie wyrazów „godność" i „godny" (39), niepotrzebne i nie poświadczone oryginałem. „Twoja godna postać Tak mnie zadziwia (?), że muszę przemówić" (46). W oryginale znacznie subtelniej (jakby echo „Boskiej Komedii"):

„Postać twa prosi tak o ludzkie słowo, że będę mówił"... W całym utworze niezwykła waga s u b t e l n o ś c i, toteż np. nie może zadowolić w przekładzie takie wezwanie Laertesa do siostry: „Trwóż się, Ofelio, trwóż się, dobra siostro" (39), — bo walory uczuciowe lęku, trwogi i strachu zgoła odmienne, i nie o „trwogę" chodzi w tym wypadku, ani o „s t r a c h... przed tym, co jest po śmierci" (104) w monologu Hamleta — tylko o l ę k. O brak subtelności w rozróżnianiu znaczeń nieraz się potykamy, więc np. Horacy o zjawie Króla powiada: „Ten c u d poświadczą obecni panowie" (33), — chodzi oczywiście o „dziw" *(marvel)*, nie o cud. Lecz tutaj już zapuściliśmy się w inną dziedzinę.

Do zaniedbań językowych i stylistycznych można by nie przykładać zbyt dużej wagi, gdyż nie brak miejsc językowo rzetelnych i jędrnych, gdybyśmy po doświadczeniach tak wielu tłumaczów (a to obowiązuje!), otrzymali wersję filologicznie lepszą, poprawniejszą, w sens i głębię oryginału ściślej wchodzącą. Znów zawód: rozumienie oryginału czasem nawet gorsze niż u poprzednich tłumaczów. Szczególnie niezrozumiale w nowej wersji bredzi, np: Duch: „Żądza skojarzona Z jasnym aniołem tylko niesmak znajdzie W niebiańskim łożu i pójdzie za żerem Węszyć na śmietnik" (53) — tymczasem myśl poety jasna: „Żądza, chociaż nasyci się w niebiańskim łożu, żreć będzie świństwo"... Takich zlepków słownych, w gruncie rzeczy bez sensu, wydobyć można niemało, np. Król mówi o powrocie z Francji Laertesa (IV, 5): „Wtedy k o n i e c z n o ś ć w s z c z e g ó ł y u b o g a Moją osobę bez wahań oskarży Przed całym światem" (167). W oryginale: „Z powodu braku konkretnych danych, nie cofając się przed oskarżeniem naszych osób, podając to tym, to tamtym uszom". Lub Hamlet: „Trzeba być gotowym. To wszystko. Ponieważ żaden człowiek nie wie, co t r a c i, cóż znaczy s t r a c i ć coś przedwcześnie? Niech się dzieje, co chce" (217). Te ważkie psychologicznie słowa wyszły mętnie. Każdy człowiek dobrze wie, co traci, a chodzi o to, że „nikt nie będzie miał nic z tego, co tutaj o p u s z c z a. Cóż wobec tego znaczy o d e j ś ć wcześniej". Również na innym miejscu wkłada tłumacz herezję w usta Hamleta: „Stąd nauka, Że Bóg kształtuje nasze z a m i e r z e n i a, Które my z grubsza, według naszej woli, Ciosamy" (205). W oryginale sens zgoła odmienny: Bóg nie kształtuje naszych zamierzeń, bo one należą do nas, kształtuje natomiast tylko faktyczny kres zamierzeń. Dosłownie: „Istnieje bóstwo, co nasz k r e s kształtuje, jakkolwiek sami byśmy go obciosać chcieli".

Bezkrytycznego entuzjastę zachwyca np. *passus przekładu*, w którym trudno doszukać się sensu: „Jak w godzinę Sądu Ostatecznego posmutniały lica Nieporuszonych, potężnych w s z e c h ś w i a t ó w, które zadrżały na myśl o tym czynie!" (140). W istocie nie ma wcale mowy o „wszechświatach" (?), tekst mówi o twardej i stałej masie, co komentatorowie angielscy objaśniają jako księżyc.

Horacy w nowym przekładzie wykrzykuje: „O, dniu i nocy! Cóż za cudo ziemi" (59). Ani „ziemi", ani „cuda" w istocie nie ma. „Jak noc po dniu! To ktoś przedziwnie obcy", tłumaczy zgodnie z sensem tekstu Chwalewik. I wtenczas dopiero stają się zrozumiałe następne słowa Hamleta: „Więc go powitaj niby cudzoziemca" (59).

W rozumieniu słynnego monologu „Być albo nie być", poszedł tłumacz utartą drogą szkoły psychologicznej, a nawet wyraźnie podkreślił samobójczą

intencję Hamleta: „Bo któżby znosił bat i drwinę czasu... Gdyby mógł rylcem nagiego żelaza Wypisać sobie zwolnienie o d ż y c i a“ (104). W oryginale mowa o zwolnieniu „z d ł u g u“! Tłumacz nie zapoznał się, lub zlekceważył próbę nowej interpretacji tego monologu (Sprawozdania PAU 1949, 6), daną przez W. Chwalewika, którego świeże tłumaczenie monologu (Twórczość Nr 7) stanowi kluczową pozycję nowego i właściwego rozumienia H a m l e t a, omotanego zażartymi sporami psychologizujących dyletantów, nawet czasem krytyków serio, na naszym partykularzu ostatnimi czasy.

Do znużenia można by cytować drobne nieścisłości w nowym przekładzie: np. Szekspir powiada (dosłownie): „kogut, trębacz poranku, wzniosłym i dźwięcznym pianem budzi geniusza dnia“ (I, 2), u Bradstaettera z niewiadomych powodów czyni to kogut „przeraźl wym wrzaskiem“. Szekspir mówi o „sidłach na słonki“, — tłumacz: „na drozdy“ (43). Szekspir: „odróżnię jastrzębia od czapli“, — tłumacz: „odróżnię psa od biesa“ (88), niby dowcipna, a jednak nietrafna pointa. Szekspir: „Czy znasz tę kukłę?“, — tłumacz: „Czy znasz tę pchłę?“ (209). Szekspir: „Wpadłem, jak słonka w swoje własne sidła“, — tłumacz: „Wpadłem, jak głuszec“... (223). Szekspir: „Ta czajka ucieka ze skorupką od jajka na głowie“, — tłumacz: „Ten lizus wszędzie wlezie z usłużną miną“ (215). Lecz tutaj zagalopowaliśmy się w inną dziedzinę: o b r a z ó w z a s t ę p c z y c h, stanowiących *licentia translatoria* tłumacza wówczas, gdy dosłowność niezrozumiała, stanowi świat obcych wartości. Ten *casus* nie zachodzi w ostatnim wypadku. Poeta wyśmiewa sztuczną napuszoność Ozryka i jego kapelusz, którego piórami w ukłonach zamiata ziemię. W krótkiej scenie (V, 2) dał dostatecznie poznać jego charakter i lizusostwo. Gruba kropka nad „i“ samowolnie postawiona przez tłumacza, zgoła nie potrzebna: obraz zastępczy niefortunny.

Z tej serii jeszcze parę przykładów. Tłumacz zamyka odpowiedź Hamleta daną Królowi, że nie do niego odnosi się grana przez Aktorów sztuka, takim zdaniem: „Niech się drapie ten, kogo swędzi“ (122). Powiedzenie istotnie dosadne i trafne z pozoru. Ale jakże odbarwia w tym wypadku realistyczną brutalność Szekspira: „Niech rży odparzona kobyła, nasze kłęby są nietknięte“, jak tłumaczy bliski oryginału Tretiak (180). Odbarwienie i zubożenie obrazu również w takim odezwaniu się Rosenkrantza do Hamleta: „Sam działasz przeciw sobie, jeśli nie chcesz wyjawić przyjacielowi swoich kłopotów“ (128). A Szekspir: „Zaryglujesz sobie niechybnie wrota wolności, jeśli przyjacielowi nie zwierzysz swych zmartwień“.

Gorzej jeszcze wyszło ze słynnym czterowierszem Hamleta po ucieczce Króla z przedstawienia (III, 2):

> Niech ranny daniel z bólu łka,
> Grzmi krzepki ryk jelenia;
> Gdy ty zasypiasz, czuwam ja,
> Bo taki s e n s i s t n i e n i a. (124)

Można by od biedy tłumaczowi darować dodanego „daniela“, ale nie podobna przebaczyć tego „sensu istnienia“, zalatującego jakąś metafizyką, i dającego potworny nonsens. (Więc na czym polega „sens istnienia“?). Poeta zaś mówi prosto: „Bo taka kolej świata“.

Nieprześcignione dotąd pozostaje w oddaniu tego wiersza stary Paszkowski:

> Niech ryczy z bólu ranny łoś,
> Zwierz zdrów przebiega knieje;
> Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś.
> To są zwyczajne dzieje. (96)

Można było raczej u Paszkowskiego zaciągnąć pożyczkę, (niż dawać swoją nieudałą próbę), skoro się u niego właśnie na innym miejscu taką (bez pokwitowania) zaciągnęło: „Gdy o łajdactwie mowa, na dobie tępa głowa" (153) — co prawda z błędem, gdyż powinno być: „na t o b i e tępa głowa" (1925, 80). Wtrąćmy nawiasem, że niedbały ostatni przedruk tłumaczenia Paszkowskiego, zdanie to i następne opuszcza (wyd. 3, 1951, str. 118).

Skoro jednak mowa o z a p o ż y c z e n i a c h u innych tłumaczów, wskażemy jeszcze jedno miejsce, tym razem niefortunnie przejęte z Tretiaka. Oto Hamlet Brandstaettera odzywa się do Ofelii: „Objaśniłbym ci twoje uczucia miłosne, gdybym mógł ujrzeć twoje drżące piersi, pani" (123). Entuzjasta skwituje chyba te słowa aberracją Hamleta. Tretiak powiedział n'eco inaczej: „Mógłbym być tłumaczem między tobą a twoim kochaniem, gdybym tylko widział, jak twoje piersi drgają (180). W oryginale zaś dosłownie: „Mógłbym prowadzić dialog pomiędzy tobą i twym kochankiem, gdybym widział, jak te marionetki się czulą". Jakże daleko od tych „drżących piersi" — do autentycznego H a m l e t a!

Szekspir, jak wiadomo, operuje dość często t r y w i a l i z m a m i, które grają role akcentów uczuciowych, lub podkreślają kontrasty. Używa ich zawsze celowo i mądrze. Właściwa ich transpozycja, to sprawa nie tylko rozumienia tekstu, ale dobrego smaku tłumacza oraz orientacji w ich uczuciowych walorach. Poloniusz, dyplomata i dworak, przestrzegający syna, przed wpadaniem w wulgarność (I, 3), nie może bezpośrednio po tym, w rozmowie z ukochaną córką powiedzieć tak trywialnie, jak to czyni nowy tłumacz: „Już nie chcąc więcej pozbawiać oddechu Biednego słowa, które tak poganiam, Oświadczę, że mnie obdarzysz b ę k a r t e m! (43). Pomijamy, że *passus* nie zrozumiały, w oryginale bowiem gra słowna, trudna do oddania, jednakże tekst angielski nie uprawnia do użycia „bękarta". Poloniusz powiedział Ofelii dwuznacznik: *„you'll tender me a fool"*, kryjący w sobie coś dobroduszno śmiesznego: „błazenka mi ofiarujesz", jak chce Chwalewik.

Razi (i śmieszy) również inny wyskok trywialności tłumacza, gdy Hamlet oświadcza wprost Guildensternowi: „Jestem umysłowo chory" (127), — *„my wit's diseased"* (zachorzał mi dowcip). Gorsza jeszcze sytuacja w pierwszym monologu Hamleta: „Ja, syn drogiego, zabitego ojca, Zemstą natchniony przez niebo i piekło, Chcę sercu ulżyć gadaniem, jak kurwa!" (98) Istotnie tekst głosi dosłownie: *„like a whore"*, — wyraz ten jednakże za czasów Szekspira posiadał w Anglii nabój uczuciowy równy dzisiejszej naszej „ladacznicy": (jak świadczą np. tytuły sztuk wówczas granych, w których się go używa). W Polsce natomiast już za czasów Kochanowskiego, był to wyraz zelżywo wulgarny (zastępowano go później eufemizmem „murwa"), i pozostał do dziś drastyczno nieprzyzwoitym. Nie widzimy dostatecznych racji do reprodukowania go w tej scenie, a tym bardziej w ordynarnym kontekście: „Ojca mi zabił! I matkę mi skurwił!" (208).

Niedopuszczalny również trywializm popełnia tłumacz wkładając w usta Hamleta taki epitet zwrócony do matki: „Przestań już! Przestań! N i k c z e m n e twe słowa!" (137). Hamlet w utarczce słownej odparowuje zarzuty matki jej własnymi słowami, nie zawierającymi zniewagi: „Ty mówisz do mnie złym językiem".

W poszukiwaniu silnych środków wyrazu, tłumacz żywi więc tendencję

do częstego przejaskrawiania, nie czując, że brnie w trywialności i parodiuje poetę. Jeszcze jeden przykład: Brandstaetter: „To rzeź zwierzyny spędzonej w zasadzkę!" (226), Szekspir: „*This quarry cries on havoc*", co można różnorako przełożyć, np.: „To łup okrutny śmierci" nie podobna jednak tego „pokosu" (jak tłumaczy Kasprowicz) królów i książąt w majestacie śmierci, przyrównywać do rzezi zwierzyny w zasadzce (?), choćażby nawet słowa Fortynbrasa (który to mówi), nasuwały skojarzenia z terminologii myśliwskiej.

Od swobodnego dysponowania tekstem, krok tylko do kaprysu dopełnień. Niewiele tych dodatków tłumacza, ale i one zgoła zbyteczne; np.: „Fatum ponure" (60) dodane do rymu, szczególnie dla koncepcji całości i sensu Hamleta niebezpieczne, gdy Szekspir mówi tylko o „przeklętym strapieniu" *(O cursed spite)*. W zdaniu Poloniusza (III, 1) dodano też zbyteczne naleganie, nie w stylu poety: „Prosi przez me usta, Byście, uległszy mym usilnym prośbom, Zechcieli sztukę ujrzeć i wysłuchać" (101). W monologu Hamleta część zdania: „Strach ten dzisiaj sprawia"... (104), też niepotrzebnie dodana. Pomijamy parę innych miejsc. Natomiast opuszczono w nowym przekładzie bodaj tylko kilka słów wypowiadanych przez konającego Hamleta: „Dokładnie mu powiedz, Co mnie skłoniło... Reszta jest milczeniem" (226). W oryginale dosłownie: „Powiedz o tym jemu i różnym bardziej lub mniej znacznym kandydatom, którzy się będą o tron ubiegali. Reszta jest milczeniem".

Ale dość już chyba przykładów! Nie wyczerpujemy ich nawet w połowie. Pomijamy usterki mniej lub więcej rażące (np. taką próbkę wyobraźni historycznej tłumacza: „Często gram kwasu na ocet zamienia Treść najpoczciwszą" (46), lub każącego Ofelii czytać „brewiarz" (103), pomijamy wiele nieścisłości i błędów, przechodzimy do porządku nad amatorskim wstępem domagającym się gruntownej rewizji i oczyszczenia z wielu pomyłek (np. mylne, że „większość utworów ukazała się za życia Szekspira w osobnych, na ogół bardzo nie kompletnych wydaniach" str. 8, bo ukazało się ich tylko 16, w tym połowa pirackich, a Szekspir napisał najmniej 37 utworów; również błędne, jakoby po polsku dopiero Norwid z oryginału Hamleta tłumaczył. Ale spieszymy do wniosków końcowych.

Przekład Brandstaettera zawodzi nasze oczekiwania, ale też ten typ przekładu powinien należeć do przeszłości. Bez przygotowania specjalnego, bez samodzielnego wniknięcia w sens oryginału, bez doskonałego opanowania języka epoki, bez zmian znaczeniowych i kulturalnych nie można się porywać na przekład Szekspira. Oczywiście nieodzowny jest talent poetycki i translatorski, ale on sam nie wystarczy, jak to u innych tłumaczów widzimy (np. u Norwida, Kasprowicza, ostatnio u Gałczyńskiego). Lepszy Szekspir, na którego czekamy, powstać może tylko w wyniku nowej, subtelnej analizy filologicznej, nowego wczytania się w jego sens, nowych rozwiązań miejsc dotąd niejasnych.

Przekład Brandstaettera nie reprezentuje nowego stosunku do Szekspira, ani też nowego osiągnięcia artystycznego. Nowy Szekspir, tak bardzo nam dziś potrzebny, nie może być tylko zmodernizowaną kopią, odbiciem lub mozaiką przekładów dotychczasowych, ani też nie może powstać na zamówienie, nawet u zdolnego literata. Nie pragniemy jednak przez to powiedzieć, że wydanie wersji Brandstaettera było niepotrzebne. Przeciwnie! Trzeba ją jednak traktować wyłącznie jako materiał do dyskusji, jako „zeszyt próbny". Ale już dzisiaj należy stwierdzić wyraźnie,

że nie nadaje się do stabilizacji. Tymczasem na odwrocie karty tytułowej dość niepokojąco brzmi zapowiedź: „Niniejszy przekład Hamleta wejdzie do zbiorowego wydania utworów dramatycznych Wiliama Szekspira, przygotowywanego przez Państwowy Instytut Wydawniczy".

Czy nie byłoby rzeczą właściwą to drobne nieporozumienie wyjaśnić?

Na zakończenie tych przydługich może utyskiwań i pretensyj do tłumacza warto przypomnieć mądrą uwagę Kraszewskiego, sprzed 112 laty, która nic nie straciła na aktualności:

„Jeśli kto, to Szekspir — powiada Kraszewski — powinien być z całą ścisłością tłumaczony, na jaką tylko zdobyć się można, nie kalecząc języka. Nie ma w nim nic obojętnego, nic nieważnego, nic takiego, co by się wyrzucić dało, słowem, Szekspira powinno się tłumaczyć jak Biblią" [1].

Na takiego Szekspira czekamy.

Piotr Grzegorczyk

HENRYK HEINE: *Poezje wybrane.* Przełożył Stanisław Łempicki. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Wrocław, 1951; str. 234. *Statek niewolników.* Wyboru dokonał, wstępem i przypisami opatrzył Artur Marya Swinarski. Ilustrowała Maja Berezowska. Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik" (Biblioteka „Szpilek", tom 17), Warszawa, 1951; str. 163.

Henrykowi Heinemu (1797 — 1856) przypadła w udziale trudna sława poety prześladowanego. Otaczała go za życia i otoczyła po śmierci nienawiść reakcji społecznej. Oczerniano go jako człowieka rzekomo nikczemnego, bogobojnie oburzano się na jego twórczość rzekomo zgubną dla narodu. Doprowadzając ten tryb postępowania do ostatecznych konsekwencji, hitlerowcy wyrzucili jego utwory z podręczników szkolnych i starali się zatrzeć wszelką o nim wiedzę. A tymczasem lud niemiecki już od stu lat śpiewał jego pieśni jak swoje, często nie wiedząc nawet, kto jest ich autorem.

Z dzieł Heinego wywiódł się wpływ tak silny i trwały, tak daleko sięgający poza granice ojczyzny poety do najodleglejszych krajów świata, że pod tym względem śmiało może być postawiony na równi z Goethem i Schillerem.

Jednakże polityka kulturalna burżuazyjnych krytyków, historyków literatury i wydawców starała się umiejętnie ten wpływ ograniczyć, skanalizować, wtłoczyć w wąskie koryto. Popularne wybory Heinowskiej poezji operowały przede wszystkim liryką osobistą, sławnymi erotykami oraz co niewinniejszym materiałem balladowym. Starannie przy tym odsiewano wiersze, których żadne komentatorstwo na rzecz tak zwanej czystej gry wyobraźni jako „szlachetnej zabawy" nie mogło pozbawić ostrza krytyki społecznej.

Albowiem wśród swych ballad ma Heine aż tak rewolucyjne utwory jak Karol I. Warto — dla zdobycia wymownego przykładu — rzucić okiem na ten niezwykły w pomyśle wiersz.

Tak w skrócie przedstawia się jego treść. W leśnej chacie węglarza siedzi samotnie król pogrążony w głębokim smutku. Porusza biegunami i śpiewa węglarzowemu dziecku kołysankę, w której pojawiają się zwyczajne kotki i myszki z dziecinnych bajek, a kiedy niekiedy daje o sobie znać zabobonny nastrój nocnej pory w ciemnym borze.

Z tych właśnie elementów stworzył Heine groźną pieśń rewolucyjną. Podaję w doraźnym, tylko z grubsza zrytmizowanym przekładzie główny wątek

[1] Tygodnik Petersburski 1840, nr 40. Cytuje tę opinię Matlakowski: Hamlet, 1894, s. CCCXCI.

kołysanki, którą król śpiewa węglarzowemu niemowlęciu:

Lulajże, lulaj, nie żyje kotek —
Ty nosisz znak na skroni —
Będziesz mężczyzną, machniesz toporem,
Dęby już w lesie drżą.

Stara, prostacza już przepadła
Wiara, węglarskie dzieci —
Lulajże, lulaj — nie wierzą w Boga
I w króla wierzyć przestały.

Nie żyje kotek, cieszą się myszki —
Idziemy ku zagładzie —
Lulajże, lulaj — na niebie Bóg
I ja, na ziemi król.

Pierzcha odwaga, chore me serce
Z dniem każdym bardziej zapada
— Lulajże, lulaj — dziecię węglarza,
Wiem, że ty będziesz mym katem.

Pieśń ma przedśmiertna jest twą
kołysanką —
Lulajże, lulaj — a przedtem
Utniesz mi pukle mych starczych
włosów —
Na karku mi brzęka żelazo.

Lulajże, lulaj, co w słomie szeleści? —
Ty już zdobyłeś królestwo,
Z tułowia głowę mi zwali
Twój cios — a kotek nie żyje.

Lulajże, lulaj, co w słomie szeleści?
W oborze beczą owieczki,
Kotek nie żyje, cieszą się myszki —
Śpijże, kaciątko me, śpij!

Heine nazwał samego siebie pierwszym poetą nowoczesnym. Trudno nie przyznać mu racji. Ale Heine nazwał również samego siebie ostatnim poetą romantycznym. To już wymaga komentarza.

Albowiem romantyzm niemiecki był — inaczej niż romantyzm polski — w swej przeważającej masie ideologicznej kierunkiem reakcyjnym. Rozbite na księstwa Niemcy ogniskowały podówczas swoje życie polityczne wokoło sprawy narodowego zjednoczenia. O ile jednak demokracja niemiecka dążyła do ustanowienia narodowej jedności Niemiec jako wyniku szerszej walki o wolność, o tyle nacjonalizm pruski, który w tym sensie działał już od czasu tak zwanych „wojen wyzwoleńczych" (*Befreiungskriege*, 1813 — 1815) skierowanych przeciwko zaborom Napoleona, rozumiał narodowe zjednoczenie Niemiec jako swego rodzaju odrodzenie się idei „Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego". Chodziło więc o wielkie, feudalne państwo z Prusami jako ośrodkiem rozkazodawczym na czele.

Dodajmy, że historia lat późniejszych ukazuje nam, jak tę właśnie ideę podjęło coraz gwałtowniej nacjonalizujące się mieszczaństwo, przygotowując się do kapitulacji przed bismarckowsko-hohenzollernowskimi Prusami. Punktem szczytowym tych tendencji był entuzjazm, jaki ogarnął całą burżuazję niemiecką w roku 1871, gdy król pruski ukoronował się w Wersalu jako Wilhelm I na cesarza niemieckiego.

Jeżeli romantyzm niemiecki uciekał od współczesności i sławił wyidealizowane średniowiecze, nadając jednocześnie wszelkiej mistyce rangę najpełniejszej rzeczywistości artystycznej, było to niewątpliwie obroną feudalizmu, który w ówczesnych Niemczech, zapóźnionych ekonomicznie w porównaniu z zachodem i północą, nie tylko stał jeszcze silnie w posadach, ale potrafił umacniać swe pozycje. Toteż literacka apologia epoki omszonych zamków i trubadurskiej wierności serc miała swą dobitną wymowę polityczną, cieszyła serca szlachty niemieckiej i znajdowała pełne poparcie opinii publicznej, którą możni przemożnie kształtowali.

Jednakże nie oddalibyśmy sprawiedliwości tamtej epoce literackiej, gdybyśmy ocenili ją negatywnie według przeważających w niej elementów reakcyjnych — i na tym poprzestali, zapominając o ciągłości elementów postępowych w dziejach. Albowiem romantyzm

niemiecki był jednocześnie prądem, w którym ścierał się cały szereg sprzeczności, nieraz nawet w obrębie jednej twórczości literackiej.

Znamienną postacią jest pod tym względem chociażby E. T. A. Hoffmann, którego potrafił właściwie ocenić już Heine. „Hoffmann — mówi Heine — jest o wiele wybitniejszym poetą aniżeli Novalis, bo ten ostatni, razem ze swymi idealnymi tworami, wciąż unosi się w błękitnym przestworze, podczas gdy Hoffmann, razem ze swymi przewrotnymi grymasami, trzyma się zawsze twardo ziemskiej rzeczywistości. Jak zaś olbrzym Anteusz był niezwyciężony, póki dotykał stopą matki-ziemi, a stracił swą siłę, gdy go Herkules podniósł do góry, tak i poeta jest mocny dopóty, dopóki nie opuszcza gleby rzeczywistości, a opada z sił, gdy tylko zaczyna marzycielsko unosić się po błękitnym przestworze".

Te zdania pozwalają nam od razu ujrzeć nie tylko E. T. A. Hoffmanna, ale i samego Heinego, który stał na stopie wojennej z „błękitnym przestworem" romantyków jako powietrzem feudalizmu. W tych zdaniach zawarte są również postulaty realizmu poetyckiego, którym Heine — jak to widzieliśmy na powyższym przykładzie — umiał sprostać w swej praktyce twórczej. Walczył ze współczesnością w imię współczesności. „Pan Schlegel — pisał o swym dawnym profesorze uniwersyteckim i naczelnym teoretyku romantyzmu — był w stanie pojąć tylko poezję przeszłości, nie pojmując poezji teraźniejszości. Wszystko, co jest życiem nowoczesnym, uważał za prozaiczne, niedostępna dlań była poezja Francji, ojczyzny nowoczesnego społeczeństwa... Ta maniera oceniania teraźniejszości miarą przeszłości zakorzeniła się u pana Schlegla tak głęboko, że zwykł był chłostać grzbiet poety młodszego gałązką z wawrzynowego wieńca jakiegoś poety starszego..."

Heine stał również na gruncie innej tradycji literackiej niż ta, która była przedmiotem uwielbienia olbrzymiej większości romantyków. Nawiązywał do humanizmu i racjonalizmu Lessinga, szukał filozoficznych podstaw współczesności nie w średniowieczu, lecz w renesansie. „Malarze włoscy — ironizował — o wiele skuteczniej polemizowali z klechami niż sascy teologowie. Kwitnące ciała na malowidłach Tycjana — to jest właśnie protestantyzm. Lędźwie jego Wenery są o wiele lepszymi tezami niż owe tezy, które niemiecki mnich przytwierdził na bramie kościoła w Wittenberdze".

Polemika publicystyczna, którą Heine toczył z romantykami, rozwijała się w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Jej owocem był obszerny zbiór artykułów, który w swym pomnożonym wydaniu ukazał się w roku 1836 i nosił tytuł Szkoła romantyczna.

„Czym była szkoła romantyczna w Niemczech?" — pyta Heine. I odpowiada:

„Była właśnie odrodzeniem poezji średniowiecza, tak jak się ta poezja przejawiała w średniowiecznych pieśniach, dziełach plastyki i architektury, w sztuce i w życiu. Wszelako poezja ta wyrosła z chrześcijaństwa... Mówię o tej religii, w której zasadniczych dogmatach zawarte jest potępienie wszelkiego ciała, która nie tylko przyznaje duchowi najwyższą władzę nad ciałem, ale chce również ciało zabić, by oddać cześć duchowi. Mówię o tej religii, z której przeciwnymi naturze zadaniami przyszły na świat grzech i hipokryzja, albowiem na skutek potępienia ciała najniewinniejsze przyjemności zmysłowe stały się grzechem, a na skutek niemożliwości całkowitego podporządkowania człowieka duchowi musiała wytworzyć się hipokryzja. Mówię o tej religii, któ-

ra również dzięki swej nauce o zdrożności korzystania z wszelkich dóbr ziemskich, o konieczności psiej pokory i anielskiej cierpliwości stała się najmocniejszą podporą despotyzmu. Ludzie już rozpoznali istotę tej religii, nie dają się zbywać przekazami adresowanymi na niebo, wiedzą, że materia jest również dobra i że nie jest sprawą znowu tak diabelską, a więc rewindykują rozkosze ziemi, tego pięknego bożego ogrodu, naszego dziedzictwa nie do odstąpienia".

Dusząc się w reakcyjnych Niemczech, Heine opuścił swą ojczyznę i osiadł na stałe w Paryżu, gdzie obok poetyckiej rozwija żywą działalność publicystyczną godzącą w tyranię i fiskalizm królów i książąt niemieckich, chłoszczącą zarazem wady narodowe Niemców. Jednocześnie znajdował słowa pochwały dla Francji wciąż wrzącej rewolucyjnie w swym podziemiu i coraz wyraźniej zarysowywał wizję przyszłej Europy zjednoczonych ludów, poddając się wyrosłym z Wielkiej Rewolucji prądom reprezentowanym przez teoretyków i działaczy socjalizmu utopijnego, takich jak Saint-Simon lub Enfantin.

Owoce tej działalności pisarskiej nie kazały długo na siebie czekać. Heine zyskał sobie w Niemczech opinię płatnego agenta francuskiego, a państwa związkowe wydały w końcu rozkaz aresztowania go, gdyby tylko pojawił się w ich granicach. Tak został do końca życia emigrantem.

Na lata 1843 — 1844 przypada jego osobista przyjaźń z Marksem. W tym czasie powstały takie jego utwory jak Tkacze i Niemcy. Baśń zimowa, które słusznie uważa się za pierwsze wyrazy socjalistycznego światła idei w literaturze niemieckiej. Jest bowiem Heine rzadkim w przeszłości wzorem twórcy, w którym człowiek polityczny jednoczy się z poetą, to znaczy, że postępowy światopogląd polityczny, dochodzący również do głosu w publicystycznych deklaracjach ideowych, przeniknął i podporządkował sobie sferę poetyckich wyobrażeń, nie prozaizując suchą, wyznawczą retoryką artystycznej strony dzieł.

Takiego właśnie Heinego, sługę najbardziej postępowych idei swojego czasu, człowieka historycznego, który stał się wielkim poetą i położył wielkie zasługi historyczne, pragnęlibyśmy ujrzeć w obszernej, wszechstronnej antologii. Pragnęlibyśmy, aby ta antologia umiała roztoczyć przed czytelnikiem perspektywy rozwoju dziejów w epoce, która przyniosła Wiosnę Ludów i Manifest komunistyczny, a zarazem unaoczniała drogę twórczą radykalizującego się poety, który od powierzchownych satyr na filistra dochodzi w końcu do pozycji bliskich pozycjom socjalizmu rewolucyjnego.

Wahania, którym ulegał Heine na tej drodze, tym łatwiej pozwolą ukazać różnorodność życia ideowego epoki, jej oportunistyczne pokusy i doniosłość głównego tonu, który poeta osiągnął w swej twórczości. W Niemczech. Baśni zimowej czytamy przecież takie strofy:

Nową, piękniejszą dzisiaj pieśń
chcę śpiewać wam, przyjaciele.
Z ziemi doczesny stworzyć raj —
oto co naszym jest celem.

Chcemy za życia szczęśliwi być,
dość mamy już biedowania.
Dorobku pracowitych rąk
Nie będzie brzuch gnuśny pochłaniał!

Jest tu na ziemi chleba dość,
by dostał go każdy, kto łaknie.
Dość piękna i śmiechu, dość mirtu i róż
i groszku słodkiego nie zbraknie.

Groszkiem, gdy pękną strąki, wnet
obdzieli się wszystkich wkoło;
niebiosa pozostawmy zaś
wróbelkom i aniołom.

(tłum. A. Marianowicz)

Można powiedzieć, że po stu blisko latach, które upłynęły od jego śmierci, Heine jest poetą znanym w Polsce nader jednostronnie. Bo przede wszystkim znany jest jako autor wierszy w rodzaju „Dziewczę z buzią jak malina, twoje oczy — gwiazdy dwie..." („Mädchen mit dem roten Mündchen, mit den Äuglein süss und klar..."; piękna parafraza polska wyszła ongi spod pióra Mieczysława Romanowskiego), jako autor Lorelei lub Dwóch grenadierów. Aczkolwiek bibliografia polskich przekładów z Heinego nie byłaby zbyt uboga, to jednak cechuje ją właśnie znamienna jednostronność, odbierająca tej poezji ostrze rewolucyjne. Jest rzeczą konieczną, abyśmy poznali perły miłosnej liryki Heinego, ale skrzywilibyśmy obraz historii i poety, gdyby to dla nas był cały Heine, choćby przykraszony tu i ówdzie wierszami w rodzaju Dwóch grenadierów. Pozostaje wreszcie obszerna dziedzina artystycznej i publicystycznej prozy Heinego, tak mało znanej w Polsce.

Po wojnie cała twórczość Heinego przez kilka lat leżała u nas odłogiem. Dopiero ostatnio na naszym rynku wydawniczym ukazały się prawie jednocześnie dwie antologie Heinowskie. Pierwsza z nich — to Poezje wybrane w przekładzie Stanisława Łempickiego. Druga — to Statek niewolników, książka operująca przekładami dawnymi i współczesnymi.

Obydwie antologie uzupełniają się treściowo. Pierwsza zawiera spuściznę liryczną Heinego, nie zapominając o pewnej cząstce wierszy mających silną wymowę polityczną. Druga opracowana jest z punktu widzenia Heinowskiej satyry politycznej i społecznej, w czym mieści się oczywiście i to, co nazywamy satyrą obyczajową. Pierwsza jest książką — mimo małego formatu — dużą, obejmującą przekłady ponad dwustu utworów. Druga z kolei jest książką przeszło czterykroć szczuplejszą, obejmuje bowiem niespełna pięćdziesiąt pozycji, przy czym tu i ówdzie mamy do czynienia jedynie z przekładami fragmentów większych utworów. Nieliczne tylko wiersze powtarzają się w obydwu antologiach. W sumie więc otrzymujemy ponad dwieście pięćdziesiąt pozycji. Ilość bynajmniej nie mała.

Czy te obydwie książki dają obraz Heinego i czy w ten sposób możemy uważać sprawę pokazania tego poety czytelnikowi polskiemu za załatwioną?

Niestety, tak sprawa jeszcze nie wygląda. Inny jest tego powód w pierwszym wypadku, inny zaś w drugim.

Antologia Heinowska w przekładzie Stanisława Łempickiego wykazuje zasadnicze braki formalne. Z kolei antologia opracowana przez A. M. Swinarskiego jest dość cennym drobiazgiem, przyczynkiem, cząstką materiału przygotowawczego, który może być wykorzystany w ramach wielkiej antologii, o jakiej marzymy.

Stanisław Łempicki dał przykład szlachetnego pietyzmu dla poezji Heinego i poszedł drogą prawdziwie mrówczej pracy. Wydawnictwo informuje nas w odsyłaczu do przedmowy, że książka nie obejmuje jeszcze wszystkich przekładów tłumacza, że „część pozostała w tece do następnego ewentualnie wydania". „Przy tym — czytamy w tej samej przedmowie — jest to książka, która powstała w warunkach najmniej — zdawałoby się — przychylnych pracy literackiej. Pierwsze strofki ogłoszonych tu przekładów napisane zostały zimą 1940 r., gdy wypadki wojenne oderwały tłumacza od zwykłych jego zajęć, tj. od prac na polu badań literackich i historyczno-kulturalnych. W ten sposób poeta, wówczas właśnie degradowany i wyklinany we własnej niemieckiej ojczyźnie, znalazł

tłumacza w Polsce — w okresie, gdy ciążyła nad nią ręka okupacji hitlerowskiej. Twórczość poetycka autora B a ś n i z i m o w e j stała się źródłem radości literackich dla uczonego, który w pracy nad przekładami szukał zapomnienia o troskach i niepokoju okrutnych lat wojny".

I chyba tak tylko — jako prywatny gest protestu — należy rozumieć tę książkę, w której żarliwa poezja Heinego wychodzi dość martwo, głucho i ciemno, tym bardziej że tłumacz nie omija po drodze żadnej perły, sięgając nawet po samą L o r e l e i.

Charakterystyczną cechą tej ostatniej ballady, która stała się pieśnią ludową, jest właśnie jej ludowość, czyli istnienie w wierszu ludowego świata wyobrażeń i stylu przystosowanego do potrzeb treściowych tego świata. To, co nazywamy prostotą, jest konkretnością obrazów i akcji. Rzeczowniki abstrakcyjne występują tu bardzo rzadko i są wtedy nazwami czynności: „śpiew" czy „śpiewanie", „myśl" czy „myślenie". Ale z zasady zamiast nazwy czynności widzimy działający lub doznający podmiot, mamy do czynienia ze zdaniem bezpośrednio orzekającym, że iskrzy się szczyt góry lub rusałka czesze włosy i śpiewa uroczną pieśń. A więc spotykamy się tutaj z wyobraźnią realistyczną. Rekwizyty poezji inteligenckiej, których w L o r e l e i nie ma, rzuciłyby się nam od razu w oczy niby mętne plamy. W ostatnich dwóch strofach swej ballady Heine mówi:

Den Schiffer im kleinen Schiffe
Ergreift sie mit wildem Weh;
Er schaut nicht die Felsenriffe,
Er schaut nur hinauf in die Höh'.

Ich glaube, die Wellen verschlingen
Am Ende Schiffer und Kahn;
Und das hat mit ihrem Singen
Die Lorelei getan.

Te same dwie strofy w przekładzie Łempickiego brzmią następująco:

Żeglarz na łódce mknie małej,
porwał go tęskny ten śpiew.
Nie patrzy, że grożą mu skały —
on patrzy, skąd pieśni zew.

Mniemam, że żeglarz z wód cieśni
w nadbrzeżny nie wrócił kraj.
Czarami syreniej pieśni
zgubiła go Lorelei.

Uderzająca jest różnica tonu, stylu. Martwotę wprowadzają już zwietrzałe do cna rekwizyty w postaci wyrażeń: „tęskny", „pieśni zew", „z wód cieśni", wreszcie — „syreniej pieśni", której u Heinego nie ma ani śladu. Również owo jak najmniej potoczne „mniemam" przyczynia się do zmiany zabarwienia, bo nie jest właściwe dla języka ballady ludowej. Z prostego opowiadania, zawierającego same tylko fakty określone zdaniami bezpośrednio orzekającymi, powstało omówienie, które zresztą wiele pozostawia do życzenia jako poezja. Zmienił się również — i to właśnie jest rzeczą najważniejszą — stosunek poznawczy do rzeczywistości. „Syrenia pieśń" i „wód cieśnie" wprowadzają nastrój niby to wyszukany, pseudoklasyczny, podczas gdy w wierszu Heinego mamy świat ujrzany jak gdyby po raz pierwszy oczami ludu.

Analiza wielu innych utworów wykazałaby mnóstwo braków szczegółowych, chociaż — należy to podkreślić — znalazłoby się i sporo szczegółów udanych. Ale od razu narzuca się nam wrażenie, że tłumacz nie trafił w styl Heinego i nie dociągnął poziomu. To decydujące wrażenie towarzyszy nam już do końca książki, zniechęcając do bliższych roztrząsań i rozbiorów.

Trzeba przyznać, że znacznie mniej trudności przekładowych nastręcza się w wypadku dyskursywnych wierszy Heinego, zadziwiających nas po dziś

dzień celnością i śmiałością krytyki społecznej i politycznej. A ten właśnie typ wierszy, w których myśl pewniej prowadzi tłumacza niźli to czyni nastrój liryki osobistej, zebrał w swej antologii Swinarski.

Wyszukał i przypomniał nam — jak już wspominaliśmy — również przekłady dawne. Wśród tłumaczy znajdujemy tu więc takie nazwiska jak Felicjan Faleński, Bolesław Czerwieński (autor C z e r w o n e g o s z t a n d a r u), Maria Konopnicka, Andrzej Niemojewski, Kazimierz Tetmajer, Józef Weyssenhoff, Lucjan Rydel, Aleksander Kraushar. Nie jestem skłonny poprzestać na pochwałach dla wydawcy, który niewątpliwie wybrał z przeszłości tłumaczenia najcenniejsze. Wypada tu raczej stwierdzić, że to postępowa myśl wielkiego poety humanistycznego nie starzeje się wcale, dając sobie radę nawet z Tetmajerem, który — nie tłumacząc doskonale i nie wyzbywszy się grawitacji ku językowi poetyckiemu swej epoki — tłumaczy ciekawie i stwarza niekłamany nastrój buntu.

Wśród tłumaczy współczesnych znajdujemy następujące nazwiska: St. R. Dobrowolski, L. Fokszański, L. Lewin, A. Marianowicz, H. Monat, T. Polanowski, Magdalena Samozwaniec, R. Stiller, A. M. Swinarski, J. K. Weintraub.

Uznając zasługi wszystkich tłumaczy, wyróżniłbym przede wszystkim przekłady Swinarskiego, który gustownie wydobywa poezję z języka potocznego i umie stworzyć odpowiedniki stylu Heinowskich satyr, chociaż zbyt często posługuje się parafrazą niepotrzebnie oddalającą od nas szczegóły tekstu Heinego. Na przykład dwie ostatnie strofy S t a t k u n i e w o l n i k ó w brzmią u Swinarskiego następująco:

Boże, na rany Chrystusa, racz
hordę ocalić przebrzydłą!
Grzeszą, bo grzeszą, lecz dobrze wiesz:
przecież to ciemne bydło.
Na rany Chrystusa, litość miej —
niech zdrowo płynie hołota!
Bo gdy nie dowiozę trzystu sztuk,
przepadnie mi tyle złota...

Otóż „hołota przebrzydła" jest w oryginale „czarnymi grzesznikami", co ma oczywiście stanowić kompromitację zapędów misjonarskich, jakoś tam żyjących w zgodzie z handlem niewolnikami. Tymczasem „hołota przebrzydła" brzmi dość niewinnie i zmniejsza wymowę światopoglądową wiersza, czego nie wolno było uczynić i co należałoby poprawić przy najbliższej okazji. Należałoby również w drugiej strofie poprawić to miejsce, gdzie zastąpiono tak samo wymowne powiedzenie: „Na rany Chrystusa... który umarł za nas wszystkich!" błahym zdaniem: „niech zdrowo płynie hołota!" Ściśle biorąc, nie są to już parafrazy, bo te muszą oddawać tę samą myśl w inny sposób. Są to już zwyczajne, niedopuszczalne dowolności.

Słynni T k a c z e w przekładzie St. R. Dobrowolskiego chwalebnie unikają parafraz, ale grzeszą tu i ówdzie przeciwko eufonice wierszowej, akcentując na przykład s i ę, które — jak wiadomo — jest w języku polskim enklityką. Nie sądzę również, aby zachęcający był obraz tkaczy „szczerzących kły", podczas gdy zgodnie z oryginałem wypadałoby — bez względu na rym — mówić bardziej po ludzku o zębach.

O ile książkę czyta się w ogóle gładko i z przyjemnością, o tyle szczegółowe zestawienie tekstu oryginalnego z przekładami wykazuje niestety sporo zniekształceń, których z pewnością dałoby się uniknąć, gdyby jeszcze dłuższa praca pokonała opór materiału wersyfikacyjnego. Szczegółowe i kompletne ich wykazanie raczej nadawałoby się do roboczej recenzji wydawniczej niż do artykułu ogólnie i skrótowo oceniającego książkę, której bilans translatorski i treściowy jest pozytyw-

ny. Widzimy w niej Heinego jako artystę słowa i poetę-myśliciela politycznego.

W tym ostatnim sensie widzimy go oczywiście tylko cząstkowo, fragmentarycznie, pobieżnie. Sprawa wyczerpującej i rozumowanej antologii dzieł tego pisarza stoi nadal przed nami. Musimy ją podjąć jak najrychlej.

Adolf Sowiński

CARLO GOLDONI: *Sprytna wdówka i Zakochani.* Wstępem i objaśnieniami opatrzył prof. Mieczysław Brahmer. Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 61. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław. 1951; str. 319.

Kawiarenka wenecka. Mirandolina. — Przełożyła Zofia Jachimecka. Opracował Mieczysław Brahmer. Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 69. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław, 1951; str. 370.

W miesięczniku teatralnym praskiego Narodnego Divadla znalazłem interesujące dane, dotyczące losów Goldoniego na scenach czeskich. Aż osiem utworów włoskiego klasyka doczekało się kolejno starannej inscenizacji na pierwszej scenie Czech. Utworom tym poświęcono wiele rozważań historyczno-literackich i analiz teatralnych. Wybitni aktorzy czescy znajdowali w tych komediach role popisowe.

U nas miał Goldoni stosunkowo mniejsze szczęście. Co prawda w dobie Stanisława Augusta konkurował nawet z Molierem. Jak podkreśla prof. Brahmer w gruntownym i barwnie napisanym wstępie do obecnego wydania dwu komedii Goldoniego, Sprytna wdówka była już około 1772 r. a więc za życia autora drukowana w Polsce; przerobiona, spolszczona i nazwana (aby było trudno odgadnąć) — Panną rozumną. Wyrzucono tu Hiszpana, jego funkcję przyznano włoskiemu hrabiemu, ostatecznym zwycięzcą został Polak, starosta Poczciwski. W tej przeróbce grywano Sprytną wdówkę w XVIII wieku po dworach magnackich; nawet prof. St. Windakiewicz w swej świetnej książce Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej nie mógł tej sztuki rozpoznać czy zidentyfikować; uważa ową Pannę rozumną za „dzieło nieznanego autora".

Później niemal zapomniano u nas o Goldonim. Teatry wracały tylko do Oberżystki i Sługi dwóch panów. Ale nadchodzi okres ponownego zainteresowania. Ossolineum wydało już cztery sztuki znakomicie przełożone przez Zofię Jachimecką: Sprytną wdówkę poprzednio graną w Bielsku i Warszawie z Romanówną i Boguckim), Zakochanych, Oberżystkę i Kawiarenkę. Praca ta będzie na pewno kontynuowana.

Pomówmy o Sprytnej wdówce. Jest to jedna z najbardziej interesujących komedii włoskiego pisarza. Jej sens historyczny, zadanie, jakie spełnia — wydaje mi się doniosłe i zrozumiałe. Goldoni stał się wyrazicielem postępowych środowisk włoskiego społeczeństwa, zmierzających do zjednoczenia i niepodległości ojczyzny. Idee te były oczywiście sprzeczne z interesami małych dynastii i związanej z nimi arystokracji (co przenikliwie ukazał Żeromski w Sułkowskim oraz Stendhal w Pustelni parmeńskiej czy Wspomnieniach włoskiego szlachcica.) Idee te pokrywały się natomiast z dążeniami mieszczaństwa, drobnomieszczaństwa, radykalnej inteligencji i uświadomionej części chłopstwa. Tak więc idea narodowa we Włoszech, od połowy XVIII wieku do zjednoczenia

w stuleciu XIX, była równie silnie związana z ruchem rewolucyjno-postępowym, jak u nas w dobie romantyzmu i Centralizacji Demokratycznej. Nic dziwnego, że tak szybko spotkała się pod egidą karbonariuszy Młoda Polska z Młodymi Włochami.

Jeśli chodzi o Włochy, Goldoni staje się prekursorem dążeń wyzwoleńczych; w Sprytnej wdówce ośmiesza kult cudzoziemców, kojarząc uroczą i dowcipną wenecjankę z zakochanym w niej rzymianinem.

Będąc patriotą, postępowcem i na pewno marząc o zjednoczeniu ojczyzny nie objawia jednak Goldoni cech szowinizmu. Świetnie wykorzystany pomysł komiczny — zaloty czterech mężczyzn różnych narodowości do jednej kobiety — pozwala na uwydatnienie różnic przede wszystkim obyczajowo-środowiskowych. Pojęcia miłości, zazdrości, honoru, szlachectwa, hojności, przyjaźni, cnoty kobiecej są zależne od wychowania i warunków ekonomicznych. To wywołuje różnice w sposobie zachowania się, mówienia i reagowania. Dzięki wyzyskaniu tych możliwości komedia Goldoniego błyszczy bogactwem różnobarwnych sytuacji i dialogów.

Dużo błahszą i mniej interesującą wydaje się sztuka Zakochani. Włosi czczą ją i kochają jako klejnot swego teatru — podobnie jak Francuzi uwielbiają dziś każdą drobnostkę Marivaux. O Zakochanych pisał entuzjastycznie jeden z najbardziej utalentowanych włoskich dramaturgów nowoczesnych, Rosso di San Secondo, autor interesującej sztuki: Ileż namiętności w marionetkach, wystawionej przed 20 laty w Krakowie przez dyr. Teofila Trzcińskiego. Nas jednak rażą Zakochani swą statycznością (brak tu wszelkiej psychologicznej gry uczuć), monotonią i powierzchownością.

Przekłady Zofii Jachimeckiej są godne najwyższej pochwały. Praca tłumaczki nad Goldonim sprawiła, iż otrzymaliśmy dialog żywy, barwny, dowcipny, szybki, bardzo sceniczny, zazębiający następujące po sobie repliki, pełen wdzięku. Poczucie językowe i instynkt obierania odpowiednio celnych zwrotów nie zawodzi. Widać, że Zofia Jachimecka nie tylko zna Goldoniego, przenika jego myśl, żyje barwną egzystencją jego postaci, ale i rozumie epokę, środowisko, ludzi.

Wstęp prof. Brahmera zapoznaje czytelnika z Włochami za czasów Goldoniego (a w szczególności z Wenecją), z życiem i twórczością komediopisarza i z ówczesnymi prądami literacko-społecznymi, z ówczesnym teatrem, stosunkiem komediopisarza do *commedia dell'arte*, z losami Goldoniego w Polsce.

*

Pani Récamier (1877—1849), żona paryskiego bankiera i twórczyni głośnego salonu, w którym zbierali się „najwybitniejsi ludzie epoki", powiedziała pewnego dnia:

„Moda na Moliera i Racine'a minie kiedyś tak samo jak moda na czarną kawę."

Sto lat później jeden z wybitnych pisarzy francuskich wyznał: „Mam za sobą kilkanaście utworów teatralnych i powieściowych, oraz essayów. Mimo to nazwisko moje wejdzie do dziejów literatury tylko dlatego, że odnalazłem autograf Szkoły żon, gdzie Molier w pewnym miejscu przekreślił „miłość", by je zastąpić wyrazem „rozum".

Wiemy także — że nie minęła moda na czarną kawę.

Około 25 lat przed ową, nieco lekkomyślną przepowiednią, znakomity powieściopisarz włoski, Carlo Goldoni, stworzył Kawiarenkę (1751), utwór pachnący miłym zapachem ko-

feiny. Widać, że kawa była już namiętnością!

Niemal cała akcja utworu rozgrywa się w kawiarnianym lokalu; wpadają tu na filiżankę — właściciel pobliskiej szulerni i oszukiwani przezeń klienci; zagląda tu i lekkomyślny hulaka i poszukująca go żona; stale gości łaknący plotek oszczerca; przysiada na chwilę — dowódca policyjnego patrolu.

Można by przypuścić, że K a w i a r e n k a będzie komedią „kawiarnianą"; że głównym jej bohaterem stanie się kawiarz, jak bohaterką M i r a n d o l i n y jest właścicielka gospody. Ale Goldoni rychło wyprowadza nas z błędu. Kawiarenka to tylko teren akcji; teren ułatwiający spotkanie się ludzi, którzy są potrzebni dla rozwoju wydarzeń. Poświęcają oni kawie zaledwie tyle uwagi, ile trzeba czasu, by zwilżyć usta i myśl odświeżyć po całonocnym czuwaniu. Istotny temat utworu jest odmienny.

Najczęstszy gość w kawiarence — to imć pan Marcjan, szlachcic neapolitański, plotkarz i oszczerca, złośliwy i małostkowy, szkodzący ludziom dla samej przyjemności wyrządzania szkody, głupiec i zawistnik. Jest to jedyny człowiek utytułowany w środowisku zdecydowanie plebejskim; jedyny szlachcic wśród mieszczan. Jedyna przy tym (obok oszusta Pandolfa, który jest postacią drugorzędną) figura zdecydowanie ujemna; jedyny łajdak wśród ludzi przyzwoitych i szlachetnych, albo grzeszących jedynie lekkomyślnością, słabą wolą, nieuwagą. Czy takie zestawienie mogł być przypadkiem? Oczywiście, nie. Komedie Goldoniego, choć pozornie służyły celom przede wszystkim rozrywkowym, zawierały ziarna myśli społecznej. Goldoni wyrażał poglądy i dążenia włoskich mieszczan, ich niechęć wobec warstw uprzywilejowanych. Plotkarz imć Marcjan znęca się szczególnie nad ludźmi bezbronnymi: np. nad tancerką pozbawioną opieki i wykonującą zawód pogardzany, wedle ówczesnych pojęć. Chroni go zresztą przed odpowiedzialnością przywilej „dobrego urodzenia". Walka z tak pojętym honorem wyrażała na pewno dążenia mieszczaństwa włoskiego, które kilkadziesiąt lat później powita z radością wkraczające na lombardzkie niziny wojska republiki francuskiej. Ostrze polityczne K a w i a r e n k i uwydatnia się najmocniej w scenie ostatniej, gdy wszyscy po kolei zasypują imć Marcjana gradem wyzwisk; nazywają go donosicielem, agentem, szpiegiem, wywiadowcą. Zresztą niesłusznie, bo Marcjan raczej przypadkiem zasypał i to bardzo mizerną figurę szulera Pandolfa. Ale można się domyśleć, o co chodzi. Marcjan jest szlachcicem, szlachta popierała systemy feudalne, posługujące się tajną policją; obelgi i zarzuty donosicielstwa spadające na głowę Marcjana są wyrazem antypatii „stanu trzeciego" wobec warstw wyższych, sprzymierzonych z dworami. Marcjan jest więc główną postacią K a w i a r e n k i; jest, używając słów naszego Fredry „tarczą, która służy do obstrzelania całej jego klasy".

*

Nieco inaczej wygląda ta sprawa w M i r a n d o l i n i e. Terenem akcji jest oberża; bohaterką główną — właścicielka zajazdu, hotelarka. Ona skupia wszystkie nici akcji; cokolwiek czyni, nie zapomina o swojej zawodowej funkcji, o swoim interesie, o swoim fachu. Zalety Mirandoliny są wybitnie hotelarskimi przymiotami. Jest przenikliwa, co jej pozwala ocenić w lot każdego nowego gościa; jest uprzejma, co w zawodzie oberżystki bywa niezbędne; jest dowcipna i układna, zręczna i taktowna, towarzyska i pogodna. Gdy jej na którymś z gości zależy, potrafi

sama przyrządzać dla niego najsubtelniejsze przysmaki. Nawet swymi czysto osobistymi, kobiecymi przymiotami, swą urodą, kokieterią, wdziękiem i młodością potrafi Mirandolina władać tak, aby oddziałać korzystnie na prosperowanie przedsiębiorstwa.

Mirandolina, gdyby zechciała, mogłaby na pewno zrobić karierę osobistą. Już na początku komedii, już w pierwszych scenach jest otoczona rojem utytułowanych wielbicieli. Każdego z nich umie okręcić dokoła palca; i markiza, który stracił swój majątek i hrabiego, który sobie tytuł kupił. Ta drobnomieszczanka, mogłaby bez trudu wyjść za mąż za któregoś z ludzi znakomitego rodu. Nawet rzekomy wróg kobiet, pyszny i arogancki kawaler di Ripafratta skapituluje, kiedy ona zada sobie trochę towarzyskiego trudu.

Gdy Kawiarenka była przede wszystkim satyrą na feudalizm, Mirandolina w zręczny sposób sławi pozytywne zalety mieszczaństwa. „Oto patrzcie!" — zdaje się mówić Goldoni — „Patrzcie, jakie świeże i potężne siły tkwią w pogardzanym, niedocenianym „plebsie"! Dobre wychowanie, dystynkcja, wytworność nie są wcale sprawą dobrego urodzenia; hotelarka we florenckiej gospodzie bez trudu pobije arystokratki! W sposobie prowadzenia akcji i kierowania dialogiem przypomina Mirandolina najświetniejsze komedie Marivaux; ale nawet i jej pojedynki miłosne są podporządkowane wyraźnej myśli. Mirandolina osiąga walne zwycięstwo; butnego i pięknego kawalera ma u swych stóp, zakochanego, rozgorączkowanego, niemal oszalałego z miłości. Mimo to dobrowolnie zrzeka się owoców miłosnego triumfu; odtrąca Ripafratta i wychodzi za mąż za człowieka swego stanu, skromnego służącego Fabrycjusza. Zaskakujące nas zakończenie Mirandolina nie jest tylko paradoksalnym efektem; wyraża ono przekonanie Goldoniego, jest wynikiem jego poglądów. Jakże inaczej wypadnie tego rodzaju pojedynek w późniejszej o stulecie komedii Musseta. Nikomu nie pozwala Mirandolina igrać ze swoją miłością; ona sama określi swój los i swoją społeczną pozycję.

*

Kawiarenka i Mirandolina to drugi — po Sprytnej wdówce i Zakochanych — tom teatru Goldoniego, który nam daje Ossolineum w przekładzie Zofii Jachimeckiej i w opracowaniu prof. Mieczysława Brahmera. Opracowanie jest wyborne, pełne erudycji ale i barwności, ścisłe, a jednak nie pozbawione pisarskich uroków. Przekład tak starannie opracowany, że smakuje niemal jak utwór oryginalny. Nasuwają się tylko dwie wątpliwości. Pierwsza to słowa o cudzoziemskim i wyszukanym brzmieniu (jak „inklinacje") w ustach chłopca z kawiarni, Łapki. Druga wątpliwość dotyczy projektowanego przez tłumaczkę zakończenia Kawiarenki. Korowód masek z lampionami, chwytający Marcjana, osłabiałby wymowę finału, w którym bohaterzy komedii stawiają pod pręgierz oszczercę Marcjana. Maski każe w tym czasie Goldoni zakładać swym bohaterom czy bohaterkom dla wyraźnie określonych celów (np. w Sprytnej wdówce, akt ostatni, czy w samej Kawiarence — Wiktoria poszukująca męża).

Jeszcze jedna uwaga, tym razem ogólniejsza. Obecne wydanie komedii Goldoniego pozwoli nam lepiej zrozumieć nasz własny teatr komediowy. Wiemy na przykład, że Fredro był wielbicielem Goldoniego. Czy to nie wyjaśni wielu spraw w twórczości autora Dożywocia i Geldhaba?

Wojciech Natanson

EÇA DE QUEIROZ, Zbrodnia księdza Amaro. Z języka portugalskiego przełożyli M. Kozyńska i R. Grodz. Czytelnik, Warszawa, 1951, str. 488.

Nie tak dużo wiemy o współczesnej Portugalii, a o jej kulturze — zwłaszcza XIX-wiecznej — w ogóle niewiele. I tylko chyba filatelicy, którzy niejedną godzinę spędzili nad katalogiem Michela, pamiętają, że to właśnie w październiku 1910 r. została ustanowiona w tym kraju republika, po zdetronizowaniu ostatniego króla Manuela. Jeśli zaś ktoś byłby zainteresowany i zapytał nas o literaturę portugalską, zastanowimy się w naszej pamięci. Bez encyklopedii podamy zapewne jedno jedyne nazwisko: Luiz de Camoens. I znów już tylko ktoś, kto był ciekawszy, mógłby wyjąć z Luzjady opowieść tego genialnego XVI-wiecznego poety, który w życiu był równie nieszczęśliwy jak inny Iberyjczyk, Cervantes — liczy sobie 8.816 wierszy gdy Pan Tadeusz — dla porównania — ma ich 10.000. Jak nas zapewniali bowiem tzw. znawcy literatury portugalskiej, wiele tracimy z powodu swej ignorancji. Literatura tego kraju to prawdziwe bogactwo — i, jak pisał w swoim czasie wybitny krytyk francuski Brunetière, „czas już odkryć bogactwa Portugalii, czas oddać sprawiedliwość tej arystokratycznej literaturze, w której geniusz wprawdzie jest zjawiskiem równie rzadkim, jak wszędzie na świecie, lecz która zaświadcza za to wszelkie inne niezmierną obfitością talentów". Do słów powyższych należy odnieść się trochę sceptycznie, jako że nawet specjaliści tracą czasami poczucie właściwych proporcji, ale że sąd ten nie jest bez racji — choćby mocno przesadzony — możemy przekonać się obecnie sami, w pewnym stopniu, czytając to, co przedtem czytali wyłącznie bazylie. Otrzymaliśmy bowiem ostatnio tłumaczenie znakomitej powieści portugalskiej, pierwszej zresztą, z literatury współczesnej tego kraju w naszym tłumaczeniu przekładów*. Tylko więc od nas wypada podziękować wydawnictwu tłumaczkom: Margarecie Kozyńskiej i Ryszardowi Grodzy, że przełożyli z oryginału, a wydawnictwu „Czytelnik", że wydała — powieść pt. **Zbrodnia księdza Amaro** Eçy de Queiroza, twórcy realistycznej prozy portugalskiej XIX stulecia.

Zanim zajmiemy się samą książką, parę informacji o autorze. José Maria de Eça de Queiroz, urodzony w roku 1845, jest chyba najwybitniejszym powieściopisarzem swego kraju. Przekazał nam on prawdę o swoim kraju i swoim czasie, na tyle, na ile pozwoliły mu na to warunki i ograniczoność klasowa. Swą działalność literacką rozpoczął jako felietonista w lizbońskiej Gazeta de Portugal, pozostając pod wpływem romantyzmu, który w tym czasie panował niepodzielnie w literaturze portugalskiej. W roku 1871 grupa postępowych pisarzy-realistów organizuje cykl zebrań dyskusyjnych, które odbywają się w Casino Lisbonense. Program tych konferencyj de Casino, zwanych „zebraniami demokratycznymi", postanawiał między innymi „otworzyć drogi ideom i faktom, które mają na celu przemiany społeczne, moralne i polityczne narodów, czyli zerwać z dotychczasowym izolowaniem się od postępowych prądów europejskich". Na trzecim zebraniu w Casino Lisbonense wygłosił referat pt. **Realizm w sztuce** — Eça de Queiroz.

Rychło też zapragnął wcielić swe przekonania literackie w kształt artystyczny. Po kilku udanych próbach w

---

* Luzjada przełożona była na polski w całości przez Adama Morawskiego w r. 1881 (Biblioteka Najcelniejszych Utworów Europejskich — Lewentala).

dziedzinie poezji i dramatu wydaje pierwszą większą powieść — Z b r o d n i ę k s i ę d z a A m a r o (1875). W następnej powieści O p r i m o B a z i l i o (1878), która zawiera dzieje portugalskiej M a d a m e B o v a r y, uderza świetna charakterystyka różnych typów mieszczaństwa lizbońskiego i subtelnie przeprowadzona analiza psychologiczna życia rodzinnego. A C a p i t a l (1878) daje opis niebezpieczeństw stolicy zagrażających młodym, marzycielskim prowincjuszom, przy czym tło akcji składa się na barwny obraz życia Lizbony. Syntezą życia i obyczajów społeczeństwa portugalskiego na schyłku wieku XIX (na wzór balzakowskiej K o m e d i i l u d z k i e j) miał być cykl powieści pod wspólnym tytułem S c e n a s d a V i d a P o r t u g u e s a. Powieści tych ukazało się zaledwie kilka, z reszty przechowały się tylko szkice i bruliony, wydane w 1926 roku przez syna wielkiego pisarza. Po cyklu tym nastąpiła w twórczości Queiroza siedmioletnia przerwa. Dotychczasowa działalność, polegająca na burzeniu starych kanonów i bezkompromisowej walce przeciwko przeżytkom feudalizmu, kontynuowana dalej, musiałaby pisarza zaprowadzić zbyt daleko. Queiroz — przedstawiciel mieszczaństwa w literaturze — przestraszył się wymowy własnych dzieł. Stało się z nim to, co u nas z Prusem: uległ naciskowi i prawom rozwojowym własnej klasy i z biegiem czasu staczać się począł na pozycje coraz to bardziej wsteczne. W powieści A R e l i q u i a (1887) bezkompromisowy dawniej ateista przemienia się w apologetę „prawdziwego chrystianizmu" i propagatora mistyki i religianctwa; a w ostatniej powieści, wydanej już po śmierci, A C i d a d e e a s S e r r a s (Miasta i góry, 1901), usiłuje dowieść wyższości prostego życia wiejskiego nad „rozkładającymi duszę narodu jadami urbanizmu". Bohater powieści znużony gorączkowym życiem miejskim, ucieka w wiejskie zacisze, zakłada tam ognisko rodzinne i dochodzi do wniosku, że największym szczęściem człowieka jest obcowanie z przyrodą i wycofanie się z burzliwego nurtu życia. Ewolucja — jak widzimy — znamienna dla wielu wybitnych pisarzy epoki. Ostatnie, chybione utwory nie mogą nam jednak przesłonić realistycznej doskonałości wcześniejszych powieści Queiroza.

Z b r o d n i a k s i ę d z a A m a r o (O crime do Padre Amaro), była pierwszą powieścią Queiroza i zarazem dziełem całkowicie dojrzałym i artystycznie doskonałym. Powieść ta jest jednym z najwspanialszych pomników XIX-wiecznego, zachodnio-europejskiego realizmu krytycznego. Queiroz najbliższy jest w niej Flaubertowi: Z b r o d n i a k s i ę d z a A m a r o — to jakby P a n i B o v a r y, jeśli chodzi o analizę namiętności i życia prowincjonalnego, i W y c h o w a n i e s e n t y m e n t a l n e, jeśli chodzi o szersze tło społeczne, przy czym Queiroz dojrzałością i przenikliwością swej analizy życia społecznego przewyższa Flauberta, końcowa zaś scena powieści, przypominająca słynne zakończenie E d u c a t i o n s e n t i m e n t a l e, o całe niebo od flaubertowskiego dojrzalsza w społecznych konkluzjach, artystycznie jest też nie gorsza. Queiroz zresztą był wysoko ceniony już za życia i to również poza granicami Portugalii, między innymi we Francji. Oto co według historycznej anegdoty powiedział Emil Zola do Portugalczyka przygnębionego wieścią o śmierci Queiroza: „Słusznie go tak opłakujecie. To był wielki pisarz. Moim zdaniem większy od Flauberta". — I dodał z westchnieniem: „A przecież Flaubert to mój mistrz".

W powieści mamy nie tylko wytłu-

maczenie przyczyn i możliwości postępowania księdza, nie tylko wyjaśnienie roli duchowieństwa w dziejach ówczesnej Portugalii; poznajemy historię owych lat, ich atmosferę i przekroje najważniejszych zagadnień społecznych okresu. Główny bohater, Amaro Vieira, urodził się w Lizbonie, w domu markizy de Alegros, gdzie rodzice jego byli służącymi. Po ich śmierci markiza zaopiekowała się malcem i oddała go do seminarium, na co pozostawiła legat w testamencie. Po otrzymaniu święceń kapłańskich Amaro — po krótkim pobycie w nędznej parafii górskiej — dzięki protekcji najmłodszej córki markizy i jej męża, hrabiego de Ribamar, konserwatywnego ministra — dostaje probostwo katedralnego kościoła w Leirii. Tak zaczęła się kariera młodego księdza. W Leirii Amaro spotyka dawnego profesora z seminarium, kanonika Diasa, który od 10 lat żyje z senhorą Joaneirą, jedną z czołowych tamtejszych dewotek. Młody proboszcz zamieszkuje w jej domu, dowiaduje się o tajemnicy swego mistrza i z kolei uwodzi córkę gospodyni, przy czym oficjalnie dziewczyna chodzi do domku dzwonnika przy katedrze, by podnosić poziom moralny sparaliżowanej córki sługi kościoła. Gdy ksiądz pierwszy raz złamał postanowienie Soboru Trydenckiego i przespał się w górach z pasterką na słomie, odczuwał jeszcze wyrzuty sumienia, ale „działo się to w czasach jego niewinności, przesadnych nabożnych uczuć i młodzieńczych obaw! Teraz miał oczy otwarte na rzeczywistość. Widział życie opatów i kanoników, kardynałowie i prałaci nie grzeszyli na słomie w stajni. Oddawali się grzechowi i kościoły nie zawalały się, i św. Michał Mściciel nie opuszczał siedziby niebiańskiej z powodu takich drobiazgów!" Toteż gdy kanonik Dias odkrył stosunek Amary z Amelią, ten oświadcza mu: „Obaj przekroczyliśmy pewne prawa, przepisy — to wszystko. Skoro wasza wielebność przychodzi teraz, by prawić morały — to mnie tylko śmieszy. Morały są dobre w szkołach i na kazaniu. W życiu ja robię to, ksiądz kanonik tamto, inni robią co innego. Ksiądz profesor, ponieważ ma swoje lata, zaleca się do starszej, ja, ponieważ jestem młody, do młodszej. Smutne to, ale cóż robić? Natura ma swoje wymagania. Jesteśmy ludźmi. Jako kapłani powinniśmy ratować honor kleru, przejść nad tym do porządku dziennego i ukryć te sprawy".

Przerażający jest wręcz obraz zgnilizny, jaką przedstawia nam Queiroz, a przy tym powieść nie jest pamfletem, tylko spokojną, rzeczową relacją o faktach preparowanych stalowym, nieomylnym skalpetem z obiektywizmem i precyzją Flauberta. Przejścia księży od mistycznych wzniosłości przeznaczonych dla uszu dewotek, do prywatnych rozmów i poczynań — opisane, dają niesamowite wręcz efekty. Oto próbka metody Queiroza: „Ostatni, cały w bieli, ze spuszczonymi oczyma i złożonymi rękami, z mnisią, pełną łagodności pokorą nakazaną przez rytuał i będącą symbolem pokory Chrystusa, idącego na Golgotę, wszedł przed ołtarz ksiądz Amaro — jeszcze czerwony z wściekłości po awanturze, jaką zrobił w zakrystii z powodu źle upranej alby". Wreszcie sielanka kończy się: Amelia zachodzi w ciążę. Ale i tu księża nie załamują rąk. Lokują dziewczynę w ustroniu pod miastem na kilka miesięcy, matkę jej wysyłając do kąpieliska. W tym wypadku Amaro rozstrzygnąć musi problem, co zrobić z dzieckiem. „Ach! Gdyby „owoc" urodził się martwy! — zastanawia się ksiądz. — Naturalne i nie budzące podejrzeń rozwiązanie! A dla dziecka prawdziwe szczęście! Jakiż bowiem los oczekiwał go na tym świecie? Los bękarta, księżowskiego syna. Ojciec ubogi, matka uboga... Chłopiec rósł-

by w nędzy, włóczył się, uprzątał nawóz, kaprawy i gburowaty... Włażąc z jednej biedy w drugą, poznałby całe ludzkie piekło: dni bez chleba, mroźne noce, ohydę knajp, grozę więzienia. Ubogie posłanie za życia, wspólny grób po śmierci.... A jeżeli teraz umrze, stanie się aniołkiem, którego Bóg przygarnie w raju..." Ponieważ dziecko urodziło się żywe, więc ksiądz oddał je „tkaczce aniołków", która załatwiła się z nim w jeden wieczór...

Jednak nie „sprawa celibatu duchowieństwa" znajduje się w centrum zainteresowania pisarza, nie erotycznym przeżyciom księdza poświęcona jest powieść — jak to usiłowała wmówić czytelnikom krytyka burżuazyjna. Na Zbrodni księdza Amaro ciążą drobne zaledwie skazy naturalizmu. Drastyczny temat posłużył wielkiemu realiście — Queirozowi do poczynienia szerszych artystycznych uogólnień. Stawia nam pisarz przed oczyma zatęchły światek prowincjonalny: galerię dewotek, księży, małomiasteczkowych galantów, kupców i głupców. Oto konserwatywna kołtuneria, podpora rządów reakcji i wstecznictwa w Portugalii. Ale pisarz idzie jeszcze dalej. Oto adwokat Godinho, liberał, wróg tutejszej reakcji, „Cavour Leirii". Poznajemy go wkrótce lepiej: to burżua, który w strachu przed ludem wyciąga rękę do feudalnego wstecznictwa. „Domaga się pan, abym burzył zasady religii, szykanował Odkupiciela, powtarzał idiotyzmy Renana, abym lżył podstawowe prawa władzy, znieważał króla, atakował fundamenty rodziny! Pan jest chyba pijany!" — grzmi ten „postępowiec". A inny liberał, Borges, na widok księży warknął ze wstrętem: banda — „i wrócił do flegmatycznego układania protokółu. Odsyłał bowiem do Alcobasy aresztanta, który w kącie na ławce czekał między dwoma żandarmami, zgnębiony i otępiały, z twarzą wynędzniałą od głodu, z rękami w kajdanach". Oto obraz genialnej przenikliwości pisarza. I jeszcze jakże trafne zdanie o inteligencikach portugalskich bawiących się w radykalizm: „W deklamatorskim uniesieniu miotali gromy na stary świat zgniłych idei, odgrażali się głośno i obiecywali wystąpić czynnie... w bojowych artykułach. Wystraszona burżuazja spodziewała się, że za pomocą kilku policjantów powstrzyma ewolucję socjalną; zaś młodzież, komunizująca pod wpływem literatury, miała nadzieję, że wystarczy rewolucyjna ulotka, by zniszczyć ustrój społeczny, liczący sobie osiemnaście wieków".

Przerażająca wręcz jest pasja demaskatorska Queiroza: pod jego ostrym, bezlitosnym spojrzeniem opadają wszystkie pozory i maski, i ukazuje się ponura prawda, prawda o Portugalii z lat 60-tych zeszłego stulecia. Ale prawda pisarza jest jednostronna: poza straszliwą nocą, jaką niesie ustrój społeczny oraz drańswem i cynizmem ludzi przezeń ukształtowanych, Queiroz nie dostrzega nawet promyka światła: nie widzi żadnej siły społecznej, żadnej klasy, która mogłaby zmienić istniejący stan rzeczy.

Wspomnijmy jeszcze o zakończeniu powieści. Amelia zmarła po urodzeniu syna. Amarę załamał ten cios. „Zamierzam odjechać daleko, do jakiejś nędznej parafii górskiej, i tam już do końca życia pędzić moje dni we łzach, na rozmyślaniach i pokucie" — pisał w liście do kanonika. Ale Queiroz — realista, nie poprzestał na tym. Pokazał raz jeszcze całokształt stosunków portugalskich, w jednym lapidarnym obrazie, z perspektywy kilku lat. Jest rok 1871, kiedy Lizbona żyje depeszami z Paryża, a słowa: Komuna, Wersal, Thiers — są na ustach wszystkich. I wśród tłumu kołtunerii, rozwścieczonej powstaniem ludu paryskiego, Dias i Amaro spotykają się przypadkiem na

ulicy. Amaro przyjechał właśnie do hrabiego starać się o nową przyzwoitą parafię zapomniawszy już o swych skrupułach i skrusze. Rozmowa dwóch starych przyjaciół, których łączyło niejedno łajdactwo, zeszła na aktualne wydarzenia: „Zaczęli się oburzać na zgrają masonów, republikanów, socjalistów, ludzi pragnących zburzyć wszystko, co godne szacunku: kler, wychowanie w duchu religii, rodzinę, armię i bogactwo... Te rozwydrzone potwory zagrażały społeczeństwu! Należałoby tu zastosować dawne represje, stosy i szubienice. Przede wszystkim zaś natchnąć ludzi wiarą w Boga i szacunkiem dla kapłanów". Opodal na placu Camoensa spotkali hrabiego de Ribamar. Stojąc tuż przy balustradzie pomnika genialnego poety „wyniosłego i szlachetnego", obaj słudzy kościoła słuchali w skupieniu głębokich uwag wybitnego męża stanu: „Niech wasze wielebności wierzą mi jako człowiekowi znającemu Europę i elementy, które wchodzą w skład współczesnego społeczeństwa— że po tym przykładzie z Komuną, na przestrzeni najbliższych stu lat nie będzie już mowy o republice i o kwestii socjalnej czy też ludowej!... (...) Dopóki w naszym kraju istnieć będą kapłani tak szanowni jak wy, Portugalia z godnością utrzyma swe stanowisko w Europie. Wiara bowiem, moi panowie, stanowi podstawę wszelkiego ładu! — Niewątpliwie, panie hrabio, niewątpliwie— przytaknęli z mocą obaj kapłani".

Przenikliwość tej sceny mówi sama za siebie. Queiroz to jeden z największych realistów krytycznych XIX wieku.

Ludwik Grzeniewski

ANNA SEGHERS: *Siódmy krzyż*. Tłumaczyły z jęz. niem. Maria Wołczacka i Janina Marecka. Wydanie drugie, Czytelnik, Warszawa, 1951; tom I str. 168, tom II str. 183.

W 1928 roku jury nagrody im. Kleista przyznało tę najbardziej w Niemczech Weimarskich cenioną nagrodę literacką autorowi niewielkiego opowiadania, zatytułowanego B u n t r y b a k ó w z S a n t a B a r b a r a. Na okładce figurowało nazwisko jednego z holenderskich malarzy z pierwszej połowy XVIII wieku: Seghers.

Nie ulegało już wówczas wątpliwości, że utwór ten jest dowodem znacznego talentu literackiego. Niemniej jednak przepowiednie krytyków i znawców były dość sprzeczne: jedni sądzili, iż jest to wiele obiecujący początek poważnej kariery pisarskiej, inni zaś sceptycznie odnosili się do tak szczęśliwego startu. Dopatrując się w B u n c i e r y b a k ó w jednej z częstych prób nawiązania do prozy niemieckiej z okresu romantyki, przypuszczali, iż jest to sukces jednorazowy, oryginalny, ale niepowtarzalny. Opinia sceptyków wzięła zdaje się górę, gdy okazało się, iż autorem tej surowej i oszczędnej, jakby męskiej prozy jest kobieta. Nieznaczną tylko rolę odegrały kobiety w historii literatury niemieckiej: wybitniejsze pisarki wyliczyć można na palcach jednej ręki.

Droga wiodąca Annę Seghers do osiągnięcia jej dojrzałej twórczości — osiągnięcia, któremu na imię S i ó d m y k r z y ż — była długa i żmudna, pełna mozolnych poszukiwań i uporczywych zmagań, a także nieuniknionych błędów: dopiero swą siódmą książką zdołała się Anna Seghers wpisać do historii literatury światowej.

Walka o sprawiedliwość społeczną toczona w epoce imperializmu — tak można określić w najogólniejszym sformułowaniu podstawową tematykę twórczości Anny Seghers. W S i ó d m y m k r z y ż u walka ta ukazana jest w najtrudniejszych warunkach historycznych, w tragicznych warunkach terroru hitlerowskiego. Więcej — w okresie, w

którym ruch antyfaszystowski w Niemczech przeżywał najgłębszy kryzys.

Nie było dla pisarki problemu bardziej bolesnego niż tragedia rozgrywająca się w jej ojczyźnie. Dobór m i e j s c a akcji jest zatem więcej niż zrozumiały. Jednakże dobór c z a s u akcji wymaga specjalnego podkreślenia: świadczy o niezwykłej odwadze pisarki, świadczy o jakiejś przekornej pasji, która każe jej zaatakować to, co jest najtrudniejsze.

Warto wskazać, iż w bogatej antyfaszystowskiej literaturze niemieckiej o okresie Trzeciej Rzeszy nie mamy po dzień dzisiejszy ani jednego utworu, w którym autor ukazałby siły postępu właśnie wtedy, gdy zdawały się one zanikać, gdy antyfaszystowski ruch podziemny był rozbity i zdezorganizowany. Na ogół bowiem pisarze odtwarzali okres czynnej walki podziemia, a więc lata 1933 — 35, albo też — w późniejszych utworach — okres jego reaktywizacji w latach drugiej wojny światowej. Anna Seghers pierwsza — dotychczas jedyna — z odwagą właściwą wszystkim wielkim talentom obrała temat najtrudniejszy i najtragiczniejszy.

Odwaga w doborze bezpośredniego tematu powieści idzie u Seghers w parze z innym, także bardzo ambitnym zamierzeniem: tragedia sił postępu zobrazowana jest na tle szerokiego przekroju społeczeństwa niemieckiego w okresie hitleryzmu. Dla rozwinięcia postawionych sobie zadań autorka obiera fabułę powieściową, która daje jej ogromne możliwości ukazania tego wszystkiego, co ukazać pragnie.

Ucieczka siedmiu więźniów z obozu koncentracyjnego jest nie tylko punktem wyjściowym, ale także osią fabularną całej powieści, jest tym wydarzeniem, które wywołuje w s z e l k i e inne wydarzenia, następujące w toku akcji. Wszystkie nieomal postacie w ten czy w inny sposób związane są ściśle ze sprawą ucieczki, która stawia je nagle wobec nowej sytuacji.

Postawa poszczególnych ludzi wobec Georga Heislera jest jednocześnie ich postawą wobec reżimu hitlerowskiego i wobec niemieckich sił postępu. Wszyscy oni boją się Gestapo, wszyscy woleliby ze sprawą tak niebezpieczną nie mieć nic wspólnego, ale każdego sprawa ta zmusza do uświadomienia sobie swojej roli w społeczeństwie opanowanym przez brunatną potęgę, zmusza do obrachunku z własnym sumieniem.

Każda osoba na drodze ucieczki Georga, nawet przypadkowo napotkana jak np. dr Löwenstein, nawet przypadkowo z ucieczką tą powiązana jak np. Fritz Helwig, postawiona jest przez autorkę w sytuacji, która wymaga rozstrzygnięcia. Decyzja nikomu nie przychodzi łatwo, dojrzewa wśród zmagań wewnętrznych, ukazujących prawdziwe oblicze danej osoby. U Löwensteina zwycięża etyka lekarska: nie odmawia pomocy, nie denuncjuje Georga. Uczeń szkoły ogrodniczej Fritz Helwig marzy o odzyskaniu kurtki, którą mu skradziono, a jednak gdy rozpoznaje w obozie Westhofen odnalezioną kurtkę—oświadcza, iż nie jest to ta, którą stracił. Zwycięża w nim zdrowy instynkt, zwycięża sumienie, rozbudzone kilkoma zaledwie słowami starego ogrodnika.

Wymieniliśmy tylko dwa przykłady, ale można by zacytować dwadzieścia dalszych. Toteż stwierdzić należy, iż zasadniczym tematem książki są nie tyle odzwierciedlone w niej wydarzenia zewnętrzne, ile w e w n ę t r z n e. Główna walka dobra ze złem, sił postępu z siłami wstecznictwa rozgrywa się nie m i ę d z y postaciami przewijającymi się przez karty książki, lecz w e w n ą t r z każdej osobowości, w psychice każdego człowieka.

Każdy człowiek, którego spotykamy w powieści, ma indywidualne rysy, każdy jest zjawiskiem jednorazowym, nie-

powtarzalnym, ale jednocześnie typowym dla określonej grupy społecznej w określonych warunkach historycznych.

Konflikty osobiste poszczególnych jednostek są nie tylko ich indywidualnymi konfliktami, ale konfliktami ogólnymi, typowymi dla całej epoki. Typowa dla milionów Niemców owego okresu jest reakcja Leni, która wyrzuca Georga ze swego mieszkania; typowa reakcja architekta Sauera, który w uzasadnionej obawie przed prowokacją w podobny sposób postępuje z Pawłem Röderem, ale typowa jest także postawa Franza, Hermanna, Reinhardta, Fiedlera i innych.

W tym właśnie tkwią owe możliwości, jakie dała Annie Seghers obrana przez nią fabuła powieści. I możliwości te autorka wykorzystała w pełni: analizując psychikę kilkudziesięciu ludzi, odsłaniając ich konflikty osobiste, wywołane przez jedno centralne wydarzenie— dała wierny obraz epoki, ukazała jej główną problematykę.

Anna Seghers pokazuje nam wprawdzie w Siódmym krzyżu zdeklarowanych hitlerowców (Fahrenberg, Zillich, Overkamp, Fischer, Bunsen), jednakże większość postaci występujących w powieści, to wrogowie brunatnego ustroju.

Pisarka ukazuje taki obraz społeczeństwa niemieckiego z 1937 roku, w którym przeważają nie akcenty ponurego pesymizmu i bolesnego oskarżenia, lecz wiary i nadziei. Co skłoniło do tego Annę Seghers? Z jakich źródeł czerpie pisarka siłę, która pozwala jej przezwyciężyć tragizm?

Odpowiedź na to zasadnicze pytanie brzmi: Anna Seghers rozpatruje i ukazuje zjawiska społeczne z pozycji ideowych marksizmu-leninizmu. Jej metodą artystyczno-badawczą jest metoda dialektyczna.

Przypomnijmy sobie słowa Stalina:

„Według metody dialektycznej ważne jest przede wszystkim nie to, co się w danej chwili wydaje trwałe, ale zaczyna już obumierać, lecz to co powstaje i rozwija się, choćby nawet w danej chwili wydawało się nietrwałe, albowiem według metody dialektycznej niezwyciężone jest tylko to, co powstaje i rozwija się“ *.

Anna Seghers zdawała sobie w pełni sprawę z rzeczywistego układu sił w jej ojczyźnie, z rozmiaru i głębi tragedii narodowej... Świadczy o tym każdy rozdział Siódmego krzyża, świadczą o tym owe piękne i wstrząsające zdania, zrodzone z bólu i cierpienia:

„Po raz pierwszy wypowiedzieliśmy głośno, że tępieni w takim stopniu, trzebieni tak doszczętnie, musimy zginąć bezpotomnie... to najstraszniejsze, co może w ogóle naród spotkać, to miało się teraz stać z nami: chciano przegrodzić pokolenia „ziemią niczyją“, przez którą nigdy już nie będą mogły przeniknąć doświadczenia przeszłości. Jeśli ktoś walczy i pada, a następny podnosi sztandar, walczy i też pada, a potem następny podejmuje go i też ginie — jest to naturalny bieg wypadków, gdyż nic w życiu nie dostaje się darmo. Jeśli jednak nikt nie chce przejąć sztandaru, bo nie zna zupełnie jego znaczenia?“

Ale Anna Seghers przezwycięża bezmierny tragizm, cechujący te niezapomniane słowa, gdyż wie, że nie można wytępić i wytrzebić postępowych sił narodu, który dał ludzkości takich geniuszów jak Marks i Engels, Goethe i Schiller, Bach i Beethoven; wie, że można spalić Kapitał i Księgę pieśni, ale nie można zniszczyć nieśmiertelnej myśli Marksa i nieśmiertelnej sztuki Heinego. Anna Seghers wie, że nie może pójść na marne walka i cierpienie pokoleń, które

* J. Stalin: Zagadnienia leninizmu, str. 674, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951.

stworzyły i rozwinęły niemiecki ruch robotniczy, że hitlerowscy barbarzyńcy uosabiają potęgę, która się „w danej chwili wydaje trwała, ale zaczyna już obumierać".

Opierając się na założeniach filozoficznych marksizmu-leninizmu Anna Seghers widzi w dramacie swego narodu nie kataklizm dziejowy, przytłaczający zgrozą, lecz etap historyczny — tragiczny, ale przejściowy. Dzięki temu potrafi w najbardziej ponurych godzinach mroku hitlerowskiego dojrzeć i odzwierciedlić te nieliczne, ale jakże istotne światła, które już wówczas zapowiadały nowy odcinek historii Niemiec.

Główne zainteresowanie Anny Seghers jest więc skierowane na dramat rozgrywający się w duszach tych, którzy nie ulegli zbrodniczym hasłom brunatnych władców. Dlatego Fahrenberg, Zillich, dawna przyjaciółka Georga, Leni itd. pozostają — choć reprezentowali wówczas niewątpliwie liczebną większość narodu niemieckiego — na drugim planie powieści. Dlatego S i ó d m y k r z y ż nie jest powieścią o siłach wstecznictwa w społeczeństwie niemieckim, lecz o siłach postępu. Klęska ukazana jest jako historyczne tło, na którym pisarka rysuje zwycięstwo idei nad królestwem tyranii i śmierci.

Ucieczka Georga jest bowiem — w danych warunkach — wielkim zwycięstwem.

Osobowość Georga ukształtowała Komunistyczna Partia Niemiec. Wychowywała go nie tylko na wolności, ale także w obozie koncentracyjnym. Tam bowiem Georg zetknął się z Wallauem.

„Wszystko, co w życiu było mi drogie, odnalazłem w tym chłopcu" — rozmyśla Wallau. „To moje całe obecne życie zawdzięczam jemu — nawet gdyby mi było sądzone dzisiaj umrzeć" — rozmyśla Georg.

Wallau i Georg — to dwie generacje niemieckiego ruchu robotniczego: generacja, która rozpoczęła walkę w okresie pierwszej wojny światowej, i generacja, która rozpoczęła ją w ostatnich latach Republiki Weimarskiej.

Wallau ginie, ale odnosi zwycięstwo, podwójne zwycięstwo. Niezłomnym milczeniem zadaje swoim oprawcom poniżającą klęskę, demonstruje im coś, czego nie potrafią zrozumieć: postawę komunisty. Drugim zwycięstwem Wallaua jest sukces ucieczki Georga: jemu bowiem przekazał doświadczenia rewolucyjne swego pokolenia, jemu przekazał sztandar walki.

Co skłania siedmiu więźniów do przedsięwzięcia, które według wszelkiego prawdopodobieństwa musi przyśpieszyć ich śmierć? Z różnych przyczyn znaleźli się w kaźni gestapowskiej i różne przyczyny pchają ich do ucieczki.

Chłop Aldinger pragnie tylko powrotu do wsi, w której spędził całe życie. Akrobata Belloni nie może znieść upokarzającej niewoli, ufność w powodzenie ucieczki opiera na swej sprawności fizycznej. Instynkt samoobrony jest głównym motorem działania pięciu więźniów, decydujących się na zrzucenie kajdan niewoli.

Inne jest położenie Wallaua i Georga. Oni znaleźli się w obozie za czynny opór wobec hitlerowskiej przemocy, za świadomą ideową walkę, za rewolucyjną działalność. Do ucieczki pcha ich nie instynkt samoobrony, ale zdecydowana wola ponownego podjęcia rewolucyjnej walki o wolność narodu. Oni nie liczą — jak Belloni — na swoją sprawność fizyczną, ani też na cud, który jedynie może uratować wracającego do swej wsi Aldingera — liczą na solidarność proletariacką, na towarzyszy, na partię.

Przez zdradę słabego towarzysza ginie Wallau. Dzięki pomocy towarzyszy

zostaje Georg uratowany. Jego ocalenie jest wielokrotnym zwycięstwem. Nie w tym rzecz, że został uratowany jeden bojownik, lecz w tym, że jego ucieczka ma moralny wpływ na innych. „Zbieg, który uciekł, to zawsze coś, co porusza wszystkich. To jednak budzi zwątpienie w ich wszechmoc. To już pewien wyłom" — mówi Hermann.

Pojawienie się Georga wyrywa ludzi z odrętwienia czy obojętności, budzi ich sumienie, przypomina im ich własne człowieczeństwo. Samym swoim przykładem nawołuje Georg do walki. Do jakiej walki? Czy do walki z ustrojem hitlerowskim? Nie od razu.

Anna Seghers — choć przebywa na wygnaniu — widzi rozkład i obezwładnienie społeczeństwa opanowanego przez faszyzm. Z bezlitosną pasją wielkiego realisty ukazuje tragiczną, okrutną prawdę, prawdę nieupiększoną. Nie oszczędza ani siebie, ani swego narodu. Nie oszczędza młodzieży niemieckiej, gdy opisuje schwytanie Pelzera, nie oszczędza tłumu, podniecającego się pościgiem za Bellonim, który nawet na „ostatnim, beznadziejnym odcinku swojej drogi pragnął bronić swej wolności". Pisarka oskarża z całą surowością społeczeństwo, w którym zbrodniczy ustrój znalazł miliony wykonawców, pomocników, sługusów, ale wraz z Georgiem Heislerem wierzy, iż „całość była dobra, tylko poszczególne części były złe".

Wiara Anny Seghers w zdrowe siły tkwiące w narodzie niemieckim jest jednakże daleka od łatwego optymizmu. Świadczy o tym obraz właśnie tych postaci w Siódmym krzyżu, które reprezentują obóz postępu. Główna walka, jaką muszą ludzie ci stoczyć w okresie najgłębszego kryzysu ruchu antyfaszystowskiego w Trzeciej Rzeszy, to walka z samym sobą: z niewiarą we własne siły, ze strachem, z oportunizmem i wygodnictwem.

Do tej walki przede wszystkim nawołuje zjawienie się uciekającego Georga.

Zwycięstwo w tej walce umożliwi dopiero walkę z ustrojem, walkę z faszyzmem.

Takie zwycięstwo odnoszą Franz Marnet, Paweł Roeder, dr Kress, Fiedler, Sauer i inni. Dzięki zetknięciu się ze sprawą ucieczki Georga otrząsają się z marazmu, przezwyciężają siebie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu organizują wspólną akcję. Sukces tej akcji uprzytamnia im własne siły, ukazuje, że z hitleryzmem nie tylko trzeba, ale także można walczyć.

Istota zwycięstwa Georga polega na jego znaczeniu moralnym i wychowawczym, bynajmniej nie ograniczającym się do wpływu tylko na tych, którzy biorą bezpośredni udział w akcji jego uratowania. Przecież ucieczka siedmiu więźniów z obozu Westhofen ma ogromne znaczenie dla pozostałych w obozie ofiar Gestapo: „Większość uważała zbiegów za cząstkę nas samych, mieliśmy uczucie, jakby oni byli przez nas wysłani. Chociaż nie mieliśmy pojęcia o ich planie ucieczki, czuliśmy się tak, jakby nam samym udało się coś niezwykłego". Sukces ucieczki Georga uważany jest przez więźniów za tryumf. „Mały tryumf, to prawda, zwłaszcza w zestawieniu z naszą bezsilnością i naszymi pasiakami — ale mimo to tryumf, który niejednemu po Bóg wie jak długim czasie przywrócił poczucie własnej siły, tej siły, która zbyt długo oceniana była, nawet przez nas samych, jako jedna z wielu zwykłych sił na ziemi, dających się zmierzyć i zważyć. A przecież jest to jedyna siła, która nagle może urosnąć do bezmiernej, nieobliczalnej potęgi".

Istnienie i siłę tej potęgi uprzytamnia ucieczka Georga nawet brutalnemu komendantowi obozu, Fahrenbergowi: „Poczuł, że tu nie chodzi o jednego po-

szczególnego człowieka, którego rysy były mu znane, którego siły mogły się wyczerpać, lecz o bezmierną, niewidzialną potęgę".

Siódmy krzyż jest powieścią zrodzoną z bólu i cierpienia, wiary i nadziei, powieścią ukazującą na konkretnym przykładzie historycznym centralną problematykę naszej epoki w świetle tej filozofii, która jedyna wyjaśnia nam sprzeczności ludzkiego społeczeństwa i pokazuje drogę ich przezwyciężenia: filozofii marksizmu-leninizmu. Lecz miarą ideowej dojrzałości każdego dzieła literackiego jest dopiero jego zdolność ideowego oddziaływania, a to uzależnione jest od jego artystycznej doskonałości.

Rozdźwięk między głęboką świadomością ideologiczną a ograniczonymi jeszcze możliwościami artystycznymi pisarki zaważył na wymowie utworów powstałych przed 1937 rokiem. Przezwyciężeniem tego rozdźwięku jest Siódmy krzyż.

Niewiele tak doskonałych powieści mamy w literaturze niemieckiej. I choć piszący te słowa zdaje sobie sprawę, iż naraża się na zarzut popełnienia przesady, nie może się jednakże oprzeć pokusie stwierdzenia, iż w całej literaturze światowej niewiele jest powieści tak znakomicie skomponowanych.

Czas trwania akcji: siedem dni.

Konstrukcja: siedem rozdziałów, z których każdy odtwarza losy bohatera w danym dniu.

Każda scena i każda postać spełniają określoną funkcję w ramach całości: są nieodzownymi ogniwami akcji fabularnej, są nieodzownymi fragmentami wielkiego malowidła społeczno-historycznego. Wszystko jest potrzebne — nie ma nic zbędnego.

Każda postać — a jest ich blisko pięćdziesiąt — naprawdę żyje. Każdy kamyk w mozaice ma swoją wielkość, swoją barwę, swój kształt.

Obrazy poszczególnych środowisk społecznych podbudowane są bogatym zasobem realiów, świadczącym o głębokiej znajomości psychiki i warunków życia ludu niemieckiego; nigdy jednak szczegóły nie obciążają toku epickiego, niezwykle wartkiego i konsekwentnie realizowanego od pierwszej do ostatniej stronicy książki.

Przejrzystej, surowej konstrukcji Siódmego krzyża odpowiada język piękny i klarowny, prosty i niewymuszony, a przede wszystkim jakże precyzyjny. Jest to proza dojrzała, pojemna i oszczędna, bez jednego zbytecznego słowa.

Przenikliwość spojrzenia Anny Seghers na człowieka idzie w parze z odwagą ukazywania najbardziej bolesnych faktów, żar ideowej namiętności — ze zdolnością ostrego formułowania tragicznych problemów epoki.

Ale nie tylko ludzie żyją w tej powieści. Żyje spokojny krajobraz nadreński, na tle którego rozgrywa się dramatyczna akcja. Żyją miasta, miasteczka i wsie, pola i łąki, lasy i rzeki. Przebywając na wygnaniu w Paryżu, gdzie niegdyś schronił się jeden z największych geniuszów słowa niemieckiego, Henryk Heine, pisarka odmalowuje swe ojczyste strony: na ziemiach między Renem a Menem spędziła dzieciństwo i młodość. Tam po raz pierwszy czytała wiersze Goethego, słyszała muzykę Beethovena, poznawała myśli Marksa: wszyscy oni urodzili się w tych stronach: nad Menem, nad Renem, nad Mozelą.

Gdy przyszłe pokolenia w utworach literackich szukać będą prawdy o walkach w naszej epoce — czytać będą ową powieść wielkiej pisarki niemieckiej, która w najmroczniejszych godzinach hitlerowskiej nocy dała artystycznie do-

skonałą ilustrację genialnych słów Stalina z 1942 roku: „Śmieszną byłoby rzeczą utożsamienie kliki Hitlera z narodem niemieckim, z państwem niemieckim. Doświadczenie historyczne uczy, że hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki, a państwo niemieckie — pozostaje" *.

Czytać będą powieść, w której Anna Seghers analizując klęskę — dała wizję zwycięstwa, obrazując bestialstwo faszyzmu — pokazała uszlachetniający wpływ idei komunistycznej na formowanie się osobowości człowieka. Nie zapomną, iż pisarka cieszyła się u współczesnych najwyższym uznaniem, jakie spotkać mogło twórcę w naszej epoce, że została w 1951 roku odznaczona Międzynarodową Stalinowską Nagrodą Pokoju. Ale pamiętać będą także, że w tym samym czasie w rodzinnych stronach Georga Heislera, w rodzinnych stronach Anny Seghers — jej wielkie dzieło j e s z c z e było zakazane. Zrozumieją choćby z tego faktu, iż w latach po drugiej wojnie światowej rządzili w zachodnich częściach ojczyzny pisarki spadkobiercy brunatnych zbrodniarzy, którzy podobnie jak tamci obawiali się postępowej myśli.

I zrozumieją, iż do zwycięstwa sprawy wolnego, z j e d n o c z o n e g o państwa niemieckiego, do wyzwolenia człowieka — przyczyniła się powieść S i ó d m y k r z y ż, wielkie dzieło Anny Seghers.

Marceli Ranicki

* J. Stalin: O wielkiej wojnie narodowej Związku Radzieckiego — Rozkaz Ludowego Komisarza Obrony z 23 lutego 1942 roku Nr 55 Moskwa — str. 44. Wyd. Książka i Wiedza — Prasa Wojskowa 1951 r.

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

W miesiącach letnich kilkanaście nowych spektakli przewinęło się przez sceny warszawskie — począwszy od P o w r o t u p o s ł a z premierą w klubie fabrycznym robotników Ursusa, czym zespół Teatru Polskiego i Kameralnego uczcił Święto 1-go Maja i 60-tą rocznicę urodzin Bolesława Bieruta.

I na Niemcewiczu nie skończył się też wiek XVIII. Następne miesiące przyniosły stołecznym scenom jeszcze dwóch postępowych autorów tego wieku — Zabłockiego i Goldoniego, aż wreszcie współczesną sztukę Haliny Auderskiej o stosunkach społecznych w okresie Sejmu Czteroletniego.

W historycznej konfrontacji z naszą aktualnością, w której Nowa Konstytucja kodyfikuje wielkie osiągnięcia i całą sytuację społeczną dzisiejszej Ludowej Polski — sztuka Auderskiej ma swą szczególną wymowę, a słowa Niemcewicza i Zabłockiego łączą nasze myśli z bojowymi tradycjami Oświecenia, wyjaskrawiają konsekwentną drogę postępu — od gwałtownej krytyki do gwałtownych zwycięstw.

P o w r ó t p o s ł a to przecież otwarcie polityczny, publicystyczny utwór sceniczny, którego celem była walka o postulaty rzucane przez radykalnych projektodawców Konstytucji 3 Maja. Ten bezpośredni cel polityczny, realizowany niesłychanie rzeczową w treści przy swej poetyckiej formie polemiką, czyni nam ten utwór szczególnie bliskim. Naprawdę nasze definicje realizmu socjalistycznego nie spadły nam z nieba. Elementy tego realizmu tkwiły zawsze w literaturze walczącej o postęp społeczny z odważną wiarą

w ten postęp. Taką właśnie literaturą jest utwór Niemcewicza, napisany i ku oburzeniu ówczesnych wsteczników zaprezentowany publicznie w okresie obrad Sejmu Czteroletniego. Dziś zespół Teatru Kameralnego — wystawiając go z całym pietyzmem — nie zapomniał o żadnym z jego walorów. I dobrze, że czuło się głęboką dbałość aktorów o wiersz, bo dzięki temu tym bliższa stała się widownia i epoka, i ręka autora, i sprawa bezpośredniej siły publicystycznej, jaką zawierać może dobra poetycka forma.

Niestety, inaczej się stało z Fircykiem w zalotach Zabłockiego. A ten autor — obok Niemcewicza najzagorzalszy z poetów zwolennik Obozu Reform, chłoszczący w swych komediach ucisk, wstecznictwo i blichtr bezlitosnym biczem satyry — godzien był nie mniejszego wysiłku ze strony aktorów i reżysera. Zespół Teatru Narodowego zdecydowanie tym razem zawiódł, szczególnie w ustawieniu roli tytułowej. Wypunktowano i wyeksponowano wprawdzie w dostatecznym stopniu wszystkie w tekście tkwiące, bezpośrednie szyderstwa i ataki skierowane przeciwko niesprawiedliwości społecznej, ale zagubiono zupełnie jednoczesną — ważną tu i konieczną — lekkość komedii, lekkość związaną nierozłącznie z całym jej realizmem obyczajowym. Nie ma przekonywającego, spełniającego swe artystyczne i polityczne zadanie Fircyka w zalotach bez przekonywającego Fircyka i Arysta. Fircyk Wołłejki stał się jakiś niezgrabny w zachowaniu i w słowach, niemal wulgarny. I w rezultacie od razu stracił swój sens jako typ społeczny — tak przecież precyzyjnie i z taką ostrością widzenia swej współczesności przez Zabłockiego namalowany. Gdzież się podziała lotność i ogłada tej postaci stanisławowskiego galanta? Aryst Szczepkowskiego również nie zaprezentował nam typu, o który w utworze chodziło. Był tylko dziwaczną i kapryśną groteskową kukiełką — a przecież postać ta ma swój wyraźny sens społeczny w tej śmiałej realistycznej satyrze, w której znakomity i politycznie tak aktywny poeta Oświecenia ośmiesza i demaskuje dzikie obyczaje, okrucieństwo wobec poddanych, nędzę duchową ówczesnych prowincjonalnych satrapów. Jeżeli Aryst to tylko dziwak — jak nam sugeruje Szczepkowski zubożając utwór — to utwór ten przestaje być tym, czym dla współczesnych był: bojową satyrą społeczną.

Właściwe proporcje i właściwe znaczenie przywracał tu utworowi chyba jedynie Nowak w roli Pustaka. Ta postać sługi Arysta przez swą naturalność i prawdziwość wizerunku ludzkiego najmocniej ukazała w widowisku zamierzenia utworu, jaskrawo zaprezentowała — z całą ostrością tej społecznej satyry — obraz poniżenia człowieka. Sceny z Pustakiem postawione i rozwiązane zostały tu celnie i przez aktora, i przez reżysera. Ale ten jeden wysiłek po właściwej linii — to jeszcze za mało. Dobrze przeprowadzona przez Skarżankę rola Podstoliny nie mogła uratować wypranych z wszelkiego uroku i stylu scen z Fircykiem.

A wiersz Zabłockiego? Z żalem słuchało się na widowni tego cennego w dorobku naszej literatury poetyckiego tekstu — nie czując tu ani jego lekkości, ani barwności, ani wdzięku, ani jego rytmu. Z całego widowiska pozostał niemal jedynie sens słów — ośmieszający wstecznictwo, odważny i światły — ale to już nie było zasługą teatru.

I jeszcze jedna komedia osiemnastowieczna — tym razem autora obcego, lecz nie mniej postępowego w swym

krytycznym stosunku do klasy panującej — W a c h l a r z Goldoniego. Ostrze satyry społecznej, tak zjadliwie kąsające współczesnych mu „panków" w innych jego komediach — w W a c h l a r z u jest nieco łagodniejsze, dobrotliwsze. Ale obraz stosunków społecznych i tu jest wyrazisty w swej realistycznej karykaturze. Ta typowa „komedia intrygi" dostatecznie promieniuje jednocześnie światłym spojrzeniem autora na współczesną mu rzeczywistość społeczną, aby być dla naszej widowni widowiskiem interesującym i cennym. Zespół Teatru Ludowego umiał zrobić z niej popis lekkości, żywej barwności i wdzięku — nie spłycając obrazu groteską, nie zamazując wyrazistego rysunku codzienności stosunków społecznych włoskiego miasteczka z drugiej połowy XVIII stulecia. Panna Kandyda Gosławskiej czy Giannina Seredyńskiej, czy Crespino Lamży, czy Baron del Credo Michalewicza — z trafną precyzją te stosunki społeczne charakteryzowali.

Współczesna sztuka o wieku XVIII — Z b i e g o w i e Auderskiej — wprowadza nas w ciężką atmosferę szlacheckiego władztwa i straszliwej krzywdy społecznej na ziemi polskiej w pierwszym roku obrad Sejmu Czteroletniego, a więc w momencie, kiedy myśli wielu światłych obywateli — dojrzałe już do głębokich reform — ścierały się w walce z upartym i otwartym lub obłudą maskowanym wstecznictwem. Wybierając ten właśnie moment historyczny — autorka niesłusznie tak słabo obsadziła szaniec postępu, reprezentując go naocznie właściwie tylko przez światłego i krytycznego, ale już z góry zgorzkniałego i liczącego się z przegraną Starościca. Bo chłopski wędrowiec Bicz — to nazbyt wysoko zawieszona w powietrzu pogróżka przyszłości. A więc nie ma tu walki, która już przecież toczyła się z rosnącą ostrością, nie uzbrajają do niej Starościca potężne głosy Kołłątaja, Staszica, Jezierskiego, nie ośmiela go P o w r ó t p o s ł a Niemcewicza, ani żadna z komedii Zabłockiego... Pomimo to obraz — choć jednostronny — obraz perfidnej tyranii szlacheckiej uwypuklony doskonale celną satyrą jest tak sugestywny, że wznieca gwałtowne i prawdziwe uczucie buntu, każe surowo patrzeć w złą przeszłość, pozwala jaśniej dostrzegać wielką drogę postępu. I to jest niezaprzeczonym zwycięstwem talentu autorki. Zespół Teatru Ateneum pięknie przyczynił się do tego zwycięstwa. Ukazał na scenie postaci realne, postaci z krwi i kości, wyraźnie zindywidualizowane, pełne historycznej prawdy, jak choćby — nade wszystko — Podstoli Nowickiego, Komisarz Klejera, Kucharz Libnera, czy doskonała w swej roli Nastka Joanny Walter.

Nie zabrakło na scenach warszawskich także i wieku XIX — z tak wspaniałą i odpowiedzialną pozycją na czele jak R e w i z o r Gogola, z tak trudnym przedsięwzięciem teatralnym, jak próba inscenizacji L a l k i Prusa.

Sprawa L a l k i — i jej niezbyt fortunnej adaptacji scenicznej ukazanej nam w Teatrze Polskim — została już w poprzednim numerze Twórczości omówiona obszernie i szczegółowo. W każdym razie — bez względu na lepszy czy gorszy wynik — próba tak poważnej adaptacji i bogata na ten temat dyskusja przyniosły w zysku sporo doświadczeń, które niewątpliwie bardzo przydadzą się przyszłym adaptatorom i inscenizatorom naszych wielkich arcydzieł powieściowych.

Zespół Teatru Współczesnego zaprezentował świetną komedię Zapolskiej I c h c z w o r o. To naprawdę nie

starzejący się utwór. W każdym jego zdaniu, w każdym słowie, w każdej sytuacji — ostrze palącej satyry głęboko trafia w odrażającą codzienność mieszczańskiego środowiska. Z całą precyzją analizy społecznej komedia ta obnaża mieszczańskie życie, mieszczańską moralność i obłudę ludzi najzupełniej przeciętnych. I dlatego znowu najniepotrzebniej w świecie aktorzy ciążyli w swej grze ku grotesce, ku malowaniu postaci i sylwetek tendencyjnie „śmiesznych", jak gdyby sam sens słów tekstu nie wystarczał. A ten sens staje się właśnie mocniejszy społecznie — przy przeciętności i prawdziwości postaci. Gogol — ten niedoścignięty mistrz satyry społecznej — wyraźnie przestrzegał aktorów przed zamazywaniem sensu społecznego postaci groteską: „...Najbardziej trzeba się obawiać, aby nie wpaść w karykaturę. Nic nie może być wyolbrzymionego ani trywialnego nawet w najmniejszych rolach... Im mniej aktor będzie myślał o tym, aby śmieszyć i być śmiesznym, tym bardziej odsłoni się śmieszność jego roli, śmieszność odsłoni się sama przez się właśnie w tej powadze, z jaką zajęta jest swoimi sprawami każda z postaci, wprowadzonych do komedii."

Słynnego R e w i z o r a — tę genialną satyrę, która w czasach mikołajowskich jak taranem uderzyła ze sceny w policyjno-urzędniczą podporę caratu — zobaczyliśmy w nowej inscenizacji na deskach Teatru Narodowego. Co dała nam ta nowa inscenizacja? Utwór jest szyderczą karykaturą swych czasów — ale karykaturą niesłychanie realistyczną, ostrą społecznie i politycznie. Widowisko w Teatrze Narodowym stworzyło natomiast wiele sytuacji sprzecznych z tym realizmem, przesymbolizowanych, niemal pantomimicznych — jak chociażby wszystkie sceny z bezkształtną gromadą kupców. Ku temu też zmierzały niektóre sceny z Bobczyńskim i Dobczyńskim. A realia? Skąd aż tak wspaniały pałac w prowincjonalnej dziurze, 60 wiorst od kolei? Tracimy pewność, gdzie się to wszystko odbywa. A to chyba niedobrze.

Za to dało nam widowisko nową postać Horodniczego, z której Kurnakowicz stworzył naprawdę świetną, żywą dla sensu utworu, sugestywną i drapieżnie realistyczną sylwetkę. Z uznaniem należy pokwitować też dbałość o niektóre najdrobniejsze nawet role. Zagadnieniem do dyskusji staje się natomiast przeprowadzenie przez Fijewskiego postaci Chlestakowa, rzekomego Rewizora z Petersburga... Czy dobrze jest, że Chlestakow tak od razu i w tak rzucający się w oczy sposób wydaje się być przez cały czas hochsztaplerem? Przecież to komedia pomyłek, poprzez którą obnażają się służalcze i okrutne dusze urzędników carskich. Chlestakow-lekkoduch — jest raczej o całe niebo od nich uczciwszy, dopóki sytuacja nie zmusza go do pogodzenia się z narzuconą rolą. A i wtedy przede wszystkim kpi z otoczenia, w które go los wepchnął. Właśnie przez kontrast z nim to małomiasteczkowe środowisko urzędnicze staje się dla naszych oczu tym okropniejsze. Chlestakow nie przyjechał z zamiarem szukania kogoś, jak to nam trochę zasugerował swoją grą Fijewski.

R e w i z o r jest po pierwsze polityczną, a po drugie obyczajową satyrą — i myślę, że z tego założenia powinno wynikać dla teatru zadanie nadrzędne przy inscenizacji tego utworu. Wszystkie proporcje i role postaci w całości widowiska powinny być wydobyte z tekstu z najskrzętniejszym realizmem, aby zaakcentować to, co było współcześnie dla tego utworu najistot-

niejsze — jego sens demaskatorski w stosunku do panującego ustroju.

W Teatrze Powszechnym wkraczamy w wiek XX. Niespokojna starość Rachmanowa — to jedna z wielkich serii świetnych radzieckich dramatów o Rewolucji Październikowej. Kolejne akty obejmują lata 1916 — 1917 — 1918 — i ukazują trudną ale zwycięsko przebytą drogę starego profesora Poleżajewa, który wraz z całym swym uznanym już w świecie dorobkiem naukowym staje zdecydowanie po stronie rewolucji. Wszystko co się dzieje na scenie — dzieje się w czterech ścianach jego pokoju. Ale przez ten pokój przepływa nieustannie huragan wielkich wydarzeń ze wszystkimi swymi wirami i starciami wrogich sobie sił. Zespół Teatru Powszechnego wiele szczerej pasji wlał w całość przedstawienia i właściwe scharakteryzowanie poszczególnych ról. Zadominowała wielka postać profesora Poleżajewa — i wielka kreacja Wojciecha Brydzińskiego, który umiał tu włożyć tyle temperamentu i tyle prawdy życiowej, że chyba na długo piękna ta postać pozostanie w pamięci patrzących.

Teatr Domu Wojska Polskiego podjął interesującą próbę adaptacji i opracowań scenicznych trzech utworów amerykańskiego pisarza współczesnego Alberta Maltza — i wystawienia ich w postaci jednoaktówek pod wspólnym tytułem: Oto Ameryka! Rezultaty tej próby wypadły nierówno. Mocne artystycznie i politycznie wrażenie wywiera zwarta i jednocześnie bogata w treści jednoaktówka Szeregowiec Hicks — ukazująca ostry, dramatyczny konflikt w oddziale żołnierzy, którym dowództwo daje rozkaz strzelania do strajkujących robotników-rodaków. Ale przeróbka doskonałej i wstrząsającej noweli na zbyt nieruchomy dialog sceniczny w jednoaktówce Najszczęśliwszy człowiek na świecie — nie stała się dostatecznie silnym odpowiednikiem pierwowzoru pomimo dobrej gry Kondrata w roli Jesse Fultona. Sprawa jest trudna i skomplikowana: w prozie wraz z dialogiem konstruuje utwór opis i komentarz. Przy scenicznej przeróbce trzeba sobie z tym jakoś poradzić. Adaptacja Lalki mocno świeci w tej sprawie negatywnym przykładem.

Trzecia jednoaktówka Maltza — Próba — to chyba już w ogóle niedobry wybór. Utwór został tu okrojony z całej panującej w nim atmosfery mistycznej, ale przez to nie stał się wcale realistyczny. Stał się nieskładnym kikutem utworu o nieprzekonywającej treści. Pozostała właściwie jedna rola aktorska, tym trudniejsza, że osadzona wśród zupełnej martwoty innych postaci. Z wielkim talentem poradziła sobie w tej dziwnej roli — w roli Wiery Savage — zarówno Nawrocka jak i Skowrońska. Ale artystyczny, psychologiczny i ideologiczny sens tej roli pozostał zapewne w ustępach skreślonych.

Juliusz Żuławski

ZNALEZISKO

Od pewnego czasu teatry coraz częściej raczą nas odkryciami z dziedziny swoistej archeologii repertuarowej. Objaw to ze wszech miar dodatni, ani trochę na ironię nie zasługujący, że przypomniano nam niemal jednocześnie pozycje tak interesujące, tak niesłusznie (i nie bez kozery — o czym niżej będzie mowa) niegdyś pyłem zapomnienia przysypane, jak Komedię Nałęcz-Korzeniowskiego, Błazna Świętochowskiego czy sztukę Piotra Choynowskiego, od paru już miesięcy graną

w Poznaniu. *) Jest wszelako jasne, że odkrycia te są także dowodem głodu repertuarowego, którego wciąż nie zaspakaja w sposób dostateczny i społecznie skuteczny dramatopisarstwo współczesne. Z drugiej strony podkreślić trzeba, że znaleziska te, choć znakomita ich większość uwieńczona jest sukcesem, nie mają należytego echa, nie są prawie podchwytywane ani wykorzystywane poza sceną macierzystą. Ruchome piaski zagrano jeszcze w Olsztynie. I cisza. A co ze świetną Komedią? Świadczy to o słabej korelacji planów repertuarowych, o niedostatecznej współpracy i nie dość żywej wymianie doświadczeń pomiędzy ośrodkami życia teatralnego. Świadczy także raz jeszcze o słuszności prawdy aż nazbyt oczywistej i aż nazbyt często zapoznawanej: kierownik literacki jest postacią w życiu teatru niezbędną; jego to aktywność, dojrzałość ideowa i znajomość dramaturgii przesądza o charakterze i wartości repertuaru. Znamienne jest, że omawiane wznowienia miały miejsce tam, gdzie w teatrach ma coś do powiedzenia twórczy i wykształcony literat. Gorsza sprawa, że niesposób tego powiedzieć o większości teatrów stołecznych. Z tego stanu rzeczy należałoby wyciągnąć trzy przynajmniej wnioski, dyktowane także przez mnóstwo innych przesłanek. Po pierwsze — co powtarzać trzeba przy wszelkiej możliwej okazji — kierownictwa literackie teatrów powinny być wzmocnione, obdarzone grubo większym zaufaniem i autorytetem, a przede wszystkim — wszędzie obsadzone i to w porozumieniu ze Związkiem Literatów Polskich. Po drugie — odkrywcze talenty tych kierownictw należy wykorzystać dla forsownych poszukiwań nowego współczesnego polskiego repertuaru, co także nie da się zrobić bez najściślejszego kontaktu z literatami i sekcjami dramatu ZLP. Po trzecie — trzeba się umocnić na zdobytych pozycjach i udostępnić widzom z innych ośrodków rzeczone zdobycze repertuarowe. A warto, dalibóg.

Słuchało się Ruchomych piasków z rosnącym uczuciem zaskoczenia i aprobaty zarazem. Nasamprzód — wpadał w ucho wartki dialog. Jędrny, zwięzły, muskularny. Wiadomo było zawsze o Choynowskim, że jest stylistą wybornym; poprzestawało się jednak na tym określeniu nie szukając nawet ważnego wskaźnika, który o wrażeniu przesądzał, nie analizując najważniejszej sprawy: ten pisarz szukał celności, dokładności określeń, a nie czczego blasku. W Ruchomych piaskach mamy słowa nie wyszukane, ale właśnie znalezione. Nieomylne repliki, rozmowy jakby skondensowane, realistyczne właśnie, a nie nijakie, rzekomo „życiowe". I akcja — logiczna, konsekwentna, a dlatego prosta jak strzelił, chociaż wcale zasobna w niespodziewane zwroty, ściśle przy tym związana z przemianami pełnokrwistych charakterów, w jakie Choynowski postacie tej sztuki wyposażył. Nic zbędnego, wtórnego. Sztuka budowana na zrąb; wszystko tu się trzyma kupy, dlatego przydaje się nie tylko autorowi, ale i widzowi. Chociaż rzecz napisana była w dość mętnym okresie historii naszej literatury, jednakże jest zupełnie prawie wolna od piętna przyziemnego, drobnostkowego naturalizmu. Nie ma w niej kultu ślepego szczegółu. Nie ma lepkiej zawiesistości. Jest klarowna oszczędność, celowość w konstrukcji, jest dominująca myśl autora, która się wcale nie czuje bezradna wobec obfitości materiału ży-

*) Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu. Piotr Choynowski: Ruchome piaski. Sztuka w 3 aktach. Opracowanie dramaturgiczne: St. Hebanowski i J. Zegalski. Reżyseria: Jerzy Zegalski. Scenografia: Zbigniew Bednarowicz.

ciowego. Charaktery — zawisłe od układu życia. Od warunków generalnych, historycznie decydujących. A jednak — nie ma fatalizmu w przedstawionych losach, wyraźny jest raczej protest przeciw niemu — nie deklarowany, nie gołosłowny, ale taki, do którego autor nieuchronnie doprowadza samego widza. Czy znaczy to, że Choynowski miał skłonności buntownicze, może nawet rewolucyjne? Ani trochę. Po prostu — pisał prawdę. W tym właśnie tkwi wielki walor tej sztuki, niewątliwie narodzonej z dobrych tradycji krytycznego realizmu w naszej literaturze, tradycji pozytywistycznych, jak to słusznie podkreśla Wacław Kubacki w swoim interesującym artykule (Teatr Nr 10, 1952).

Trudno za to zgodzić się na rozważania Kubackiego, widzącego w Ruchomych piaskach „wariant klasycznego zagadnienia naszej pozytywistycznej powieści: rozkład ziemiaństwa i jego niedole na miejskim bruku".

Wydaje się jasne, że szlacheckie fumy, troski i koneksje rodziny Wróblewskich są w Ruchomych piaskach tylko sztafażem, sprawą drugorzędną, wcale nie najważniejszą. Słusznie zauważył kiedyś Paweł Hoffman, że to, co się u nas często mianuje „szlachetczyzną", jest w gruncie rzeczy własnością pospolitej burżuazji, częścią nadbudowy społeczeństwa kapitalistycznego. Wiadomo, że mieszczaństwo nasze zgłaszało zapotrzebowanie nie tylko na fałszywe portrety przodków, ale w ogóle na wszelkie czcigodne pozory i radujące oko usprawiedliwienia swojej zasadniczej działalności; nie polska to zresztą specjalność. Dorabiano sobie mity na prawo i na lewo: krzepiło to serca i uświetniało interesy bieżące. Szlacheckie mody w naszych obyczajach i literaturze bynajmniej nie ziemiaństwu służyły, bynajmniej nie tylko czczym były snobizmem, ale konkretnie dopomagały umocnieniu się bazy społeczeństwa mieszczańskiego. Właśnie Choynowski, okrzyczany jako piewca i laudator szlachetczyzny, uwierzył w natrętnie powtarzane sugestie i stał się w późniejszych swoich powieściach, obiektywnie biorąc, mitologiem mieszczaństwa, czymś w rodzaju fabrykanta spatynowanych antenackich portretów; był zresztą wybitnym fachowcem w tej dziedzinie. Nie trzeba sądzić naiwnie, że skoro pisał o szlachcie, to był ideologiem i pisarzem ziemiaństwa.

Polemika, która dookoła omawianej sztuki trwa, dotyczy — z grubsza biorąc — jej stosunku do Moralności pani Dulskiej. Tymczasem jest rzeczą oczywistą, że Ruchome piaski są bliżej spokrewnione z inną naszą sztuką, z Lekkomyślną siostrą, należąc przy tym do jej bardziej udanego rodzeństwa. Toć to przecież prehistoria losów bohaterki Perzyńskiego! Niech właśnie nikogo nie zwodzi różnica pochodzenia, niech nam sprawy nie gmatwają drugorzędne kwestie bliższych czy dalszych wspomnień z dworku rodem. Obie sztuki i Ruchome piaski i Lekkomyślna siostra zawierają krytykę tych samych czasów i warstw, tyle że Choynowski robi to śmielej, jaśniej, bez minoderii, bez kuchennego sceptycyzmu, bez kokietowania salonową pobłażliwością.

Dreszcz przechodzi — co za czasy to były! A takie to bliskie jeszcze. Dreszcz błogosławiony, bo pamięć zawodna, a mity twardy mają żywot. Czasy, kiedy człowiek nie był wolny w swoich odruchach, kiedy najbardziej osobiste jego sprawy zależały od pieniędzy i to najczęściej cudzych. Źle mówię. Nie chodzi tu o zawisłość od legendarnego „pieniądza", bezosobowego molocha, fatum ciążącego nad wszystkimi powieściami i

dramatami naturalistów, wiszącego jak niewidzialny topór nad głowami bohaterów Dygasińskiego, Świętochowskiego, ba, Prusa, straszącego niekiedy w sztukach Zapolskiej. W Ruchomych piaskach pokazany jest mechanizm działalności nie mitycznych pieniędzy, ale ich posiadaczy. Różnica wcale nie błaha.

Siła większości wybitnych dzieł realizmu krytycznego na tym polega, że biły one w samo sedno, samo jądro swego czasu. Gogol w Rewizorze atakował machinę państwową — główne narzędzie klasy, z którą tragicznie walczył. Balzak nie zatrzymał się na powierzchni, nie same tylko obyczaje opisywał, ale śmiało obnażył materialne przyczyny postępków wszystkich swoich bohaterów. Aleksander Ostrowski, nawet o teatrze pisząc (Talenty i wielbiciele, Las) wskazywał niedwuznacznie na bardzo ziemskie źródło jego doli i poniżenia — zależność od kupieckiej kiesy.

U nas krytycy mieszczaństwa, najczęściej własne jego dzieci, nie krytykowali tej klasy zbyt ostro. Pobłażliwość była zazwyczaj rezultatem szczególnej sytuacji kraju, którego lud znosił nie tylko ucisk klasowy, lecz także narodowy. Burżuazja szantażowała niejako pisarza argumentem solidarności narodowej. Nie ulega wątpliwości, że miało to wpływ na charakter krytyki społecznej nawet tak świetnych i uczciwych naszych pisarzy jak Prus czy Żeromski. Przypomnijmy sobie drogę Sienkiewicza — od Szkiców węglem aż do mieszczańskiej sielanki w Rodzinie Połanieckich. Wiadomo, że Zapolska nie sięgała poza krytykę moralności państwa Dulskich. Nie znaczy to wcale, aby nie dobierała im się do sadła. Nie znaczy też, aby jej ofensywna działalność traciła przez to na bojowej wartości, faktem jest jednak, że zasięg miała ograniczony. Podkreślmy: pretensji o to zgłaszać nie wolno. Stwierdźmy jednak, że — statystycznie rzecz biorąc — właśnie u nas mało kto odrabiał te zaległości. Moralność Dulskiej doczekała się wytężonej uwagi. To znakomicie. To powinno było być zrobione. Szkoda tylko, że zrobione było jedynie to, albo niewiele więcej. Mało mamy utworów takich, jak Ruchome piaski, atakujące — wedle słusznego spostrzeżenia Kubackiego — sam *nervus rerum*. Dla rozwoju naszej literatury i myśli społecznej pożyteczna byłaby pewna równowaga w tym przedmiocie.

W Lekkomyślnej siostrze Perzyńskiego zgrabnie wyśmiana jest tedy pruderia mieszczańskiej rodziny; mamy tu historię łatwego zwycięstwa chciwości i podłości nad tymi właśnie zasadami moralnymi, które stanowią w ustroju kapitalistycznym tylko fasadę (czy raczej ochronny werniks) obyczajów, naturalnych dla tej formacji społecznej.

Perzyński pokazał z należytą gracją i swobodą, jak zacna rodzinka wybacza siostrze — co prawda z dużym opóźnieniem, nie bez fochów i dąsów — że lekkomyślnie puściła się (jak to nasi bezceremonialni rodzice mawiali) z bogatym panem i wyjechała z nim w zagraniczny wojaż, zaopatrzona jedynie w błogosławieństwo konduktora; pokazał dalej, jak heroinie (bo też poczciwa Mania wyrasta — chcąc nie chcąc na heroinę, takie już jest fatum tej sztuki) nie zostaje wybaczone to właśnie, że wyrzekła się materialnych korzyści tej sytuacji, czym zawiodła oczekiwania rodzinki.

Cała sprawa odbywa się w atmosferze handlowej, przy czym dowcip wydobyty jest z nieoczekiwanej różnicy między pozorami a istotą sprawy,

z konfliktu między teoretycznymi zasadami mieszczańskiej rodziny a jej życiową praktyką. Mogłaby być z tego komedia jeszcze wyborniejsza, przy całej gatunkowej konsekwencji, autor bowiem przezornie nie wprowadził w grę społecznego fatalizmu i nie kazał bohaterom działać z ponurego musu życiowego; nie starczyło Perzyńskiemu śmiałości, ochoty i ambicji do ostrzejszych, mniej pobłażliwych kpin z własnej klasy, do zupełnego odrzucenia pokus melodramatycznej kokieterii. Stąd — niestety — łezka, stąd podejrzane ciepełko, zwłaszcza w charakterystyce bohaterki. Zwróćmy uwagę, że należy nam się zabawne pierwszeństwo odkrycia postaci ladacznicy z zasadami! Szkoda tylko, że sztuczna ta figura tak się w dramaturgii polskiej żwawo mnożyła.

Sztuka Choynowskiego nie jest komedią, lecz dramatem. Jej konflikt rozgrywa się nie w kategoriach moralnego stosunku do wydarzeń, lecz w kategoriach ludzkiego losu. Pomimo to — bohaterka Choynowskiego nie jest mimowolną heroiną, nie jest *porte-parole* autora, którego nie musi jeszcze w tym wypadku żenować przeszłość tej osoby, aczkolwiek Jadwiga z R u c h o m y c h p i a s k ó w jest rozwódką i ma fatyganta. Dzieje, których dość zabawny finał opisał Perzyński, tu się dopiero zaczynają i mało są jeszcze zabawne. Jadwiga musi zostać sprzedana bogatemu starcowi — i to sprzedana z większą korzyścią niż przy nieudanym swoim małżeństwie, sprzedana na łaskę i niełaskę, bez żadnych honorowych warunków, sprzedana dlatego, że inaczej ją i rodzinę czeka nędza. Ordynarna, plebejska nędza, poniewierka, wyczerpująca praca. To są zmory mieszczańskiego żywota, groźby konkretne. To nie jest perspektywa szlacheckiego upadku, tu nie chodzi o utratę zaszczytów, stosunków, tytułu, czci rycerskiej; takie były niebezpieczeństwa, takie były siły fatalne, stanowiące oś akcji w tragediach ludzi epoki feudalnej. Jeżeli bohaterowie owych tragedii nie tracili życia, to zazwyczaj pisarz wtrącał ich w otchłań jakiegoś nieszczęścia w z n i o s ł e g o. W najgorszym już wypadku szlachetny cierpiętnik tracił narzeczoną-hrabiankę i klucz folwarków na dodatek, po czym — już to wyjeżdżał z rozdartym sercem w podróż do Włoch, już to zostawał dowódcą cudzoziemskiego regimentu w dalekiej Akwitanii, już to sechł od schludnej rozpaczy w małym, siedmioizbowym dworku, jaki mu w całym majątku pozostał po ciotce.

U Choynowskiego rodzina Wróblewskich dzielić ma los inny, czarny zaiste los milionów ofiar kapitalistycznego już porządku rzeczy. Właśnie w ucieczce przed tym losem piękna Jadwiga godzi się na wojaż zagraniczny z bogatym panem Przyciechowskim. Jasne, że szlacheckie fumy Wróblewskich potrzebne były Choynowskiemu tylko dla zaostrzenia tego typowo mieszczańskiego konfliktu. Dlatego nie ma racji Kubacki, mnóstwo inteligencji i trudu tracąc na wykazanie, że R u c h o m e p i a s k i są utworem poświęconym przede wszystkim sprawie deklasacji warstwy ziemiańskiej w Kongresówce, i starannie dokumentując przy pomocy dowodów historyczno-socjologicznych myśli i spotrzeżenia w tym dramacie zawarte, a odnoszące się do sprawy wrastania ziemian w społeczeństwo burżuazyjne. Nie ma też racji — co za tym idzie — kiedy gani reżysera za całkowite niemal ubicie „ziemiańskiej" strony sztuki, kiedy twierdzi, że „przedstawiony przekrój socjalny i problematyka R u c h o m y c h p i a s k ó w wymagały od reżysera wyraźnego odcięcia się od tradycji drobnomieszczańskich sztuk". Co więcej — Kubacki przekonany jest, że

odsunięcie na drugi plan kwestii ziemiańskiej w sztuce jest czymś w rodzaju degradacji całego dzieła. Typowe to i dość zabawne nieporozumienie. Kubacki pisze: „Reżyser zamiast utrzymać sztukę na kontraście dwu środowisk, zbagatelizował go, zacierając w ten sposób zawarty w nim konflikt klasowy."

Zdać sobie należy sprawę, że pokazanie w sztuce byle jakiego konfliktu klasowego jeszcze nie stanowi o dialektycznym, godnym naszej epoki, podejściu do utworu. Przymiotnik „klasowy, klasowa, klasowe" nie jest magicznym zaklęciem. Klasa do klasy nie podobna i konflikt konfliktowi nierówny. Wiedzieć należy, że na niewiele przyda się naszym widzom taka interpretacja sztuki opartej na klasowym konflikcie, która moralne zwycięstwo przyznałaby klasie słusznie niegdyś pokonanej. Zwycięstwo to mógłby reżyser w imieniu autora osiągnąć jedynie wówczas, gdyby atakował z prawa. Takiej „pomocy" nie potrzebujemy. Nie będziemy na przykład roztkliwiali się nad bólami rozparcelowanego dziedzica pod pozorem, że to — też zjawisko klasowe. W każdym konflikcie ważna jest dla nas jego postępowa treść! Nie traktujmy tej sprawy scholastycznie i formalnie. W Ruchomych piaskach od konfliktu między kamienicznikiem Przyciechowskim (mógłby być równie dobrze hrabiowskiego pochodzenia — co by się od tego zmieniło?), a zdeklasowaną szlachcianką, właścicielką zbankrutowanego pensjonatu, Wróblewską (mogła być córką zbiedniałego bankiera — czy wiele uległoby zmianie?) ważniejszy dla nas jest konflikt między obrazem świata, jaki się w sztuce Choynowskiego rysuje, a tym obrazem, który nasz widz w sercu nosi i w codziennej pracy tworzy. To także konflikt klasowy, tyle że do grubo istotniejszych, postępowych wniosków zmuszający. Obraz świata w Ruchomych piaskach musiał być dla przeciętnego widza z 1913 roku trudny do zniesienia, bo nie był niczym prawie złagodzony, nie był upiększony. Nic tu nie było obrócone w żart. To był dramat bez pobłażliwości. Trzeba w nim to zachować i uwypuklić. Dlatego nie wolno zastępować go beznamiętnym studium socjologicznym dotyczącym minionej epoki, a w niej — dawno przebrzmiałych walk o prawo upadłej klasy do pozorów życia. Jeśli nawet ta sztuka ma kilka warstwic, to reżyser nie musi być archeologiem aż w tym stopniu, by badać te z nich, w których śladów życia organicznego dla współczesnego oka nie ma. Zegalski zasłużył może na cięgi, ale za inne sprawki. Jak mógł, tak się starał podkreślić w tej sztuce to, co jest w niej oskarżeniem systemu sprzedaży, przemiany w towar wszystkich bez wyjątku spraw i wartości ludzkich. Co ważne — tym razem nie gwałcił wcale konkretów historycznych, nie uprawiał „przehologii".

Bez sensacji i morderstw, nie w egzotycznej norze, nie w dalekim pałacu, ale wśród zwykłych mebli i wcale jeszcze dobrze znanych nam ludzi, w śródmiejskim mieszkaniu rozgrywał się dramat pospolity, ale napisany z bajeczną mocą uogólniania. Tu właśnie mamy świadomy pokaz łączności obyczajowych skutków z materialną, pieniężną przyczyną. I jak to jest zrobione! Powtórzymy: znakomita sztuka. Po raz wtóry przychodzi tu na myśl jeszcze jedno nazwisko: Ostrowski. Gdzież inne sztuki Choynowskiego? Czemu dalej tak nie pisał? Mielibyśmy w naszej dramaturgii to właśnie, co Rosjanie zawdzięczają autorowi Burzy i Lasu. Czemu? Tu nie wystarczy powołać się wyłącznie na proste prawa socjologii, nie wystarczy przypomnieć, że rosyj-

skie mieszczaństwo o tyle właśnie było liczniejsze, silniejsze, krwistsze, o ile Ostrowski więcej miał do powiedzenia niż krytycy burżuazji w naszym rodzimym dramacie. Niezupełna byłaby to zresztą prawda. Poza tym — sprawa Choynowskiego nie wyglądała tak prosto.

Jedno jest jasne: W Ruchomych piaskach są preliminaria świetnego, odkrywczego, z pasją pisanego ataku na bardzo istotne sprzeczności społeczeństwa burżuazyjnego Choynowski bił nie tylko w sprawę, że tak powiem, doboru nienaturalnego, nie tylko w moralne i rodzinne konsekwencje tego ustroju, ale w jego fasadę ideową: ta sztuka zbija jedno z najulubieńszych, elementarnych kłamstw, jakimi stoi porządek mieszczański, zbija mit głoszący, iż kapitalizm rzekomo sprzyja naturalnym popędom. Że odpowiada najlepiej ludzkiemu dążeniu do własności, do samodzielności, do swobodnego egoizmu — to jest do osobistej wygody na rzecz innych ludzi. Nawet jeśli założyć, że te właściwości nieodłączne są od naszego sposobu myślenia, co — jak wiadomo — prawdzie nie odpowiada, to mamy w tej sztuce skromny, ale pouczający dowód, że w opisywanym przez autora społeczeństwie sprawą najbardziej naturalną jest stałe gwałcenie wszystkich sztandarowych zasad mieszczańskiej myśli, wszystkich fundamentów *laisser-faire'yzmu,* tego pępka burżuazyjnych teorii. Rzadki to w naszym piśmiennictwie twór dramatyczny, te Ruchome piaski. W twórczości Choynowskiego — jedyny. Zasługuje na zastanowienie, dlaczego tak właśnie rzecz się miała, dlaczego sztuka zrobiła generalną i legendarną już klapę w 1913 roku, i to zarówno w Krakowie jak w Warszawie, dlaczego Choynowski nie tylko nigdy już potem dramatów nie publikował, lecz także dlaczego w dalszej swojej twórczości programowo i starannie omijał kwestie tak ostro w Ruchomych piaskach postawione, dlaczego wreszcie sztuka ta dziś dopiero doczekała się prawdziwego sukcesu i czy wszystko to jest tylko dziełem przypadku?

*

Walka klasowa w dziedzinie kultury nie jest wymysłem marksistów. Dopiero teraz z całą ostrością zdajemy sobie sprawę ze szkód, jakie opinia i krytyka mieszczańska zadały kulturze narodowej. Recenzenci i członkowie sądów konkursowych, wydawcy, kompilatorzy wypisów szkolnych i wykładowcy, salonowi znawcy i kawiarniani bywalcy, dyrektorzy teatrów i abonenci lóż, mecenasi sztuki i cenzorzy — wszyscy ci zjadacze cudzego chleba przez całe pokolenia dosyć zgodnie trudzili się nad urobieniem kultury i sztuki narodu na obraz i podobieństwo swoje. Burżuazja dobrze wiedziała, co to jest czujność klasowa, i znała pojęcie zamówienia społecznego, choć słów tych nie używała. Sito działało sprawnie i przepuszczało z reguły tylko to, co było dla panującej klasy użyteczne.

Wbrew temu, co dotąd jeszcze głoszą poniektórzy, to nie socjaliści wymylili wykorzystywanie literatury i sztuki dla celów propagandowych. Na tym wszelako cała rzecz polega, że cele burżuazji były celami jednej tylko klasy — i to klasy wrogiej reszcie społeczeństwa. Dopiero w ustroju socjalistycznym interesy klasy przodującej nie są sprzeczne z interesami narodu. Dlatego dopiero socjalizm stanowi jedyną nadzieję wyzwolenia sztuki z wąskoklasowej pańszczyzny — co wcale nie znaczy, że będzie ona w przyszłości pozbawiona funkcji społecznej.

Do niedawna jednak ta funkcja była oceniana, regulowana i naginana do

bieżących interesów tych, którzy byli bezprawnymi gospodarzami życia. Regulacja ta szła w dwóch kierunkach. Po pierwsze: starannie dobierano i przesiewano dorobek istniejący, to tylko pozostawiając w bibliotekach i wypisach, co dawało się zaprząc do ziemiańskiej biedki, czy mieszczańskiej dorożki. Była to, rzecz jasna, gospodarka rabunkowa. W ten sposób ulegli już to zapomnieniu, już to kastracji wydawniczej znakomici nieraz pisarze. Tak właśnie postąpiono u nas niegdyś ze Słowackim, Romanowskim, Berwińskim, Dunin-Borkowskim, Nałęcz-Korzeniowskim, próbowano to robić z niektórymi dziełami Żeromskiego, a jeszcze niedawno — choćby z całą twórczością Wandy Wasilewskiej.

Po drugie: nadzór burżuazji rozciągał się na kadrę pisarzy i artystów czynnych, żyjących. Tu stosowano wszystkie dobrze znane środki nacisku — od ostrzegawczych recenzji do szantażu pieniężnego i łamania charakterów włącznie. Jednomyślnego nacisku nie umniejszały głosy krytyków odważnych i uczciwych. Ginęły w tym zgiełku; natykały się na opór biernej ale decydującej opinii tych, którzy do niedawna jeszcze byli prawie wyłącznymi odbiorcami (ściślej — nabywcami)) książek czy obrazów. Naciskowi mieszczańskiej krytyki przeciwstawiał się jednak także talent pisarski. Chociażby — z najprostszych, interesownych względów. Łatwo było się przekonać, że oportunizm paraliżuje talent, że tchórzostwo społeczne natychmiast odbija się na jakości artystycznej dzieła. Nigdy nie było to tajemnicą dla artystów i stąd wcale nie wszyscy dawali się łamać.

Omijanie prawdy tyle wymaga wysiłku, maskowanie braków własnej wiedzy o życiu jest tak uciążliwe, klajstrowanie oczywistych sprzeczności tyle pochłania mozołu, że na czynności te uchodzi zawsze lwia część energii pisarza broniącego interesów i złudzeń klas pasożytniczych. Tego balastu nie może bez szwanku unieść duży nawet talent. Dlatego tak niewiele w dziejach literatury zachowało się nazwisk pisarzy, którzy pióro swe oddali na usługi wstecznictwu. Dlatego w dniach upadku kolejno następujących po sobie systemów ucisku obrońcy literaccy ginącego świata zawsze tak chętnie uchylali się od obowiązków realizmu. Dlatego — w ustroju niesprawiedliwości klasowej, ucisku i obłudy pisarz chcący mówić prawdę musiał być tego ustroju krytykiem. Pierwszą zasadą i przywilejem realizmu jest prawdomówność. Realistą może być więc tylko pisarz stojący po stronie tych, którym prawda służy.

Zjawisko to najjaśniej chyba wytłumaczył Maksym Gorki: „Należy wziąć pod uwagę i to jeszcze, że literat uczciwy, który umie obserwować zjawiska życia i myśleć w sposób historyczny, choćby był nawet dzieckiem swojej klasy i człowiekiem przekonanym co do prawa tej klasy do władzy i eksploatacji sił ludu pracującego, przedstawiał jednak życie burżuazji krytycznie, w oświetleniu wyraźnie negatywnym, przedstawiał je jako beznadziejne. Robił to nie tylko Balzak... książki ich długo jeszcze będą wypaczane przez burżuazyjnych krytyków i historyków literatury w celu przesłonięcia zawartej w nich istotnej, surowej i wrogiej prawdy. Tej grupy dzieci burżuazji nie zachwycała i nawet nie interesowała praktyka życiowa ich ojców...

...Wychwalaniem burżuazji, zwłaszcza średniej i drobnej, zajmowali się przeważnie literaci drugiej i trzeciej klasy, ludzie nie tyle utalentowani, ile sprytni.“ *

I dalej:

*) Jeszcze raz o Historii młodego człowieka dziewiętnastego stulecia.

„...W naszym stosunku do europejskich pisarzy-realistów dziewiętnastego wieku, nader dużą rolę grają oceny burżuazyjnej krytyki, która rozpatrując zalety i wady języka, stylu, fabuły wcale nie była zainteresowana tym, aby wydobyć na światło dzienne społeczny sens faktów, które stały się materiałem książki. Znaczenie społeczne prac Balzaka zrozumieli tylko Engels i Marks. Stendhala krytyka przemilczała... Literatura „marnotrawnych synów" burżuazji jest w najwyższym stopniu cenna dzięki swojemu krytycznemu stosunkowi do rzeczywistości, chociaż autorzy nowel i powieści, rzecz jasna, nie pokazywali wyjścia z brudnej anarchii, do której doprowadziło przesycone i spasione mieszczaństwo." *)

Odkryć, wydobyć z zapomnienia, odgrzebać, wyprostować to, co zostało skrzywione przez burżuazję, przywrócić życiu to, co mieszczaństwo zmarnowało, przytłumiło, roztrwoniło — oto zamówienie społeczne klasy robotniczej. Lud na swoim jest zapobiegliwy. Dał prawo do nauki i rozwoju milionom talentów, które marniały i głuchły dotąd w ciężkiej walce o byt. Odnalazł i dał nowe, prawdziwe życie obrazom, wydobytym z niedostępnych magnackich salonów. Tak samo skrzętnie i gospodarnie zajmuje się przetrząsaniem, odkrywczym badaniem całej tradycji kulturalnej.

Pamięć ludu jest sprawiedliwa. Potrafi rozróżnić ziarno od plewy, nagradza zasługę, ceni talent — wbrew stronniczym opiniom. Burżuazja nie wygrała dotąd ani jednej bitwy o prawo do dziedzictwa żadnego z wybitnych pisarzy z tej prostej przyczyny, że jeśli któryś z nich ostał się w ludzkiej pamięci, to właśnie dzięki temu, co stworzył wbrew naciskowi klasy do niedawna panującej. Sienkiewicz zawsze będzie czytany i kochany jako autor Krzyżaków, Szkiców węglem, Humoresek z teki Worszyłły; to nie Bez Dogmatu stanowi jego tytuł do sławy. Dzieci Prusa nie przesłonią nam postępowej wymowy Lalki i Faraona. Przy przetrząsaniu i rewidowaniu literackiej tradycji nie damy iść na marne niczemu, co cenne, co bywało dotąd świadomie przemilczane. Zapobiegliwa gospodarka w tej dziedzinie nie pozwoli przepaść nawet wartościowym okruchom. W ten sposób nieraz jeszcze okaże się, że przedwczesny był tryumf burżuazji nawet nad tymi talentami, które nie potrafiły do końca wierzyć w swoje obowiązki i prawa.

Sądzimy pisarzy nie wedle tego, co w ogóle napisali (albo musieli napisać) ale wedle tego, co miało szanse pozostania w ludowej pamięci, co było prawdomówne i — już dlatego — trwalsze artystycznie. Weyssenhoff napisał nasamprzód Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego — ostrą satyrę na filozofię życiową posiadaczy, a dopiero później Cudno i ziemię cudeńską — słusznie i gruntownie zapomniany pamflet reakcyjny.

Ponowne odkrycie Ruchomych piasków przez teatr poznański sprawiło, że odtąd będziemy zapewne mówić o Choynowskim przede wszystkim jako o autorze tej sztuki. Lud na swoim jest nie tylko zapobiegliwy, lecz także wspaniałomyślny. Ruchome piaski mogą stać się odtąd nowym i bodajże słuszniejszym tytułem do sławy Choynowskiego niż bardzo dobre opowiadania i te jego powieści, w których czuje się jednak za umiarem, spokojem i akcentowanym rozsądkiem jakiś niedobór pasji, jakąś podejrzaną prostotę światopoglądu. Porównać tylko Dom w śródmieściu

*) Rozmowa z młodymi pisarzami.

z Ruchomymi piaskami! Pomyśleć tylko — to o autorze tej sztuki pisał oficjalny sprawozdawca Rocznika Literackiego, pisma nie mniej oficjalnego, w oschłym nekrologu 1936 r.: „Nie zostawił on po sobie dorobku ani licznego, ani, jakościowo rzecz biorąc, najwyższych lotów. Żadnych zdobyczy artystycznych Piotr Choynowski nie wniósł, ale był pisarzem tego typu, jaki chcielibyśmy widzieć jak najliczniej reprezentowany..." Rozbrajające, zaiste, wyznanie! Pewno, że chcieli widzieć! Znając tylko Ruchome piaski i domyślając się możliwości ich autora zrekonstruować możemy przypuszczalny przebieg tego niewidocznego szantażu w majestacie prawa, jaki opinia burżuazyjna wobec pisarzy niebezpiecznych stosowała, tylko teraz wyobrazić sobie możemy, jak mimowolny, lecz nieuchronny był przebieg procesu rezygnacji w tym pisarzu, procesu, do którego popychało go zresztą środowisko i otoczenie. Tu obserwować możemy klasyczny niemal mechanizm trzymania przez krytykę burżuazyjną swoich pisarzy w odpowiednio skróconych cuglach, z których istnienia częstokroć nie zdają sobie sprawy ani twórcy, ani czytelnicy, ani nawet — częściowo przynajmniej — mieszczańscy krytycy. O autorze omawianej sztuki pisał jeszcze za jego życia Czachowski w Obrazie literatury polskiej:

„...Stał się Choynowski bodaj jedynym przedstawicielem w dobrym stylu tężyzny szlacheckiej... Jest to postawa życiowa odrzucająca psychoanalityczne naleciałości. Najchętniej i najsprawniej wyraża się czynem. Bez roztrząsań i rozważań idzie za popędem własnej natury, kierowanej jedynie wrodzonym instynktem honoru, czerpiącym soki z gruntu tradycji narodowych i rodowych, rozwijanym w kulcie przywiązania do rodzimego zagonu. Choynowski pokazuje jednostki z tej sfery, przeniesione już przeważnie na obcy im teren miasta, ale z ich psychiki wydobywa autentyczny optymizm życiowy, odporność wobec rozkładowych przeciwności losu, bohaterską wolę, przezwyciężającą przeszkody z rycerską fantazją i we właściwej chwili gotową do trudów ofiarnych dla sprawy ogólnej."

Ładny kwiat! Pani Wróblewska razem z synkiem Władysiem z rycerską, zaiste, fantazją przezwyciężają wszelkie przeszkody nie wyłączając własnych tradycji rodowych oraz instynktu honoru, chcąc skłonić nieszczęsną Jadwigę, aby została kochanką Przyciechowskiego! Aż żal się robi Choynowskiego, skoro przypomnimy sobie, że to Ferdynand Goetel wygłosił pochwałę jego twórczości na uroczystym posiedzeniu sanacyjnej Akademii Literatury 25 marca 1936 roku. Czy może nas dziwić, że faszysta tyle tylko znalazł u Choynowskiego, co zawarł w takim oto zdanku: „Zastanawiając się nad nim nabrać musimy przekonania, że struktura wewnętrzna naszego życia układa się nadal według szlacheckiego schematu, i skoro będziemy mieli odwagę oczyścić ją z różnych powierzchownych naleciałości, ujrzymy gorejący słup wojny jako główny pion, prostujący chwiejny kręgosłup Polaka..." Jak widać, burżuazja nawet tak zwanych własnych ludzi chwalić potrafi tylko za to, co im samym wmówiła, albo łudzi się, że wmówić zdoła. My bądźmy bystrzejsi. Nikomu Ruchomych piasków nie oddajmy. Grajmy je, żałując, że Choynowski nie uląkł się tego właśnie, co było przedmiotem ataku w jego sztuce.

*

Zasługa teatru poznańskiego, zwłaszcza zaś jego kierownika literackiego, Stanisława Hebanowskiego, jest wcale niemała, nie tylko dlatego, że sztuka zo-

stała odnaleziona, lecz także z uwagi na staranność, z jaką ją wystawiono i zagrano. Dawno już na scenie poznańskiej nie oglądałem przedstawienia tak dobrego. Przede wszystkim — aktorzy. Irena Detkowska zagrała rolę nieszczęsnej matki rodu Wróblewskich w dużym, świetnym stylu. Łatwo darować jej można szarżę w zakończeniu I aktu, bo na ogół postarała się o danie nam porywającego portretu psychologicznego, bo grała z wielką pasją i bardzo dojrzałym majsterstwem. Miała znakomitego partnera w osobie Bołesława Rosłana. Ten wyborny, doświadczony aktor błysnął w roli Przyciechowskiego w sposób godny szerszej analizy niż na to pozwala artykuł, raczej losom pisarskim poświęcony. Uwaga! Przyjrzyjmy się pilnie młodej Urszuli Modrzyńskiej, która rozsądnie i z wielką werwą zarazem potraktowała postać Hani, młodszej siostry Jadwigi. Trudna rola tej ostatniej przypadła w udziale Teresie Waśkowskiej, która opanowała ją w tempie wyjątkowo krótkim i — wbrew temu, co twierdzą niektórzy recenzenci — potraktowała właściwie, nie czyniąc z tej postaci bynajmniej kobiety zepsutej ani fatalnej; cały konflikt Ruchomych piasków jest jednoznaczny tylko wtedy, kiedy na serio potraktujemy sprawę miłości, kiedy zgodzimy się z tym, że w tej dziedzinie transakcje i kompromisy handlowe są jednak niemożliwe. Dlatego właśnie niesposób pochwalić wykonawcy roli rzeźbiarza Porębskiego, fatyganta Jadwigi. Zadaniem aktora było przekonanie nas, że Jadwiga może go kochać i że można tę miłość brać poważnie, inaczej jej opory i żale stają się tylko walorem w targu z Przyciechowskim. Żukowski nie miał, zdaje się, jasnej koncepcji tej roli, co nie tylko jego było winą. Bardzo wyraziście i starannie sekundował wymienionym, jak to się w recenzjach zwykle mawia, zdolny Tadeusz Pluciński, grający brata Jadwigi, Władka. Zresztą, o każdym z wykonawców poznańskiego przedstawienia dałoby się sporo dobrego powiedzieć. Jeśli nie wszystko zasługuje na ocenę dodatnią, to widzę w tym winę reżyserii. Zegalski nie do końca dał sobie radę; właśnie zakończenia brak było temu przedstawieniu, chociaż tekst dawał wszelkie podstawy do słusznego i efektownego nawet uwieńczenia dzieła.

Poznańskie znalezisko stanowić powinno zachętę do dalszych poszukiwań w kierunku zupełnie określonym: zadaniem naszym jest odkłamanie dziejów naszej dramatrugii, wydobycie z nich wszelkiego kruszcu szlachetnego, przypomnienie, że bojowość społeczna, pasja i troska o czynny udział piśmiennictwa w sprawiedliwej przebudowie życia — są najistotniejszą tradycją naszej literatury.

Jerzy Pomianowski

NA WIDNOKRĘGU

ROZGRYWKA O BLOK MARIONETEK

Wśród państw bloku atlantyckiego trzy szczególnie zasługują na nazwę półkolonii amerykańskiej: Grecja, Turcja i Jugosławia. Ta ostatnia formalnie do paktu atlantyckiego jeszcze nie należy, co jednak nie zmienia sprawy. Co najwyżej można w związku z tym zanotować deklarację głównego satrapy Jugosławii, który z okazji wizyty greckich parlamentarzystów w lipcu br. oświadczył im, iż

„nie jest bynajmniej przeciwny zawieraniu formalnych układów, ale trzeba pamiętać, że układy te powinny nie tylko odzwierciedlać intencje dyplomatów, lecz że przy ich zawieraniu trzeba się liczyć z poglądami ludności". (Manschester Guardian)

Nie jest przypadkiem, że trzy wymienione kraje bloku atlantyckiego są nie tylko najposłuszniejszymi satelitami amerykańskimi, ale również reprezentują największe „postępy" na drodze faszyzacji wewnętrznej. Grecja, Turcja i Jugosłowia reprezentują dla amerykańskich planów agresji dość dużą wartość. Generałowie amerykańscy nie posiadają zapewne zbyt wielkich złudzeń co do wartości bojowej armii tych swoich satelitów. Natomiast nie ulega kwestii, że terytorium tych trzech państw przedstawia dla Amerykanów dużą wartość strategiczną. Około połowy tzw. pomocy amerykańskiej dla Turcji przeznacza się na budowę dróg strategicznych, ok. 90% „pomocy" służy realizacji dążenia do przemiany Turcji w główną bazę amerykańską u południowo-wschodnich granic Europy. W Grecji i w Jugosławii budowa urządzeń strategicznych realizowana jest w sposób jeszcze dla Amerykanów wygodniejszy, mianowicie za pieniądze „tubylców", poprzez budżety państwowe obu krajów. Titowcy np. wydają na cele wojskowe wielokrotnie więcej, niż wynosi cała „pomoc" amerykańska.

Poza jednakże doraźną wartością strategiczną zespół grecko-turecko-jugosłowiański posiada dla amerykańskich agresorów jeszcze i inne znaczenie. Wiąże się on bezpośrednio z anglo-amerykańską rywalizacją na Bliskim Wschodzie. Jak wiadomo, Bliski Wschód rozumiany w szerokim sensie był od wielu dziesięcioleci domeną wpływów brytyjskich. W trakcie i po drugiej wojnie światowej proporcja sił w tym rejonie zmieniła się znacznie na korzyść USA. Amerykańskie wkłady kapitałowe po raz pierwszy w historii Bliskiego Wschodu przewyższyły udziały brytyjskie. Dyplomacja amerykańska dąży w okresie powojennym do politycznego i wojskowego zdyskontowania tych zmian w podziale wpływów ekonomicznych. Na tym tle pomiędzy sojusznikami Departamentu Stanu i Foreign Office rozgrywa się już od paru lat generalna batalia. Objawy walki nie zawsze się przedostają na powierzchnię, gdyż jednocześnie dyplomaci USA i Wielkiej Brytanii czynią wszystko, co możliwe, aby zamaskować istniejące sprzeczności w imię interesów wspólnych przygotowań agresywnych przeciw obozowi socjalizmu. Niemniej w ciągu ostatnich trzech lat nastąpiło na Bliskim Wschodzie dostatecznie wiele puczów wojskowych i zamordowano dostatecznie wielu polityków arabskich, aby można było wyprowadzić wniosek, że wszystkie te wydarzenia nie były rezultatem działania muzułmańskiego fatum, lecz sił dużo konkretniejszych.

Szczególne zaostrzenie walki ma miejsce po przystąpieniu przez blok atlantycki do formowania tzw. komendy blisko-wschodniej. Problem komendy blisko-wschodniej to, w wielkim skrócie, problem, kto ma dowodzić przygotowaniami do trzeciej wojny światowej w rejonie Bliskiego Wschodu, komu mają być podporządkowane atlantyckie siły zbrojne w tym rejonie i w konsekwencji, kto będzie miał możność dysponowania tymi siłami zbrojnymi dla forsowania, pod presją militarną, własnych imperialistycznych interesów na Bliskim Wschodzie. W koncepcji dyplomacji brytyjskiej dowództwo komendy blisko-wschodniej powinno było przypaść Anglikowi. Zdaniem Foreign

Office przemawiał za tym zarówno fakt, iż na Bliskim Wschodzie stacjonowane są znaczne siły brytyjskie, natomiast nie ma tam sił amerykańskich, jak i fakt, że agentura brytyjska od dłuższego czasu dysponuje kilkoma rządami arabskimi. Strona amerykańska miała jednak koncepcję zupełnie odmienną. Aby tę koncepcję przeforsować, trzeba by jednak rozszerzyć pojęcie Bliskiego Wschodu oraz pojęcie rejonu atlantyckiego. Spece z Departamentu Stanu dokonali tego w sposób bardzo pomysłowy, jakkolwiek nie specjalnie biorący pod uwagę zasady geografii. Na politycznej mapie Departamentu Stanu Turcja leży nad Oceanem Atlantyckim, a Jugosłowia wchodzi w skład rejonu blisko-wschodniego. Po co potrzebna była taka rewolucja w geografii?

Na Bliskim Wschodzie, w rozumieniu ograniczającym się do świata arabskiego, pozycje amerykańskie były faktycznie słabsze od brytyjskich. Nie istniały żadne szanse narzucenia wobec tego dowództwa amerykańskiego. Jednakże komenda blisko-wschodnia organizowana jest w imię przyszłej trzeciej wojny światowej. Toteż pierwszym krokiem było przeforsowanie tezy, że arabski Bliski Wschód jest z tego punktu widzenia jednostką „strategicznie niesamodzielną", że samodzielną jednostką stać się może dopiero po „włączeniu" doń trzech krajów bezpośrednio graniczących z obozem socjalizmu: Turcji, Grecji i Jugosławii. Z drugiej strony włączenie Grecji i Turcji formalnie, a Jugosławii milcząco do paktu atlantyckiego potrzebne było w celu wykorzystania na rzecz amerykańskiej koncepcji komendy blisko-wschodniej całej tej przewagi nad Wielką Brytanią, jaką dysponuje Waszyngton w łonie bloku atlantyckiego. Rzecz jasna, iż przeforsowanie amerykańskiej „rewolucji geograficznej" nie przyszło łatwo. Spory o przyjęcie Grecji i Turcji do paktu atlantyckiego trwały półtora roku. Przez cały czas Amerykanie łudzili przy tym Londyn perspektywą jakiegoś rozwiązania kompromisowego. Między innymi i tę wersję przyjęła oficjalnie poważna prasa brytyjska, miano podzielić komendę blisko-wshodnią na dwa twory: komenda wojsk lądowych miałaby przypaść generałowi angielskiemu, komenda zaś sił morsko-powietrznych — admirałowi amerykańskiemu. Jeżeli jednak Londyn faktycznie liczył na takie rozwiązanie — zawiódł się srodze. Natychmiast po przyjęciu Grecji i Turcji do paktu atlantyckiego rządy obu tych krajów zademonstrowały swą „samodzielność" i oświadczyły, że nigdy nie podporządkują swych sił lądowych angielskiemu generałowi. Perspektywa kompromisu rozwiała się. W odpowiedzi na to rząd brytyjski mianował dowódcą floty angielskiej na Morzu Śródziemnym lorda Mountbattena, królewskiego kuzyna, a Yorkshire Post obwieścił, że nominacja ta oznacza, iż angielska flota w żadnym razie nie będzie podporządkowana w rejonie śródziemnomorskim admirałowi amerykańskiemu, gdyż jest nie do pomyślenia, aby królewski kuzyn mógł słuchać rozkazów cudzoziemca. Amerykanie dokonali wobec tego dalszych posunięć. Grecja, jak zresztą parę innych państw atlantyckich, szczególnie zależnych od Amerykanów, manifestacyjnie uznała króla egipskiego za „króla Egiptu i Sudanu", co było policzkiem dla Wielkiej Brytanii. Zarazem sztab atlantycki ogłosił nominację amerykańskiego generała Wymana na stanowisko dowódcy greckich i tureckich sił lądowych. W dwa miesiące potem dowódcą greckich i tureckich sił lotniczych mianowany został również amerykański gen. Schlatter.

Amerykanie nie zaniedbali przy tym niczego, aby osłabić pozycje brytyjskie na Bliskim Wschodzie. Głównym uderzeniem stał się zamach stanu w Egipcie dokonany przez proamerykańskiego gen. Naguiba. Tak więc w lecie br. sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że w zakresie morskich sił zbrojnych dowództwo brytyjskie jest odrębne (flota amerykańska podlega admirałowi Carneyowi, amerykańskiemu zastępcy Ridgwaya dla tzw. rejonu Europy południowej i Morza Śródziemnego). W zakresie wojsk lądowych istnieje również odrębne dowództwo brytyjskie dysponujące bazami na Cyprze, w Iraku, w Transjordanii, w Adenie, Kanale Sueskim i nad Zatoką Perską — generałowie amerykańscy natomiast dyrygują wojskami Grecji i Turcji. Identyczna sytuacja istnieje w zakresie dowództwa lotniczego. Taki stan rzeczy nie byłby więc dla Brytyjczyków specjalnie dotkliwy, gdyby nie fakt, że właśnie blok grecko-turecki został oficjalnie przez kwaterę atlantycką uznany za zalążek jej rejonu dyspozycyjnego na Bliskim Wschodzie. Innymi słowy, krystalizacja komendy bliskowschodniej miałaby nastąpić na bazie powstałego dowództwa amerykańskiego w Grecji i Turcji. Amerykanie argumentują przy tym, że ich dowództwo zostało przez Greków i Turków przyjęte „dobrowolnie", podczas gdy Brytyjczycy dysponują jedynie własnymi siłami zbrojnymi na Bliskim Wschodzie, a żaden „poważniejszy" kraj ani arabski (Egipt!), ani niearabski (Grecja i Turcja) nie chce z nimi gadać.

W sierpniu dyplomacja brytyjska przystąpiła do gorączkowej kontrakcji. Na arenę wyciągnięto również Tito. Amerykanie bowiem już od paru miesięcy przystąpili do realizowania formalnego bloku grecko-turecko-jugosłowiańskiego pod swoją egidą. W odstępie dwóch miesięcy Belgrad odwiedziła cała plejada generałów amerykańskich z wiceministrem obrony Nashem oraz ministrem armii Pace na czele. Wall Street Journal pisał w związku z tym, że chodzi o „koordynację przygotowań wojskowych Jugosławii z przygotowaniami realizowanymi w Grecji i Turcji". Wkrótce po „nalocie" ministra Pace do Aten powędrowała jugosłowiańska misja wojskowa. We wrześniu analogiczna misja udała się do Turcji. Titowska Borba „odkryła" w związku z tym, że „stosunki między trzema krajami zacieśniają się". Sam Tito przyjmując delegację parlamentariuszy greckich obwieścił, że „nie uważa, aby podpisanie paktu grecko-jugosłowiańskiego było niemożliwe, albowiem wspólne niebezpieczeństwo wymaga wspólnej akcji".

Objawem kontrakcji brytyjskiej była zapowiedź wizyty Edena w Jugosławii we wrześniu br. oraz zaproszenie do Londynu tureckiego premiera, Menderesa i ministra spraw zagranicznych Koprulu. Jeśli chodzi o wizytę Edena, prasa brytyjska zaznacza, iż minister spraw zagranicznych Jej Królewskiej Mości „nie wyjeżdża z Londynu na 11 dni, jeśli nie jest zdania, że coś osiągnie" (Morning Advertiser). W sprawie zaproszenia Menderesa zaś wiedeński dziennik Der Abend doniósł, iż jeszcze w końcu lipca na poufnej konferencji brytyjskiego sztabu generalnego i dyplomatów angielskich akredytowanych na Bliskim Wschodzie zaprojektowano związanie Turcji z interesami Londynu. W zamian za oddanie części wojsk tureckich do dyspozycji dowództwa brytyjskiego na Bliskim Wschodzie Turkom obiecano „rozszerzenie granic".

Jak widać, rozgrywka anglo-amerykańska wokół „bloku marionetek" trwa w całej pełni. Ograniczyliśmy się do przedstawienia dyplomatycznych ob-

jawów tej rozgrywki. Świadczą one dostatecznie wymownie, jak daleko jest do „uzgodnienia interesów" anglosaskich na Bliskim Wschodzie. Niemniej nie należy zapominać, że cała ta rozgrywka toczy się wokół zagadnienia, kto ma kierować przygotowaniami do agresji w tym rejonie. Knowania dyplomatów amerykańskich i brytyjskich stanowią więc groźbę dla pokoju. Jednocześnie są one wymierzone przeciw interesom narodowym i suwerenności krajów blisko-wschodnich, zarówno w węższym, jak i w szerszym, „amerykańskim" rozumieniu terminu Bliski Wschód.

Krzysztof Wolicki

ZATRUTY SIEW

Problematyka ubiegłej wojny, nabrzmiała straszliwą tragedią narodu polskiego, jest czymś, co nie zapadło się w przeszłość. Przełamuje się ona wciąż w naszej teraźniejszości, czynnie lub biernie staje się elementem historii naszych dni.

Dziś kiedy z okazji coraz to nowych osiągnięć Polski Ludowej odmierzam przebytą drogę, kiedy dumni ze swej Konstytucji ufnie patrzymy w przyszłość — z niechęcią cofamy się myślą do przykrych wspomnień ostatniej wojny światowej. A jednak często spojrzenie wstecz uzmysławia nam jeszcze wyraźniej ogrom zdobyczy, mobilizuje bardziej do dalszych wysiłków, pogłębia uczucie przyjaźni dla Związku Radzieckiego, napełnia jeszcze większą wiarą w słuszność obranej drogi.

W tym czasie kiedy we Lwowie rodziła się koncepcja polityczna Nowych Widnokręgów, w Paryżu organizowała swoje życie polityczne emigracja powrześniowa i usiłowała jak polip żerować na ciele wcześniejszej emigracji robotniczej, którą brak pracy w Polsce wypędził z kraju. Są to pierwsze miesiące wojny. Największą aktywność polityczną wykazują — ci przede wszystkim, którzy z atrybutami władzy i pieniędzy zdołali bezpiecznie przejść przez Zaleszczyki. Wśród licznych pism polskich wychodzących we Francji największą poczytnością cieszyły się Wiadomości Polskie. Późniejsze niesławne dzieje Wiadomości z okresu londyńskiego znane są powszechnie, natomiast okres paryski utonął w mroku niepamięci. Odgrzebmy te numery z popiołów i spójrzmy, na ile one użyźniły grunt przyszłości.

Jak wiadomo klęska wrześniowa 1939 r. zaskoczyła ogromną część społeczeństwa polskiego zupełnie zdezorientowaną kłamliwą propagandą rządów sanacyjnych. Doświadczenia okrutnej rzeczywistości okupacyjnej stopniowo otwierały oczy.

Ale zima i wiosna 1940 r. to jeden z najbardziej ponurych okresów ostatniej wojny. Naród polski oszukany przez własny rząd, deptany i niszczony przez hitlerowców, okłamywany przez „aliantów", nie od razu zrozumiał całą ohydę polityki imperialistów zachodnio-europejskich. W skomplikowanej sytuacji politycznej ówczesnej Europy szukano pociechy w nasłuchu audycji radia paryskiego, a wiadomości z przebiegu *drôle de guerre* brano niemal za komunikaty z pola walki, z dnia na dzień oczekując wieści o ofensywie aliantów na Niemcy, o pomszczeniu klęski i cierpień narodu polskiego. Tymczasem na Zachodzie wciąż było bez zmian. Klęska Polski nie zmieniła polityki jej aliantów. Wprawdzie formalnie Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę, ale faktycznie myślano wciąż o wojnie... ze Związkiem Radzieckim. Gwarancji udzielonych Polsce nie brano zbyt serio i nie przejmowano się nimi, na co nawet w literaturze zachodnio-europejskiej znajdujemy dziś licz-

ne dowody. Wystarczy przytoczyć pamiętniki J. Paul Boncoura, członka senackiej komisji spraw zagranicznych (Entre deux guerres, Paris, 1946) lub głośną książkę L. B. Namicz pt. Diplomatic Prelude 1938—1939* (London 1948), lub wiele innych.

Ludzie spod znaku Monachium rządzili dalej w Paryżu i w Londynie. Propaganda hitlerowska działała we Francji bez przeszkód, a prasa francuska z nielicznymi wyjątkami nie angażowała się nawet w wypowiedziach antyniemieckich, cenzura francuska pracowała pod kierunkiem faszysty Martinaud-Deplat. Finansiera francuska i obszarnicy widzieli wroga przede wszystkim w Związku Radzieckim, a prasa skąpa w wystąpienia antyniemieckie, pełna była wystąpień antyradzieckich.

Dla pełniejszego obrazu rzeczywistości politycznej we Francji i zrozumienia politycznych opinii Wiadomości Polskich dodajmy, że w lutym 1940 r. przybywa na Bliski Wschód korpus ekspedycyjny gen. Weyganda i że w marcu tegoż roku, a więc w czasie gdy Wiadomości zaczęły wychodzić, sztab francuski i angielski pracują wciąż jeszcze nad planami zaatakowania Kaukazu, które miało nastąpić latem 1940 r.

W pierwszych miesiącach 1940 r. w Paryżu tworzy się emigracyjny rząd polski, który od pierwszych dni swego istnienia był na usługach imperializmu zachodnio-europejskiego.

Był to dopiero początek tej drogi, która miała go doprowadzić do ostatecznej zdrady. W okresie paryskim rząd ten wywalczał sobie przede wszystkim prawo istnienia wśród innych klik na terenie emigracji. Natomiast publicyści emigracyjni wykazywali ogromną przedsiębiorczość. Powstawały liczne pisma polskie, które kierowane przez wytrawnych polityków sanacyjnych, usiłowały sprawować faktyczny rząd dusz.

Trzynaście numerów Wiadomości Polskich z okresu francuskiego—to ogniwo od sanacji warszawskiej do sanacji londyńskiej, to kontynuacja długoletniej działalności Wiadomości Literackich i formułowanie założeń politycznych w zmienionych warunkach politycznych po klęsce 1939 roku.

Nie było rzeczą przypadku, że we Francji po klęsce wrześniowej — wraz z elitą sanacyjną znalazł się prawie cały komplet współpracowników Wiadomości Literackich z Warszawy. Ktokolwiek wziął do ręki numer Wiadomości Polskich nie miał wątpliwości o bliskim powinowactwie tych dwóch tygodników: ta sama bardzo staranna szata zewnętrzna, identyczny format, szerokość szpalt, bardzo podobna czcionka. Pismo to było opatrzone podtytułem „tygodnik polityczny i literacki!" i ukazywało się od 17 marca do 9 czerwca 1940 r. włącznie, pod nominalną redakcją Zygmunta Nowakowskiego, a faktycznie pod redakcją Mieczysława Grydzewskiego. Tytuł pisma był jednocześnie w pewnym sensie jego deklaracją ideową. Wiadomości przyjęły nazwę pisma wielkiej emigracji, wydawanego przez Waleriana Kalinkę i Juliana Klaczkę pod protektoratem ks. A. Czartoryskiego, nawiązując do określonych tradycji historycznych.

Centralnym zagadnieniem ówczesnej polityki międzynarodowej, a przede wszystkim polskiej, był stosunek do Związku Radzieckiego. Wiadomości zgodnie z polityką lat międzywojennych stosunek swój z miejsca ustaliły jako

* Namicz pisze o gwarancjach udzielonych Polsce przez rząd brytyjski, że „było to raczej posunięcie w grze dyplomatycznej niż przemyślane i podjęte zobowiązanie, rozumiane w kategoriach wojskowych" str. XIV.

jak najbardziej wrogi, przy czym tygodnik ten, w sposób konsekwentny i celowy, nie odróżniał narodu rosyjskiego od caratu, Rosji carskiej od Związku Radzieckiego.

Na urągowisko poczuciu historycznemu wprowadzono nawet dział W i a d o m o ś c i p o l s k i e s p r z e d l a t o s i e m d z i e s i ę c i u p i ę c i u, który miał stwarzać pozory ciągłości historycznej pisma i który przypominał dzieje ucisku carskiego na ziemiach polskich.

Jakie było powiązanie konkretnej rzeczywistości wiosny 1940 r. z tradycjami polityki Hotelu Lambert? Artykuły Wacława Grzybowskiego i Józefa Łobodowskiego wyjaśniły to w sposób nie budzący żadnych wątpliwości.

Pierwszy z nich to ambasador rządu sanacyjnego w Moskwie i autor znanego i tragicznego w skutkach oświadczenia z maja 1939 r., że „Polska nie uważa za możliwe zawarcie paktu o wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim". Teraz na łamach Wiadomości wyłożył w dwóch artykułach*) interpretację historycznej roli ks. Czartoryskiego, która — jego zdaniem — miała być wytyczną dla polskiej racji stanu. Eks ambasador stawia ks. Adama za wzór polityka polskiego, jako „niezastąpione źródło orientacji i poznania". W oparciu o życiorys Czartoryskiego wydrukowany w S ł o w n i k u B i o g r a f i c z n y m (PAU) omawia krytycznie działalność polityczną ks. Czartoryskiego i wychwala jego politykę w latach 1832—1861. Twierdzi, że „w stosunku do Rosji istnieje prawo rządzące wszelką polityką". Tym prawem jest zasada, że Rosję należy zawsze i tylko traktować „jako obiekt" w polityce, nigdy jako „subiekt".

Jak się niżej okaże — Wiadomości miały dokładne zdanie, „obiektem" jakiej polityki miał być Związek Radziecki. Sanacyjny eks ambasador z działalności Czartoryskiego czerpał i inne cenne wskazania. Przyznając mu „wieczysty tytuł księcia" nawiązywał do 11 p r i n c i p e Machiawellego wskazując na Cezarego Borgię jako wzór męża stanu i prototyp ks. Adama. Pisał że „niewątpliwie dużo predysponowało Czartoryskiego do roli suwerena odpowiedzialnego jedynie przed Bogiem i historią".

Z tradycji czartoryszczyzny wydobyto więc cały zespół elementów wstecznictwa politycznego. Wiadomości czerpały z tradycji politycznej wielkiej emigracji przede wszystkim to, co służyło ich interesom klasowym. Te historyczne rozważania stanowiły tło dla artykułów, który problem stosunków polsko-radzieckich ustawiły na gruncie konkretnych rozważań. Późniejszy kierownik antypolskich audycji z Madrytu, Łobodowski, wykładał właśnie, w jaki sposób Związek Radziecki miałby być „obiektem" polityki, jak należało w konkretnych warunkach wiosny 1940 r. rozumieć tradycje czartoryszczyzny.

Ta tuba reakcyjnej prasy francuskiej, tuba ultra usłużna i gorliwa nie wyrzeka się planów na własny domowy użytek. Ukraina... Znane, bliskie sanacyjnemu sercu wspomnienia. „A stamtąd już rękę podać na Wołyń, na łąki nadburzańskie, lasy lubelskie" — pisze poeta „silnych, zwartych, gotowych".

Mamy pełną interpretację tradycji historycznych kontynuowanych przez Wiadomości. Linia polityki antyradzieckiej nie uległa nigdy załamaniu, ani zamazaniu. Przeciwnie, wszystko służy jednemu: budzeniu nienawiści do Związku Radzieckiego z całkowitym pominięciem istotnych interesów narodu polskiego.

I dalej wspólny, intratny interes

* Wiadomości Polskie Nr 10 „książę...", Nr 13 „Książę zagadnienie postaci".

Polski i Niemiec: rozbicie Związku Radzieckiego. Zrobiono to w sposób aluzyjny, niesłychanie zręczny, niemniej zrobiono, drukując rozmowę z wyższymi oficerami hitlerowskimi obiecującymi Polsce Ukrainę, Białoruś i Litwę w zamian za pomoc w rozbiciu Rosji. (Ukryte cele paktu 1934 r.— Wiad. Pol. Nr 4).

Wiadomości Polskie sprzymierzone z najczarniejszą reakcją światową stały się bojowym antyradzieckim pismem i od pierwszych dni służąc interesom wielkiego kapitału zdradziły sprawę Polski. Jak widziano przyszłość Polski?

Przypomnijmy, że wiosną 1940 r. rojenia monachijczyków o wojnie ze Związkiem Radzieckim usuwają się na plan dalszy, bo wypadki naciskają: ofensywa niemiecka na Norwegię, ofensywa na Francję. Reakcyjna prasa francuska jeszcze wciąż nie rezygnuje z tych planów, ale prasa angielska przycicha. Wprawdzie dalej trwają przygotowania na Kaukazie, ale bliższe fronty zaczynają coraz bardziej przyciągać uwagę. Skoro zapiekła nienawiść do Związku Radzieckiego doprowadziła Wiadomości Polskie do zbrodniczej koncepcji dwóch wrogów, jakie widziano praktyczne rozwiązania dla sprawy polskiej?

Wśród licznych projektów urządzania Europy po wojnie powtarza się w prasie francuskiej, a zwłaszcza angielskiej, koncepcja federacji państw. Wiadomości informują o dyskusji w londyńskiej School of Economics na ten temat, podają treść jednego z przemówień A. Edena, który określił przyszły ustrój Europy jako wspólnotę narodów wzorowaną na brytyjskim *Commonwealth'ie*. Charakterystyczne, że wszystkie te projekty wyłączają Amerykę z ich realizacji.

Artykuły korespondenta Wiadomości w Londynie informują nawet bardzo wyraźnie (Zgon neutralności i Wiad. Pol. Nr 9), że Anglia nie życzy sobie udziału Ameryki w urządzaniu Europy po wojnie. Federacja państw europejskich miała być zorganizowana teoretycznie pod hegemonią Francji i Anglii, a faktycznie pod hegemonią dominium brytyjskiego.

Koncepcja ta nie była nowa, znamy ją z czasów pierwszej wojny światowej i już wtedy Lenin zdemaskował jej polityczną i społeczną treść.

W artykule pod tytułem O haśle Stanów Zjednoczonych Europy (Social Demokrata, sierpień 1915) Lenin określił ją w ten sposób: „Stany Zjednoczone Europy to zmowa kapitalistów europejskich... co do tego jak wspólnie dławić socjalizm w Europie i wspólnie ochraniać zrabowane kolonie przeciwko Japonii i Ameryce". W zmienionych warunkach drugiej wojny światowej w pierwszych jej miesiącach, sytuacja o tyle się powtórzyła, że Anglia w dalszym ciągu pragnęła sama „urządzać" Europę, i na swój tylko rachunek ubezpieczać w niej stary kapitalistyczny porządek.

Zjednoczenie państw europejskich pod hegemonią Anglii nie straciło więc dawnego ostrza antyamerykańskiego, ale ostrze to znacznie stępiało na rzecz montowania frontu antyradzieckiego, i odsunięcia groźby socjalizmu.

Ta koncepcja federacji znalazła oczywiście swoich „teoretyków" w artykule God save the king (Wiad. Pol. Nr 11). Artykuł wypowiada się za wspólnotą gospodarczą i kulturalną Europy, ale bez Związku Radzieckiego jako przynależnego raczej do kontynentu azjatyckiego. Uważając, że koniecznością dziejową dla Europy jest system, który by ją politycznie „zcałkował" twierdzi, że „ta całość może być osiągnięta albo przez podbój Europy i utrwalenie panowania niemieckiego albo przez skupienie się wolnych

narodów przy Anglii i Francji". Autor wybiera to drugie i stąd owo wołanie, by „Bóg miał w opiece króla".

Artykuł ten jest wyrazem stanowiska kierowniczych kół emigracji na Zachodzie, która znalazła się w ślepym zaułku własnej zbrodniczej nieodpowiedzialności. Sformułowany jasno i bezwstydnie, odsłonił kryjące się w nim bezdroża zdrady narodowej. Artykuł ten wyraźnie wskazuje perspektywy dla Polski, to jest zależność polityczną, gospodarczą i kulturalną od kapitału zachodnio-europejskiego. Ale ta zależność nikogo nie martwi; wyraźnie mówi się o tym, że trzeba będzie zrezygnować z wielkich ambicji, ale „w zamian za to odnajdziemy wielką, rozszerzoną ojczyznę europejską". Przemilcza się, że te „ambicje" — to podstawowe elementy życia narodu; wolność, niezależność i sprawiedliwość społeczna. Wiadomości artykuł ten wydrukowały jako naczelny, bo odpowiadał ich zasadniczym postulatom: zachowaniu ustroju kapitalistycznego i walce ze Związkiem Radzieckim, słowem zabezpieczał interesy klasowe kliki rządzącej w Polsce przed klęską wrześniową. Dzisiejszemu czytelnikowi Wiadomości Polskich wydaje się wprost nie do wiary, że klęska wrześniowa tak niczego nie nauczyła jej sprawców.

Wydawałoby się, że po tak okrutnej lekcji kontynuatorzy Wiadomości Literackich powinni podjąć próbę rewizji przeszłości, próbę oceny rzeczywistości, w której lekcje te były możliwe. Tymczasem, jak wyglądała próba przewartościowania rzeczywistości Polski międzywojennej? Wiadomości pod naciskiem sytuacji ogłosiły dwa artykuły o klęsce wrześniowej, jeden, broniący jej sprawców, J. Matuszewskiego, drugi, pozornie oskarżający, Aleksandra Hertza.

J. Matuszewski (U ź r ó d e ł s ł a b o ś c i, Wiad. Pol. Nr 1) odpowiedzialność za klęskę stara się przerzucić na całe społeczeństwo polskie, uwalniając w ten sposób od winy reżim. Winni są według niego wszyscy. Przyczyn słabości militarnej Polski Matuszewski szukał w jej słabości ekonomicznej, która według niego było „następstwem nie tylko własnych błędów, ale także wynikiem egoistycznej polityki wielkich metropolii świata".

Aleksander Hertz (S z l a c h e t c z y z n a, Wiad. Pol. Nr 8) oskarżał bezpośrednio reżim sanacyjny i uważał, że on jest odpowiedzialny za klęskę. Twierdził, że reżim ten „w sposób najbardziej wszechstronny i całkowity" reprezentował szlachetczyznę i że konflikt rozwijający się między szlachetczyzną a dojrzewającymi masami był przyczyną słabości Polski. Hertz stwierdzał, że klęska zmiotła istniejący stan rzeczy i z aprobatą wyrażał nadzieję, że nigdy on nie wróci.

Zarzuty pod adresem sanacji pisane w tonie bardzo ostrym i stanowczym, sformułowane były bardzo enigmatycznie. Szlachetczyzna — to raczej postawa kulturalno-obyczajowa, a nie klasowa. A więc ciosy jego nie trafiały w adresatów. Wiadomości Polskie mogły więc spokojnie drukować to oskarżenie, które nie uderzało w nikogo.

Nie podejmując jawnej obrony winnych faktycznie starały się one klęskę tę wytłumaczyć, przedstawić ją jako fatum dziejowe, niezawiniony los Polski. Redaktor Wiadomości znajdował setki sposobów na to, aby o klęsce wrześniowej czytelnik myślał tylko w kategoriach emocjonalnych, nigdy intelektualnych, a rzeczywistość międzywojenną przedstawiał jako utracone, zagarnięte przez wrogów pielesze domowe, w których było wszystkim tak dobrze!... Wielką rolę odgrywało tu nawiązanie do historii nieszczęść narodowych. Przez mitologizowanie dziejów

Polski, przez wtapianie problemu klęski wrześniowej w ciąg narodowych nieszczęść, przez odwoływanie się do mesjanizmu polskiego i nawiązywanie do tradycji Wielkiej Emigracji — neutralizowano realną ocenę rzeczywistości. Co więcej w ten sposób nie tylko rehabilitowano rzeczywistość przedwrześniową, ale ją aprobowano jako jedynie słuszną, i odpowiadającą roli dziejowej narodu polskiego.

Jawna aprobata rzeczywistości przedwrześniowej w warunkach wiosny 1940 roku była nawet jak na stosunki emigracyjne czymś bardzo śmiałym. Wprawdzie nigdzie nie jest ona powiedziana *ekspressis verbis*, ale wystarczy przytoczyć zdanie artykułu o Czartoryskim, aby stwierdzić wyraźnie stanowisko Wiadomości. Zdanie to brzmi: „...chodzi tu o rolę głowy państwa, którą tak pięknie określa nasza konstytucja z 1935 r." (Wiad. Pol. Nr 13). Wydrukowanie tego zdania nie było przeoczeniem redaktora. Miało ono istotną, deklaratywną wymowę polityczną. Wiadomości nie tylko formalnie uznawały tę konstytucję, ale w całej pełni, z przekonaniem ją aprobowały, czyniły z niej główny element swoich założeń politycznych.

Pamiętajmy, że w tym czasie wśród emigracji we Francji wszystko było w stanie tworzenia się, wszystko było jeszcze płynne. Emigracja jeszcze nie osiadła wygodnie na intratnych posadkach, wojna i front były bliżej niż później w Londynie. Wiadomości jednak od pierwszego numeru mają stanowisko i opinie polityczne ustalone, wiedzą czego chcą. Nie angażują się one zbytnio w popieraniu gen. Sikorskiego czy rządu emigracyjnego. Gdyby nie trzy artykuły Ksawerego Pruszyńskiego (L i t e r a t u r a e m i g r a c j i w a l c z ą c e j, Nr 1, I c h p o l s k a W i e l k a n o c, Nr 8, I c h f r a n c u s k a w i o s n a, Nr 10) nie znaleźlibyśmy w Wiadomościach ani słowa o tworzącej się tam armii polskiej. Nie ma tam ani słowa o kampanii norweskiej, ani słowa o udziale Polaków w obronie Linii Maginot, czy w ogóle o walkach toczących się na ziemi francuskiej. Nazwisko ówczesnego szefa rządu emigracyjnego pojawia się jedynie raz w ostatnim numerze, a więc prawie w chwili ostatecznej katastrofy Francji i tylko w reportażu z walk frontowych, ale... w Polsce 1920 r.!

Założenia polityczne Wiadomości Polskich wiązały się więc w konsekwentny system. System ten miał oczywiście swój rodowód i dziś jeszcze posiada swoje kontynuacje. Stanowi on pewną całość, w której niepoślednią rolę gra deklamowanie o wolności jednostki. Podbudowę filozoficzną Wiadomości sformułowały w sposób bardzo wyraźny artykuły Bolesława Micińskiego i ks. Jakubisiaka, a także omówienia i dygresje sprawozdań z bieżących wydarzeń politycznych i frontowych.

Obrońcy burażuazyjnej demokracji w wystąpieniach ogólnikowych przypisywali totalizm zarówno państwom osi Berlin—Rzym jak i Związkowi Radzieckiemu, ale w sformułowaniach bardziej szczegółowych występowano przede wszystkim przeciw ZSRR z dialektyką marksistowską, materialistycznym pojmowaniem dziejów, krótko mówiąc z tym, co według nich w filozofii reprezentował przede wszystkim „komunizm". Z obu istniejących według nich „totalizmów" atakowano bardziej ten, który przypisywano Związkowi Radzieckiemu. Kiedyś Żdanow stwierdził, że „oskarżenie komunizmu o totalizm jednoczy wszystkich bez wyjątku wrogów klasy robotniczej". Nie brakło wśród nich Wiadomości. Ks. Jabubisiak i B. Miciński pisząc o wolności jednostki nie precyzowali, co rozumie-

ją przez te słowa. Wolność była dla nich tylko zwrotem stylistycznym bez konkretnego znaczenia. Ich obrona wolności jednostki miała być jeszcze jednym orężem przeciwko krajowi Rad.

Nawet pobieżna analiza podstaw filozoficznych myślenia politycznego Wiadomości doprowadza nas szybko i nieuchronnie do wniosku, że są to nie tylko pozycje idealistyczne, ale wręcz obskuranckie.

Artykuły w rodzaju M i s t y k a w o j n y — oto kwiatuszki z oślej łąki filozofii Wiadomości Polskich. Teza mówiąca, że stosunek do Związku Radzieckiego jak papierek lakmusowy ujawnia elementy twórcze i postępowe lub wsteczne i obskuranckie, sprawdza się również na przykładzie Wiadomości Polskich. Ponieważ Wiadomości Polskie były tygodnikiem politycznym i literackim — jak głosił podtytuł — rzućmy okiem na materiał literacki w nich zawarty, który był dopełnieniem, zapleczem ideologicznym artykułów politycznych.

Arcyredaktor Grydzewski starał się na pewno skupić wszystkich pisarzy polskich przebywających wówczas we Francji. Toteż wszyscy poeci na emigracji (prócz Słonimskiego) ogłaszali w Wiadomościach swoje wiersze, które przeważnie były lirycznym wyrazem ich przeżyć związanych z wrześniem. Wszystkie teksty miały refleksyjno-liryczny charakter, najczęściej wspomnieniowy. One to najbardziej odrealniały polską rzeczywistość międzywojenną.

Wiadomości starają się przyswoić czytelnikom polskim te elementy kultury francuskiej, które uważają za najbardziej wartościowe. Dokonywują więc wyboru, który charakteryzuje je doskonale. Więc najwięcej miejsca poświęcają André Gide'owi i Charles Peguy. Artykuły (Wiad. Pol. Nr 6, 9 i 12) przedstawiały Peguy jako wzór do naśladowania; a — jak wiadomo — Peguy od reformizmu przeszedł na pozycje wojującego nacjonalizmu i katolicyzmu. Co reprezentuje A. Gide — wiemy wszyscy.

Ponadto zapoznano czytelników polskich z działalnością kardynała Verdier, z twórczością Rosy Bailly i z postacią... generała Georges Boulanger, którego cień przywołał na szpalty ostatni numer Wiadomości.

Jak widać z powyższego, nie była to wielka Francja, która przeszła na zawsze do historii. Wiadomości czuły się najbliższe tej Francji, która gwałtownie i szybko dojrzewała do Pétaina i z taką Francją usiłowały spowinowacić kulturę polską. Wiadomości zarówno w artykułach politycznych jak i literackich konsekwentnie pozostawały na faszystowskich pozycjach.

Jakie znaczenie ma dziś dla nas to spojrzenie wstecz, to cofnięcie się do pierwszych miesięcy ostatniej wojny? Na początku niniejszego postawione zostało pytanie, czy Wiadomości, a więc to, co one reprezentowały, użyźniły jakoś grunt przyszłości. Dzisiejszy czytelnik staje zdumiony przed logiczną konsekwencją stanowiska politycznego i przerażony jego zbrodniczą intencją wobec narodu polskiego. Droga, którą wytyczało to pismo, to droga zdrady najżywotniejszych interesów, droga niewoli i ucisku kapitalistycznego, ciemnoty i upodlenia. Droga ta nie przypadkowo schodzi się dzisiaj z traktem zbójeckim imperializmu światowego. Na szczęście naród polski wybrał inną drogę. W trudzie pracy codziennej robotnik, chłop i inteligent polski potwierdzają ten wybór swoim wysiłkiem. Stając do nadchodzących wyborów całe społeczeństwie wie, za czym będzie głosowało, świadome jest tego, jaką Polskę pragnie budować. Ponure mary przeszłości sanacyjnej, zabłąkani lub zbrod-

niczy działacze emigracyjni, agenci obcych agentur — dziś nikogo, kto uczciwy w Polsce, zwieść nie mogą. Ziarno siane przez tych, którzy działali w oparciu o kapitał światowy, którzy walczyli ze Związkiem Radzieckim nie mogło wydawać nic zdrowego.

I dlatego przypomnienie Wiadomości Polskich z ich najbardziej charakterystycznego okresu oświetla nie tylko tragiczną przeszłość wojenną narodu polskiego ale i przyszłość. Nie tam na zachodzie, ale na wschodzie emigracja polska dojrzała właściwe drogi prowadzące do wyzwolenia i szczęścia narodu polskiego. Droga ta była trudna, prowadząca przez szlak licznych bitew i ciężkich walk, ale była pewna — bo wiodła do celu w oparciu o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Naród polski dokonał wyboru, tworzy własną kulturę w oparciu o twórcze, postępowe tradycje historyczne, walczy z wyzyskiem kapitału nie tylko obcego ale i własnego, na zawsze wypędza z kraju wszelką ciemnotę i obskurantyzm. Kontynuatorzy polityki sanacyjnej wypadli za burtę historii. Trzon redakcyjny warszawskich Wiadomości Literackich w chwili próby dziejowej ujawnił z całym bezwstydem swe właściwe oblicze.

J. Ruzyło-Pawłowska

NAUKA W LITERATURZE RADZIECKIEJ

„W naszych oczach poczyna się urzeczywistniać wytyczona przez Lenina perspektywa przechodzenia... do wychowania, nauczania i przygotowywania wszechstronnie rozwiniętych i wszechstronnie przygotowanych ludzi, którzy potrafią wszystko zrobić“ — pisze Litieraturnaja Gazieta w artykule S z k o ł a, n a u k a, t e c h n i k a (Nr 100, sierpień br.).

Ogromnym i stale wzrastającym potrzebom społeczeństwa radzieckiego zawdzięcza swój rozwój ważna dziedzina twórczości literackiej: literatura popularno - naukowa. Książki beletrystyczno- i fantastyczno-naukowe, rozchodzą się w wielomilionowych nakładach rocznie; pochłania je młodzież, pochłaniają dorośli.

Rząd Radziecki przywiązuje dużą wagę do tej dziedziny literatury, czego dowodem jest wyróżnienie najlepszych utworów popularno - naukowych Nagrodami Stalinowskimi. W ciągu ostatnich kilku lat nagrodzone zostały następujące książki: N a d m a p ą o j c z y z n y Michajłowa, Ł o m o n o s o w Morozowa, M e n d e l e j e w Pisarzewskiego, Z i e m i a w k w i e c i e Safonowa, P s z c z o ł y Chalifmana, S ł o ń c e i o k o Wawiłowa — i inne. Autorami tych książek są uczeni i pisarze.

Zagadnienie współpracy nauki z literaturą w dziedzinie twórczości popularno- i beletrystyczno-naukowej, sprawa dalszego rozwoju tej gałęzi twórczości w obliczu wzrastających zadań budownictwa komunistycznego — wypływają często na łamach czasopism literackich. Najczęściej dzieje się to z okazji recenzowania nowości wydawniczych; od czasu do czasu pojawiają się również artykuły syntetyczno-krytyczne.

M. Iljin, autor wielu — znanych i u nas — książek popularno - naukowych (C z ł o w i e k a ż y w i o ł, U j a r z m i o n a p r z y r o d a) opublikował w lipcu br. dłuższy artykuł pt. R o z m o w a o n a u c e (Litieraturnaja Gazieta Nr 79 i 81). Poznawczy charakter literatury — jak twierdzi Iljin — wymaga od pisarza w twórczym procesie literackim przejścia i opanowania takich samych stopni rozwojowych, jak w każdym innym procesie naukowo - poznawczym: od obserwacji w drodze bezpośredniego zetknięcia się z poznawaną rzeczywistością — poprzez przemyślenie, zrozu-

mienie, syntezę rzeczywistości — do praktyki społecznej*).

„Nauka i literatura — rozumuje Iljin — różnymi drogami, rozmaitymi środkami szukają prawdy o życiu, by tym dokładniej, tym głębiej odzwierciedlać rzeczywistość i okazywać ludziom pomoc w jej przeobrażeniu. Obserwacja, badanie, uogólnienie — potrzebne są zarówno uczonemu jak i pisarzowi". W poszukiwaniach prawdy uczony eksperymentuje, posługuje się laboratoriami. Laboratorium pisarza — to samo życie.

„By zwiększyć poznawczą i społeczną siłę literatury — pisze Iljin — pisarze powinni opanowywać naukę, rozszerzając granice tego, co uważa się za tworzywo literackie, uczeni zaś muszą uczyć się u mistrzów słowa kunsztu zajmującego i plastycznego opowiadania narodowi o swojej pracy, o swoich odkryciach i wynalazkach".

Oczywiście dar literackiego przedstawiania zagadnień naukowych, talent łączenia nauki i literatury — należą do zjawisk dość rzadko spotykanych, wymagają bowiem skojarzenia w jednej osobie walorów uczonego i literata, zespolenia typu myślenia artystycznego— z naukowym. Iljin wymienia Leonarda da Vinci, Łomonosowa, Goethego, Mendelejewa, Borodina — jako genialnych przedstawicieli typu myślenia artystyczno - naukowego. Iljin wyraża przypuszczenie, iż wśród przeszło stutysięcznej armii uczonych radzieckich, znajduje się wielu utalentowanych ludzi o intelektualno - artystycznym typie umysłowości, którzy mogą i powinni chwycić za pióro. Iljin sądzi, że — również wśród wielotysięcznej rzeszy pisarzy radzieckich jest wielu twórców, którzy z talentem potrafiliby pisać o nauce.

*) Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w n-rze 1/52 Twórczości — N a w i d n o k r ę g u. Aktualne problemy estetyki w Związku Radzieckim.

Zanim przejdę do omówienia wyłuszczonych przez Iljina w omawianym artykule zasad opracowywania utworów o tematyce naukowej — pragnę zapoznać czytelnika z interesującymi wywodami wybitnej pisarki M. Szaginian, zawartymi w cyklu jej artykułów na temat N o w e k s i ą ż k i o n a u c e (Litieraturnaja Gazeta Nr 17, 19, 21 z ub. roku).

„Książka o nauce — to nie to, co książka naukowa. Malutka literka „o" posiada olbrzymie znaczenie, mieści się w niej u j ę c i e przedmiotu, a więc i wypływające z tego ujęcia wymagania odpowiedniej budowy utworu — konieczność lekkiego, zajmującego potraktowania tworzywa, konieczność przejrzystości obrazu, kompozycji, stylu, jednym słowem — wymagania kunsztu". Wszystkie te środki mają służyć przystępności, popularności wykładu.

Szaginian uważa, że podział książek o nauce na utwory popularno - naukowe i beletrystyczno - naukowe właściwie wprowadza tylko zamęt, jest nieścisły, niewyczerpujący. Poza tym podział ten deprecjonuje pojęcia: „popularny" — „pisać popularnie". „Popularyzacja — twierdzi Szaginian — prawdziwa popularyzacja, a nie wulgaryzowanie i upraszczanie — jest nie do pomyślenia bez pierwiastków artystyczno-literackich".

Forma literacka w takich utworach może być rozmaita. Jedni autorzy opowiadają o nauce i technice na stronicach powieści lub noweli, a więc w formie utworu beletrystycznego — z wątkiem fabularnym, wymyślonymi postaciami prowadzącymi dialogi itp. W ten sposób powstały bardzo interesujące książki (np. W. Niemcowa S i e d e m b a r w t ę c z y i F. Permiaka K i m z o s t a ć?) Inni stosują formę przystępnie opracowanych rozważań filozoficznych (R o z m o w a o m ó z g u e l e k t r y c z n y m pióra B.

Agapowa) lub krótkich nasyconych poezją opowiadań (W. Orłow R o s y j s k i e s ł o ń c e). Za pomocą literackich obrazów, metafor i analogii, nieoczekiwanych i śmiałych porównań autor wprowadza czytelnika w tajemnice najbardziej skomplikowanych odkryć i wynalazków.

Form i możliwości nasycenia książek o nauce elementami artystyczno - literackimi istnieje bardzo wiele. Chodzi o to, by — odpowiednio stosowane — istotnie wywoływały w czytelniku przeżycia prawdziwie artystyczne. Warunkiem zaś tego jest, by książka o nauce oddziaływała nie tylko na umysł, ale także na wyobraźnię i na uczucia czytelnika. Lenin pisał, że każde poszukiwanie prawdy zawiera w sobie pierwiastki wyobrażeniowe i emocjonalne. Istotnie uczonemu w jego pracy naukowej towarzyszą — zarówno wyobraźnia, jak i uczucie.

Książka o nauce — wywodzi Iljin — również nie może być pozbawiona tych elementów. Wzruszyć czytelnika, pobudzić jego wyobraźnię może w książce o nauce tylko to, co wzruszało, pobudzało wyobraźnię autora. „Uczony zaś— pisze Iljin — przyzwyczajony jest do ukrywania swoich uczuć, do nieujawniania — czasowo — swoich marzeń. Póki pracuje, pochłonięty jest pracą badacza. Wzrusza się i marzy, cierpi i cieszy się. Lecz w jego artykule opisującym bieg badań — nie ma o tym ani słowa". W artykule lub pracy naukowej takie suche sprawozdanie jest może właściwe i dopuszczalne; gorzej jest, gdy uczony w ten bezosobowy, pozbawiony ludzkich uczuć, przeżyć i marzeń sposób — zaczyna opowiadać o nauce czytelnikowi-laikowi.

Nie każdy uczony ma oczywiście takie wyjątkowe uzdolnienia popularyzatorskie jak np. — nieżyjący już — słynny fizyk Wawiłow, autor pięknej, przepojonej poezją pracy S ł o ń c e i o k o, jak mineralog i geochemik Fersman (M i n e r a l o g i a r o z r y w k o w á, G e o c h e m i a r o z r y w k o w a), jak biolog Chalifman (P s z c z o ł y). Wielu jednak uczonych — zdaniem Iljina — może nauczyć się pisać o sobie, o innych uczonych — jako o ludziach żywych.

W warsztacie literackim autora książek o nauce powinien znaleźć się cały dostępny arsenał środków artystycznych. Wymaga tego dobro literatury głoszącej tryumf nauki socjalistycznej. „Propaganda nauki — pisze Iljin — jak każda inna propaganda jest sztuką zdobywania czytelnika, zatem jak każde „zdobywanie" należy ją prowadzić zgodnie z regułami strategii i taktyki. Słowa i myśli, fakty i wnioski muszą być dobrane i zestawione tak, ażeby ani jedno słowo nie poszło na marne, by każde oddziaływało, by myśli rozwijały się w oparciu o potężną pomoc faktów, by każdy wniosek wznosił się jak zdobyte w boju wzgórze"...

O artyzm stylu i języka szczególnie należy dbać ze względu na przystępność wykładu. Żywy, plastyczny i obrazowy styl, ścisły, prosty i barwny język — warunkują interesujący tok narracji, a więc przystępność utworu.

Niektórzy autorzy w poszukiwaniu dróg ożywienia narracji — wpadają niekiedy w krańcowość innego rodzaju. Autorzy ci „upiększają" język retorycznymi epitetami w rodzaju: „wspaniały, cudowny, zadziwiający"; „ożywiają" styl wyświechtanymi określeniami jak: „stalowe rumaki", „okręty stepu" lub „pustyni", „białe" względnie „zielone złoto" itp. „Tania wyprzedaż wyświechtanych „ozdób" stylistycznych — pisze Iljin — odbywa się wszędzie tam, gdzie stosunek autora do tego, o czym pisze, jest obojętny. Czytelnika nie można jednak wyprowadzić w pole;

od razu to wyczuje — bez względu na ilość wykrzykników...“

Iljin apeluje do pisarzy zawodowych, autorów książek o nauce, by stale pogłębiali wiedzę zwłaszcza w opisywanej przez siebie dziedzinie — i to nie tylko celem unikania niejasności i błędów naukowych, lecz także z uwagi na rozwój zagadnień naukowo-twórczych. W jaki sposób pisarze mogą przyczynić się do twórczego postępu nauki, Iljin wyjaśnia następująco:

„Literatura — to środek poznawania świata podobnie jak nauka.

A jeśli tak jest, to literatura beletrystyczno - naukowa otwiera przed uczonymi nowe możliwości badawcze. Przecież artysta gołym okiem dostrzega niekiedy to, czego nie można zobaczyć przy pomocy przyrządów naukowych.

Literatura beletrystyczno - naukowa jak każda literatura obserwuje, bada człowieka i przyrodę w ich ścisłym ze sobą powiązaniu, zespoleniu. To więc nasuwa możliwości uogólnień i syntetycznych zestawień, do jakich nie zawsze dochodzi specjalista obejmujący tylko swoją dziedzinę nauki“.

Jako przykład torowania nowych dróg w nauce autor artykułu przytacza książkę Michajłowa N a d m a p ą O j c z y z n y, w której pisarz nie tylko opowiada o osiągnięciach nauki, ale i w swoisty, literacki sposób rozwija wielostronny temat przeobrażenia oblicza kraju. Od 20 lat radziecka literatura beletrystyczno- i fantastyczno-naukowa zajmuje się zagadnieniami przeobrażenia przyrody, chociaż nie istnieje jeszcze taka ujednolicona gałąź czy dziedzina naukowa, która obejmowałaby całokształt spraw związanych z przeobrażeniem przyrody. Faktem jest, że uczeni radzieccy z różnych dziedzin wiedzy coraz częściej rozwiązują wspólnie pewne złożone zagadnienia naukowe.

Sprawa ta ma też inny aspekt, na który uwagę pisarzy zwróciła M. Szaginian w cytowanym wyżej artykule N o w e k s i ą ż k i o n a u c e. Rozwiązując wspólne zadania postawione przed poszczególnymi dziedzinami nauki uczeni wysuwają i rozwijają zagadnienia leżące na pograniczu poszczególnych gałęzi wiedzy, pracują nad ich zbliżeniem. „W czasie Wielkiej Wojny Narodowej — czytamy w artykule Szaginian — wiele działów nauki pracowało wspólnie nad wykonaniem j e d n e g o z a d a n i a“. Te tendencje nauki radzieckiej ze szczególną siłą uwydatniają się w toku prowadzonych od kilku lat prac naukowych nad urzeczywistnieniem stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody, nad wzniesieniem wielkich budowli komunizmu.

Te zjawiska i procesy rzucające światło na związki między poszczególnymi dziedzinami wiedzy powinni mieć na uwadze pisarze - autorzy książek o nauce. Istotnie — wybitni pisarze potrafią dać w dziedzinie literatury popularno- i beletrystyczno - naukowej syntetyzujący obraz nauki. W krótkich poetycznych O p o w i a d a n i a c h o r z e c z a c h n i e u c h w y t n y c h — cieniach, bańkach mydlanych, dymie, smugach świetlnych, echu — Orłow wprowadza czytelnika niepostrzeżenie w najbardziej skomplikowane osiągnięcia wielu dziedzin nauki ujętych w syntetycznym ich powiązaniu.

Szaginian zauważa, że czytelnicy radzieccy oczekują takich książek o nauce, które... “pomogłyby im kształcić się, podnieść do poziomu właściwego wykształcenia, do ujęcia z w i ą z k u między poszczególnymi naukami, do zrozumienia j e d n o ś c i p r a w stanowiących ich podstawę, tj. takich książek, w których ten związek, ta jedność — byłyby uwypuklone“... „Każda książka o nauce radzieckiej — która wyszła spod pióra człowieka obdarzonego wyobraźnią, wnosi swój wkład

w sprawę rozwiązania „zadania dnia jutrzejszego — stworzenia nowego compendium nauk dla epoki komunizmu".

Radziecka literatura fantastyczno-naukowa jako odmiana literatury beletrystyczno - naukowej opiera się — w myśl wskazówek Gorkiego — na hipotezach i poszukiwaniach współczesnej myśli naukowej, na realnych podstawach naukowych. N a p o g r a n i c z u m o ż l i w o ś c i — tak brzmi tytuł bardzo dobrej książki fantastyczno - naukowej W. Ochotnikowa. Tytuł ten zawiera w sobie określenie istotnej cechy radzieckiej twórczości fantastyczno-naukowej. „Właśnie tam, na pograniczu możliwości i rzeczywistości — pisze S. Smirnow w artykule P r z y g o d y p e w n e j i d e i (Nowyj Mir nr 5/52) — na pograniczu stale przesuwającym się w miarę postępu nauki — znajdują pisarze tworzywo dla swych książek".

Radzieccy autorzy książek fantastyczno-naukowych wychodzą ze zdrowych przesłanek twórczo-naukowych, które nie są fantastycznymi tworami chorej wyobraźni — jak to się często dzieje w literaturze imperialistycznej— lecz konsekwentną kontynuacją nauki dnia dzisiejszego rzutowaną w perspektywę przyszłości. Książki te ukazują bliski tryumf wyzwolonej myśli ludzkiej — tryumf będący wynikiem obecnych osiągnięć nauki i techniki.

Radziecka literatura fantastyczno-naukowa nawiązuje do najlepszych tradycji wybitnych uczonych rosyjskich— Łomonosowa i Mendelejewa, Sieczennowa i Pawłowa, Timiriazewa i Miczurina, Stoletowa i Ciołkowskiego, którzy byli nie tylko realizatorami postępu nauki ojczystej i światowej we wszystkich dziedzinach, ale torowali drogę nauce przyszłości, snując gigantyczne plany i koncepcje naukowo-fantastyczne w najlepszym znaczeniu tego słowa. Przy sposobności pragnę podkreślić, że odtworzenie bohaterskiego życia i naukowo - twórczej działalności wielkich uczonych rosyjskich, zapoznanie czytelnika z osiągnięciami rodzimej nauki i techniki, wykazywanie jej oczywistej przewagi nad nauką burżuazyjną — to jeszcze jedno z nowatorskich zagadnień i poczynań radzieckiej literatury beletrystyczno-naukowej. Wspomniane wyżej książki biograficzno - naukowe wyróżnione Nagrodami Stalinowskimi (Ł o m o n o s o w, M e n d e l e j e w) i takie książki, jak S t o l e t o w Bołchowitinowa, B u t l e r o w Gumilewskiego i inne, świadczą o wysokim poziomie, jaki osiągnęła w tej dziedzinie literatura radziecka.

Literatura fantastyczno - naukowa cieszy się w Związku Radzieckim wielką poczytnością i uznaniem nie tylko u czytelników młodocianych, ale i dorosłych. Na progu komunizmu nawet najśmielsze pomysły i marzenia naukowe szybko się urzeczywistniają, stanowiąc niejako pierwszy wariant, pierwszy szkic w gigantycznym zespole stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody, realizowanego w ramach pięciolatek. Budowniczych komunizmu, współtwórców i realizatorów tego procesu twórczego — zawsze interesuje uchylenie rąbka tajemnicy — nawet zupełnie bliskiej przyszłości.

Wspominałem wyżej, że Szaginian— tego samego zdania są i inni autorzy książek o nauce — nie przykłada wagi do podziału twórczości literackiej o tematyce naukowej na popularno-beletrystyczno, względnie fantastyczno-naukową. Istotnie w wielu wypadkach nawet trudno określić, do jakiego rodzaju twórczości można daną książkę zaliczyć. Niemal w każdej radzieckiej książce o nauce można znaleźć elementy historyczne, kreślące rozwój danej idei naukowej, jak również — pier-

wiastki fantastyczno-naukowe, myśli i obrazy wybiegające w przyszłość.

Bogaty i różnorodny dział twórczości literackiej, jaką stanowią książki o nauce — ma duże znaczenie dla rozwoju literatury pięknej w ogóle, dla literatury przyszłości. „Pisarz epoki komunizmu — czytamy w artykule Iljina Rozmowa o nauce — to wszechstronnie, harmonijnie wykształcony człowiek, dla którego wiedza i literatura będą pojęciami nierozłącznymi.

Literatura przyszłości — to literatura w pełni uzbrojona w oręż nauki".

Józef Spinc

REPUBLIKA W WALCE Z DEMOKRACJĄ

Klucze królestwa

Daty historyczne zawsze otacza jakiś szczególny urok czy groza. Tworzą jakby słupy graniczne dzielące różne epoki. Podział to nie idealny, nigdy bowiem procesy dziejowe nie zamykają się bez reszty, na kształt antycznych dramatów, w ramach jedności akcji, miejsca i czasu. Ale podział słuszny, gdy wiąże się z jaskrawą manifestacją jakiegoś zjawiska, które nad całą epoką będzie dominować.

Amerykanie obchodzą uroczyście dzień 4 lipca i 22 lutego — rocznicę ogłoszenia Deklaracji Niepodległości i urodzin Jerzego Waszyngtona. Dziś są to galówki celebrowane mechanicznie przez burżuazję USA. Cóż wiedzieć mogą o niepodległości ludzie, którzy nastają na niepodległość cudzą, a narodowi własnemu wzbraniają niepodległego zdania? Jaki szacunek mogą mieć dla człowieka, z którego biografii skreślają wszystko co istotne? W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych te daty nic nie mówią, spoczywają w letargu. Najwięcej może poczucia chwili wykazał plantatorski stan Arkanzas, który z wielką paradą święci corocznie „Dzień Mac Arthura" — 6 stycznia.

Ale jest w dziejach USA data wstydliwie chroniona w pyle bibliotecznym, która jednak powinna zostać wpisana najjaskrawszą barwą w obecnym ich kalendarzu i wraz z rocznicą urodzin John Pierpont Morgana — 23.VI.1837 — zastąpić tamte dwa anachroniczne już święta „czcigodnej" rewolucji burżuazyjnej.

W roku bieżącym przypadły brylantowe gody paktu Północ-Południe, który doszedł do skutku staraniem obu zwalczających się dotąd partii. Powstał wówczas sojusz Republikanów z Demokratami, wymierzony przeciw Republice i Demokracji, powstała epoka, na której zbudowano kościół wojujący kapitalizmu, założono fundament imperialistyczny i wzniesiono mury sanktuariów Wall Street, kryjącego w sobie klucze królestwa dolarowego.

Ostatnie rzeczywiste wybory w USA odbyły się w roku 1876. Szanse były właściwie równe. Z ramienia Republikanów kandydował gubernator stanu Ohio — Hayes, Demokraci wysunęli gubernatora New Yorku, Samuela Tildena. Był to ze strony stronnictwa plantatorów chwyt zręczny: Tilden, bogaty radca prawny szeregu wielkich korporacji, miał liczne kontakty wśród finansjery i mógł liczyć na poparcie poważnej jej części. Gdy przyszło do obliczania głosów w kolegium elektorów okazało się, że na Tildena padło 184, na Hayesa 166. Żaden nie miał jednak niezbędnej większości absolutnej. Tildenowi brakło wprawdzie tylko jednego głosu, ale ten jeden był rozstrzygający. Poza tym w zawieszeniu były głosy trzech stanów: Południowej Karoliny, Florydy i Luizjany. Kwestionowali je obaj kandydaci i każdy z nich twierdził, że jemu właśnie powinny przypaść. Sprawa przeszła pod obrady Kongresu,

ale i tu trudno było znaleźć decyzję. Izba — demokratyczna — była za Tildenem, Senat — republikański — za Hayesem. Za kulisami toczyły się przetargi.

Wreszcie doszło do porozumienia. 27 lutego 1877 nastąpiła „wymiana not" likwidująca spór. Gubernator Ohio oświadczył, że całkowicie docenia „wyraźnie wyrażoną" wolę ludności stanów Luizjany i Karoliny Południowej i w razie objęcia prezydentury „wolę tę uszanuje". „Wola" była istotnie zupełnie niedwuznaczna. Świadczyły o niej setki terrorystycznych mordów politycznych dokonanych przez bojówki „demokratycznych" plantatorów. Wobec takich zapewnień Demokraci zgodzili się uznać wybór przeciwnika. Hayes zamieszkał w Białym Domu. Zobowiązania dotrzymał. Wierny umowie wycofał resztki wojsk federalnych z Południa, kwaterujące tam od czasu zniesienia niewolnictwa. Demokraci niezwłocznie obsadzili swoimi ludźmi legislatury i administrację tych stanów, ostatnich, kóre nie wróciły jeszcze w ręce plantatorskie. Południe mogło odtąd bez przeszkód „trzymać Murzynów na właściwym miejscu".

Gangsterzy polityczni w USA respektują, gdyż mają w tym interes, zawarte pomiędzy sobą pakty. Zmowa Hayes — Tilden, zmowa reakcji Północy — wielkokapitalistycznej — i reakcji Południa — plantatorskiej — przetrwała do naszych czasów i rozkwita nadal w postaci tzw. polityki dwupartyjnej, okrzyczanej jako przejaw „dojrzałości politycznej narodu". Przetrwała tak długo, gdyż ów pakt był czymś więcej niż zwykłą zmową wyborczą. Był odbiciem nowego układu sił politycznych i gospodarczych w USA, ostatnim ogniwem wielkiego przegrupowania sił klasowych w Ameryce. Na Południu przetworzonym w kolonialną enklawę kapitalizmu, murzyński proletariat rolny powrócił do swego sam na sam z plantatorami. Na Północy klasa robotnicza stanęła oko w oko z potężniejącym nieustannie kapitalizmem. Bezpośrednim następstwem paktu było brutalne złamanie strajku kolejowego w roku 1877. Nie bez powodu nowojorska Commercial and Financial Chronicle pisała wówczas: „Po raz pierwszy od czasu wojny (o wyzwolenie Murzynów) mamy robotników w ręku. A w roku przyszłym będzie pod tym względem jeszcze lepiej, co pozwoli na dalsze oszczędności".

Linia rozwojowa Stanów Zjednoczonych zarysowała się wyraźnie.

Klucze wyborów

Tu następuje zmiana w scenach naszego widzenia...

Z podium płynie potok słów wzniosłych, szczytnych haseł, gorących i bezinteresownych zapewnień, by w chwilę później wezbrać nawałnicą inwektyw pod adresem nieprzyjaciół mówcy — wrogów narodu, państwa i całego rodzaju ludzkiego. Są wszędzie, przenikają w każdą szczelinę życia, wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni, potężni, groźni, wszechwładni. Święta trwoga ogarnia słuchaczy, czyżby nie mieli ujść straszliwemu losowi? Istnieje na szczęście droga ocalenia: On, mąż niezłomny i wspaniały, On, co przewidział wszystko i wszystkiemu potrafi zapobiec. Słuchacze oddychają z ulgą, nadszedł moment refleksji i oceny. Tak, to niewątpliwy przywódca narodu, urodzony sternik nawy państwowej, silny i mądry, szlachetny i bezinteresowny. A przy tym jaki prosty! Teraz to widać, gdy tak wchodzi w tłum, zbliża się do audytorium — zbliża, ale nie zniża! O, bo ten osiwiały w pracy dla ogółu działacz, to prawdziwie swój człowiek, jeden z nich, jeden z szeregu, niezliczonego szeregu szarych ludzi

Ameryki. Wyczuć to można w mocnym, kordialnym uścisku dłoni, jaki wymienia z każdym z tysiąca zebranych, w serdecznym uśmiechu, w spojrzeniu tak pełnym zrozumienia dla trosk przeciętnego Amerykanina, trosk, które z nim razem dzieli. Mówi o sobie i wyłania się obraz osobistego życia wielkiego człowieka, obraz drobnomieszczański, wszystkim bliski, codzienny i powszedni, a który przez to właśnie pociąga, wzrusza i dosłownie targa za serce. Jakże on zna te sprawy, drobne i ciężkie kłopoty, sam ich doświadczył, sam się z nimi boryka. Choroba żony — czuwanie u jej wezgłowia. Trudności mieszkaniowe — wciąż się za mało buduje; a na domiar złego — te wysokie czynsze. Przyszłość dzieci — niepewna i chmurna — groźba wojny... On również ma dzieci, rozumie niepokój milionów rodziców, uczyni wszystko — — A jeśli... jeśli nadejdzie ostateczność, jeśli wróg, co dybie na całość Ameryki, uderzy — tu tony mowy twardnieją, dźwięczy w nich szczęk stali — któż lepiej niż on poprowadzi naród do zbrojnego wysiłku?...

Huczą oklaski, grzmią fanfary orkiestry, salę zalewa powódź kolorowych świateł, imię prezydenckiego kandydata jest na wszystkich ustach. Ba, nie tylko na ustach: widnieje na przezroczystych pończoszkach pięknych dziewcząt, na kapeluszach, gorsach i ramionach, monoklach i chusteczkach, na płytach gramofonowych i deskach do prasowania — wszędzie.

Pełen energii, pogodny, naładowany zapasem okolicznościowym zwrotów i anegdot, kandydat prezydencki przemierza kraj wygłaszając dzień po dniu, rano, w południe i wieczór, niezliczoną ilość przemówień. Publiczność zjawia się tłumnie, nie myśląc o tym, że krasomówcze popisy nie mają wcale znaczenia, że do ich treści żadnej wagi nie można przywiązywać, że ten, kto zasiądzie w Białym Domu, prowadzić będzie politykę ustalaną z dala od estrady wyborczej, nie dla ludu i nie przez lud wytkniętą. Publiczność przychodzi tłumnie, znęcona tanią świetnością widowiska, zwerbowana przez machiny partyjne, przychodzi z nawyku, spełniając uświęcony latami obrządek, a czasem dla zaznania naiwnego poczucia współrządów państwem.

Tu następuje zmiana w scenach naszego widzenia...

Luksusową arterię New Yorku, słynną Fifth Avenue, zalega tłum. Dołem, w zaduchu kolejki podziemnej, płynie jak co dzień milionowa fala zmęczonych wytwórców bogactw. Górą, w chłodnych wnętrzach nazbyt wytwornych sklepów, płynie jak co dzień fala milionów beztrosko wyrzucanych przez garść zjadaczy tych bogactw. Sześćset tysięcy gapiów wypełnia oba chodniki. Środkiem szerokiej jezdni sunie pochód. Toczą się sapiąc ciężkie lokomotywy, za nimi wąż towarowych wagonów, jest nawet pancernik na kołach, cały błyszczący srebrem płyt, cały jeżący się armatami — a jedna z nich prawdziwa. Kolorowe czapeczki, barwne parasolki, z okien drapaczy chmur sypie się deszcz confetti i starym nowojorskim zwyczajem, stosy podartych na strzępy książek telefonicznych. Karnawał? Nie. Legion Amerykański, faszystowskie zrzeszenie byłych wojskowych, odbywa doroczny zjazd. Przodem, wspaniałym kurierskim parowozem jadą: Wielki Marszałek Zjazdu — Harold Hains, burmistrz New Yorku — Impellitteri, delegat gubernatora stanowego — Curran. Wysiadają przy rogu 42-ej ulicy, zajmują miejsca na honorowej trybunie. Jeden z legionistów w powłóczystej, lecz zwiewnej sukni kobiecej próbuje ucałować burmistrza. Ten się uchyla, a legionista wyciska gorące poca-

łunki na ustach licznie ustawionych policjantów. Z ogłuszającym świstem, rykiem, piskiem i skowytaniem dziesięciu tysięcy trąbek, gwizdków, piszczałek, klaksonów oraz ludzkich gardzieli parada podąża dalej. Na rogu 34-ej ulicy wrzawa milknie przelotnie: Legion „składa hołd" pamięci poległych. Po czym, przy skocznych dźwiękach tuzina orkiestr, z tłumem legionistów miesza się tłum „wesołych przyjaciółek" — rozwydrzonych, rozchichotanych. Zabawa. Smutna zabawa w politykę i demokrację.

Wierny jej opis daje New York Herald Tribune. Brzmi nie do wiary. „Niewiarygodność — pisał o sprawach podobnych Howard Fast — niewiarygodność tłumaczy tylko jedno: fakt, że się to stało".

Tu następuje zmiana w scenach naszego widzenia...

Tłum legionistów wypełnia szczelnie olbrzymią halę. Na mównicy sam Ike Eisenhower. Ma na sobie strój legionowy, łysina, w myśl wskazań reporterów telewizyjnych, starannie upudrowana (zanadto błyszczała w programie). Cóż powie były dowódca swym byłym podkomendnym wyrwanym przed chwilą z ulicznego rozpasania i błazeństw? Czy im wyjaśni, że ich zdziczenie, bezmyślność zapitych głupców, brak wszelkiego hamulca, to dzieło ustroju, który innych nie potrafi już znaleźć obrońców, jak otępiałych trzebieńców moralnych, janczarów prowadzonych strachem i histerią?

„Strach i histeria rządzą naszym życiem! Strach i histeria pchają nas w bankructwo moralne i dolarowe!" — mówi słusznie generał Ike — by zaraz potem dać żywy przykład swego twierdzenia. Wzrok mąci się, czaszkę pod pudrem zraszają grube krople potu, szczęki zwierają się kurczowo, w kącikach zaciśniętych ust pokazuje się piana, głos staje się syczący i chrapliwy. Ike przypomina teraz mopsa w paroksyzmie wścieklizny. Domaga się zbrojeń, jeszcze większych zbrojeń, chwycenia za gardło niesfornych satelitów, woła o nowe podboje. Drży na myśl o rosnącej z dniem każdym potędze socjalizmu. Jeszcze chwila, a ZSRR „prześcignie moc produkcyjną Stanów Zjednoczonych". Jeszcze chwila — i w samych USA rozpocznie się zmierzch faszyzmu, któremu Eisenhower przyrzeka dziś wierne swe służby: „Jakakolwiek przyszłość mnie czeka, łączę się z wami w tej walce!" Od siedmiu lat prowadzonej walce z wolnością, równością i braterstwem, walce o wszechwładzę rasizmu i FBI.

Spada maska generała wojsk demokracji szturmujących redutę Hitlera. Pozostaje najemny opryszek plugawiący mundur i pamięć Jerzego Waszyngtona. „Moralność i maniery z rogu ulicy" — wzdryga się na ten widok wielbiący Amerykę organ angielskich monopoli Manchester Guardian. Dziennik zapomniał dodać, iż żaden ulicznik nie ubiegał się dotąd o godność prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Tu następuje zmiana w scenach naszego widzenia...

„Tutaj w Chicago — woła z emfazą reporter wielkiego koncernu radiowego Columbia — na podium, na którym oszacowano i zlicytowano miliony najwspanialszych befsztyków świata, zostanie wyznaczony przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. I, Demokrata czy Republikanin, z tego samego podium wygłosi swą pierwszą mowę kandydacką..."

Chicago — największe centrum kolejowe i największa na świecie rzeźnia. Największa drukarnia świata, najstraszliwsza dzielnica nędzy. W tym najbardziej na kuli ziemskiej kryminalnym mieście wychodzi najbardziej reakcyjny dziennik globu — Chicago

Tribune i licytująca się z nim w zakłamaniu — Encyclopedia Brytannica. Tę właśnie stolicę gangsterów upatrzyły sobie dwie główne partie USA na miejsce konwencji prezydenckich, ogólnopaństwowych zjazdów zwoływanych co cztery lata dla obioru przyszłego elekta.

Dziennikarz radiowy nic nie przesadził w swym ujęciu. Dostosował je tylko do powszechnego, ogólnego tonu. Befsztyki i prezydenta, nowy film i nowy gatunek papierosów reklamuje się jednakowo. Program polityczny sprzedaje się tak samo jak nowy przepis trwałej ondulacji. I wart jest tyle samo. W orszaku agitujących za sobą kandydatów spotkamy gwiazdy ekranu i kabaretu, dużo pięknych ciał, a za to mało myśli, klownów cyrkowych i kowbojów, a nawet kowbojskie konie. Po ostatecznym przyjęciu przez konwencję republikańską kandydatury Eisenhowera, głośny z wykwintnych manier i opanowania senator Henry Cabot Lodge młodszy zaczął tańczyć wściekłego dżiga i wrzeszczeć w niebogłosy.

Źródłem tego szaleństwa jest nie tylko charłactwo umysłowe polityków USA. Jest w nim wyraźna metoda. Chodzi o sprowadzenie aktu wyborczego do rzędu wydarzeń rozrywkowych, o ściągnięcie polityki na poziom życia ulicy, o płytkość politycznego myślenia gwarantującą władzę machin partyjnych. Istnieją stany od stu lat republikańskie, inne znów od pokoleń demokratyczne. Bezmyślność wspiera siłę tradycji, którą dopiero nasze czasy zaczynają podważać. Pennsylwania była zawsze dziedzictwem Republikanów. Dziś już nie jest. Niektórzy tłumaczyli to polityką Roosevelta. Inni wpływem wojny. Ale pewien wyga partyjny wyjaśnił: „To nie tylko Roosevelt. I nie tylko wojna. To kraj się zmienia i ludzie".

Kogo bogowie chcą zgubić...

Twórcy państwa, Ojcowie-Założyciele, chcąc zabezpieczyć demokratyczną formę rządów uczynili każdy niemal urząd obieralnym, a okres kadencji krótkim. W stosunkach kapitalistycznych gwarancje demokracji stały się źródłem jej słabości. Dla organizacji niezliczonych wyborów powstały machiny partyjne i wkrótce w ręku kapitalizmu przekształciły się w główne narzędzie korupcji politycznej. Przekupstwo i ciągnięcie nielegalnych korzyści ze stanowisk w administracji urosły w system, którego potężną podstawę stanowi zasada łupów: rozdawnictwo przez zwycięską partię swoim ludziom wszystkich „zdobytych" posad. W rezultacie, dla szerokich mas członków przynależność partyjna stała się — mówi autorytet w tej sprawie, prof. James Bryce — czymś w rodzaju przynależności wyznaniowej, sprowadzonej do przestrzegania zewnętrznych rytuałów. Republikanizm czy demokratyzm przechodzi z ojca na syna jak firma handlowa. Bardzo często wiąże się zresztą z firmą i jej klientelą. Amerykanin kieruje się wyglądem kandydata, jego sposobem bycia, jego życiem rodzinnym, mnóstwem cech osobistych, najmniej zaś poglądami. Wykorzystuje to machina. „Przywódcy partii — pisze Bryce — starają się dobrać takiego kandydata, który miałby najlepsze widoki zebrania możliwie wielkiej liczby głosów w możliwie różnorodnych kołach".

Wybory prezydenckie są dwustopniowe. Każdy stan tworzy odrębną jednostkę i głosuje jako całość wybierając pewną ilość elektorów. Ci z kolei obierają prezydenta. Wystarczy więc jeden głos przewagi dla zdobycia wszystkich mandatów elektorskich w danym stanie. Ilość mandatów jest w proporcji do liczby ludności, najmniej jednak trzy.

Faworyzuje to stany słabo zaludnione, zacofane i reakcyjne. A dwustopniowość faworyzuje wyraźnie wielkie i bogate partie, przy czym widowiskowy charakter wyborów jeszcze podnosi koszta. Stąd różne grupy mniejszościowe zazwyczaj nie wysuwają własnych kandydatów, ale prowadzą zaciekłe targi z obu partiami tradycyjnymi, by jako języczek u wagi uzyskać największe koncesje. Stąd także paradoks wyborczy polegający na tym, że w stanach „swoich" partie dążą do największego ograniczenia liczby wyborców, w stanach zaś „wątpliwych" — zabiegają usilnie o jak największą frekwencję.

Każda z „tradycyjnych" partii, Demokratyczna i Republikańska, ma pewną ilość stanów, na które może liczyć niemal bezapelacyjnie. Na Republikanów zawsze głosuje Vermont, Maine, czy Colorado, na Demokratów — 11 stanów południowych, tzw. „Zwarte Południe" — Solid South. Demokraci, zwłaszcza od czasów rooseveltowskich — pozyskania większości farmerów i ludności wielkich miast — mają wyraźną przewagę. Przepowiednie różnych „ekspertów" opierają się zwykle na tej właśnie przesłance, albo też dyskontują niezadowolenie szerokich mas. Losy wyborów decydują się prawie zawsze w 6-ciu wielkich, a „zmiennych" stanach mających łącznie 181 głosów elektorskich na ogólną liczbę 531: New York — 45, Pennsylwania — 32, Kalifornia — 32, Illinois — 27, Ohio — 25 i Michigan — 20. Są to wszystko stany wysoko uprzemysłowione. Pennsylwania tylko w piosence rozkwita bzami, jej kwiaty prawdziwe to ognie wielkich pieców i czarne kwiaty węgla. Kalifornia po przeminięciu gorączki złota jest wielkim producentem buraków, pomarańczy i nafty. Illinois nosi też drugą nazwę — Chicagoland — kraina Chicago: rzeźni i przetworów mięsnych. Ohio to stalownie i przemysł maszynowy. Michigan to Detroit i samochody. A wreszcie New York, stan imperialny, ze swoją metropolią-olbrzymem, zlepkiem kilkudziesięciu narodowości. Wszystkie te stany tworzyły główną bazę Republikanów wówczas, kiedy Republikanie byli partią Lincolna i walczyli o postęp. A później, za czasów wielkiego kryzysu, tu właśnie najgwałtowniej szerzył się ferment społeczny grożąc przeobrażeniem się w rewolucyjne wrzenie, dopóki nie rozładował go reformizm Roosevelta.

Drugim kluczowym terenem są stany rolnicze, farmerskie. Rządy Demokratów zbiegły się dla farmerów z długim okresem względnego dobrobytu. Najpierw dzięki subsydiom, potem na skutek wojny, akcji unrrowskiej i forsowania eksportu rolnego w ramach planu Marshalla. Tegoroczna susza odbiła się na zbiorach i Truman zalicza jeden okręg po drugim do terenów objętych klęską, co automatycznie pociąga za sobą wzmożone subsydiowanie farmerów.

W oparciu o potencjalną przewagę swej partii kandydat Demokratów, Adlai Stevenson, gubernator stanu Illinois (jednego z wątpliwych) montuje blok, w który wchodzi reakcyjne Południe, farmerski Middle-West i maszyneria wielkich miasta Północy. Po kompromitacji i odejściu Wallace'a partia postępowa nie wróciła do sił, toteż utrata głosów na jej rzecz wydaje się Demokratom mało prawdopodobna. Nie grozi również rozbicie głosów Południa, jak przy ostatnich wyborach, gdy część południowej reakcji wystawiła własnego kandydata. Tak więc Stevenson wkracza w szranki w warunkach w zasadzie bardziej korzystnych niż Truman przed czterema laty.

Republikanie liczą w pierwszym rzędzie na coraz bardziej dające się zauważyć w społeczeństwie pragnienie zmiany, chociaż nie wyszło ono jak dotąd poza stan głębokiego znużenia i apatii. W tym właśnie partia republikańska widzi swój atut. Zniechęcony wyborca rzadko kiedy przechodzi do obozu drugiego stronnictwa, jego niezadowolenie wyraża się zwykle w powstrzymaniu od głosu, w zignorowaniu wyborów. Przeciwnik nie zyskuje co prawda zwolenników, ale proporcja się zmienia. Równocześnie zabiegają Republikanie o zdobycie wyborców biernych, nie mających przynależności, niezdecydowanych. Eisenhower dobrany był właśnie pod kątem aktywizacji, przełamania bierności szerokich kół społeczeństwa. Akcja ta obliczona jest w dużym stopniu na drobnomieszczaństwo, stanowiące poważny, a przytem bardzo ruchliwy odłam ludności miast i miasteczek amerykańskich, na niezliczoną ilość subiektów sklepowych, kancelistów i maszynistek, pracowników biur i przedsiębiorstw, a także półrzemieślników, monterów, mechaników, szoferów — słowem całą tę warstwę wynoszącą się ponad proletariat, choć los jej ściśle związany jest z jego losem, ów czynnik, którym Hitler posłużył się tak skutecznie przy zdobywaniu władzy. Stąd faszystowskie tony nie tylko w treści, ale i w ujęciu przemówień Eisenhowera.

W próżni moralnej, jaką jest dzisiaj polityczna rzeczywistość Stanów Zjednoczonych, partia wstecznictwa integralnego wysuwa generała — podobnie jak Demokraci uczynili z Marshallem — tytułem rzekomej gwarancji czystych rąk w rządzie kraju. Sceptyk mógłby powiedzieć, że republikański generał nie zapobiegł wypadkom przekupstwa kolegów-generałów w okresie, kiedy był szefem sztabu. Co więcej republikański generał powrócił z Europy nie tylko wzbogacony nienawiścią całego kontynentu, lecz i obfitą kolekcją dzieł sztuki starego świata. Sceptyk mógłby przypomnieć, że Waszyngton i Grant stawali do wyborów jako wodzowie armii rewolucyjnych, jako współtwórcy zwycięstwa postępu i wolności w swoim kraju. A wreszcie sceptyk mógłby dodać, że wejście Eisenhowera do Białego Domu oznaczałoby tylko wymianę machiny nasyconej na wygłodniałą — rzecz niekorzystną dla podatnika. Ale społeczeństwo USA jest bezkrytyczne i w sceptyków mało zasobne. I chociaż znaki wróżebne i wnioski logiczne zdają się raczej przechylać na stronę demokratycznego *status quo*, wszelkie nazbyt kategoryczne prognozy byłyby dowolnością. Jedno jest pewne. W pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada naród amerykański pójdzie do wyborów nie mając właściwie wyboru. I akt ten przypominać będzie raczej losowanie niż głosowanie.

Z górą 80 lat temu Marks pisał w liście do Engelsa, że „republika burżuazyjna również w Ameryce skompromitowała się tak doszczętnie, iż w przyszłości nigdy już nie będzie można jej propagować dla jej własnych zalet, lecz tylko jako środek i formę przejściową do rewolucji socjalnej...“ Burżuazja Stanów Zjednoczonych w złudnej nadziei, że zdoła tę formę przejściową uwiecznić, ucieka się do coraz bardziej drastycznych środków terroru, ujawniając tym swą bezsiłę, swoją niemoc i niewiarę w siebie. Zasady konstytucyjne, prawa i swobody obywatelskie odziera z wszelkiej treści. Przekreśla instytucje, które sama stworzyła i z których wyrosła ich potęga. I zmierza niepowstrzymanie ku zagładzie.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

W. I. Lenin — Najbliższe zadania władzy radzieckiej. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 46. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 54 i 2 nlb.

— Grożąca katastrofa i jak z nią walczyć. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 37. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 63 i 1 nlb.

— Zadania proletariatu w naszej rewolucji. (Projekt platformy partii proletariackiej). Partie polityczne w Rosji a zadania proletariatu. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 31. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 73 i 3 nlb.

— I Ogólnorosyjski Zjazd delegatów chłopskich. Projekt rezolucji w kwestii agrarnej. Przemówienie w kwestii agrarnej. O konieczności założenia związku robotników rolnych Rosji. Artykuł pierwszy. Artykuł drugi. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 35. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 38 i 2 nlb.

— Sojusz robotników z pracującymi i wyzyskiwanymi chłopami. Tezy w sprawie Zgromadzenia Ustawodawczego. Deklaracja praw ludu pracującego i wyzyskiwanego. Deklaracja frakcji SDPRR(b). Ludzie z tamtego świata. Projekt dekretu o rozwiązaniu Zgromadzenia Ustawodawczego. Przemówienie w sprawie rozwiązania Zgromadzenia Ustawodawczego. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 43. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 35 i 1 nlb.

M. M. Rozental — Rozwinięcie przez W. I. Lenina marksistowskiej teorii poznania. Przekł. Reginy Potaszer. Zagadnienia teorii marksizmu-leninizmu, zeszyt 9. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 54 i 2 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Maria Konopnicka — Pisma Wybrane pod red. Irminy Śliwińskiej (proza) oraz Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego (poezja), tom VII — Pan Balcer w Brazylii. Notka bibliograficzna Marii Wantowskiej. Objaśnienia słownikowe i red. odp. Ireny Orlewiczowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 379 i 1 nlb.

PROZA

Siergiej Antonow — Drogami suną maszyny. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 252 i 2 nlb.

Louis Aragon — Komuniści, seria pierwsza, tom IV — Marzec — maj 1940. Przekł. z franc. Ireny Krzywickiej, przypisy redakcji. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 286 i 2 nlb.

Józef Dzierzkowski — Rodzina w salonie. Wstęp Janusza Wilhelmi. Tekst wg wyd. z 1875 r. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 205 i 3 nlb.

John Galsworthy — Saga rodu Forsytów. Tom III — Przebudzenie. Do wynajęcia. Przekł. z ang. Józefa Birkenmajera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 317 i 3 nlb.

Pierre Gomarra—Domy nad Garonną. Przekł. z franc. Jerzego Lisowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 149 i 2 nlb.

Andrzej Guljaszki — Ślady na śniegu. Przekł. z bułg. Haliny Kalita. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 200 i 2 nlb.

Gotfryd Keller — Ludzie z Seldwili. Opowiadania. Przekł. Izabelli Czermakowej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 187 i 1 nlb.

Leon Kruczkowski — Pawie pióra. Wyd. V. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 248 i 2 nlb.

S. Mstisławski — Szpak ptak wiosenny. Powieść o M. E. Baumanie. Przekł. z ros. Gabrieli Roklewskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 351 i 4 nlb.

Zofia Nałkowska — Granica. Wyd. IX. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 295 i 3 nlb.

Halina Nikołajewa — Żniwa. Przekł. z ros. Stanisława Furmanika. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 500 i 2 nlb.

Opowiadania chińskie. Przekł. Stanisława Sielskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 141 i 2 nlb.

Elvi Sinervo — Wytrwaj, towarzyszu! Tłum. z przekł. czesk. Krystyna Żebrowska. Porówn. z oryg. fińskim Aleksandra Łańska. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 97 i 2 nlb.

Tichon Siomuszkin — Alitet odchodzi w góry. Przekł. z ros. Marii Traczewskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 507 i 2 nlb.

Aleksy Tołstoj — Droga przez mękę. Wyd. IV. Cz. I — Siostry, przekł. Władysława Broniewskiego, str. 346 i 1 nlb., cz. II — Rok osiemnasty, przekł. Władysława Broniewskiego, str. 383 i 1 nlb., cz. III —

Pochmurny ranek, przekł. Władysława Broniewskiego i Wacława Rogowicza, str. 475 i 1 nlb.

Edward Wilde — W posępnej krainie. Język oryg. estoński. Z przekł. ros. tłum. Piotr Sobolewski. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 177 i 2 nlb.

Anna Wysznacka — Bliżej świtu. Opowieść o towarzyszu Krzosie. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 197, 1 nlb. i 1 fotografia.

POEZJA I DRAMAT

Antologia poetów dekabrystów. Oprac. i przypisy Ziemowita Fedeckiego. Słowo wstępne Samuela Fiszmana. Seria poezji rewolucyjnej i postępowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. XIII, 133 i 2 nlb.

Kazimierz Brodziński — Wiesław. Sielanka krakowska. Oprac. i posłowie Zbigniewa Żabickiego. Mała biblioteczka „Książki i Wiedzy", zeszyt 42. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 31 i 1 nlb.

Władysław Broniewski — Młodym do lotu. Wybór wierszy. Wybór i posłowie Grzegorza Lasoty. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 148, 2 nlb. i 1 fotografia.

Franciszek Fenikowski — Oddycham morzem. Zbiorek wierszy morskich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 38 i 1 nlb.

Jerzy Ficowski — Zwierzenia. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 65 i 3 nlb.

Stefan Flukowski — Chwała Puszkina. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 109 i 2 nlb.

Maksym Gorki — Barbarzyńcy. Sceny z miasta powiatowego. Przekł. Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 214 i 2 nlb.

Edward Hołda — Sprawy powszednie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 50 i 1 nlb.

Mieczysław Jastrun — Poemat o mowie polskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 87 i 1 nlb.

Wanda Karczewska — Ziarno kiełkujące. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 58 i 4 nlb.

Igor Łukowski — Tajemnica wiecznej nocy. Dramat fantastyczno-naukowy w 4 aktach, 8 odsłonach. Przekł. z ros. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza. „Czytelnik". Warszawa, 1952. Str. 100 i 2 nlb.

Adam Mickiewicz — Wybór wierszy. Wybór i red. odp. Danuty Drabikowskiej. Posłowie Hanny Kirchner. Mała Biblioteczka „Książki i Wiedzy", Nr 40. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 180 i 3 nlb.

Artur Międzyrzecki — Światło nowej dzielnicy. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 65 i 1 nlb.

Kuo Mo-żo — Czü Jüan doradca królewski. Dramat w 5 aktach. Przekł. z chińsk. i przypisy Olgierda Wojtasiewicza. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 138 i 1 nlb.

Leon Pasternak — Lira i satyra. Wybór wierszy 1931 — 1951. „Czytelnik". Warszawa, 1952. Str. 251, 1 nlb. i 1 fotografia.

Aleksander Puszkin — Eugeniusz Oniegin. Przekł. Adama Ważyka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 429, 4 nlb i 10 ilustracji.

Arnold Słucki — Spotkania. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 46 i 1 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Stanisław Aleksandrzak — Słoneczny świat. Ilustr. J. M. Szancera. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 29 i 2 nlb.

W. Bandrowski — Opowieści dolno-śląskie o Liczyrzepie. Ilustr. Ignacego Witza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 106 i 3 nlb.

Biernat z Lublina — Żywot Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego. Wybór, oprac. i wstęp A. Jelicza. Ilustr. i układ graficzny Z. Rychlickiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 79 i 1 nlb.

Wanda Borudzka — Szóste kaczę. Ilustr. Zofii Fijałkowskiej. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952.

Jerzy Broszkiewicz — Jacek Kula. Ilustr. Aleksandra Kobzdeja. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 413 i 1 nlb.

Karol Czapek — Bajka o dobrym listonoszu. Przekł. z czesk. Marii Kann. Ilustr. E. Różańskiej. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 40 i 2 nlb.

Eugeniusz Czaruszyn — Jak wrona nauczyła Heniusia mówić „r". Wyd. II. Oprac. Maria Górska. Ilustr. Stanisława Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Program wyborczy Frontu Narodowego 3
Stanisław Ryszard Dobrowolski — Czemu; 12.IV.1952; Plac Konstytucji; Dalej co będzie?; Prośba 14
Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk — Południe 17
Tadeusz Chróścielewski — Baśń karkonoska 18
Włodzimierz Słobodnik — Sonety o Wicie Stwoszu: Zwierciadło rzeczywistości; Zwiastowanie; Światło humanizmu 20
Bohdan Ostromęcki — Chłopskie drzewo; Nad Łebą 22
Jan Śpiewak — Przypływ 24
Jan Maria Gisges — Lato w Karkonoszach: Droga do Szklarskiej Poręby; Nad zbójnickimi skałami; Posążek hutnika; Dwie pieśni 25
Andrzej Braun — Autostrada 27
Leopold Lewin — Do Nazima Hikmeta 29
Stanisław Zieliński — Rodacy 30
Lesław Bartelski — Złota Góra 77
W. S. Kiemienow — Spuścizna artystyczna Leonarda da Vinci 92
50-lecie śmierci Emila Zoli:
Emil Zola — Oskarżam, przeł. Zbigniew Bieńkowski 111
Anatol France — Emil Zola, przeł. Wojciech Natanson 119
Artur Sandauer — Teokryt 123
Teokryt: Pieśń Tyrzisa; Dożynki; Syrakuzanki czyli kobiety na święcie Adonisa przeł. Artur Sandauer 129
WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Śpiewak — Artur Międzyrzecki „Strony przydrożne"; Edward Fiszer „Kwatera i przystań"; Lech Budrecki — Marian Promiński „Opowieści sportowe"; Henryk Bereza — Zofia Dróżdż-Satanowska „Opowieść wierzbowa"; Salomon Łastik — Marcelina Grabowska „Antoni Mroczek poznaje świat"; Piotr Grzegorczyk — Wiliam Szekspir „Hamlet"; Adolf Sowiński — Henryk Heine „Poezje wybrane"; Wojciech Natanson — Carlo Goldoni „Sprytna wdówka", „Zakochani" „Kawiarenka wenecka", „Mirandolina"; Ludwik Grzeniewski — Eça de Queiroz „Zbrodnia księdza Amaro"; Marceli Ranicki — Anna Seghers „Siódmy krzyż" 142
TEATR: Juliusz Żuławski — Na scenach warszawskich; Jerzy Pomianowski — Znalezisko 185
NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, J. Rużyło-Pawłowska, Józef Spinc, Julian Stawiński 199
KSIĄŻKI NADESŁANE 222

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".

KT 22

0.58 4003

Cena zł 5.–